

**GUSTAW MORCINEK W 40. ROCZNICĘ ŚMIERCI**

Egz. archiwalny



ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK

**Nr 12 (98) • ROK IX • GRUDZIEŃ 2003**

**CENA 4 ZŁ** (w tym 0% VAT)

ISSN 1425-3917



9 771425 391035

**ALOJZY LYSKO**  
Górniczne sny

**Prof. LEON  
MARKIEWICZ:**  
„Żyliśmy tylko  
dla sztuki”

**ZDZISŁAW  
JANECZEK:**  
Ludzie i znicze

**JAN F.  
LEWANDOWSKI**  
Bienek filmowy

**Filatelistyka**  
– dokumenty czasu

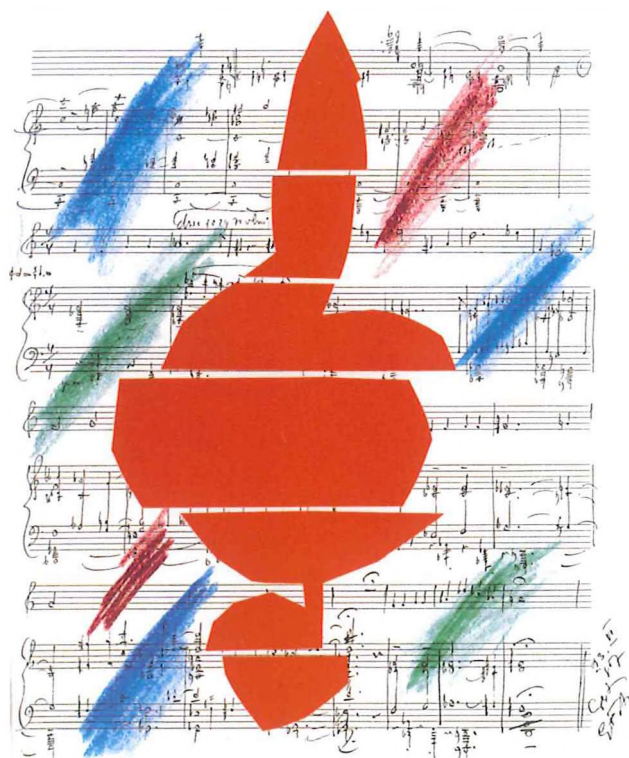
**Prof. JERZY JULIAN  
WĘGIERSKI:**  
„Byłem z Sołżenicynem  
w łagrze”

**GRZEGORZ  
SŁOBODNIK**  
– Wiersze





Redakcja pełni patronat prasowy nad tegorocznym  
Międzynarodowym Konkursem Dyrygentów  
im. Grzegorza Fitelberga



VII MIĘDZYNARODOWY  
KONKURS DYRYGENTÓW  
im. GRZEGORZA FITELBERGA

THE 7<sup>TH</sup> GRZEGORZ FITELBERG  
INTERNATIONAL COMPETITION  
FOR CONDUCTORS

KATOWICE 2003



CZŁONEK ŚWIATOWEJ FEDERACJI  
MIĘDZYNARODOWYCH KONKURSÓW  
MUZYCZNYCH W GENEWIE

MEMBER OF THE WORLD  
FEDERATION OF INTERNATIONAL  
MUSIC COMPETITION IN GENEVA



Foto: Józef Wróbel

15-lecie działalności obchodziła znana i ceniona w świecie  
I Klinika Kardiologii Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach,  
którą kieruje prof. dr hab. n.med. Andrzej Bochenek  
- na zdjęciu z prof. Jerzym Dudą Gracem.

*Pogodnych, radosnych,  
pełnych dobrej nadziei  
Świąt Bożego Narodzenia  
i wiele szczęścia  
przez wszystkie dni 2004 Roku  
życzy  
Redakcja „Śląska”*

„Na międzynarodowym rynku będą się wkrótce liczyć tylko firmy z certyfikatami ISO 14001. Te, które nie nadążają za światowymi ekotrendami, mogą mieć w przyszłości trudności ze zbytem swoich produktów. Współczesnego konsumenta interesuje bowiem nie tylko dobro samo w sobie, ale również sposób, w jaki zostało wyprodukowane” - twierdzi Ministerstwo Środowiska.

W dniu 4 listopada 2003 roku Kompania Piwowska SA otrzymała certyfikat ISO 14001 potwierdzający zgodność systemu zarządzania środowiskowego z najwyższymi międzynarodowymi standardami. Certyfikat został przyznany na podstawie niezależnego auditu przeprowadzonego przez renomowaną firmę SGS.

„Nasza praca ma sens, gdyż nigdy nie zapominamy, że pracujemy dla ludzi. Dokładamy wszelkich starań, by nasza obecność nigdy nie musiała być mierzona skalą ingerencji w środowisko naturalne, w którym żyjemy i pracujemy. Dlatego jednym z naszych priorytetów jest dążenie do spełniania najbardziej surowych wymogów w tym zakresie” - powiedział Paweł Sudół Prezes KP SA.

Uroczyste wręczenie certyfikatu miało miejsce w Sali Lustrzanej Pałacu w Pszczynie, a całość uświetnił koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej AU-KSO. Certyfikat odebrał w imieniu KP Jacek Kopiejewski wiceprezes ds. technicznych KP SA.



## ISO 14001 dla Kompanii Piwowskiej SA

Nowoczesna, w pełni automatyczna oczyszczalnia redukuje o 80% ładunek biologiczny zawarty w ściekach browarnianych. Jej uruchomienie znacznie poprawi pracę oczyszczalni miejskiej w Urbanowicach. Nowoczesna oczyszczalnia w TBK to inwestycja rzędu 22 mln. Praca oczyszczalni oparta jest o najnowszą dostępną na świecie technologię beztlenową, która spełnia wszystkie wymogi Unii Europejskiej.

Dlatego oczyszczalnia znalazła się na liście BAT (Best Available Technics). Oczyszczalnia pozwala odzyskiwać biogaz, w ilości 10-15% naszego rocznego zapotrzebowania na energię. Sercem oczyszczalni jest reaktor beztlenowy - największe tego typu urządzenie na świecie. Generalnym wykonawcą była międzynarodowa firma Vivendi Water System (obecnie Veolia Water System), natomiast technologię dostarczyła holenderska firma PAQUS - światowy lider w zakresie oczyszczania ścieków. Budowa oczyszczalni została sfinansowana kredytem, otrzymanym z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Z okazji przyznania certyfikatu ISO 14001 dla Lech Browary Wielkopolskie firma ufundowała system natleniania jeziora małomiastkowego w Poznaniu. Otrzymując w 2003 roku certyfikat jako Kompania Piwowska SA postanowiła ufundować dla miasta Tychy ekologiczny plac zabaw „Jaworkowa Dolina”. Z całą pewnością liczący 1039 m kw. ogródek, otoczony parkową zielenią stanie się swoistym centrum zabawy dla najmłodszych Tyszan, zapewniając radość i bezpieczeństwo korzystania z urządzeń. Wszystkie elementy znajdujące się na terenie „Jaworkowej Doliny” wykonane zostały w całości z ekologicznych materiałów. Na uroczyste otwarcie 17 listopada 2003 zostały zaproszone władze miasta, dziennikarze oraz dzieci.

# ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO -  
KULTURALNY**

Nr 12 (98). Rok IX. GRUDZIEŃ 2003 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE  
TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21  
e-mail: slask@alfa.com.pl  
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:  
**TADEUSZ KIJONKA**  
redaktor naczelny

**FELIKS NETZ**  
zastępca redaktora naczelnego  
**WIESŁAWA KONOPELSKA**  
sekretarz redakcji

**KRZYSZTOF KARWAT**  
dział kulturalny

**BARBARA GRUSZKA-ZYCH**  
dział krytyki

**MAREK BASTER**  
dział społeczno-historyczny  
**WOJCIECH ŁUKA**  
dział graficzny

**MIROŚLAW KORBEL**  
nadzór techniczny i poligraficzny  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

**ANNA STRUMIŁOWSKA**  
**PAWEŁ GARDAWICKI**  
korekta

**ADRES REDAKCJI:**

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,  
tel./fax 206-82-71.

**DTP:** STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,  
ul. Dąbrowski 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

**Druk:** PW „Tolek”

**DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI**  
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 29 10202313 10588 1212. Prenumerata roczna - 48 zł, półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Rozmowa z Krzysztofem Basiagą, dyrektorem DPiZF GBG SA

**BANK NA PLUSIE** ..... 3

Rozmowa z senatorem Adamem Graczyńskim **PRANIE MÓZGU** ..... 6

Tadeusz Kijonka **JERZY ZIĘTEK WKRACZA NA COKÓŁ** ..... 7

Katarzyna Chmielowska **ŚWIĘTA BARBARA UŚMIECHA SIĘ SMUTNO** ..... 8

Alojzy Lysko **GÓRNICZE SNY** ..... 10

Grzegorz Słobodnik **WIERSZE** ..... 16

Rozmowa z prof. Leonem Markiewiczem **ŻYLIŚMY TYLKO**

**DLA SZTUKI** ..... 18

Marek Baster **TYSIĄC KILOMETRÓW DO PRACY** ..... 22

Rozmowa z dyrektorem gimnazjum w Izbicku Diterem Kallą **W MATNI** ..... 24

Marzena Orczyk **MARKETIADA** ..... 26

Marzena Orczyk **KLATKA** ..... 27

Marzena Orczyk **INKUBATOR** ..... 29

Tadeusz Kijonka **SŁAWA I KRZYWDA** ..... 30

**ANKIETA „ŚLĄSKA”** ..... 35

Mateusz Babak **MORCINEK WŚRÓD MŁODYCH** ..... 39

„MORCINEK” **WYSADZONY W POWIETRZE** ..... 40

Krzysztof Karwat **SERIA PRAPREMIER** ..... 41

Rozmowa z prof. Jerzym Julianem Węgierskim **NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ** ..... 44

Marian Bednarek **WIERSZE** ..... 47

Barbara Marciniak **NIKE PO RAZ SIÓDMY** ..... 48

Jan F. Lewandowski **BIENIEK FILMOWY** ..... 51

Zdzisław Janeczek **LUDZIE-ZNICZE** ..... 54

Ryszard Kaczmarek **GÓRNY ŚLĄSK W CIENIU SWASTYKI** ..... 58

Wiesława Konopelska **GEOMETRIA METAFIZYCZNA** ..... 64

Katarzyna Sadura **DOKUMENTY CZASU** ..... 65

Rozmowa z Maciejem Szymanowskim, dyrektorem Instytutu Polskiego

w Budapeszcie **KULTURA TO DOBRY BIZNES** ..... 68

Krystyna Heska-Kwaśniewicz **WIELKIE ŚWIĘTO OPOLA** ..... 70

Jerzy Machura **„ŁOKIETEK” Z SZOPIENIC** ..... 79

Ryszard Jasnorzewski **NAPIĆ SIĘ Z WARHOLA** ..... 80

Pismo wspierane  
finansowo przez  
**ZARZĄD  
WOJEWÓDZTWA  
ŚLĄSKIEGO**



oraz dotowane przez  
**URZĄD MIASTA  
KATOWICE**



**I MINISTERSTWO  
KULTURY**

**W kolorze:**

• Andrzej Gieraga - wystawa obrazów i grafiki w Muzeum Śląskim w Katowicach (str. A) | Andy Warhol - wystawa w Muzeum w Sosnowcu (str. B) | XIX Ogólnopolska Wystawa Filatelistyki „Katowice 2003” (str. C) | Znaki i Twarze Miasta Katowice - „Katowice w dawnej i współczesnej fotografii” (str. D).

**Na okładce:**

Grzegorz Hańderek, 1999 r. (Pracownia Projektowania Graficznego prof. Tadeusza Grabowskiego, ASP w Katowicach)

**ŚLĄSKI MIESIĄC** ..... 2

**LISTY** ..... 4

**POZA KADREM**

Feliks Netz **PORNOGRAFIA** ..... 15

**PODKOPKI** ..... 62

**EKOLOGIA**

Jan Rzymelka **PIRETOWA PASKUDA** ..... 67

**BALET**

Wiesława Konopelska **POSUWISTE PAS**

**DON KICHOTA** ..... 71

Magdalena Dziadek **MIĘDZY NUTAMI** ..... 72

**KSIAŻKI**

Marek Piechota **SŁOWACKI**

**W CIENIU MICKIEWICZA** ..... 73

Tadeusz Kijonka **W PANORAMIE ŻYCIA** ..... 74

Edward Kabiesz **DWIE OJCZYZNY** ..... 75

Paweł Grabarczyk **AUTOPORTRET Z PASJĄ** ..... 75

Agnieszka Rozpłochowska **POD REKĘ**

**Z WAMPIREM** ..... 76

Barbara Gruska-Zych **PRZESTRZEN**

**TAJEMNICY** ..... 76

Beata Gontarz **O WYKOWSKIM,**

**KATASTROFIZMIE, PERSONALIZMIE**

**I REALIZMIE** ..... 77

**NOTY** ..... 78

Wojciech Janota **GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE** ..... 81

**NOTATNIKI KULTURALNE**

Wiesława Konopelska **KATOWICE** ..... 82

Jan Picheta **BIELSKO** ..... 84

Elżbieta Kot **CZĘSTOCHOWA** ..... 85

Marek Świercz **OPOLE** ..... 86

Jacek Sikora **ZAOLZIE** ..... 87

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą  
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.  
e-mail: zagran@pol.pl



■ **PAŹDZIERNIK** - początek nowego roku akademickiego. Najuroczyściej wypadła inauguracja w Śląskiej Akademii Medycznej, podczas której profesor Tadeusz Wilczok otrzymał tytuł doktora honoris causa uczelni, którą kieruje. To pierwszy przypadek, żeby urzędujący rektor otrzymał taki tytuł od własnej uczelni.

■ **SPECJALISTYCZNY** miesięcznik „Przegląd Górniczo-Hutniczy” (pierwotnie tylko „górnicy”) obchodzi swe setne urodziny. Jego pierwszy numer ukazał się 1 października 1903 roku.

■ **OKOŁO** dwóch milionów złotych stracił już w tym roku przez wandalów i złodziei Zakład Linii Kolejowych w Katowicach.

■ **RUSZYŁA** produkcja astry II: z taśm montażowych gliwickiej fabryki Opla zjechał 2 października pierwszy model nowej serii. Zakład chce zatrudnić 200 nowych pracowników.

■ **PO** kilkunastu latach budowy nowoczesne schronisko PTTK na Hali Miziowej pod Pilskiem jest wreszcie gotowe. To jeden z najnowocześniejszych tego typu obiektów w polskich górach.

■ **ROBERT** Schuman, jeden z ojców zjednoczonej Europy, został patronem V Liceum Ogólnokształcącego w Sosnowcu. Być może, że zostanie błogosławionym, gdyż w Watykanie trwa jego proces beatyfikacyjny.

■ **PODCZAS** trzeciej pielgrzymki do Lichenia członkowie Związku Represjonowanych Politycznie Żołnierzy Górników odsłoniли pomnik ku czci tych, którzy służyli w latach 1949-1959 w wojskowych Batalionach Górniczych. Przez bataliony, na podstawie specjalnych list tworzonych przez Urząd Bezpieczeństwa, przeszło ponad 126 tys. poborowych.

■ **OKOŁO** 330 bielskich komandosów z 18. Batalionu Desantowo-Szturmowego pojedzie do Iraku.

■ **NA** placu, gdzie przed wojną stała gliwicka synagoga, powstanie kompleks mieszkalno-usługowy. Gmina żydowska tłumaczy, że musiała sprzedać ten teren, by spłacić część swoich gigantycznych długów.

■ **KSIĄDZ** kapitan Mariusz Stolarzyk jest kapłanem polskich żołnierzy w irackiej Karbali. Wraz z majorem Jerzym Szope, radcą prawnym w mundurze, jest jednym z dwóch mieszkańców małego Imielina, pełniących teraz służbę w świętym mieście szyitów.

■ **DWAJ** polscy górnicy zginęli w czeskiej kopalni Darkov koło Karwiny: 35-letni Dariusz M. z Bytomia i 46-letni Krzysztof U. z Porajki k. Częstochowy. W czeskiej kopalniach pracuje ponad 2,1 tys. górników z Polski.

■ **DANUTA** Sz. nie jest już prezesem miejskiej spółki Śląskie Media, wydawcy „Wiadomości Rudzkiej”. Prezydent Rudy Śl. odwołał ją po tym, jak policja przyłapała ją na prowadzeniu auta po pijanemu.

■ **SĘDZIOWIE** z Sądu Okręgowego w Katowicach nie chcą już korzystać z usług biegłego neurologa, która przyjmuje niepełnosprawnych (również na wózkach inwalidzkich) na dziewiątym piętrze Superjednostki, choć winda zatrzymuje się tylko na ósmym.

■ **PARK** Gwiazd wyrośnie w Bielsku-Białej. Pierwsze azalie, magnolie i rododendrony posadzili m.in. Paweł Golec, Mira Stanisławska-Meysztowicz (organizatorka akcji „Sprzątanie świata”) i Jerzy Owsiak.

# ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń  
z miesiąca poprzedzającego  
zamknięcie numeru

■ **WŁADZE** Tychów planują likwidację szkoły muzycznej, w której uczy się prawie 90 dzieci.

■ **PONAD** 50 tys. mieszkańców Tanzanii dostało makę, którą kupili wierni archidiecezji katowickiej.

■ **TOWARZYSTWO** Przyjaciół Ziemi Gliwickiej, korzystając z ogromnej bonifikaty, kupiło kamienicę za 480 zł, a po roku sprzedało budynek za 340 tysięcy złotych. Miasto zapowiada, że będzie się w sądzie domagać zwrotu pieniędzy.

■ **URZĘDNIK** Starostwa Powiatowego w Tarnowskich Górach został aresztowany gdy odbierał znaczną kolejną ratę łapówki.

■ **PO** dziewięciomiesięcznym remoncie otwarta została w Sławkowie zabytkowa karczma przy Rynku. Jest prawdopodobnie najstarszą zachowaną do dziś drewnianą karczmą w Polsce - ma co najmniej 222 lata.

■ **36-LETNI** raciborzanin Dariusz Kampa cierpi na porażenie mózgowe. Nie dał się chorobie, walczył z nią przez całe życie. Teraz jest właścicielem firmy i jednym z pięciu finalistów ogólnopolskiego plebiscytu „Człowiek bez barier”.

■ **WOJEWÓDZKI** Szpital Specjalistyczny w Sosnowcu był już 21 razy odcięty od świata z powodu kradzieży kabla telefonicznego. Sytuacja zagraża bezpieczeństwu pacjentów - alarmuje dyrekcja.

■ **DYREKCJA** kopalni „Wesoła” w Mysłowicach chce, aby wiceprzewodniczący OPZZ Jan Kisieliński wrócił do pracy pod ziemią. Pobiera on dwie pensje: w OPZZ (ok. 5 tys. zł) i w mysłowickiej kopalni jako nadsztygar (ok. 6 tys. zł brutto).

■ **KIEROWCA** osobisty prezesa Tramwajów Śląskich SA Mirosław Tepling objął stanowisko zastępcy dyrektora w będzimskim Zakładzie Komunikacji Tramwajowej.

■ **ZABRZE** chce ściągnąć do siebie fabrykę Hyundai. Prezydent Jerzy Gołubowicz zaproponował koncernowi 322-hektarowy teren.

■ **BYŁY** obrońca zomowców pacyfikujących śląskie kopalnie w 1981 r. Marek B. jest podejrzany o przywłaszczenie 1,1 mln dolarów należących do handlarza narkotyków oraz o oszustwo na 800 tys. zł.

■ **PREZYDENT** Siemianowic Zbigniew Paweł Szandar złamał ustawę anty-

korupcyjną - uważając urzędników wojewody. Niewykluczone, że straci stanowisko, bowiem w kwietniu br. w oświadczeniu majątkowym ujawnił, że ma 39 proc. udziałów w spółce Ursa i jest jej prezesem.

■ **OKOŁO** trzystu członków i sympatyków Ruchu Autonomii Śląska uczestniczyło na Górze Świętej Anny we mszy świętej w intencji ofiar masowych deportacji ze Śląska do Związku Sowieckiego w latach 1945-1948.

■ **NOWYM** konsulem honorowym Litwy w Katowicach został Jerzy Wcisło, prezes Energomontażu Południe.

■ **PODCZAS** Kongresu Związku Górnośląskiego dokonano wyboru władz. Dotychczasowy prezes Jerzy Śmiałek niespodziewanie przegrał. Nowym prezesem został Krzysztof Szyga (Platforma Obywatelska), wiceprezydent Siemianowic Śląskich.

■ **KATOWICKI** Spodek po raz kolejny przyniósł olbrzymie straty - w zeszłym roku 1,55 mln zł.

■ **NIEMIECKA** firma, która zarządza portami rzecznyymi w Pradze, chce zainwestować w rozwój portu w Gliwicach.

■ **BĘDZIN** ma państwową uczelnię wyższą: Zamiejscowy Ośrodek Dydaktyczny Politechniki Częstochowskiej.

■ **PIĘCIU** policjantów współpracowało z mafią pruszkowską - twierdzi katowicka prokuratura. Jej zdaniem sprzedawali informacje o planowanych akcjach, ukrywali kradzione samochody i umarzali śledztwa.

■ **SZPITAL** Wojewódzki w Bielsku nie może wyegzekwować 80 tys. zł za leczenie Grzegorza S., podejrzanego o zabójstwo będzimskiego policjanta.

■ **HUCZNY** bal z milczącą biedą w tle. Krzysztof Wójcik, SLD-wski prezydent Bytomia, oraz jego zastępca Marian Stajno świętowali hucznie swoje urodziny w koszarach miejscowej jednostki wojskowej. Za wynajęcie sali wojsko nie policzyło im ani grosza. Około stu notabli zasiadło do suto zastawionych stołów...

■ **DYREKTOR** gabinetu wojewody śląskiego Robert Bochniak został ukarany nagana za łamanie ustawy antykorupcyjnej. Ale ma wrócić do pracy.

■ **BOENIG** 747 jumbo jet - jeden z największych samolotów na świecie po raz pierwszy w historii wylądował na lotnisku w Pyrzowicach.

■ **PROFESOR** Enrico Chiappa, wybitny kardiolog dziecięcy z Włoch, przyjechał do Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze, by szkolić polskich lekarzy.

■ **TO** też pomysł! W Raciborzu nie wyrzuca się gazet. Wiszą na hakach i gwoździach. Czytają je ubodzy, emeryci, bezrobotni i bezdomni.

■ **KILKADZIESIĄT** osób spotkało się w Katowicach z prezesem telewizji publicznej Robertem Kwiatkowskim. Poruszono wiele tematów, ale o aferze Rywina prezes nie chciał mówić.

■ **PO** generalnym remoncie I Klinika Kardiologii w Górnośląskim Centrum Medycznym w Katowicach spełnia światowe standardy. Klinika, którą kieruje prof. Andrzej Bochenek, obchodzi 15-lecie istnienia.

■ **FAŁSZERZOM** z Sosnowca podejrzanym o produkcję m.in. brytyjskich wiz uchyłono areszt. Sąd zapewnia, że nie ma to związku z tym, że jeden z nich jest szwagrem wiceszefa prokuratury, która prowadzi sprawę.

KRONIKARZ





# Bank na plusie

Wszystko wskazuje na to, że kończący się rok 2003 okaże się tradycyjnie dla naszego Banku korzystny. O poziomie osiągniętych przez GBG SA dobrych wyników finansowych przesądza nadal obrana kilka lat temu przez jego Zarząd specjalizacja.

Już przed laty, by sprostać wciąż rosnącej konkurencji na polskim rynku bankowym, GBG SA skoncentrował się na obsłudze klientów detalicznych (osób fizycznych oraz małych i średnich firm) oraz jednostek samorządu terytorialnego. Prowadząc tę działalność na terenie woj. śląskiego i małopolskiego dodatkowo rozszerzył na teren całego kraju sprzedaż produktów kredytowych związanych z finansowaniem zakupu pojazdów (w formie kredytu lub leasingu). Taka strategia

przyczynia się do rozproszenia ryzyka prowadzonej działalności, uniezależnienia Banku od wąskiej grupy Klientów, czy też branż gospodarczych. I umożliwia równocześnie wysoką specjalizację Banku w obsłudze wspomnianych powyżej grup Klientów.

## Dobre wyniki finansowe

Konsekwencja w realizacji obranego modelu biznesowego prowadzonej działalności przynosi Bankowi bardzo

dobre rezultaty. W corocznych rankingach banków działających w Polsce, Górnośląski Bank Gospodarczy zaliczany jest do najbardziej rentownych, osiągających wysokie poziomy zysku oraz zwrotu z kapitału. Co istotne, zyski Banku w kolejnych latach ulegają stałemu wzrostowi, niezależnie od koniunktury lub dekonunktury panującej w gospodarce.

W 2000 roku - zysk netto GBG wyniósł odpowiednio - 20 mln zł, w 2001 roku - 26 mln zł, w 2002 roku - 36 mln zł. Korzystnie przedstawia się wynik finansowy za 10 miesięcy 2003 roku, który sięgnął - 35 mln złotych.

Stały wzrost wyników poprawia również znacząco bazę kapitałową Banku. Jego fundusze własne przekraczają już 200 mln zł, a podstawowy wskaźnik oceniający poziom adekwatności posiadanych funduszy do rozmiarów prowadzonej działalności - współczynnik wypłacalności - wynosi około 14%, znacznie przekraczając minimalny wymagany poziom.

To wszystko powoduje, iż GBG Bank postrzegany jest jako stabilny podmiot gospodarczy.

## Pozycja na rynku woj. śląskiego

Na rynku bankowym województwa śląskiego, już od kilku lat jesteśmy trzecim bankiem pod względem udziałów rynkowych w obsłudze klientów detalicznych. Pozycję tę - w naszej ocenie - zawdzięczamy dobrze przygotowanej kompleksowej ofercie bankowej, dostępnej w szerokiej sieci ponad 40 placówek GBG SA na terenie województwa śląskiego i małopolskiego. Natomiast nasz produkt strategiczny czyli kredyt samochodowy GBG AUTO sprzedawany jest w większości punktów sprzedaży samochodów na terenie całego kraju.

I choć wydawać by się mogło, iż obecnie produkty bankowe poszczególnych banków są bardzo zbliżone do siebie, to jednak wiele drobnych różnic przesądza o tym że produkt jednego banku sprzedaje się dobrze, a innego nie. Z satysfakcją możemy stwierdzić, iż na przykład nasz kredyt samochodowy w rankingu dziennika „Rzeczpospolita” już od 2 lat uznawany jest przez szerokie grono ekspertów finansowych za jeden z najlepszych kredytów w Polsce.

Warto też dodać, że niezmiennie dobra od lat kondycja finansowa Górnośląskiego Banku Gospodarczego pozwala mu wypełniać z powodzeniem pozakomercyjną misję, związaną z wspieraniem najbardziej wartościowych przedsięwzięć, wzbogacających tożsamość naszego regionu.

## DOPOMINAM SIĘ O PAMIĘĆ!

Wobec ostatnio agresywnej wrzawy prasowej o przywracanie pamięci niemieckich akcentów w historii Katowic, dopominam się o uszanowanie polskich. Jest w śródmieściu Katowic takie miejsce, o którym pamięć zasługuje na szczególne utrwalenie. To odcinek lewej strony ulicy Warszawskiej od posesji nr 10 do wylotu ulicy Szkolnej. To tu w trakcie zamieszek poprzedzających II powstanie śląskie poniósł śmierć męczeńską niosący pomoc rannym lekarz - Polak dr Andrzej Mielecki, zbrojony przez bojówkarzy niemieckich.

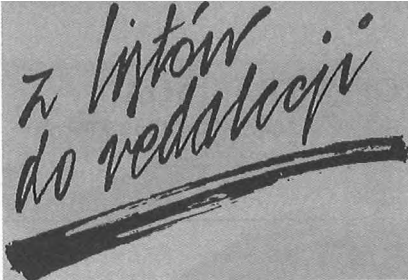
Naocznym świadkiem tamtych wydarzeń (znanych zresztą z literatury) była nasza gospoia Agata Brzózówna, obserwująca całe zajście z okien naszego mieszkania, położonego wskoś naprzeciwko pod nr 5 na I piętrze.

Katowice lat 1919-20 w pamięci moich rodziców były miastem opanowanym przez nacjonalistycznych szowinistów niemieckich, urządzających hałaśliwe manifestacje na rzecz pozostawienia Górnego Śląska w granicach Niemiec wbrew wersalskiej decyzji o plebiscycie. Było widoczne, że będą usilowali nawet nie dopuścić do plebiscytu, gdyż szczególnie agresywnie demonstrowali przed ulokowaną obok naszego domu siedzibą Kontrolera Międzysojuszniczej Komisji Plebiscytowej, chronionej przez załogę wojska francuskiego. Kiedy więc w połowie sierpnia 1920 roku rozeszły się pogłoski, że bolszewicy są już na przedmieściach Warszawy a na północy podchodzą pod Toruń - to katowicki Niemcy wpadli w euforie, uznając to za koniec „sezonowej Polski” i powrót do ruskiej granicy na Brynicy! Miasto opanowały bojówki wykrzykujące przeciw zbędnej już obecności Francuzów i demolujące nieliczne polskie sklepy, warsztaty rzemieślników Polaków. W obawie o życie, rodzice opuścili mieszkanie pozostawiając je gosposi. Właśnie według relacji naszej gosposi, w dniu 17 sierpnia od rana zaczął się gromadzić agresywny tłum przed siedzibą Kontrolera Międzysojuszniczej Komisji Plebiscytowej domagający się opuszczenia przezeń Katowic oraz łączących francuskich żołnierzy stojących na straż. Tłum zaczął się odgrażać żołnierzom, padły jakieś strzały w kierunku budynku, Francuzi oddali salwę a ponieważ agresywny tłum nadal nacierał - oddali następną salwę i dopiero wtedy tłum się rozprzerchl pozostawiając na bruku około 20 zabitych i ciężko rannych.

Wówczas z kamienicy naprzeciwko, a więc z nr. 10, wyszedł w kitlu lekarskim z podręczną torbą dr Andrzej Mielecki (gosposia go znała bo był w rodziców często) i zaczął opatrzyć rannych Niemców. Niestety ten samarytański czyn zamiast z uznaniem spotkał się z wrogimi okrzykami rodzaju „das grosspolnische Schwein” (wielkopolska świnia)! Wreszcie do doktora doskoczyli jacyś bojówkarze i zaczęli go okładać kijami, a gdy upadł kopali go i deptali. Podobno dał się słyszeć jakiś strzał albo wybuch, ale tego gosposia nie była pewna, zaobserwowana straszonym widownikiem. Natomiast dokładnie pamiętała, że zajeżdżał konny ambulans ze szpitala Elżbietańek, ściągający chyba telefonicznie przez Francuzów, że sanitariusze widząc co się dzieje, zamiast rannych wyciągnęli spod nóg tłuszczy zmasakrowanego doktora, którego przecięż znali, i załadowali go do ambulansu. Widziała też na własne oczy, że gdy ambulans ruszył w kierunku szpitala, to po kilkunastu metrach prowadzący go dopadli i wyciągnęli doktora, pastwili się jeszcze nad nim przed posesją narożną ul. Warszawskiej i Szkolnej, poczem powlekli konającego za nogi tak, że uderzał głową po bruku ulicy Szkolnej i wrzucili do rzeki Rawy.

Podsumowując opis wydarzeń, jakie miały miejsce w Katowicach w dniu 17 sierpnia 1920 roku pragnę stwierdzić, że Agata Brzózówna, nasza gosposia, była naocznym świadkiem męczeńskiej śmierci doktora Andrzeja Mieleckiego od samego momentu jego wyjścia z domu przy ul. obecnej Warszawskiej nr 10 aż do momentu włączenia ofiary sprzed posesji nr 14 na ulicę Szkolną. Ze względu na tamte tragiczne fakty należy uznać ciąg lewej strony ul. Warszawskiej w Katowicach od posesji nr 10 do nr. 14 za chronione prawem trwale miejsce pamięci narodowej.

ANDRZEJ ROŻANOWICZ  
Katowice



### Redakcja „Śląska” otrzymała do opublikowania kopie poniższych listów:

Szanowny Pan  
mgr inż. Piotr USZOK  
Prezydent Katowic

Zarząd Okręgowy Związku Kombatantów RP i b. Więźniów Politycznych, będącego organizacyjnym i prawnym następcą Związku Weteranów Powstań Śląskich zwraca się do Pana Prezydenta by zechciał uznać za miejsce trwałej pamięci odcinek ulicy Warszawskiej przed posesjami 10, 12 i 14, gdzie przed wybuchem II Powstania Śląskiego w sierpniu 1920 roku niemieccy bojówkarze w bestialski sposób zamordowali polskiego lekarza, radnego miasta dr. Andrzeja Mieleckiego, gdy ten niosł pomoc samarytańską rannym, a zmasakrowane Jego zwłoki wleki ulicą Szkolną i utopili w Rawie.

Prośbę naszą wnosimy dlatego, ponieważ według doniesień prasowych istnieje obawa, że na miejscu kaźni polskiego lekarza ma stanąć pomnik niemieckiego lekarza dr. Richarda Holtzgo, który przecież posiadał popiersie przed łaźnią miejską przy ul. Mickiewicza, ufundowaną przez niemiecką Radę Miasta w końcu XIX wieku.

Usilnie prosimy Pana Prezydenta aby nie dopuścił do profanacji miejsca drogiego sercom potomków Weteranów Powstań Śląskich, których jesteśmy jako Związek sukcesorami.

Z upoważnienia Prezydium:  
Prezes Zarządu Okręgowego ZKRP i B.WP  
mgr MIECZYŚLAW WILCZYŃSKI

Szanowny Pan  
mgr inż. Piotr Uszok  
Prezydent Katowic

Okręg Śląski Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej realizując swoje zadania statutowe, w tym m.in. dbałość o zachowanie polskich tradycji patriotycznych swego regionu, zwraca się do Pana Prezydenta z prośbą, by jeśli uwzględni postulat niektórych mieszkańców Katowic o przywrócenie pamięci pierwszego przewodniczącego niemieckiej wówczas Rady Miejskiej dra Richarda Holtzgo - zechciał jednak udzielić tylko zezwolenia na przywrócenie Jego popiersia w miejscu, gdzie się ono znajdowało, tj. przed budynkiem ufundowanej przez Niego łaźni miejskiej przy ul. Mickiewicza.

Prosimy o odrzucenie pojawiających się w prasie postulatów o upamiętnienie dra Holtzgo w formie znacznie przekraczającej dawną, bo aż pomnika (!) i to przy ul. Warszawskiej - narożniku ul. Szkolnej, gdyż właśnie w tym miejscu przed wybuchem II Powstania Śląskiego bojówkarze niemieccy zamordowali polskiego lekarza dra Andrzeja Mieleckiego, niosącego samarytańską pomoc rannym Niemcom a Jego zmasakrowane zwłoki wleczono za nogi ulicą szkolną i wrzucono do Rawy.

Jesteśmy przekonani, że Pan Prezydent nie ulegnie roszczeniom naruszającym polskie tradycje Katowic i raniącym uczucia kombatantów Armii Krajowej zrzeszonych w naszym Związku.

Prezes Zarządu Okręgowego Śląskiego SZŻAK  
kpt. MARIAN PIOTRÓWICZ „KOMETA”

Pomysł Jego Magnificencji, by popiersie dr. R. Holtzgo ustawiać przed Rektorem Akademii Medycznej jest moim zdaniem i wielu osób, z którymi rozmawiałem, nie do końca przemyślany.

W przeddzień drugiego powstania śląskiego bojówkarze niemieccy zamordowali dr. med. Andrzeja Mieleckiego, niosącego pomoc lekarską rannym Powstańcom i Niemcom.

Mordu dokonano przy ul. Warszawskiej w pobliżu Rektoratu. Zwłoki bestialsko zamordowanego wleczono ul. Szkolną i wrzucono do Rawy.

Pogrzeb śp. dr. Andrzeja Mieleckiego odbył się w Sosnowcu z uwagi na nasilenie się antypolskich działań bojówek niemieckich.

Śp. dr Andrzej Mielecki ma swoją tablicę pamiątkową na budynku przy ul. Warszawskiej 10.

Usytuowanie obok popiersia dr. R. Holtzgo wydaje się wysoce niestosowne. Mam nadzieję, że w niczym nie urażę Jego Magnificencji, gdyż kieruje się tylko prawdą historyczną.

Zrzeszenie Właścicieli i Zarządców Domów  
w Katowicach  
mgr CZESŁAW RYMER - Prezes

## KOMU POTRZEBNY JEST POLSKI ŚLĄSK I PRO POLSKI ŚLĄZAK?

Smutny staje się człowiek, kiedy czyta relacje gazetowe z pierwszego Kulturfestu Deutschen in Polen we Wrocławiu, czyli pierwszego festiwalu polskich... Niemców uczynionych z naszych braci Ślązaków. Proszę zresztą popatrzeć na nazwiska wykonawców - ile tam polskich nazwisk.

W Nowej Trybunie Polskiej syn żołnierza Wehrmachtu, niejaki Krzysztof Ogiolda, zachwyca się nad przemówieniem kardynała Henryka Gulbinowicza: - Pielegnujcie swą tożsamość, tradycję i folklor. Tego chce od was Pan Bóg i Kościół święty - zachęcał polskich Niemców.

Na taką samą nutę pieje dziennikarz „Schlesisches Wochenblatt”: Najbardziej jednak wierni pamiętającą pewnie te słowa kardynała Gulbinowicza: - Pielegnujcie swoją tożsamość, tradycję i folklor. Tak chce Pan Bóg i Kościół święty. Meine beste wunsche fur Euch, alle Deutsche - zakończył metropolita wrocławski.

Mój Boże, czyżby Pan Bóg przyklaskiwał germanizacji Ślązaków? W głowie prostego chrześcijanina to się nie mieści...!!! Przypomina się słynne powiedzenie Mickiewicza: „Bóg mieszka w bluzach paryskiego ludu”.

W wydawanej za pieniądze polskiego podatnika Engelbert Miś, za PRL-u przez wiele lat dziennikarz „Katolika”, teraz naczelny „Schlesisches Wochenblatt”, przyjmuje Rudiego Pawelkę.

Smutny staje się człowiek, gdy czyta, że polski kardynał Henryk Gulbinowicz pozdrawia czynienie ze Ślązaków Niemców.

Smutkiem napawa lektura „Schlesisches Wochenblatt” z VIII całonocnego Seminarium Śląskiego zorganizowanego w Kamieniu Śląskim, miejscu narodzin świętego Jacka Odrowąża. Dyskutowano nad tym, jakie rozstrzygnięcia przyniosły narodowi w tej części Europy Jajta i Poczdam. Zastanawiano się jakby tu to wszystko odkryć? Czy to się tzw. mniejszości niemieckiej, tak zwanej, bo czynionej ze Ślązaków, czyli Słowian. Komu potrzebny jest polski Śląsk? Jest on potrzebny przede wszystkim Polsce i Polakom, ponieważ - mimo niszczenia tutejszego przemysłu - przemysł ten wciąż jeszcze żyje. Ale - jak widać - Naród Polski musi sam się o to zatroszczyć, by Śląska jeszcze raz nie utracić. Na elity polityczne i kler nie można bowiem liczyć, tylko na siebie.

RUCH OBRONY KRESÓW  
POŁUDNIOWO-ZACHODNICH  
ODDZIAŁ KATOWICE

październik 2003

## SPROSTOWANIE

\* W miesięczniku nr 9 (wrzesień 2003), w artykule pt. „Jeden Bóg wie” dostrzegłem na str. 11, poniżej podtytułu „Nie chca miasta”, następujące nieścisłości:

Zięć Franciszka von Winkler nazywał się Hubert von Tiele-Winkler, a nie Fryderyk. Hubert von Tiele-Winkler nie dołączył sobie po żonie Walese nazwisko Winkler. Za obopólną zgodą małżonków Huberta i Walskiej oraz na ich prośbę król pruski wyraził zgodę na to dwuczłonowe nazwisko.

Grundmann miał na imię Fryderyk Wilhelm, a nie jak podano Wilhelm. Był on nie tylko znajomym Tiele-Winklera, ale jego plenipotentem. Przedtem już był przyjacielem Franza Winklera.

Z poważaniem JÓZEF BONCZOL  
Bytom

\* W wypowiedzi prof. Leona Markiewicza dotyczącej twórczości Henryka Mikołaja Góreckiego zamieszczonej w „Śląsku” nr 11/2003 zdanie rozpoczynające się od słów: „Świadczą o tym...” winno brzmieć w następujący sposób: „Świadczą o tym chociażby stylizowane Trzy utwory w dawny styl, Muzyka staropolska z chorałem nowosądeckim, wybuchowa Ad Mairera, II Symfonia „kopernikowska”, arcyposłki i rozmodlona III Symfonia Pieśni Żołnierzy, dzieła czczone sw. Stanisława i św. Wojciecha, pieśni chorałowe. Kwartet smyczkowy (Już się zmierzcha Wacława z Szamotul).



## W OBRONIE PRAWDY I OFIAR

Katowice, 7 listopada 2003 r.

Szanowny Pan  
**Adam Michnik**  
Redaktor Naczelny  
„Gazety Wyborczej”

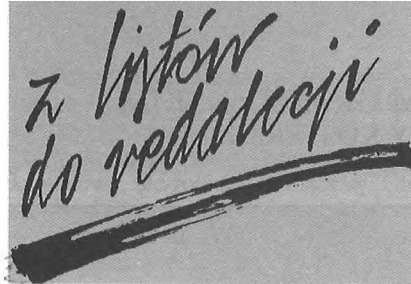
Szanowny Panie Redaktorze!

W „Gazecie Wyborczej” (dodatek katowicki z dnia 31 października 2003 r.) w przeddzień Wszystkich Świętych odkryliśmy ze zdumieniem i smutkiem nierzetelny i kłamliwy materiał zatytułowany *Wieża bez mitu?* W naszym odczuciu kwestionuje on, z nieznanymi przyczyn, polski charakter Katowic i podważa udokumentowaną, tak ze strony polskiej, jak i niemieckiej, obronę miasta we wrześniu 1939 roku. Opublikowane w tonie sensacji fragmenty raportu gen. Neulinga (w czym tłumaczeniu?) zestawiono z tekstem literackim jako dowód nieprawdziwości opisywanych w nim zdarzeń. Taka analiza kompromituje dziennikarzy Pańskiej gazety, bo o różnicy między światem fikcji literackiej a rzeczywistością uczą w szkole podstawowej.

Bulwersuje także pokazanie wyłącznie zdjęcia Niemców witających wojska hitlerowskie, bez uwiecznionego wizerunku polskich obrońców Katowic prowadzących ulicą 3 Maja na egzekucję przy ul. Zamkowej.

Teksty grzeszą dyletantstwem. Autorzy (B. Wieliński i A. Klich) albo nie znają, albo celowo pomijają całą bogatą literaturę przedmiotu zarówno w postaci książek, artykułów jak i audycji telewizyjnych np.: nie wiedzą też o istnieniu książki niemieckiego korespondenta wojennego Georga Bartoscha *OS wird frei*, w której jest rozdział *Der Marsch nach Kattowitz* opisujący, co się działo na katowickim Rynku, zapomnieli również o numerach „Kattowitzer Zeitung” i „Oberschlesische Volksstimme” z 1939 r. Wojska niemieckie wchodziły do Katowic nie tylko od strony Mikołowa, ale i od Bytomia, nie tylko Wehrmacht ale SS, SA a ponadto freikorps, fakty te także kwestionuje p. Wieliński, bo nie pisał o nich Neuling; nie pisał też o setkach trupów polskich powstańców, harcerzy i cywilów na podwórzu i w kostnicy szpitala na ul. Raciborskiej, w kaplicy cmentarnej przy ul. Francuskiej, o wozie, z którego zwłoki w mundurach harcerskich i powstańców widłami zrzucano do otwartego grobu na panewnickim cmentarzu, o egzekucji w panewnickich lasach. Ponieważ Neuling ich nie opisał, to prokuratorom po wojnie prowadzącym dochodzenie w tej sprawie protokół z ekshumacji się przyśnił, a rodziny, które identyfikowały bliskich, cierpały na omamy wzrokowe. Natomiast gen. Neuling był odpowiedzialny za cały teren operacyjny i za wszystkie zbrodnie popełniane w Katowicach.

Koronnym dowodem zlej woli autorów (lub braku wiedzy), jest twierdzenie, iż legendę (!) Wieży Spadochronowej rozdmuchała komunistyczna propaganda! Przecież ona właśnie z nią walczyła nie przebijając w środkach! Dzieje wydawnicze *Wieży spadochronowej* Kazimierza Golby, autora, którego nazwisko znalazło się na listach purgacyjnych w latach stalinowskich, długa i pełna kłód zrucanych pod nogi, droga do pomnika harcerskiego na katowickim Rynku, losy rodziny dowódcy Powstańczej Obrony Katowic - Nikodema Renca, rozstrzelanego wraz z synem na katowickim Rynku, i dziesiątki podobnych przypadków, to bardzo bolesne dowody tego, że było dokładnie odwrotnie, że taki obraz Śląska wiernego swej polskiej Ojczyźnie był bardzo nie na rękę komunistycznej propagandzie, że celowo niszczone i za-



cierano ślady. Tak też zniszczono archiwum Kazimierza Golby. Tylko, że kilka lat wcześniej napisał on swą książkę, a nie odwrotnie, jak twierdzi pan Bartosz T. Wieliński.

Można by w nieskończoność wykazywać niekompetencje autorów, ale może lepiej po prostu Panie Redaktorze - zaprowadzić ich do biblioteki.

Wieża spadochronowa w katowickim Parku Kościuszki, płyta pamiątkowa na katowickim Rynku, tablica na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza, miejsce straceń w panewnickich lasach i zbiorowa mogiła powstańców i harcerzy na panewnickim cmentarzu to konkretne (a jest ich więcej) miejsca w topografii stolicy Śląska dokumentujące to, co wydarzyło się tu we wrześniu 1939 roku.

Nie można więc udowodnić prezentowanej w przywoływanym tekście tezy, że tego nie było!

Panie Redaktorze! Bardzo prosimy, aby takie kłamliwe i nierzetelne teksty o Śląsku nie ukazywały się w „Gazecie Wyborczej”.

Z poważaniem

1. Prof. **Antoni Barciak** - historyk, Instytut Historii Uniwersytetu Śląskiego
2. **Małgorzata Beblo** - praprawnuczka ostatniego polskiego sołtysa Katowic
3. **Wojciech Beblo** - Związek Górnośląski
4. Prof. **Maciej Bieniasz** - Akademia Sztuk Pięknych
5. **Zygmunt Brachmański** - artysta rzeźbiarz, autor pomnika harcerzy na katowickim rynku
6. **Hanna Brok** - harcmistrzyni, Komisja Historyczna Komendy Chorągwi ZHP w Katowicach
7. Ks. kanonik **Paweł Buchta** - Związek Górnośląski
8. **Józef Buszman** - współtwórca Związku Górnośląskiego
9. Dr **Krzysztof Doktorowicz** - senator ziem śląskich
10. **Jerzy Dolinkiewicz** - wiceprezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Katowicach
11. **Jacek Filus** - dziennikarz Polskiego Radia Katowice
12. **Jerzy Forajter** - Przewodniczący Rady Miasta Katowice
13. Prof. **Julian Gembalski** - Akademia Muzyczna w Katowicach, były rektor
14. **Franciszek Gołąb** - wnuk zamordowanego 4 września 1939 powstańca śląskiego
15. Dr **Andrzej Grajewski** - historyk, publicysta, z-ca red. nac. Gościa Niedzielnego
16. Prof. zw. dr hab. **Krzysztof Heska-Kwaśniewicz** - Uniwersytet Śląski, harcmistrz, historyk literatury
17. Prof. **Janusz Janeczek** - rektor Uniwersytetu Śląskiego
18. **Tadeusz Kijonka** - literat, redaktor miesięcznika „Śląsk”, prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
19. **Zenon Klatka** - prawnik, Związek Górnośląski
20. **Józef Kocurek** - wiceprezydent Katowic
21. **Piotr Koj** - historyk, przewodniczący ZHR
22. Prof. dr hab. **Jerzy Konieczny** - KSW
23. **Jan Korzeniec** - były wicewojewoda śląski
24. Dr **Jadwiga Lipońska-Sajdak** - dyrektorka Muzeum Historii Katowic
25. Prof. zw. dr hab. **Jan Malicki** - Uniwersytet Śląski, Dyrektor Biblioteki Śląskiej

26. Ks. prof. **Jerzy Myszor** - historyk, Uniwersytet Śląski
27. **Feliks Netz** - publicysta, z-ca redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”
28. **Michał Lubina** - dyrektor Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej
29. **Andrzej Odorkiewicz** - prawnik, Stowarzyszenie Szarych Szeregów
30. Dr **Jan Olbrycht** - były marszałek województwa śląskiego
31. **Alodia Ostoch** - dziennikarka, Archidiecezjalne Radio Em
32. Ks. dr **Jerzy Pawlik** - popularyzator historii regionu
33. **Maksymilian Pazdan** - prawnik, prof., były rektor Uniwersytetu Śląskiego
34. **Włodzimierz Paźniewski** - pisarz
35. **Jerzy Pelc-Piastowski** - dziennikarz, historyk
36. Kpt. **Marian Piotrowicz** „Kometa” - prezes Śląskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK
37. **Wojciech Poczachowski** - dziennikarz, historyk
38. Prof. **Bernard Polok** - były prorektor Akademii Muzycznej
39. Ks. prałat **Stanisław Puchała** - proboszcz katowickiej katedry Chrystusa Króla
40. Dr **Emanuel Romańczyk** - harcerz, syn powstańca śląskiego, Związek Górnośląski
41. Dr **Andrzej Rożanowicz** - żołnierz Śląskiego Okręgu AK, harcerz śląskiej chorągwi Szarych Szeregów
42. **Czesław Rymer** - syn pierwszego polskiego Wojewody Śląskiego
43. Dr **Jan Rzymelka** - poseł, Związek Górnośląski
44. Dr hab. **Maciej Sablik** - Uniwersytet Śląski, publicysta
45. **Wojciech Sarnowicz** - filmowiec-dokumentalista
46. **Józef Skrzek** - muzyk
47. Prof. zw. dr hab. **Tadeusz Ślawek** - poeta, uczony, były rektor Uniwersytetu Śląskiego
48. **Marek Szoltysek** - historyk, laureat nagrody im. W. Korfa
49. **Krzysztof Szyga** - prezes Związku Górnośląskiego
50. Ks. prof. **Jerzy Szymik** - prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
51. Prof. **Wojciech Świątkiewicz** - prorektor Uniwersytetu Śląskiego
52. **Adam Turula** - historyk, dziennikarz, TVP3
53. **Piotr Uszok** - Prezydent Katowic
54. Dr nauk medycznych **Katarzyna Wencel** - prezes Bractwa Myśli Bratniej Związku Górnośląskiego
55. **Bogdan Widera** - publicysta, dziennikarz, SDP, Śląskie Towarzystwo Filmowe
56. **Paweł Wieczorek** - publicysta, członek Związku Górnośląskiego
57. Prof. **Krzysztof Wieczorek** - filozof Uniwersytetu Śląskiego
58. Dr **Antoni Winiarski** - Prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Katowicach
59. **Wilibald Winkler** - były wojewoda śląski
60. **Konstanty Wolny** - wnuk marszałka Sejmu Śląskiego
61. Dr **Eugeniusz Wróbel** - były wicewojewoda śląski
62. Prof. **Jerzy Wuttke** - prof. Akademia Sztuk Pięknych
63. **Wojciech Wypusz** - dziennikarz TVP3
64. **Stefan Zabierowski** - prof. dr hab. Uniwersytet Śląski, historyk literatury
65. Ks. prałat **Henryk Zganiacz** - archidiecezjalny duszpasterz kombatanów i środowisk twórczych
66. **Zdzisław Zwoźniak** - dziennikarz, historyk

Tej bulwersującej sprawie Redakcja „Śląska” poświęci godną publikację.

Z senatorem RP ADAMEM GRACZYŃSKIM  
rozmawia WIESŁAW KOSTERSKI



# Pranie mózgu

- Dlaczego do tej pory nie udało się żadna reforma górnictwa?

- Ponieważ mamy do czynienia z bardzo skomplikowanym przemysłem o wielkich tradycjach historycznych i dużym prestiżu zawodu. A poza tym - co to znaczy reforma górnictwa? W Europie Zachodniej reforma zmierzała do likwidacji kopalń i była rozłożona na wiele lat. W naszym kraju, szczególnie teraz kiedy się patrzy na zagadnienia energetyczne, reforma zmierza do stworzenia z górnictwa branży działającej w oparciu o kryteria rynkowe, branży rentownej. To są zupełnie różne cele i w związku z tym w krótkim czasie nie można tego procesu zakończyć z sukcesem, mimo, że bardzo wiele dobrego zrobiono.

- Lata 90-te zostały jednak prześpane, skądś przecież wzięło się 18 miliardów złotych długu.

- Każda reforma musi być akceptowana społecznie. Żaden polityk, jeśli nie jest samobójcą, nie będzie przeprowadzał nierealnych zmian. Jako jedyny w Europie podaje się przykład pani Thatcher, ale sytuacja w Anglii była wtedy zupełnie inna niż w tej chwili w Polsce.

- Anglików stać było na reformę górnictwa, a nas nie.

- No właśnie. I w związku z powyższym musimy pójść drogą wolniejszą niż Anglicy, ale zdecydowanie szybszą niż Niemcy. Ostatnio pojawiły się informacje, które zmuszają do zastanowienia się, jak będzie z dostawą energii i surowców energetycznych w najbliższym czasie. W portach

w Rotterdamie, Amsterdamie i Antwerpii cena tony węgla energetycznego sięga 60 dolarów. Jest to dwa razy więcej niż rok temu. Dlaczego? Dlatego, że podrożał fracht. Dodatkowo kraje azjatyckie chcą przejąć rynki surowców. Wreszcie, w tym roku Europa przeżyła katastrofalną suszę, spadł poziom wody w rzekach, co spowodowało, że w mniejszym stopniu wykorzystana została moc elektrowni wodnych. To pół biedy, rzecz w tym, że moc musiały ograniczyć nawet elektrownie jądrowe, którym zabrakło wody do chłodzenia. Nastąpiły zagrożenia w ciągłości dostaw energii.

- To oznacza lepsze czasy dla górnictwa, do którego Europa odwróciła się plecami?

- Jeśli rzeczywiście państwa azjatyckie zwiększą zapotrzebowanie na surowce, które w wyniku tego zdrożeją, jeśli powtórzyłyby się susze, brak wody i problemy w energetyką jądrową, to zupełnie inaczej zacznie wyglądać opłacalność wydobycia węgla przy cenie 60 dolarów za tonę w europejskich portach.

- Po diabła więc chcemy zamykać kopalnie, skoro jeszcze w kwietniu płacono za tonę 33 dolary? To skok nienotowany w historii, wymagający zmian strategii.

- Naszą odpowiedzią na problemy związane z frachtem, gorącym latem w Europie i potrzebami państw azjatyckich, powinna być zmiana programu restrukturyzacji górnictwa, czyli łączenie, a nie zamykanie kopalń.

- Dlaczego rząd uczciwie nie powie tego górnikom, tylko upiera się przy likwidowaniu kopalń?

- Rząd przyjął swoje stanowisko w oparciu o opinie ekspertów i nieaktualne już teraz (rozmowę prowadzimy pod koniec października br. - przyp. W. K.) informacje o sytuacji na rynkach międzynarodowych. W świetle nowych wydarzeń, przy wzroście cen węgla od września i podwyżce stawek gazu w USA, polityka wobec górnictwa będzie musiała być zmodyfikowana. W ciągu najbliższych miesięcy powinniśmy zachować pewien umiar i rozsądek i nie podejmować radykalnych decyzji.

- Nie zamykać kopalń jak kiosków z gazetami, co chciano zrobić...

- Nie chciano, bo odchodzącym górnikom oferowano pracę. Nie wszystkim się to podoba. Jak zamyka się zakład - na przykład - w Białymstoku, to nie proponuje się ludziom zatrudnienia. A tutaj jest jednak inaczej. To plus dla rządu, że tak chce sprawę załatwić.

- A może strach przed potężną grupą zawodową, która może rządzą przewracać?

- Może Pan to nazywać strachem. Ja natomiast uważam, że jest to wierność socjaldemokratycznemu ideałom.

- Nawet jeśli nie zamkniemy czterech kopalń, to i tak nie zmieni to obrotu górnictwa, które przypomina



stajnię Augiasza. Polskim górnictwem rządzi układ przesowsko-związkowy, któremu nie zależy na reformie. Wicepremier Jerzy Hausner mówi wprost o patologiach gospodarczych i związkowych. Mało tego, centrale związkowe robią górnikom potężne pranie mózgu, co przekłada się na wzrost napięcia społecznego na Śląsku.

- Ja oceniam to tak: w ciągu kilkunastu ostatnich lat bardzo wiele zmieniło się w górnictwie w dziedzinie zarządzania, mówi się wreszcie o kosztach, a nie tylko o wydobywaniu. Natomiast tak jak w każdej branży w okresie transformacji są napięcia i patologie. Celem reform jest też ukrócenie tych szkodliwych dla górników, górnictwa i Śląska patologii.

#### - Jak to zrobić?

- Koncepcja do tej pory była taka, że przez zrównoważenie popytu z podażą oraz odejście ludzi na emeryturę doprowadzimy do poprawy rentowności górnictwa. Teraz jednak powstaje nowa sytuacja związana z bardzo dużym wzrostem cen węgla energetycznego i koksującego. Zmiany organizacyjne, oddłużenie i dokapitalizowanie Kompanii Węglowej sprawiają, że Kompania nie będzie generować strat, zatem stanie się normalną firmą. To z kolei spowoduje, że kłopotów i patologii będzie znacznie mniej, bo nie będzie podstaw ku temu.

#### - A co z armią związkowców, która latami dołu nie ogląda.

- Reformy w branżach tradycyjnych są skomplikowane z racji siły związków. Wszyscy się o to potykali na świecie, nie jest to więc specjalność polska. Niektórzy domagają się zmiany ustawy o związkach. Ja nie chciałbym o tym mówić, ale o przyzwyczajeniach. Jest prawo, które pozwala, aby określona ilość ludzi zajmowała się działalnością związkową nie pracując na dole. Jeżeli jest prawo do jednej pensji, to nie może ktoś brać dwóch pensji.

- Górnicy zawieźli do Warszawy koktajle Mołotowa, doszło do bijatyk z policją, niszczenia mienia. Kto poniesie konsekwencje i kto za to zapłaci? Mówimy, że chcemy być państwem prawa, ale to prawo przestaje działać w momencie, kiedy kilkanaście tysięcy ludzi wychodzi na ulice. Wszyscy umyły ręce.

- Prawo powinno być przestrzegane. Ci, którzy je naruszyli powinni ponieść konsekwencje. Wszyscy. Dotyczy to ministra, komendanta głównego policji, działaczy związkowych, dyrektorów. Jeżeli z powodów politycznych omija się prawo, tym gorzej dla Polski.

- Jak likwiduje się kopalnie, to jednocześnie trzeba inwestować i tworzyć nowe miejsca pracy. Daleko nam do tego.

- Zmiany w ciężkich sektorach wywoływały w wielu krajach perturbacje na rynkach pracy. Te perturbacje są też

i w Polsce. Tylko, że my się różnimy od innych krajów. Przede wszystkim nie likwidujemy ciężkiego przemysłu, tylko go zmieniamy. Mamy skromne zasoby kapitałowe, ale robimy to mądrzej. Oto na Śląsku stało się coś wspaniałego w dziedzinie edukacji. Od górników do elit politycznych i hierarchii kościelnej wszyscy zrozumieli, że ratunkiem dla Śląska jest zdecydowana poprawa poziomu wykształcenia młodzieży. Mamy do czynienia z wielką eksplozją szkół i potrzeb edukacyjnych. Oceniam, że bijemy na głowę wszystkich w Europie jeśli chodzi o strategię przekształcania regionów. Nie ma tego w Zagłębiu Ruhry, w Walii również tego nie było. Tam były odprawy i to duże. U nas też są odprawy, skromne, które często idą na studia dzieci. Nasza metoda prowadzi do sukcesu.

- Górnicy przejeżdżali w dużej części odprawy. Boją się rynku, nie znają mechanizmów konkurencji, są przyzwyczajeni do odgórnego systemu zarządzania, poza kopalnią są jak ryba bez wody. Kazimierz Kutz nazywa to dupowatością.

- Obserwuję te sprawy z innej pozycji niż marszałek Senatu RP Kazimierz Kutz. Jest takie określenie, którego on nie użył, że kopalnia jest centrum wszechświata. Wszystko kręciło się wokół kopalni - i praca, i dom, i kościół. Teraz mamy znakomicie wykształcone pokolenie, które wchodzi w dorosłe życie. To pokolenie, używając kolokwializmu, nie jest dupowate, to są bardzo przedsiębiorczy, świetni ludzie.

#### - W Pańskiej ocenie - kiedy górnictwo będzie rentowne?

- Jeśli utrzyma się koniunktura dla węgla na rynkach międzynarodowych, wejdzie w życie ustawa o restrukturyzacji górnictwa, zmniejszy się łagodnie liczba zatrudnionych w górnictwie, to może się to zdarzyć szybko, już w 2005 roku. Stworzy to taką jakość jaką ma Jastrzębska Spółka Węglowa, kopalnia „Bogdanka”, „Budryk” i KHS.

#### - Zakłada Pan wariant optymistyczny. A jak zawiodą czynniki zewnętrzne to...?

- To trzeba będzie powrócić do pierwotnej koncepcji, czyli być może ograniczenia wydobywania i dostosowania go do spadającego popytu na rynku.

#### - Zatem powrót do zamykania kopalni.

- Ale nie ma innej drogi. Będziemy jednak w innym miejscu - będziemy członkiem Unii Europejskiej, będą większe środki, będzie inna perspektywa.

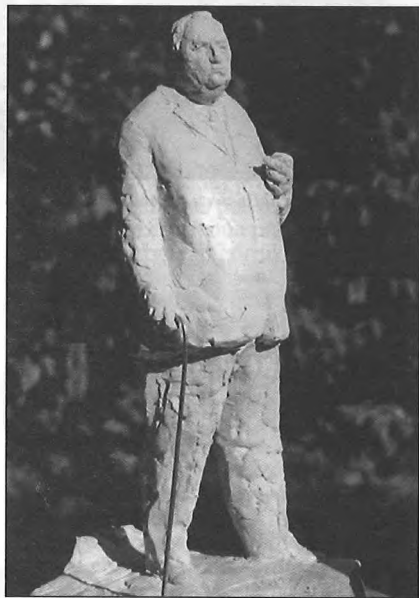
- Sądzi Pan, że górnik zjeżdżając na dół dokonuje takich kalkulacji. Jego interesuje miejsce pracy, myśli o tym, jak zarobić, utrzymać rodzinę, wykształcić dzieci, mieć odrobinę świętego spokoju, a nie żyć pod ciągłą presją, że jutro zamkną mu kopalnię.

- Górnicy są mądrzy i rozsądni, dlatego kształcą dzieci, bo nie wiążą już ich przyszłości z kopalnią.

- Dziękuję za rozmowę.

# Jerzy Ziętek wkracza na cokół

Nabiera rozmachu działalność Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Generała Ziętka w Katowicach. Dość długo trwało przekształcanie wysiłków Komitetu Inicjatywnego, który uformował się wokół osoby dr inż. Bernarda Pietrzoka w oficjalny Komitet Budowy, na czele z wybitnym architektem kato-



wickim, Henrykiem B. Buszko. Znaleźli się w nim przedstawiciele wielu środowisk, ludzi z autorytetem, dla których uhonorowanie zasług Jerzego Ziętka godnym monumentem stało się ambicją zbiorową - a także pozyskanie środków w oparciu o ofiarność społeczną.

Komitet ten, który po ukonstytuowaniu, spotkał się ponownie 27 października, obradował pod przewodnictwem senatora Kazimierza Kutza. O tym, jak bardzo prace nabrały przyspieszenia świadczyła obecność na spotkaniu Gustawa Zemły, twórcy monumentu Trzech Powstańców Skrzydeł. Wybitny rzeźbiarz przedstawił pierwszy zarys wizji pomnika: mocnej, zwalistej postaci „chopa z kryką”. Jerzy Ziętek odlany w brązie stanie nieopodal Pomnika Powstańców Śląskich, którego był inicjatorem i zapobiegliwym kreatorem, jakby kroczył w tę stronę z Alei Korfantego.

Odlew wykonają Zakłady w Gliwicach, gdzie odlano i zmontowano Trzy Powstańcze Skrzydła.



Foto: Katarzyna Chmielewska

Na katowickim Nikiszowcu nie widać radości z okazji górniczego święta.

KATARZYNA  
CHMIELEWSKA

# Święta Barbara uśmiecha się smutno

Wedle legendy była córką bogatego poganina Dioskura. Żyła gdzieś na przełomie III i IV wieku. Kiedy wyrodny ojciec, którego chciała nawrócić na chrześcijaństwo, ściął jej głowę, zginął rażony gromem z jasnego nieba. Barbara, odtąd już święta Barbara, została patronką artylerzystów, pracowników prochowni i arsenałów, a przede wszystkim górników.

Każdego 4 grudnia górnicy w odświętnych strojach, ze sztandarami i orkiestrą, szli do kościoła. Potem w karczmie następowało przyjmowanie w poczet „zawodowców” młodych adeptów górnictwa: były skoki przez skórę, pasowanie szablą, a później biesiada. Były uroczyste akademie, medale i kwiaty, były dodatki i deputaty. Były. Dziś nie ma już nawet urzędowo ustanowionego w 1920 roku deputatu: ćwiartka wódki, 20 dkg kiełbasy i dwie bułki. Została tylko „trzynastka” obliczana

z pensji październikowej, wypłacana tuż przed świętem. Zmieniła się też tzw. Karta Górnika wprowadzona Uchwałą Rady Ministrów z 30 listopada 1949 r.

- Kiedyś na Barbórkę się czekało - mówi **Bogdan Działach**, górnik z 22-letnim stażem na kopalni, - a dziś to właściwie taki sam dzień jak inne. Chyba tylko Karczmą Piwną to ostatni świąteczny akcent...

... Kiedyś to były święta!

**Przez** pokolenia, istnienie kopalni kształtowało przeświadczenie, że praca na kopalni to gwarancja stabilizacji życiowej, a górnik to zawód mogący zapewnić spokojną przyszłość. Dla Ślązaka z dziada pradziada wybór zawodu nie był dylematem. Na kopalniach pracowali dziadkowie, ojcowie, synowie. Syreny oznajmiające początek i koniec szychty porządkowały rozkład dnia. Przywiązanie

do zawodu, jego rytuałów, kontynuowanie go było czymś szczególnym dla kultury tego regionu. To ów, czasem dziś lekceważony i podważany, etos pracy - ciężkiej, wyczerpującej, nieustannie związanej z zagrożeniem życia i zdrowia i właśnie dlatego najbardziej godnej szacunku.

Sztucznie podtrzymywany w latach socjalistycznego dobrobytu mit górnika - który choć wprawdzie ciężko pracuje, to jednak może w zamian liczyć na szczególne względy - doprowadził do tego, że gdzieś pogubiły się ideały, a prestiż zawodowy gwałtownie spadł. Jak wynika z sondaży przeprowadzonych wśród mieszkańców Śląska, mniejsze poważanie niż górnik ma tylko robotnik budowlany i sprzedawczyń w sklepie.

Stary Giszowiec, Nikisz, enklawy familoków. Tu życie jeszcze płynie wolno. Mimo sąsiedztwa kopalni Wieczorek i bloków. Tu i ówdzie resztki przy-



domowych komórek, pamiętających gołębie, króliki, kozy i świnię...

- Proszę pani - rozmarzonym głosem zaczyna wspominać **pani Gerda** - jak się dawniej zabijano na Barbórkę świnia, to cała chałpa miała co jeść... A jakie się robiło wtedy zabawy! Ile było śmiechu! A dziś, to wszystko takie smutne jakieś... I co się dziwi, jak nie wiadomo czy jutro będzie praca.

Pani Gerda całe swe prawie 80-letnie życie nie pracowała zawodowo. Wychowywała dzieci, prowadziła dom. Mąż pracował na kopalni, czterech synów i córka też. - Wszyscy robili na kopalni, bo tam była robota dla wszystkich. - Dziś męża i dwóch synów nie ma, została tylko córka, dwóch najmłodszych synów i... wnuki. Pociecha, ale na kopalni już nie będą pracować. Mieszkają w Katowicach. Tam się uczą i pracują.

- Tradycje górnicze? - pani Gerda uśmiecha się melancholijnie i delikatnie poprawia „krochmaloną na cukrze” szydełkową serwetkę. - Kto tam myślał o tradycjach... Zwyczajnie: górnik, to był ktoś! Sztajger, to była figura! Praca na kopalni była gwarancją w miarę spokojnego życia. Nikt się nie zajmował polityką, ważna była rodzina, praca, wypoczynek, niedzielna msza i sąsiedzi.

Dziś na Nikiszowiec przyjeżdżają wycieczki, by zobaczyć stare górnicze osiedla, kopalnianą orkiestrę czy dziadków grających przed domem w skata, bo to bodaj ostatnie miejsce na Śląsku gdzie zapytany - powiedzmy o drogę - autochton zanim odpowie, zastanowi się, jak to będzie po polsku...

Listopadowe wczesne popołudnie. Hałemba. Osiedle, tzw. dwójka. Współczesna wersja familoków. Prostokątne czteropiętrowe bloki, jak pudełka zapalek, poustawiane jeden za drugim, w środku pawilon spożywczy, agd, apteka, fryzjer, fotograf. Resztki jakiegoś pomnika, rachityczne drzewka i... starannie wygrabione trawniki, może ostatni ślad śląskiego zamilowania do porządku. Tyle tylko, że ograbiona z klinkierowej cegły, białych okien i czerwonych parapetów, pelargonii i „starek” w oknach, opartych o poduszki - tych, co to wszystko wiedzą i na wszystko mają oko. Takie same drzwi, takie same klatki, a na fasadach przedziwne zygzaczkę, pozostałość socrealistycznej twórczości. Anonimowa sypialnia ludzi z całej Polski. Tych, których tu przesadzono z rodzinnych domków w sąsiedniej dzielnicy; tych, którzy tu przyjechali do eldorado i tych, którzy już tu się urodzili. Gdzieś w oddali słychać kopalnianą syrenę, ale szybko nie widać. Tu życie nie toczy się w rytmie szczyty.

## Ech, życie...

Ponad 20 lat temu do nowych wówczas bloków wprowadziła się rodzina **pani Gizeli Działach**.

- Wcześniej mieszkaliśmy na Wirku, w takich domkach, przy kopalni - wspomina. - Mąż był górnikiem, jego bracia, teść też, był kierownikiem działu - same górniki. Kiedy przychodziła Barbórka, to rano się szło do kościoła, a potem wszyscy schodzili się do teścia, cała rodzina i tam uroczyste świętowali. Rozmawiali, śpiewali, teść grał na akordeonie... Było wesoło... Teraz już tego nie ma i nie tylko dlatego, że mieszkamy dalej, a teść i mąż nie żyją. Po prostu lu-

dzie są już inni. Jeszcze tylko w Barbórkowy poranek przychodzi tu na plac orkiestra z kopalni i gra.

Teraz na Barbórkę pani Gizela odwiedza synów sama. Ma ich trzech i wszyscy pracują na kopalniach, na kopalni pracuje też jej zięć. - To dla mnie zaszczyt, że mam synów górników - mówi z dumą - górnik to zawód honorowy. Może jak chodzili do szkoły to sobie tak myślałam, żeby choć jeden został na przykład muzykantem, ale to chyba tak miało być, oni chcieli podtrzymać tradycję, sami wybrali...

- Kiedy chodziłem do podstawówki to między kolegami tak się mówiło, że najlepszy zawód to górnik - mówi średni syn pani Gizeli, Bogdan. - Nikt się specjalnie nie zastanawiał nad tym, że to praca ciężka i niebezpieczna... Niby się o tym mówiło, ale tak naprawdę to się człowiek przekonał dopiero jak zaczął pracować. Szło się do szkoły zawodowej, bo były stypendia, a po szkole gwarancja pracy. Poza tym, zawód górnika był poważany, górnik się szczylił tym, że pracuje na kopalni. Finansowo stało się dobrze, kopalnia dopłacała do czasów, były premie, trzynastka, czternastka. Pamiętam, że zwłaszcza na Barbórkę było dużo imprez - rano grała orkiestra, potem były uroczystości, akademia, karczmy piwne - jakiś kabaret, golonko, pięciolitrowe kufle piwa... Czeakało się na ten dzień, teraz się nie czeka. Kiedyś żyło się spokojniej, bo nie trzeba było martwić o pracę i pieniądze. Nie to, co teraz. Nikt z nas nie wie, czy któregoś dnia nie dowiemy się, że naszą kopalnię przeznaczono do likwidacji.

Jeszcze dwa lata temu panią Gizelę zaproszono - wraz z jednym z trzech synów górników - na uroczystości Barbórkowe w kopalni „Pokój”. - Kilka razy byłam na takich akademiach, to bardzo miłe było. Było tak uroczyste, dostałyśmy kwiaty, bombonierkę, jakieś pieniążki, co się zawsze przyda, teraz tego już nie ma.

Kopalnia nie ma pieniędzy - wtrąca Bogdan. - Teraz nawet związki nic nie robią. Dawniej, jeszcze dwa, trzy lata temu w socjalnym były ogłoszenia, żeby się zgłosić, jak ktoś ma matkę, która ma co najmniej trzech synów górników.



Gizela Działach z Wirka: „Kiedyś na Barbórkę to było wesoło. Dzisiaj już tego nie ma...”.

Dawali dodatek - z każdym rokiem mniej, ale dawali... a teraz... Każdy pałtry żeby kopalnia była rentowna.

## Wielka niewiadoma

Jaka będzie tegoroczna Barbórka? - Czy ja wiem? - zastanawia się Tomasz, najmłodszy z braci Działachów. - Zwyczajna. To już nie to, co kiedyś. Ale generalnie to czarno widzę przyszłość górnictwa... Kto wie co będzie za 10 lat, może w ogóle nie będzie kopalń?

**Z badań socjologicznych przeprowadzonych w śląskich kopalniach wynika, że górnicy pochodzący z tradycyjnych śląskich rodzin stanowią zbiorowość najsilniej zakorzenioną w kulturze górnośląskiej i najsilniej związaną z własnym środowiskiem rodzinnym i zawodowym. Stąd być może słabiej odczuwają zagrożenie i mają relatywnie mniejsze poczucie bezsilności i niepewności. Jednocześnie są najgorzej przygotowani do zmian z punktu widzenia wykształcenia i tradycyjnego stosunku do pracy zawodowej.**

- Przekwalifikować się? - myśli głośno Bogdan. - To się tak łatwo mówi. Teraz to każdy chce dorobić do końca, żeby te lata ciężkiej pracy nie poszły na marne. Proszę mi pokazać pracodawcę, który tak bez wahania przyjmie do pracy 45 letniego byłego górnika! A odpawy? Miałem wielu kolegów, którzy wzięli odpawy. Wielu z nich musiało, mieli dług. Wzięli odpawy, pospalali dług, a to co zostało starczyło im na miesiąc...

Dla kultury śląskiej charakterystyczną cechą jest szacunek dla pracy. Nie jest bezasadne mówienie o tradycji - przykład rodzinny: dziadków, krewnych, rodziców wreszcie rodzeństwa bardzo mocno wpływał na decyzję o wyborze zawodu górnika. I choć tak naprawdę określenie tradycja - jako motyw wyboru zawodu górnika pojawia się rzadko to jednak górnicy z takich właśnie rodzin w zdecydowanej większości opowiadają się za podtrzymywaniem zwyczajów związanych z zawodem.

- Ojciec był dla nas wzorem - wspomina Bogdan - ale idąc do szkoły górniczej, myślało się przed wszystkim o przyszłości, a ta wtedy wydawała się wspaniała. Teraz to wszystko się zmieniło. Kiedyś na akademie chodziło się w mundurach, których szycie dofinansowywała kopalnia, a dziś nie ma pieniędzy, nie ma mundurów.

Pani Gizela uśmiecha się melancholijnie: - Tak, tak - wzdycha, - kiedyś ludzie byli inni, tacy weseli, zyczliwi. Żyli razem, bawili się razem. Może dlatego, że wszyscy pracowali na kopalni i to ich łączyło. Ludzie ciężko pracowali, ale żyli bez lęku o to co przyniesie kolejny dzień. Tylko trzeba było modlić, żeby jakiegoś wypadku nie było.

Najstarszy z dziewcząt wnuć pani Gizeli ma 16 lat, jest uczniem jednego z katowickich techników. Interesuje się komputerami. Nic nie wskazuje na to, że będzie górnikiem. Najmłodszy jest tak mały, że jak mówi jego tata: Zanim dorośnie, to nie będzie kopalń.

- Ja nie mam problemu - śmieje się Bogdan. - Mam córki.

Górnik o trapiących go lękach nie mówi. Dopiero na emeryturze tłumione kiedyś lęki dobijają się do świadomości.

# Górniczne sny

ALOJZY  
LYSKO

**I**ch praca nie jest sielanką. Ma niepoliczone uciążliwości i zagrożenia. Codzienne przebijanie się w twarde, przesycony solą uniform roboczy, ogromnie długi łańcuch czynności poprzedzających podjęcie właściwej pracy, a potem kilkugodzinna praca. A po pracy - łańcuch odwrotny tych samych uciążliwych czynności, co na początku szychty.

Taki charakter pracy bezsprzecznie ujemnie odbija się na zdrowiu fizycznym i psychicznym górników. Niedomagania zdrowia fizycznego bardzo często kończą się przedwczesną niezdolnością do pracy, równie często trwałym kalectwem a nawet przedwczesną śmiercią. Informują o tym liczne nekrologi umieszczane na kopalnianych tablicach ogłoszeń: najczęściej na nich czterdziestolatków i pięćdziesięciolatków.

Nieodwracalne zmiany w zdrowiu psychicznym górników są mniej widoczne i bardzo trudne do wykrycia. Górnicy często nie uświadamiają sobie, że „coś się w nich stało”. Ich psychika, poddawana przez lata swoistemu „ciśnieniu stresowemu”, nagle zaczyna niedomagać, puszczają nerwy, potęgują się lęki.

Górnik czynny zawodowo o trapiących lękach nie mówi. Nigdy ich nie uzewnętrznia, tylko wrzuca głęboko w podświadomość. Zewnętrznym ich wyrazem są: zobojętnienie, apatia, czasem obcesowość i agresywność, które mają przytłumić zwyczajny ludzki strach przeżywany na dole.

Natomiast u górników na emeryturze, którzy wszystko mają już za sobą - psychika odpręża się. Nagromadzone w podświadomości lęki, teraz już niczym nie tłumione, dobijają się do świadomości, w najmniej oczekiwanych momentach wylażą z nich, przewijając się w barwnych, często mocno uduchotworzonych opowieściach, a najczęściej w snach.

Wydaje się, że sny starych górników są najpełniejszym odbiciem dawnych stanów lękowych, przeżywanych na dole. Dobrą tego ilustracją są poniższe relacje.

## Dużo my pod ziemią wystoli

**Ni**y dziwiejcie się górnikom, że som tacy abo tacy. Oni muszom tacy być. Jakbyście wy tela podżyli, co my tam, na dole, niy bylibyście nic inni. Nic a nic!

Bo co to za życi my mieli! Wyście się już kieć nad tym zastanowiali? Żodne to życi! Jedno wielki umęczeni! Każdy dziyń idź na ta gruba, dziyń w dziyń, jak niywolnik. Idź i oblykej się do tych ścioranych łachów, bier te roztołiczne klamory ze sobom. A niczego niy zapomnij! Lampa, drugo lampa - benzynka, bier maska: jedna na gazy, drugo na pyły, marka, śniodani, flacha z kawom, klucze, czasom jeszcze coś. Bier to wszystko

na pukel i idź z tym na szyb. Czekej na ta kłota, opuszczaj się siedymset, tysiąc metrów pod ziemią. Jedni se myślom, że jakżeś już zjechał, toś już w robocie. Psinco! Dopiero tam, w tym podziwnym świecie jakby wszystko napocząnało się od nowa: wlaź do pociągu, jedź tym cugiyem niyroz i dziesiyń kilometrów ku przodkom, potym jeszcze deptej piechty, aż się dostaniesz do oddziału. Dopiero tam możesz pedzieć, żeś jest w robocie.

A ta robota jako jest? W marasie, we wodzie, w smrodach. Niyroz na kolanach, niyroz w strasliwym larmie, w pyłe, pod zdradliwym prądem, w strachu, że tąpnie, że wybuchnie metan, że przyjdzie łogiyń. Sie dziwujom jedni, że górnicy som burkliwi, że sie o bele co nerwujom i jak czasom - pieronujom. Wtoby niy pieronowol, jakby tela musiol dziynnie wystoć.

Ryjom te górniki pod ziymiom jak krety. Ryjom, żeby tego wyngło ludziom nakopać. I muszom se ta robota jeszcze chwolić. Bo ino by gymbom skrzywili, że sie jim coś niy zdo - zaroz straszom wyciepaniyem za brama. Basoki sie dzisioj niy smolom z ludziami. Górnik jest dobry, jak jest młody, zdrowy, robi jak gupi i siedzi cicho.

Ryjom te grubiorze, ryjom cało szychta... A po szychcie - do dom, do kłitki w bloku, do familoka, do swojij chałpki, co sie krwawicom uklejiło. Trocha pomiyszkajom w doma, pobawiom się z dzieckami, coś porobiom i... spać.

A jako to śpiom? Prześpijcie ino jedna noc z górnikiym przodkowiyem, to doznacie całej prowdy o jego robocie. Przewraco się z boku na bok, bo urobione kościśka bolom, łomiom, strzykajom. Mamroto coś, wykrzykuje, wygrożo... I wyncyj jest u takigo górnika czuwano bez noc, niż dobrego spanio.

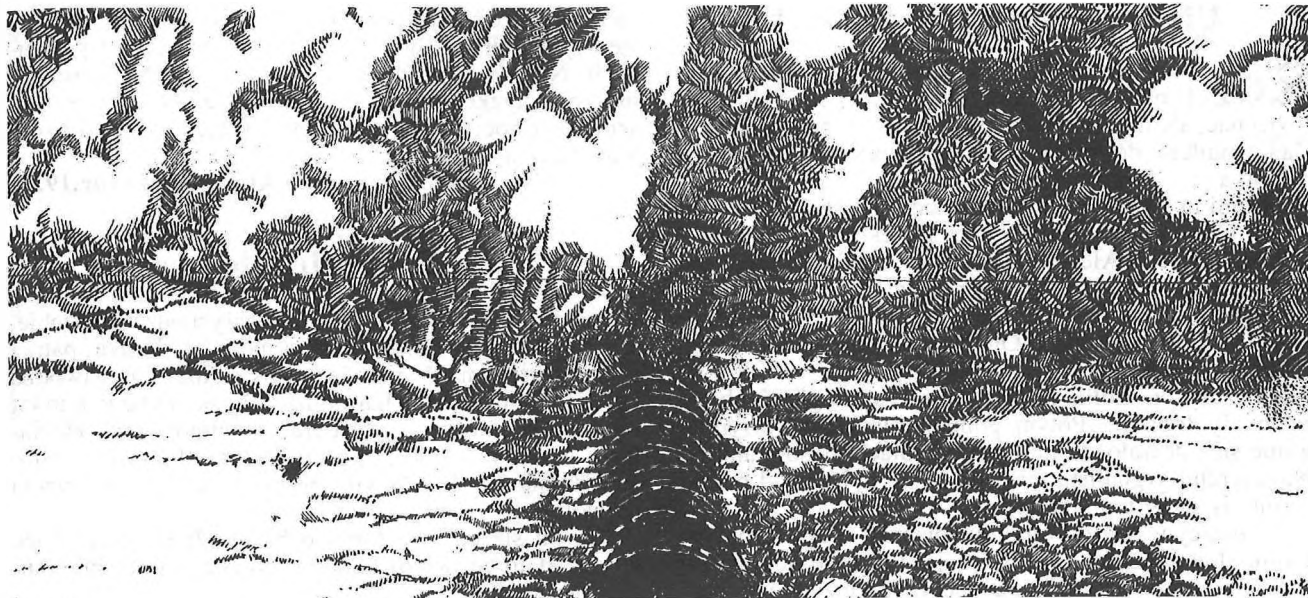
Dopiero jak jim Pon Bóg pozwoli szczyśliwie doczekać pynzyje - to majom trocha frajniejszego życio. Ale to sie jim tak ino wydaje, że to życi na emeryturze jest frajniejsze. Każdy stary górnik wiy, że te pora tysięcy grubowych szycht jeszcze roz przychodzi do nich po śpiączku. Jeszcze roz muszom przeżyć to, co tam, pod tom ziymiom wystoli.

Augustyn Koźlik (1925-1996)

## Boleści, kiere męczą na śpiączku

**J**o jest rodzony w 1934 roku. Po wojnie chciołech sie uczyć wyżyj, ale żodnych takich szkół w pobliżu niy było, toż zech skończył na szkole zawodowej. Po tej szkole przyjyni mnie na kopalnia, kaj zech dostał robota za ślusorza. Robiłech w jednym i tym samym oddziale bez mała trzydzieści lot. Bez tyn czos miotech nad sobom kilkunostu kierowników. A każdy





Rys. Wojtek Łuka

to był inny człek i koždy miał swoji fify. Nojgorsi byli ci nadgorliwcy, kierzy chcieli sie przychlybić tym wyższym, toż jeździli po naszych grzbietach. Żle jich wspominom. Niy dowali nom spokojnie robić i normalnie żyć. Wyzywali od nojgorszych, straszili, że woznom premio, rodzinne, Karta Górnik, „trzynostka”... Niyroz było to niy do wytrzymanio. Niyroz przychodzili myśli, żeby tom robotom ciepnąć i zność se kaś inno.

- Przetrzymej to... Po złym dobre... - coś mi w środku godało.

No i przetrzymołem do 1982 roku, w kierym przyszła emerytura. Ciyżko torba ruchowca przekożoł żech innymu. Chciołem tyż zostawić na dole wszystkie moi utropiynia, ale cóż... Niy było to taki proste, jakech se myśloł. Niekiere moi przeżycia były tak ciyżki, że mnie dręczom do dzisioj. Jedno taki musza opedzieć.

Na trzeci oddział przyszeł odrobić wojsko młody synek z Jonkowic. Nazywoł sie Wrona. Do zadku ściany miał nosić drewno do obudowy. Z tym drzewskiyemu musioł iść bez cało ściana, kaj był przekłodany przenośnik. A łańcuch tego przenośnika niy szeł. Ale jednym razym tyń łańcuch - niy wiedzieć czymu - ruszył i to jeszcze nazod, ku zwrotnicy. Jedno zgrzeblo łoroz wlażło synkowi na but i zaczęło go ciągnąć pod tą zwrotnicą. Na szczynści, na tą chwilą jo nadszeł. Blysknął żech oczami i spozorowoł, że tego synka może za chwilą niy być na świecie. Skoczylech ku niemu, chycilech go rękami jak klyszczami. Zaparł żech sie dobrze między obudową i w ostatnij sekundzie wyrwołem mu noga spod tego zgrzebla. Gumowy but i dwa urwane palce tam zostały, ale życi młodego synka zostało w moich rękach! Cud boski - inaczej tego nie szło nazwać.

Uratowolech młode życi. Na grubie zrobiło się o tym głośno. Wyróżniali mie, dowali nagrody... Jo ta bardzo o to niy stoł, bo tak zrobiłby koždy na mojim miejscu. Wyncyj radości dała mi matka tego synka. Przyjechała roz do mie, aby mi podziękować. Dziękowała i płakała przy tym, że i mie płaczki cisły sie do oczów.

Jak człowiek, coś takigo przeżyje, to niy dziwota, żeby mu sie to potym nie śniło. Śni sie i męczy człowieka... To tak już cheba musi być. Bo, czy w naszych ojcach siedziało co innego? Dejmy na to, w mojim ojcu, co tela lot przerobił na „Michale”, abo w teściu, kiery sie niy roz i niy dwa topił w morzu, jak służył w krigsmarine. Koždy człowiek nosi swoji boleści, kiere go męczom całe życi...

Józef Blacha (ur.1934)

## Czasym przyśni mi sie kopalnia

Bylech sztajgrym maszynowym w starej kopalni „Piaś” w Łędzinach. Trzydzieści lot życia żech tam zostawił, od 1948 do 1978 roku. Życiorys mom burzliwy. Jak mie nachodzą jakiś złe sny, to som to raczyj obrozki wojynne. Ale czasym przyśni mi sie tyż i kopalnia. Jak w kinie przesuwają sie postaci, kiere żech znoł, przygody, jaki żech tam przeżył, czasym i tragedie.

Musza pedzieć, że tamtyń świat pomału mi sie już traci z pamięci. Wyjmują jeszcze z niego w pośpiechu różne zdarzynia, boch już stary i próbują se jich som sobie opedzieć. Taki jedno.

Hajer ścianowy, kiery już na dole niy jedno przeszeł. Dobrze my sie znali. Bieruniok to był, sąsiod. Coś tam na jego ścianie robili moi ludzie z maszynowego. Jako sztajger miołem objechać tyń przodek. Objechać, czyli skontrolować... Wchodza na ściana, rozglądom sie. A Śmiłowski - bo tak sie nazywoł - robi coś przy kasztach, a nad nim niy obudowany okap. Kamiynisko mało-wiele dziesiyń ton!

- Józek, a ta sikora, co tam wisi - widzisz?... - pytom sie go.

Śmiłowski chyto kilof i okłupuje sikora.

- Słyszycie, sztajger? Twarde! Zdrowe! Niy bójcie sie, niy spadnie...

Pogodalimy trocha, podolech mu ręki:

- Szczyść Boże.

- Szczyść Boże.

I wyszedłem z przodku ku innej robocie. Nie doszedł żech jeszcze do przesypu, a tu wtoś za mnom wreszczy choćby go wto ze skóry darł:

- Sztajger! Sztajger, Śmiłowskiego przywaliło...

Gibym nazod na ściana. Przyglądom sie miejscu, kaj sie to stało, a Józek Śmiłowski leży przywalony kamiynom sikorom i ... już nieboszczyk.

- Niy poradziłem se wyboczyć, żech niy wywstoł na niego ostrzyj, jakzech ta sikora ujrzoł. Wzion by se to mocnij do serca i jom abo podbudowół abo zwałił. I może by żył. Niy wiym, niy umia pedzieć... Koždy mo swe przeznaczyni.

Na dole dobroć niy zawsze przystoi. Teroz już mnij, ale downij zdało sie, że przyjda o głowa, coch sie tym tak przejmowoł. Spać żech niy poradził, robić do porządku niy umioł. Zdało sie, że zwątpia. A ino męczyły mnie myśli, że skuli mojej głupoty ze świata stracił sie dobry człowiek.

Kazimierz Piech (1922-2003)

## Ujrzołech śmiertka w oczach

**Roz** przyszło mi robić na grubie w niedziela. Pod koniec szychty przyszedł żech pod szyb, żeby wyjechać, ale nyy było na podszybiu żodnego sygnalisty. Zadzwońiłem do maszynioka na wiyrch i prosza go o klotka.

Doł mi ta klotka. Som żech se odbił sygnał, wloz gibko do klotki, zawar prędko gitra i czekom aż klotka ruszy na wiyrch. Ale co to? Klotka zamiast jechać na wiyrch, ona leci w dół, jak do przepaści...

Ujrzołech śmiertka w oczach. Pomyślołech se tak:

- Mój ojciec zginął na Ohajmie na dole. Katać i mie przyjdzie tak pominąć?

Na szczyści, klotka nogle śtopła. Tak nogle, żech sie mało nyy łobalił... Potym pomału ruszyła ku wiyrchu a mie sie zdowało, że mie na skrzydłach niesom anioły. Na wiyrchu sygnalista mi pedzioł, że był wypad prądu, że on nyy mógł tymu zaradzić.

To zdarzyni męczyło mie w śpiączku długo. Dopiyro łod niydowna mom z nim spokój. Myśla, że pomógł mi w tym nieboszczyk ojciec. Bo jak rzykom za niego, prosza tyż dlo siebie o lepsze życi niż on miol.

**Józef Cichy (ur. 1934)**

## Strach lotoł po krzyżu

**R**obiłech w kopalni przy zbrojyniu i rabunku ścian. Ciyżko robota. Ale my, chopysie tak podobiyrali, że było nom w tyj robocie dobrze. Stanik Wróbel był brygadystom, a do brygady zawdy na noc chodzili z nim Hajnel i Frydek Nygi z Bieronia, Marian Pięta i Alojz Ślosarczyk z Imielnio, Józef Polko i Franek Grzesica z Bojszów, Hajnel Harupa z Kosztów, Franek Golus z Jedliny i jo.

Jo se nyy ściozoł. Żodno robota mi nyy była dziwno, ale przy jednej zawdy coś mi ze strachu lotało po krzyżu.

Jak sie w sześciu chopa brało na ruła stalowo stropnica, to trzech musiało trzymać jom jakoś chwila pod gołym stropym. Pod nyy zabezpieczonym stropym! Że sie bez tela lot przy tym żodnyemu nic nyy stało - to było od Boga.

Mie sie czasami śni, że jo trzymia ta stropnica pod tym odkrytym stropym, a tyn strop sie łomie i wali na mie... Jo wołam pomocy, ale trzymia to, żeby sie innym nic nyy stało. Wiele jo już razy budziłech sie skuli tego! Miołech już taki myśli, żeby iść do dochtora po jaki kropki abo

zieli na dobre spani. Teroz mie to już trocha opuściło, bo sie wiyncej przyglądom młodym, jak sie tropiom po grubach. Nyy chciołbych być w jich skórce. Nyy dość, że muszom ciyżko robić pod ziymiom, to sie jeszcze muszom fest boć, by tyj roboty nyy stracić. Co my tu som wort na tym Śląsku.

**Wiktor Piekorz (ur.1921)**

## Kożdo noc dra sie, rycza

**R**ano, jak wstana, to godzina przychodza do siebie. Siadam przy oknie i patrza na świat. Patrza, patrza i sie rozkręcom. W piersiach coś siedzi, coś zawodzi i gro. Jak w dziurawej harmonice. Dwadzieścia osiem lot robiłech w smrodach za hajera. W nojgorszych oddziałach. A robota na dole zaczon żech w 1945 roku. Miołech szesnośćie lot. Wtynczos robiły jeszcze niymiecki niywolniki.

Czy mi sie co śni? Moja baba mogłaby coś pedzieć o tym. Mało co, w kożdo noc rycza, dra sie, że mie muszom turać.

A porząd ino mi sie śni jedno i to samo: zacznym dopiyro robota na grubie, przebleczony chodza i chodza wedle szybu i boja sie wlyżć do kloty. Mom szesnośćie lot i boja sie zjechać na dół. Słysza głos matki: - Jak tam nyy musisz, to nyy idź! Wiele to już ludzi zeżyło świat bez roboty na grubie.

Bo mama - Boże, dej jim ta niebo - we śnie dużo przychodzili do mnie. A jak przychodzili, to jo już wiedzioł, że w robocie bydzie źle i musza se dować pozor. Byście pedzieli! Mama już od lot nyy żyli, a jeszcze mie ostrzegali przed nyszczyściym. Może skuli tego żech dorobił do końca. Bo tam na dole, toh dziesiątki razy patrzol śmiertce w oczy.

**Józef Lysko (1929-1997)**

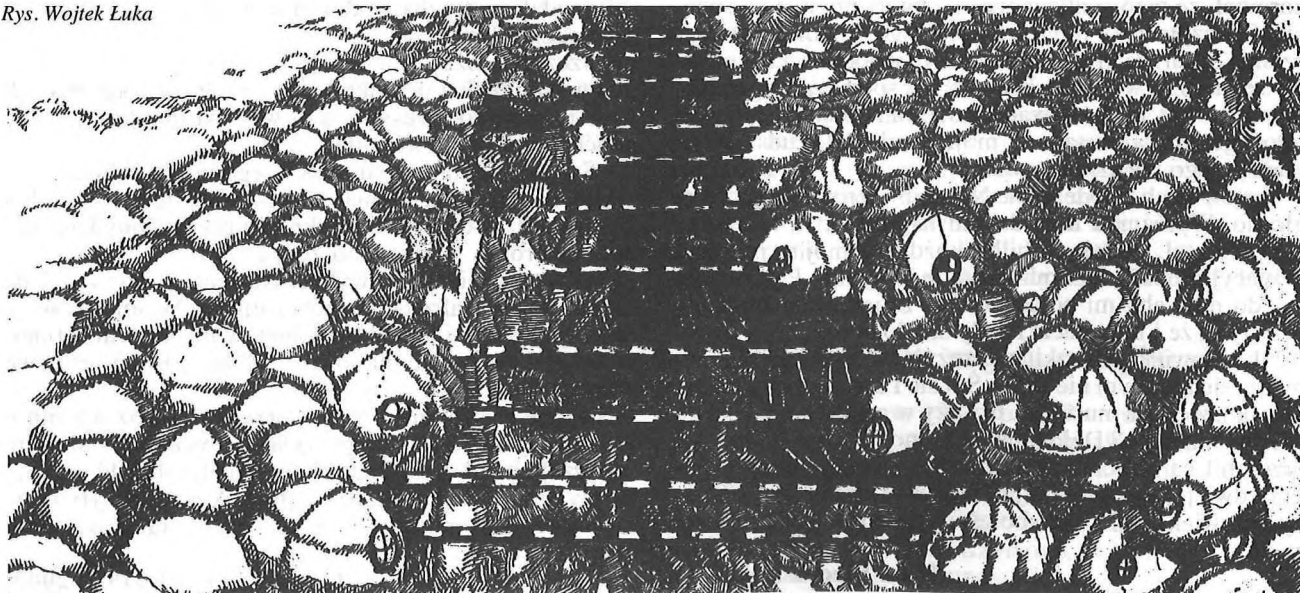
## Po nocach śni sie i śni

**Toć** mi sie śni i to nyy roz... Downij, jak żech był młodszy, to mi sie ino śniła matura, kieroch zdawoł w 1955 roku. Stoja przed dźwyrzami, za kierymi siedzi komisjo i boja sie...

- Wlyż, czy nyy wlyżć? Zdom, czy nyy zdom?

Potym te sny kajś mi sie potraciły. Nyy dziwia sie, bo to coch potym podżył na dole, starczyłoby do napisania grubej księgi.

Rys. Wojtek Luka





Jak na węglowych ścianach nastały piywsze stojoki hydrauliczne, to sie pod zzymiom dzioły istne cuda... Co jakiś czos przychodziło nagle ciśnienia. Toż mogliście widzieć, co sie wtynczos dzioło na takij ścianie. Tego sie niy do opisać! Ludzie uciekali, że jedyn przewracoł drugigo, bo każdy ratowol życi.

Był taki jedyn hajer Wioska z Imielynio i jo mu padom:

- Chopie, opanuj sie... Jak uciekosz, to patrz, kaj le-cisz...

- Wyboczcie mi, sztajger - pado mi - jo był na Mysłowicach dwa dni zasypany i jo sie już z tego strachu niy wylycza nigdy...

I jo roz po takim tąpnińciu wchodza ze strachym do ściany i patrza a pod kombajnym leży chłop i cały sie trzęsie ze strachu.

- Żyjesz?

- Sztymarze, jo już niy miol sił uciekać... Tu żech sie schowol i czekom na swój koniec...

I tego chopa mom stale na oczach, jak śpia. Leży, bok pod kombajnym i czeko na śmierć...

I drugi sen, co mie nocami męczy... W 1956 roku jako sztift miotech praktyka. Dali mnie do wyntylacji. A wtynczos my jeszcze śwycili karbidkami. Przyszło mi nosić okorki do postawiynio tamy. Ida z tymi okorkami... Łoroz - buch! Przewrócił sie i karbidka zgasała. Zaśwycić żech jom niy poradził, boch niy miol siarek. No i co mi przyszło? Przyszło mi bez światła na sztyrech iść kilometr do loku, kaj robili inni.

I to mi sie po nocach śni i śni. Ciorom sie w bagnie na sztyrech, macom, bładza, żeby sie jako wydostać z tego cimoka.

Ludzie, co to za ulga mo człowiek, jak sie po takim śnie obudzi. To tak jak by sie na nowo narodził.

**Stefan Gondzik (ur. 1937)**

## Jak śpia, wszystko sie kotłasi

**T**o się dzioło bez zima 1967 roku. Robiłech wtynczos na szóstym oddziale. Na Zymowicie to było, bo jo żodnej innej gruby poza Zymowitym niy znoł. Na felezunku dali mnie na blok czwarty razym z takim Jankiem Lisakiem. On był z Komorowic Bielskich. Pobadoł żech ściana, poklupoł po stropie i stusie i w duchu żech se pedzioł: - Boże, szczyść nom!

Ledwoch te słowa wypedzioł, a tu mi coś po plecach loto. Jakby mi wto lodowatym patykim po krzyżu pisol.

- Janek! - zwróciłech sie do kamrata - pamiyntej, ta pucowa ładujemy ino pod zabudowanym. Zebyś mi sie niy wozył włożyć pod gołę! Coś mi sie ta ściana dzisioj niy widzi.

Synek usłuchol mnie i za godzina byli my fertig z folowanym. Ale niy z robotom! Bo jeszcze trzeja było zrobić budynek. Ale jak tu zrobić budynek, kiej niy ma drzewa. Toż padom Jankowi:

- Słuchej, jo teraz ida na koniec ściany i ci byda na przenośniku opuszczol stympie i kapy. Ty odbiyrzej. Ino tak odbiyrzej, jakech cie uczył. Za włosym! I niech cie Pon Bóg broni włożyć pod niy zabudowane. Coś mi sie ta ściana dzisioj niy widzi...

Robota z tym drzewym szła nom rażno. Aż tu jednym razym, jak niy dmuchnie... Jo sie o mało niy obalił. Leca drab na nasz blok... Co sie stało z Jankim? Przylatuja, patrza... A on, biydok stoi żółty jak cytryna, jak niymowa. Całym nim tyrpie.

- Jest ci co? - pytom sie go. A on nic, stoi jak posąg... To jo gibko zawijom mu bandażym ręką i przykazuja:

- Jakby co, to powiydz, że ci ręka skaliczyło...

Za chwila przylatuje z ludziami sztajger i zaczyna-jom nos szukać w tym węglu, kiery sie zawalił na nasz blok.

- Czego tam szukacie? My tu som! - zawołołech na nich. Jacy byli radzi, jak nos ujrzeni żywych i całych.

Skuli tego bandażu wyjechołech z Jankim na wiyrch. Bo na dole wtedy tak było, że jak sie niy loła krew, to znaczyło, że sie nic niy stało i trzeja dalij fedrować. Dochłor go pobadoł i chciol mu dać pora dni rewiryu, żeby jakoś przyszeł do siebie. Ale Janek mu pado: - Dziękuję, zwalniam się z kopalni. A tobie, Ludwik do śmierci będę wdzięczny za to, żeś mi uratował życie.

Takich przeżyć miotech wiyncyj bez trzydzieści pora lot roboty pod zzymiom. Wszystko mi sie to teraz kotłasi, jak śpia. Czasym se myśla: - Pojada do tych Komorowic, odszukom tego Janka, może on mi coś pomoże na te moji nocne niypokoje... Jedyn kolega, z kierym żech sie kiedyś spotkoł, godol mi, że tyż mu sie długo bele co klyciło na śpiączku. Ale on sie wzion na sposób: przed spaniem se zawsze gruchnie jednego mocniejszego i spani miol jak u dziecka.

**Ludwik Kapias (ur. 1939)**

## Plecie sie na roztomaję sposoby

**P**rzerobiłech na Wesołej trzydzieści lot, od zwykłego ślepra do nadsztymar. Za Gierka byłech kierownikiym oddziału, na kierym mieli my dwie ściany. Roz w nocy z soboty na niedziela zawaliła sie jedna z tych ścian.

A jo w ta niedziela miol wolne. Poszelełech se rano do naszego chełmskiego kościoła. Stoją se pod chórym i śpiywom. A tu naroz wtoś mie szarpie za ramie. Oglądom sie - dyspozytor z gruby.

- Sztymarze, mocie zaroz jechać na gruba... Zawaliła sie ściana... Dyrektor posłol po was auto...

Wychodza z kościoła z tym dyspozytorym. Ludzie na mie patrzom, jakby mie ostatni roz oglądali. Jadymy na gruba, a po drodze do służbowej nyski zbiyromy hajerów z Imielina i Krasów. Na grubie mój nocny sztygar daje mi raport. A jo sie go pytom:

- A wiela ludzi zawaliło?

- Ludzie uciykli... Wszyscy uciykli...

- No toż, jak ludzie uciykli, to jadymy nazod do dom jeść niedzielny obiad - jo mu godom. - Jutro tyż dziyń...

I pojechali my. Ale jak my sie w poniedziałek dali do roboty, to w środa ściana była już czysto i mogła fedrować.

I to zdarzyni siedzi mi w mej pamięci nojmocnij. Plecie mi sie w nocy na roztomaję sposoby. A ino wychodza z kościoła, ludzie sie na mie gapiom, a tyn dyspozytor prowadzi mie jak skazańca. To zaś jadymy tom nyskom na złomani karku, a jo sie dra po szoferze, żeby jechol jeszcze szybciej, bo ludzie zawalyni w ścianie czekajom na nasza pomoc.

Zdaje mi sie, że z tym sny to jo już umra... Jo sie już z niego niy wyzwola...

Pamiyntom tyż wszystkich dyrektorów Wesołej, pod kierym żech robił. Spiralski, Spyra, Jurczyk, Wartak, Zieliński, Szwarz, Kociela, Groński, Batko... Pamiyntom, za Kociela to było... Telefon: - Po wyjeździe z dołu mosz sie ja zgłosić u dyrektora.

Zgłosiłech sie i on mi pado:

- Słuchejcie ino, Franku. Jutro sie lepij ubiercie, pojady my do Mitręgi...

No, ale mi niy pedzioł, po co tam pojady my. Pojechali my do Katowic, do Domu Technika. Siadomy i czekomy, co bydzie dalij.

Wtym wchodzi Hanys (tak wtynczos nazywali po ci-chu ministra Mitręgi), wito sie z nami i potym pado:

- Słuchejcie ino, widza tu samych profesorów, dochtorów, dyrechtorów... A kaj tu jest jaki technik? Jeśli to stowarzyszenie mo sie nazywać Stowarzyszenie Inżynier-

rów i Techników Górnictwa, to przynajmniej ty jeden technik powiniś tu być. A kaj jest?

- Tu! - odpowiada nieśmiało mój dyrektor - i pokazuje na mnie...

- Jo wstaja, pod koszulom robi mi sie ciepło, nogi sie uginajom. Myśla se:

- Pieronie, jo tu wsiak!

Ale nic. Górnik musi być twardy. Melduja ministrowi.

- Sztygar oddziałowy - Franciszek Buła...

Rozległy sie oklaski. I tym sposobem dostolech sie do Zarządu Głównego SITG i od tego czasu miałech pora okazji pić piwo przy jednym stole z ministrem Mitręgą, jak my sie na zebraniach spotykali.

I to mi sie tyż czasami śni. Te sny są tak wesołe, że moja ślubno musi mnie niyroz budzić, bo sie ji wydaje, że jo richtig kajś w karczmie rządza.

**Franciszek Buła (ur. 1936)**

## Na emeryturze wszystko z człowieka wyłazi

Górnik to musi być twardy człowiek... Twardy i mocny. Na „Rokitnicy” - wtynczos, jak ratowali bez 156 godzin zawałonego w ścianie Alojza Piontka - na tyj samej ścianie był nasz zastęp z Zymowitu. Jak my powrócili z tyj ściany do chodnika podścianowego, zameldowali my, że leży tam przywalony jedyn chłop, kiery mo przygnieciono noga i niy umij jom nijak wyszarpać. Wije sie z bólu i błago o ratunek. Jest przytomny.

A pod ścianą był dochtor. On sie długo niy zastanawiał, ino nom pedzioł: - Tu mocie topór, spytejcie sie go, czy zgodzo sie... Dejcie mu to wypić i... dalej wiycie, co...

Poszli my jeszcze roz. A wiyrch w tyj ścianie cały już tańcowoł. Wszyńdzie sie już waliło. Ledwo my doszli do tego boroka. A on wrzeszczy w niebogłosy:

- Ratujcie mie... Jom mom rodzina, dzieci... Miyjcie li-tość...

Józek sie go pyto, czy zgodzo sie na ucięci nogi.

- Róbcie, co chcecie... Jo jeszcze chca żyć i oglądać tyn świat...

Za jednym zamachem ucion zech mu ta noga pod kolanym. Koledzy założyli mu opatrunek i wydarli go przez zawałisko pod ścianą. Tyn chłop przeżył to.

Górnik to musi być twardy człowiek. W akcji niy mo czasu myśleć o strachu i sobie. Ale jak minie czas roboty i nadyjdzie czas emerytury, tóż to wszystko z człeka wyłazi. A nojwinyj, jak śpiz. Co sie to człowiekowi niy plecie bez noc! Roz dół, roz wiyrch jak żeś jest na rybach, roz uciekosz, bo cie goni sąsiadów pies, roz niesiesz na noszach połomanego górnika. Niesiesz i zaniyś niy poradysz pod szyb. Cie, ujma wziyna! Taki zech jest czasym zły na to nocne bajdurzyni. Jo niy wiem, czy sie to ino mie tak bajdurzy?

**Ryszard Bożek (ur. 1940)**

## Starość przyszła prędko

Jakby jo był w młodości mądrzejszy, tobych dzisio niy był taki dziód, jakim mie widzicie. Głuchy jak pniok, pokrzywiony... No, ale koziu niy becz... Wyści-gów pracy nóm sie chciało. Robili my na wariata, żeby sie władzy ludowej przypodobać. A tej władzy było ciągle mało. Styjc wołała: mało węgla, mało metrów! Starzy nos przestrzegali: - Jak ta niy musicie do tego larma iść, do tej wody - niy idźcie... Ale my guptoki szli, bo nom sie zdawało, że bez nos, to sie kopalnia zawali. Wentylatory huczały, wiertary na powietrze szły,

romplowały apoki, a my se z tego nic niy robili... Robili my i myśleli, że zawsze bydymy młodzi. A tu starość przyszła przyndzj niź my se rachowali... No i cóż? Człowiek zostół na starość głuchy jak pniok i krzywy jak koślók.

Godali nom starzy górnicy: - Najprzód wypłompie ta woda, a potym idźcie do przodka... A my, guptoki pod bas do wody i drab do fedrunku, bo my sie boli, że niy wyrobiymy normy. No o co? Norma my wyrobili, a dzisioj... Wejrzyjcie na moji nogi. Krzywe, słabe, bolawe... Bez kryki niy idzie kroku zrobić... Wejrzyjcie na moji piersi. Staro rompla! Stary miech!

Gupi był człek, jak był młody.

**Joachim Stolecki (1929-1997)**

## Słowniczek wyrazów gwarowych i terminów górniczych

Maska - pochłaniacz CO  
Marka - znaczek kontrolny  
Flacha - butelka  
Pukel - grzbiet, plecy  
Kłota - klatka szybowa, winda  
Psinco - tu: nieprawda  
Cug - pociąg  
Maras - błoto  
Larmo - hałas  
Basoki - tu: władza  
Smolić - nie przejmować się  
Fify - wady, przywary  
Kaszty - rodzaj obudowy górniczej  
Okap - zwisający nawis skalny  
Sikora - odspojona od calizny warstwa węgla  
Gibym - prędko  
Gitra - kratownica zamykająca wejście do klatki  
Katać - niemożliwe  
Ściożać - zniechęcać się  
Ruła - rura  
Fest - mocno  
Hajer - górnik przodowy, strzałowy  
Turać sie - mobilizować się  
Sztift - stażysta, praktykant  
Okorek - rodzaj deski używanej do obudowy wyrobisk  
Lok - skrót nazwy: chodnik lokomotywowy  
Śtus - ocios węglowy  
Pucowa - resztki węgla do wybrania łopatom  
Folowani - ładowanie łopatom  
Fertig - koniec  
Kapa - stropnica  
Kotłasić - mieszać  
Tyrpać - trząść  
Rewir - zwolnienie lekarskie  
Richtig - racja  
Rządzić - rozmawiać, tu: bawić się  
Kryka - laska  
Styjc - stale, ciągle  
Romplować - hałasować  
Apok - młotek mechaniczny

## Górnice lęki u młodych

Obecnie górników, których dręczą nocne mary związane z pracą ogromnie przybyło, bowiem namnożyło się dramatycznych zdarzeń zachodzących „tu i teraz”, nasiliły się górnice lęki i niepokoje. Okazuje się, że obecna rzeczywistość także na młodych górników wyciska swoje dramatyczne piętno, nie pozwalające spokojnie spać po nocach.

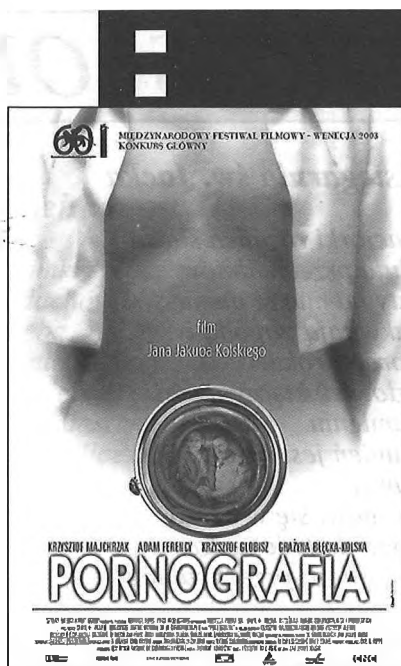
W okresie ostatnich kilku lat wiele kopalń zamknięto, a prawie we wszystkich liczebność załóg została zredukowana. Nie w jednym przypadku więcej niż o połowę. Jak żyją ci, co odeszli z kopalni, jakie dręczą ich problemy? Z pobieżnych obserwacji widać, że większość z nich żyje biednie, wielu z wielką desperacją walczy o godne życie dla swojej rodziny. Są też i tacy, którzy stoczyli się na dno życia - bezdomni, głodujący, opuszczeni.



Film pt. „Pornografia” jest dowodem na to, że reżyser, który nie lubi (a więc chyba nie ceni) pierwowzoru literackiego, nie powinien go przenosić na ekran. Po pierwsze, dlaczego akurat wybrano „Pornografię”? Bo to świetny tytuł? Otóż ten tytuł nie ma żadnego związku z filmem J.J. Kolskiego, ponieważ to, co Gombrowicz nazywa „pornografią”, nie mieści się w potocznym rozumieniu tego słowa. Najbliższą istotą tej powieści jest uwiedzenie i wiele oficyn zachodnich wydało „Pornografię” pod tytułem „Uwiedzenie”. Jednakowoż jest to uwiedzenie szczególne. Intryga zostaje zawiązana po to, aby młodych, czyli Henię i Karola „popchnąć do grzechu”, ponieważ młodzi-niewinni są dla „starych”, czyli Witolda i Fryderyka, niedostępni. Co to znaczy: niedostępni? Między innymi to, że młodość jest nie do przebiccia! I nie ma żadnych połączeń pomiędzy starością i młodością. Jest to oryginalna teza Witolda Gombrowicza, być może lepsza niż jej opracowanie czysto beletrystyczne.

Fryderyk tak kieruje zdarzeniami, aby doprowadzić do, jak to nazywa, „sparzenia młodych”. To spoufaliłoby obie pary, bo Fryderyk i Witold to także para „(...) nasze podniecenie nie miało na czym się wyładować, i ono teraz grasowało między nami... nic teraz nie pozostawało nam, prócz nas samych... i, brzydząc się sobą, byliśmy jednak ze sobą w tej zmysłowości naszej, rozbudzonej”, ale jakby przed decydującym krokiem, który by z nich zrobił kochanków. Leży między nimi coś, jakby kłoda, która uniemożliwia im zaspokojenie seksualnych apetytów, nie zaspokojenie wzajemne, bo mimo wszystko „brzydzą się sobą”, czyli swoją „starością”; obiektem ich seksualnej fascynacji jest szesnastoletni Karol, dla nich niedostępny, więc osiąść go mogą w ten jedyny sposób, iż za ich poduszczeniem uwiedzie go Henia. Innymi słowy: Henia uwodzi Karola „zamiast”. Albo inaczej: dla Fryderyka i Witolda. Brzmi to cokolwiek trywialnie, a jeśli dodać, że wszystko to dzieje się w Polsce okupowanej przez nazistów w roku 1943, nie dziwi, iż Artur Sandauer w szkicu „Witold Gombrowicz - człowiek i pisarz” (1965, druk w warszawskiej „Kulturze”) napisał o ostatniej wówczas powieści Gombrowicza: „...ta niesmaczna ramota, gdzie pod zadymionym przez krematoria niebem dwaj panowie dają upust swym wyszukanym gustom”.

Film J.J. Kolskiego również dzieje się w roku 1943 w „okupowanej Polsce” (cudzość jest tu konieczny, ponieważ Gombrowicz uprzedził we wstępie do powieści, że „jest to Polska imaginacyjna”; Czesław Miłosz zauważa, że kto myśli, iż takiego dworu w okupowanej Polsce nie było, ma o okupowanej Polsce naiwne wyobrażenie!), dwaj panowie (grają ich Krzysztof Majchrzak i Adam Ferency),



## Pornografia

dobrze pod pięćdziesiątkę, przyjeżdżają na wieś, do majątku znajomego Witolda, aby wyrwać się z warszawskiego środowiska artystycznego i niejasnych interesów (pokątny handelek), ale nic nie wskazuje - w przeciwieństwie do powieści - że Fryderyk i Witold są parą homoseksualistów. I to jest dziw nad dziwy w całej tej filmowej opowieści: bo po co oni prowokują owo „sparzenie młodych”? Jeśli odebrać ich dziwnemu postępowaniu walor okrutnego pretekstu, jaki jest obecny w powieści, to wówczas to, co robią jest nie tylko niesmaczne, ale niedorzeczne i niczym nie uzasadnione.

Scenarzyści filmowej „Pornografii” popełnili zasadniczy błąd: z Witolda uczynili mdłą figurę, w której żadną miarą nie rozpoznajemy Gombrowicza, a przecież narrator mówi o sobie wprost: „Ja, pisarz polski, ja, Witold Gombrowicz”, i to czytelnikowi wystarczy, ponieważ czytelnik wie, że to jest - w czasie, gdy toczy się akcja filmu - autor „Pamiętnika z okresu dojrzewania”, a zwłaszcza powieści „Ferdynand” i sztuki „Iwona, księżniczka Burgunda”, już wtedy ktoś bezwarunkowo wybitny. Natomiast Fryderyk jest upersonifikowanym Złem, Gombrowicz nienachalnie, lecz wystarczająco sugestywnie diabolizuje swojego bohatera, każe nam widzieć w nim wcale nietuzinkowe wcielenie Mefistofelesa.

Ale przecież Jan Jakub Kolski z Krzysztofem Majchrzakiem nie przenoszą na ekran „Pornografii” Gombrowicza! Oni robią film zupełnie obok Gombrowicza. Owszem, jest to uprawione podejście do ekranizowanej literatury, ostatecznie liczy się rezultat.

POZA KADREM

Rzecz w tym, że rezultat nie jest zadowalający. Bowiem nie zaufano Gombrowiczowi.

Jeśli Gombrowiczowi nie przyszło do głowy - bo przyść nie mogło - aby Fryderykowi dorobić przeszłość obozową, żonę Żydówkę i córeczkę, której on, ojciec wyrzekł się na rampie, uciekając przed jej wołaniem „Tate!”, to nic autorów filmu nie usprawiedliwi z podobnego dopisywania do Gombrowicza. Nie ma bowiem nic gorszego nad dopisywanie. Można wyciąć, wykreślić, wyrzucić, ale nie wolno dopisywać.

Zwłaszcza autorowi nie żyjącemu. Jest wprawdzie w powieści zdanie o tym, iż w miasteczku „wyczuwało się nieobecność Żydów”, ale to nie znaczy, iż „Pornografię” można wpisać na listę literatury zajmującej stanowisko wobec holocaustu. Bo gdyby Gombrowicz chciał pokazać Polaków ukrywających Żydów w domu pod podłogą, to by to zrobił. Gombrowicz znalazłby dla sprawy żydowskiej, czy polsko-żydowskiej rozwiązania powyżej pomysłów o żonie Żydówce i Żydach ukrywanych w piwnicy. Ponieważ był przeciwko stereotypom. Gdyby dotknął tego tematu, poszedłby z pewnością swoją drogą, tak, jak to uczynił z oficerem AK, dając nam, swoim rodakom, tak na tym punkcie uwrażliwionym (pamiętny, haniebny plakat z hasłem: AK - zapłuty karzeł reakcji!), wizerunek słabeusza, człowieka, który się rozsywał, w rezultacie tchórza. To boli. Ale za ten zadany nam ból odpowiedzialność wziął Witold Gombrowicz.

Patrząc na film, nie mogę dać wiary, że Fryderyk (zresztą ktokolwiek) z tak traumatycznym doświadczeniem, jakie mu nadali scenarzyści filmu, w ogóle mógłby się wdawać w jakieś gry wokół „sparzenia Heni i Karola”. Jest to błąd w sztuce, i nic tu nie pomoże pasja Krzysztofa Majchrzaka, z jaką gra Fryderyka. U Gombrowicza jest oczywiste i naturalne, że robią to w dużej mierze z nudów. Szukając w grze, jaką inscenizują, podniety dla swoich zmysłów. Popęlniony błąd w sztuce, błąd psychologiczny, sprawia, że to, co dzieje się na ekranie jest mi najzupełniej obojętne.

Co piszę z przykrością, bo cenię sztukę Jana Jakuba Kolskiego i podziwiam od lat sztukę Krzysztofa Majchrzaka. Ale nie mogę inaczej. Jana Jakuba Kolskiego namawiam gorąco, aby robił swoje kino, aby realizował własne scenariusze. Bo i „Daleko od okna” i „Pornografia” są gorsze nie tylko od „Jańcia Wodnika”, lecz także od słabszej przecież „Historii kina w Popielawach”.

FELIKS NETZ

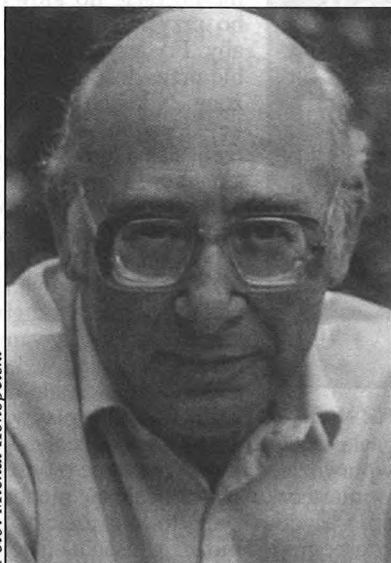


Foto: Michał Konopelski

Grzegorz Słobodnik urodzony w Warszawie w roku 1932. Na Śląsku od 1945 roku. Ukończył filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach. Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Debiutował w latach pięćdziesiątych w prasie regionalnej jako poeta. Współtwórca grupy literackiej „Reduta 57”. Przez kilkadziesiąt lat był związany pracą pedagogiczną ze średnim szkolnictwem górniczym w Katowicach i Chorzowie. Od roku 1960 nie drukował swoich utworów. Wrócił do czynnej działalności literackiej pod koniec lat osiemdziesiątych, publikując wiersze na łamach prasy codziennej i kulturalnej oraz na antenie Polskiego Radia.

Wydał następujące zbiory wierszy:

„Ucieczka do strofy”  
(Katowice 1988)

„Strome brzegi”  
(Chorzów 1990)

„Wiersze na późny wieczór”  
(Chorzów 1992)

„Nowe narodziny”  
(Katowice-Chorzów 1993)

„Wiersze” (Katowice 1995)

„... i był dzień”  
(Katowice 1998)

„Trzecia pogoda” (2002).

## Księgarnia św. Jacka

*Paciorki różańca słowa  
kłują przechodniów  
łaty na murze domu  
zakwitają pogodą i  
porami roku  
człowiek kłęczy na  
kamieniu  
kamień jest twardy i  
zimny  
los bawi się w berka  
kogo dotknie nędza  
oczy liczą przechodniów  
oni są  
jak nic nie znaczące ślady  
a jednak są  
czasami ich spojrzenia  
uderzają w trotuar  
wstydu i współczucia  
w kubektu modlącego się  
jak tży  
pobłyskują drobne monety  
w witrynie sklepu rozłożono  
kolorowe książki  
o trudnej drodze do Boga*

## Sztuka poetycka

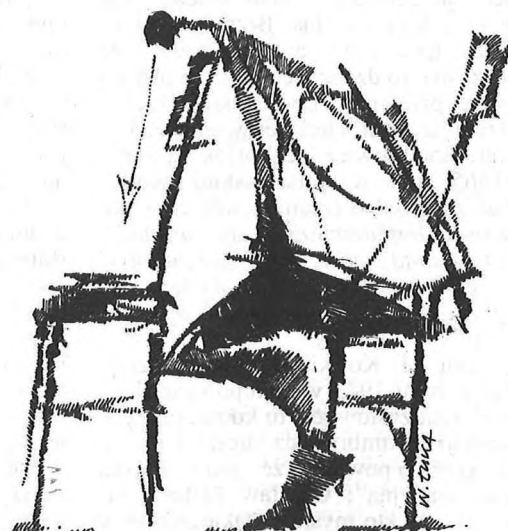
*Słowa poety  
okruch wszechświata  
wiersz odlamek  
burej cegły z piramidy  
faraonów*

*słowa poety  
wygięty maszt łodzi  
która dziobem ominie  
wystrzone fale  
ledwo kalecząc napuchnięte  
burty*

*słowa poety  
rozsypały się stadem  
ptaków śmieszek  
uciekając od echa  
które może zadrwić*

## Spoglądania

*Zapominałem  
nie zdążyłem się nawet  
dobrze pożegnać  
lata przesypują się jak  
żółty suchy piasek  
przez palce  
a trzeba było poczekać  
przystanąć na jedną drobną  
ważną chwilę  
oczy matki zobaczyć  
świat zobaczyć  
oczy matki zobaczyć  
zapamiętać  
dłonie ojca dotknąć  
zapamiętać  
i odfrunąć parę kroków  
pochylić się nad  
strumieniem  
wypić parę tyków słodkiej  
goryczy  
i zachłysnąć się pierwszym  
słowem  
przed później pokornym  
powrotem  
do milczenia*



Rys. Wojtek Łuka



## Starość

Okna ledwo otwarte  
drzwi zamknięte na  
zatrzask  
stół pełen okruszyn  
szklanka od wczoraj  
wystygła  
cisza taka że uszy  
puchną  
wieczorem ciągle szukanie  
dnia który odszedł  
chowanie rzeczy i spraw  
w uschłej pamięci na  
później na nigdy

Okna bardziej domknięte  
zatrzask w drzwiach  
nieruchomy  
sny wyrrywają się nie wiadomo  
dokąd  
ktoś dzwoni czy warto  
otworzyć  
list z propozycją  
ubezpieczenia się od losu  
na wszelki wypadek

Schody kręcą się jak  
głowa na różne strony  
i sprowadzą do tych samych  
miejsc  
które wczoraj jeszcze i  
kiedyś  
śmiały się do lustra  
jak do pogodnej fotografii

## Imieniny

Idzie zima do  
morza  
przymknięte drzwi  
skrzypiące schody  
rozchwilana poręcz  
w szklance trochę  
zimnej herbaty  
przewrócony kieliszek  
na stole  
opróżniona butelka  
z której zapachy  
kotłysz się jeszcze  
wśród  
zupełnie samotnych  
krzesel  
wszyscy już wyszli  
porozmawiam sobie teraz  
z samym sobą  
moim najbardziej  
kłopotliwym gościem

## Miejscowość II

Domki szepczą obłokom  
z dachów bliżej do  
nieba  
w niebie krzyki daremne  
w wielkiej czapce niepamięć  
oczy daszek zakrywa  
dwie ulice a pustka  
trzy ulice a żadnej

było kiedyś miasteczko  
i dwa końce ulicy  
ziemia pękła na dwoje  
próżne długie czekanie  
nikt nie zjawi się przecież  
słońce z cieniem wciąż  
walczy  
myśli dudnią wśród zwalisk

domki płaczą obłokom  
z dachów bliżej do  
deszczu  
w niebie krzyki ogromne  
w pustych oknach się zmieszczą

domki szepczą obłokom  
z dachów bliżej do  
nieba  
w niebie krzyki daremne  
w czarnej czapce niepamięć  
z oczu tła się odrywa  
dwie ulice a pustka  
trzy ulice a żadnej

## Drugi Koncert

Wiersz to nie żaden  
szpargał  
ani zatruta ryba  
ani rynna  
bulgocząca przelotną  
ulewą  
wiersz to napięta  
cięciwa  
i garb pochylający  
głowę  
do samej ziemi  
i jeszcze  
błakający się samotny  
cierni  
łaskoczący oszalałe  
serce



Rys. Wojtek Łuka

## Wenus

Ta kobieta  
jest dawna jak świat  
może kiedyś miała  
skrzydła  
może kiedyś miała  
ręce  
może kiedyś wołała  
nie być kobietą  
tylko liściem albo  
gałązką bzu  
może trawą o kolorze  
nadziei i zwątpienia  
może chciała zupełnie  
nie być  
albo zostać mężczyzną  
ale jest

i tak już zostało  
ta kobieta jest  
dawna jak świat  
a może nawet już  
była  
o chwilę wcześniej jeszcze  
przed narodzeniem świata

## Wybór

Książka wierszy z  
lat  
a każde lato coraz  
bardziej garbate i  
krzywe  
każdy następny wiersz  
prostszy i krótszy  
aż kiedyś  
zmieści się w jednej  
kropce

GRZEGORZ SŁOBODNIK

# Żyliśmy tylko dla sztuki



Z prof. LEONEM MARKIEWICZEM  
rozmawia MAGDALENA DZIADEK

- Śpieszę pogratulować przyznania nagrody Prezydenta Miasta Katowic - w jakiś sposób ten sukces dotyczy i nas, którzy wyszliśmy spod opiekuńczych skrzydeł Pana Profesora. Przy okazji proszę tak-

że przyjąć najlepsze życzenia z okazji 75. rocznicy urodzin. Spotykamy się tuż przed rozpoczęciem kolejnego Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, któremu Pan od

kilku lat szefuje i tuż przed momentem, w którym ukaże się kolejna Pańska książka - edycja zachowanych listów Grzegorza Fitelberga z przełomu lat 40. i 50.

- Dziękuję za życzenia. Pragnę podkreślić, że nagroda prezydenta Katowic ogromnie mnie satysfakcjonuje, tym bardziej że jestem jedynie Ślązakiem i Katowiczanie z wyboru. Pochodzę z Wilna, a tu znalazłem się po wojnie i jak większość „przyszywanych Ślązaków”, nie wyobrażam sobie życia poza tym regionem. Co do mojej nowej książki - w większości dotyczy ona ostatniego, katowickiego okresu działalności Fitelberga, od 1941 do 1953 roku, czyli do śmierci artysty 50 lat temu.

- Jak długo trwała praca nad książką?

- Dość długo. Już podczas pisania monografii o Fitelbergu wydanej w roku 1995 zetknąłem się z jego korespondencją. Niewielkie fragmenty listów zostały wówczas przeze mnie opublikowane. To, co zostało, wydawało mi się również warte pokazania czytelnikowi. Cały mikrofilmowy zasób korespondencji został zakupiony przez Fundację Międzynarodowych Konkursów im. Fitelberga w Archiwum Kompozytorów Polskich XX wieku przy Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Od momentu uzyskania zgody na publikację listów można było rozpocząć pracę nad ich edycją. Samo opracowanie listów i źródłowych komentarzy do nich zajęło mi około dwóch lat. Była to dość żmudna praca - wiele godzin ślęczenia nad mikrofilmami, penetracja archiwów PWM i ZKP, odcyfrowywanie szczegółów, redagowanie, no i oczywiście opracowanie komentarzy na temat osób, których nazwiska pojawiają się w listach. Niektóre nazwiska są powszechnie znane, inne były głośnie kiedyś, a dziś trudno zdobyć o nich jakiekolwiek informacje. Młodzi wiedzą niewiele o tamtych czasach; wątpię na przykład, czy kojarzą często pojawiające się w listach Fitelberga nazwisko Tadeusza Ochlewskiego - pierwszego powojennego szefa Państwowego Wydawnictwa Muzycznego, który nadał mu niezwykle rozmach organizacyjny. To samo dotyczy dat - szczególnie dat śmierci muzyków i osób związanych z instytucjami muzycznymi. Okazuje się, że tych dat nie rejestruje ani Związek Kompozytorów, ani SPAM. Chwała Bibliotece Głównej naszej Akademii Muzycznej, której pracownicy z własnej inicjatywy spisują ostatnio dane dotyczące muzyków śląskich. Okazało się bowiem, że dział kadr Akademii nie zawsze dysponuje datami zgonu swoich niegdysiejszych profesorów.

- W Pańskiej działalności naukowej na pierwszy plan wybija się tematyka śląskiej kultury muzycznej. Najpierw była monografia poświęcona Szabelskiemu, potem książki o Fitelbergu, Rundzie, Stryji. Co zadecydowało o takiej orientacji? Dostępność źródeł, czy poczucie obowiązku?

- Oczywiście - to ostatnie. Jako entuzjasta regionu śląskiego poczuwam się do tego w dwójnasób. Tak się złożyło, że byłem pierwszym absolwentem katowickiej PWSM, który zaczął zajmować się poważnie teorią muzyki. Interesowało mnie dosłownie wszystko, z pasją rzucałem się na tematy, które należało opracować. Wiele prac zlecano mi, inne sam wyszukiwałem. Rzuciłem się w wir krytyki muzycznej. Tej pracy towarzyszyły wielkie emocje - wszystko było nowe, pasjonujące. To była epoka pierwszych „Warszawskich Jesieni”, które stanowiły dla nas ogromną inspirację. Poznawaliśmy Strawińskiego, Weberna i tyłu nowoczesnych kompozytorów, dotąd nie wykonywanych w Polsce. Poza tym bezinteresownie cieszyłem się sukcesami śląskich kompozytorów. Śledziłem ich kariery - byłem bardzo rad, kiedy mogłem o nich napisać nawet drobną wzmiankę. Okazało się, iż byłem też pierwszym, który zasygnalizował drukiem wielki talent Góreckiego. Byłem już wtedy asystentem w Uczelni i stąd miałem z nim stały kontakt. Właśnie wtedy napisałem pierwszą wzmiankę o Góreckim w „Ruchu Muzycznym” - po jego pierwszym koncercie kompozytorskim zorganizowanym w 1958 roku w PWSM. Do tego doszła ogromna fascynacja Bolesławem Szabelskim, który był wielką postacią. Bardzo skromny na zewnątrz, mało mówny, a jednak mający w sobie coś wielkiego w filozoficznym wymiarze. Miałem u niego kompozycję - podczas tych zajęć mogłem go bliżej poznać, o ile w ogóle można go było poznać... Wtedy już zorientowałem się, że jest to postać o bardzo dużym znaczeniu, które trzeba jakoś ujawnić.

Podobnie było w przypadku Zdenka Karola Runda, byłego docenta PWSM. Najpierw powstała o nim obszerna monografia, która dotąd leży w maszynopisie. Pisałem ją nie po to, żeby zrobić doktorat czy habilitację, ale właśnie po to, żeby zebrać i utrwalić fascynujące rzeczy. A było co: opisałem w niej wyjątkowo ofiarną działalność muzyczną kapitana Runda podczas internowania w Rumunii i w niemieckich oflagach w Dorsten i Doessel na podstawie przywiezionych przez niego do kraju dokumentów i wprost wrzuszających podziękowań braci jeniec-

kiej za „pokrzepianie serc” muzyką. Zdołałem jednak jedynie wówczas opublikować niewielką broszurę o życiu muzycznym w oflagach. Ale mimo „błogosławieństwa” cenzury zostałem brutalnie zaatakowany w Uczelni za „gloryfikowanie Niemców”, w wyniku czego rektor został zmuszony do natychmiastowego zwolnienia mnie z pracy. Incydent wywołał ogromne oburzenie w naszym środowisku. Na moje szczęście i ku memu zdumieniu, ujęła się za mną... partia! Zwolnienie zostało równie natychmiastowo cofnięte, a egzekutywa POP - rozwiązana... Okazało się, że nieodpowiedzialnym oskarżycielem był człowiek, który sam był więźniem oflagu w Woldenbergu, gdzie również uprawiano działalność kulturalną, a jeńcy mogli m.in. korzystać z obszernej biblioteki... Wkrótce stosunek do tych spraw zmienił się. Miałem satysfakcję, realizując audycję telewizyjną „Muzyka za drutami”, w której mogłem jeszcze raz obiektywnie naświetlić i sylwetkę Runda, i życie kulturalne w obozach polskich oficerów. Od wdowy po Rundzie otrzymałem cenną pamiątkę - ofiarowaną mu przez wdzięcznych towarzyszy niewoli batutę, z misternie rzeźbionymi w kości inkrustacjami, wykonaną na ręcznie skonstruowanej tokarce. Właśnie w grudniu, na koncercie inauguracyjnym Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. G. Fitelberga, nastąpi uroczyste przekazanie tej pamiątki do słynnej kolekcji batut Tadeusza Strugały.

- Mam wrażenie, że w dziedzinie badań historycznych nad muzyką śląską występuje wiele zaniedbań. Syntetyczne prace muzykologiczne bywają hermetyczne i nie dość przekonująco zakotwiczone w kulturowym kontekście. Ot, chociażby pojęcie „śląskiej szkoły kompozytorskiej”, którym często zongluje się bez zastanowienia. Czy dziś możemy już stwierdzić z całym przekonaniem, że taka „szkoła” istniała, podać jej definicję?

- Ten termin jest popularny, tak samo, jak np. zwrot „śląski etos pracy”. Ja patrzę na to nieco sceptycznie i raczej jestem za bardziej uniwersalnym określeniem: „śląskie środowisko kompozytorskie”. Domniemaną „szkołę śląską” ukształtowali trzej zupełnie różni kompozytorzy: Szabelski ze swoim monumentalizmem, Woytowicz ze swoją błyskotliwością i Gawlas ze swoim rzetelnym rzemiosłem. Spośród ich uczniów każdy reprezentował znowu coś zupełnie innego: inny był Górecki, inny Kilar, inny Szalonek. Pewnych elementów „szkoły” można się doszukiwać w kręgu Szabelskiego. Ci, którzy byli u niego, prze-

jęli niezwykłą czujność w doborze materiału muzycznego. Ja uczyłem się i u Gawlasa, i u Szabelskiego. Gawlas np. zatrzymywał się nad jakimś fragmentem mojej kompozycji i natychmiast poprawiał go ołówkiem. Szabelski natomiast, zauważywszy jakiś fragment wymagający korekty, mówił: „Pan to musi zrobić inaczej”, ewentualnie zaczynał sam improwizować: „To może tak wyglądać, albo tak...” Dawał w ten sposób okazję do wysilenia wyobraźni. Wspomniana przeze mnie czujność polegała na realizowaniu zasady, żeby niczego w utworze nie powtarzać tak samo. Cała twórczość Szabelskiego była, jak się zorientowałem, gdy szczegółowo analizowałem jego partytury - realizacją „systemu braku systemu”, ciągłego zaskakiwania nowością.

Byłem na przykład świadkiem rozmowy, w której Szabelski wytknął Góreckiemu, iż w *Zderzeniach* powtórzył dwa razy pewien efekt fortepianowy. Mam wrażenie, że Górecki pilnie przestrzega przejętej od Szabelskiego zasady „ostrej samokontroli”. W przeciwieństwie do Szabelskiego Górecki wypracowuje swoje utwory według bardzo ścisłych planów formalnych. W okresie naszej młodości przyjaźni pokazywał mi swoje szkice - miały postać ściśle pomyślanych wykresów - ich wygląd zaskoczyłby niejednego krytyka, który pojmuje twórczość Góreckiego jako spontaniczny przekaz emocji... Stąd, jeśli Góreckiego ceniłem i cenię zawsze bardzo wysoko, pisałem o nim najmniej - wiedziałem bowiem, że to, co odczuwamy jako słuchacze jego muzyki, czyli wrażenie, nie ma wiele wspólnego z technicznymi podstawami tych utworów. Umie on jednak założenia formalne ukryć na dalszym planie, pozwalając słuchaczowi oddać się poznaniom estetycznym.

- Formacja kompozytorska, która z takim impetem weszła na polską i zagraniczną scenę muzyczną w latach 60. i utrzymała swą pozycję do lat 70., jest obecnie w fazie wypromieniowywania swej energii, o ile nie wprost - rozsypki. Jako publicysta „Ruchu Muzycznego” i katowickich „Poglądów” był Pan wnikliwym obserwatorem i komentatorem indywidualnych i zbiorowych dokonań śląskich kompozytorów na przestrzeni owych złotych dekad. Jak Pan ocenia tamten i dzisiejszy stan domniemanej „śląskiej szkoły”?

- Tamten stan - czyli, według mojego przekonania, okres do roku 1964, był etapem zdobywania przez młodych pozycji, a jednocześnie okresem epatowania nowością. Każda nowość interesowała nas jako



wartość sama w sobie. W 1964 roku napisałem duży artykuł pt. *Na zdobytych pozycjach*. Tę datę postrzegałem bowiem jako graniczną: bój o nowość i o pozycję został zakończony, teraz czas na drugą awangardę - tę, która stawia już nie tylko na nowość, ale na wartość autonomiczną. Ta druga awangarda była oczywiście w położeniu trudniejszym: nie było już walki, tylko po prostu - twórczość. Przedtem kompozytorzy chłonili to, co prezentowano na „Warszawskich Jesieniach” i przetwarzali na swój sposób, podświadomie wykorzystywali, dokładając swoje przemyślenia. Później wybory stały się trudniejsze, a twórcy dojrżeli. Dawniej Kilar mógł powiedzieć od niechcenia: „Machnę nowy utwór «warszawsko-jesienny»”; tak że Górecki nie miał trudności z dostosowaniem się do wymogów chwili. Tak naprawdę Górecki zdecydował się na coś zupełnie nowego dopiero w *III Symfonii*. Pamiętam atmosferę po premierze tego utworu, krytycy - przyzwyczajeni do wybuchowości jego muzyki - byli lirykiem tego dzieła zdezorientowani, wręcz oburzeni, pytali „co to jest?”, tak samo, jak po prawykonaniu *Krzesanego* Kilara. Stefan Jarociński podsumował *Krzesanego* jako czysty socrealizm! Górecki okazał pisząc *III Symfonię* wielką odwagę, dał w niej wyraz swoim nie bardzo modnym wówczas lirycznym uczuciom, stanom kontemplacji. I zdziwiałam się, że dzieło to dopiero po 17 latach spotkało się z powszechną akceptacją.

Nie uważam, by wraz z „drugą awangardą” nastąpił w muzyce śląskiej okres zastoju. Twórczość młodszych kompozytorów, których znam - Dziadka, Ciencialy, Olszawskiego, Radki, oceniam bardzo wysoko; to jest bardzo dobry gatunek muzyki. Jest tam dużo emocji, dużo wartości wyrazowych, jest dążenie do wypracowania własnej, wyrazistej estetyki. Za talentem idzie u tych twórców uczciwość polegająca na pisaniu własnej muzyki, nie idącej ślepo za jakąś modą. Porównując to, co dzieje się teraz w ośrodku warszawskim, krakowskim czy poznańskim dochodzę do wniosku, że naprawdę nie mamy się czego wstydzić.

**- Pańskie zaskakująco gorzkie felietony z lat 70. piętnowały brak społecznego rezonansu, jaki powinny były budzić światowe sukcesy naszych kompozytorów tu, na miejscu, w tak zwanym „terenie”. Od tego czasu niewiele się zmieniło...**

- Pamiętam, że mój duży artykuł z „Trybuny Robotniczej” pod tytułem *Nie tylko węgiel i stal* wywołał

szeroką i gorącą dyskusję. Ostatnio uporządkowałem swoje dawne artykuły z „Trybuny Robotniczej”, „Pogłądów” itd. i stwierdziłem, że były one kroniką podkreślającą blaski, ale i nie ukrywającą cieni. Jako entuzjasta muzyki współczesnej życzyłem sobie i społeczeństwu, żeby twórczość kompozytorów śląskich była szerzej znana. Było mi przykro, że jest konsumowana przez tak mały odłam społeczeństwa. Ale potem się przekonałem, że tak musi być. Ci, którzy tworzą nowości, są z początku odbierani przez małe grono, dopiero potem ich dorobek podlega upowszechnieniu. A że pisałem nadal krytycznie - wynikało to z przekonania, że może i powinno być lepiej, że społeczeństwo powinno bardziej cenić twórców i wykonawców. Sam propagowałem ich, jak mogłem: w prasie, w radiu, gdzie się dało.

**- Jako muzykolog, krytyk muzyczny, publicysta współtworzy Pan rzeczywistość śląskiej (i nie tylko) kultury od wielu lat. Mógł Pan zacerpnąć znanej mi tylko z legendy atmosfery słynnej „Piwniczki”, gdzie rodziła się śląska awangarda artystyczna i świadkować wielu cennym, a zapomnianym dziś inicjatywom, które miały uczynić z Katowic drugi Kraków. Czy faktycznie była taka szansa?**

- Chodzi o przełom lat 50. i 60. - istotnie, to był wielki zryw młodych: „Piwniczka” przy ulicy Warszawskiej, powstanie Klubu Młodych Twórców, który jednoczył muzyków, plastyków i pisarzy. Łączyła nas wszystkich tęsknota za nowością, za nowymi prądami w sztuce. Entuzjazmowali się tym, prowadziliśmy długie dysputy (wtedy miałem okazję przekonać się, że w plastyce jest tyle teorii, ilu twórców...). Odkryliśmy z żoną, wtedy „na swój użytek”, Zdzisława Lachura. Kupiliśmy jego olbrzymi obraz z cyklu „Konie”. Niestety, po przeprowadzce do mniejszego mieszkania z konieczności i z zalem przekazaliśmy go Muzeum Śląskiemu. Mamy też z tamtych czasów abstrakcyjny pejzaż Urszuli Broll i wspomnienie wspólnych spotkań z artystką w jej mieszkaniu na Piastowskiej, gdzie się siedziało na podłodze i jadło jajka na twardo... Wspominam dzisiaj z nostalgią ten czas fermentu... Andrzej Urbanowicz przygotowuje publikację na temat Klubu Młodych Twórców. Znajdą się tam m.in. moje wspomnienia z wieczorów, na które przychodził sam Krenz, by posłuchać zdobytych przez mnie nagrań nowej muzyki. Do naszego mieszkania przychodziło wielu entuzjastów muzycznej awangardy, długo w nocy słuchaliśmy i dyskutowa-

li. Ten okres był niezwykle twórczy dla artystów śląskich wszystkich specjalności. Było wtedy wiele radości i entuzjazmu. Żyliśmy bardzo intensywnie - jakby tylko dla sztuki.

Potem przyszły inne czasy - dojrzeliliśmy, każdy zdobył sobie pozycję i pracował już na własny rachunek. Jednak po nas nie było już w Katowicach tak zwartego, wewnętrznie zintegrowanego pokolenia. Pozostały po tym okresie wspomnienia i legendy, niektóre mocno przekłamane, jak ta, którą powtarza o mnie Tadeusz Kijonka, jakobym był niepokonany w piciu wódki... Mówiąc poważnie, młodość ma siłę jednoczenia. Potem ludzie rozchodzą się, każdy w swoją stronę. Zdarza się, często, że dorośli kompozytorzy są zapatrzeni wyłącznie w swoją muzykę. Ludzie łączą się ze sobą wtedy, kiedy znajdują się na wspólnej drodze do sukcesu. A sam sukces już tylko dzieli. Tak chyba musi być.

**- A czy dziś pojawia się nowa szansa „europeizacji” Katowic jako ośrodka kultury muzycznej?**

- To trudne pytanie. Myślę, że rzecz leży po prostu w braku finansów. Filharmonia mogłaby zapraszać do siebie markowych solistów i dyrygentów, gdyby miała na to pieniądze. Bo nasza orkiestra filharmoniczna potrafi się zmobilizować i dawać naprawdę rewelacyjne koncerty. NOSPR ma swoją markę, jej koncerty odbywają się zawsze przy pełnej sali. Ma własną publiczność, która wie, że może od muzyków oczekiwać produkcji na najwyższym poziomie artystycznym. Myślę, że powołanie Gabriela Chmury na stanowisko kierownika artystycznego było bardzo szczęśliwą decyzją. Pod jego kierunkiem osiągnięto wspaniałe rezultaty. Poza tym - ma swoją orkiestrę Częstochowa, Rybnik, Zabrze, Bytom - wobec tego już można mówić o wzroście kulturalnego stanu posiadania w regionie. Festiwale częstochowskie są zauważane w kraju, grudniowy Konkurs Dyrygentów im. Fitelberga stał się imprezą wysoko cenioną w skali międzynarodowej. Ciągłe jednak dzieje się tak, że to, co najlepsze, dzieje się w Warszawie. Tam są pieniądze na goszczenie znakomitych solistów i zespołów... Jednak mam wątpliwość: czy istotnie powinniśmy stale mieć na uwadze to, by wiedziała o nas Europa. Dobrze będzie, jeśli uzna nas własne społeczeństwo. Chyba jesteśmy na dobrej drodze do tego. Na przykład koncerty, które odbywają się w katowickich kościołach: przychodzi na nie mnóstwo ludzi. To jest bardzo dobry objaw. Tak samo - koncerty „Silesii”:

są one niezwykle ważnym elementem kultury muzycznej Śląska. Zaspokajają potrzebę obcowania z muzyką u różnych grup ludności, od przedszkola do wytrawnych melomanów. Odbývają się w sieci prawdziwych „salonów muzycznych”, rozmieszczonych po różnych zabytkowych wnętrzach Katowic i poza Katowicami, na przykład w małym Wygieszowie. Gromadzi się tam każdorazowo spora publiczność - stały zestaw miłośników muzyki, którym oferuje się programy koncertowe o najwyższych walorach przy udziale najwybitniejszych wykonawców polskich. W katowickim Urzędzie Stanu Cywilnego, w Domu Kultury „Koszućka” czy w Muzeum Archidiecezjalnym można także prezentować najbardziej wyrafinowane programy, które są ze znanstwem odbierane przez publiczność. Podobnie wysoko oceniam festiwal „Śląskie Dni Muzyki Współczesnej”, który jest systematycznie, precyzyjnie planowanym przeglądem najnowszych dokonań śląskich kompozytorów. Pomysł wydawania płyt z kroniką muzyczną festiwalu uważam za znakomity. „Śląskie Dni” nie mają wprawdzie masowej publiczności, ale - jak powiedziałem - tak powinno być. To, co nowe, rodzi się zawsze w małym kręgu, dopiero potem może liczyć na większy rozgłos.

- Przez wiele lat był Pan związany z katowicką Akademią Muzyczną, jako profesor i rektor. Pojęcie „szkoły Markiewicza” w dziedzinie teorii muzyki wydaje mi się być formułą trafną, dobrze oddającą prawdę, iż stworzył Pan pewną tradycję pisania o muzyce czy szerzej - przyglądania się kulturze muzycznej w jej szerokim społecznym kontekście. Jako uczony wyszedł Pan z szkoły słynnej Zofii Lissy, swego czasu piętnowanej za wybitnie aktywny udział w kreowaniu estetyki realizmu socjalistycznego. Jak Pan wspomina współpracę z Zofią Lisą i ją samą?

- Moja współpraca z Lisą rozpoczęła się z chwilą, gdy stałem się jej doktorantem - pierwszym doktorantem w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego z dyplomem PWSM. Jestem jej wdzięczny za to, że mnie, „obcego”, przyjęła na swoje seminarium i że zaprosiła na swoje później - z jej rekomendacji jeździłem na krajowe i zagraniczne sympozja i konferencje naukowe; zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by - już po moim doktoracie - wypuścić mnie na szersze wody. Dzięki niej nie czułem się jak ktoś z prowincji... Lissa zresztą starała

się ułatwić start wszystkim swoim podopiecznym.

Sądzę, że niesprawiedliwie ocenia się przeszłość Lissy z okresu realizmu socjalistycznego. Ja zajmowałem się problemem narastania socrealizmu w kulturze polskiej, pisałem na ten temat w „Zaraniu Śląskim”. W tytule mojego artykułu jest błąd zecerski: dałem daty 1945-1975; końcówkę drugiej przedstawiono - wyszła data końcowa 1957...

- O wiele za wczesna...

- Badałem ten okres i stwierdziłem, że Lissa nie była główną winowajczynią - jeśli to można nazwać winą. Kompozytorzy byli wówczas potrzebni władzy, by tworzyć kulturę masową. Dziś pojęcie kultury masowej jest negatywne, wówczas chodziło o udostępnienie masom wartości pozytywnej. Do osób nawołujących do pisania muzyki zrozumiącej dla mas należeli między innymi: Stanisław Wiechowicz, Witold Rudziński, nie mówiąc o Stefani Łobaczewskiej, Józefie Chomińskim, a więc cały kwiat ówczesnej kultury muzycznej, łącznie z Zygmuntem Mycielskim, jednym z najbardziej rozważnych krytyków muzycznych. Zapamiętałem jego wypowiedź: „Chcę od nas, żebyśmy pisali pieśni masowe - to piszmy je, ale niech one zabrzmiały, jak *Marsylianka*...” Obiektywnie rzecz biorąc kompozytorzy poculi się potrzebni i zaczęli pisać te pieśni - nawet pisał je Lutosławski. Był to okres wielkiej nadziei. Ludzie wyszli z koszmaru wojny i chcieli pracować. Z jednej strony likwidowano analfabetyzm, z drugiej starano się pociągać wzwyż tak zwane masy. Pisano więc dla nich pieśni - nawet niektóre udane muzycznie - i kantaty... Lissa to wszystko interpretowała, logicznie dowodząc, że muzyka zawsze była zależna od władzy. Jednak kiedy zauważyła, że wkroczyła na niebezpieczny grunt, wycofała się ze wszystkiego. Jej późniejszej działalności zawdzięczamy naprawdę wiele: to ona przekonała świat muzyczny o wartości *III Symfonii* Szabelskiego, *Koncertu na orkiestrę* Lutosławskiego - przedstawiała te utwory jako wybitne osiągnięcia kompozytorów polskich. Zainteresowała się też estetyką muzyczną - dziedziną, którą wówczas nikt się w Polsce nie zajmował. Myślę, że jej postać odznaczyła się w polskiej muzykologii.

- Miał Pan szczególnie kontakty i przyjaźń z wieloma wybitnymi artystami, uczonymi, politykami. Które z tych przyjaźni ceni Pan najbardziej?

- Czyż aż tak wieloma? Myślę, że dla mnie najmiłszy był młodzieńczy okres przyjaźni z Góreckim. Spotkałem się z nim jako asystent PWSM.

On był studentem I roku. Uczestnicząc w wykładach spostrzegłem, w jak nietypowy sposób podchodzi on do poszczególnych zagadnień techniki kompozytorskiej. Niezwykle rygorystycznie myślący profesor Adam Mitscha, prowadzący zajęcia kontrapunktu, dziwił się, ale akceptował tę odmienną. Od czasu pierwszego koncertu Góreckiego w PWSM śledziłem wszystkie jego osiągnięcia, co więcej - byłem świadkiem powstawania jego utworów. Ile razy skończył któryś, dzwonił do mnie: „Słuchaj, mam coś nowego. Przyjźdź”. „Masz fortepian?” „Mam”. „To muszę do ciebie przyjechać, żeby zobaczyć, jak się go przygotowuje”. I kładł mi do fortepianu różne blachy, brzękadła. Razem z Góreckim wyjeżdżaliśmy na wakacje - byłem świadkiem jego zafascynowania górami i góralami. Zwiedzaliśmy razem Podhalę na rowerach - wtedy nie miał jeszcze mercedesa... Byliśmy złączeni wspólną sytuacją startu. Potem, jak wspominałem, każdy poszedł swoją drogą.

Jeżeli chodzi o inne przyjaźnie - cenię sobie bardzo przyjaźń z Tadeuszem Kijonką. Ma on dar inspirowania. Jeśli przez tyle lat pisywałem w „Poglądach”, to na zasadzie, że to on prowokował tematy: „A może byś o tym coś napisał”...

- Z przyjaźni z artystami wyrosły Pańskie książki. Co planuje Pan na przyszłość? Czy napisze Pan historię śląskiej kultury muzycznej? Choćby małą, na użytek studentów?

- Nie, tego nie napiszę, bo działa już nowa generacja teoretyków i muzykologów, którzy zajmują się tym dokładniej niż ja. W ostatnich latach zajęła mnie bliżej pedagogika muzyczna. Dostrzegłem wielkie braki w zakresie publikacji z zakresu pedagogiki dla studentów wydziału instrumentalnego, więc postanowiłem wziąć się za nie. W tej chwili oczekuję na chwilę, kiedy ukaże się opracowana przez mnie korespondencja Fitelberga.

- A czy napisze Pan pamiętnik?

- Wie pani, że kilka dni temu pomyślałem sobie właśnie: „A może by zacząć pisać pamiętnik?” Trzeba będzie chyba napisać, chociaż zdaje sobie sprawę, że jestem już teraz z innego pokolenia, szereg spraw widzę inaczej, ale może obiektywnie. Kiedyś zapytałem Iwaszkiewicza: „Co Pan sądzi o awangardzie?” A on na to: „Wie Pan, dla mnie awangarda to Szymanowski, i wolalbym przy tym zostać”. Rzeczywiście, czerpiemy głównie z przeżyć młodości, potem już tylko nimi żyjemy. Ale dziękuję za to pytanie. Przemysław sprawę.

## Co dziesiąty mieszkaniec Śląska Opolskiego zarabia za granicą



Rys. Ryszard Twardoch

# Tysiąc kilometrów do pracy

MAREK  
BASTER

Renata Świata z Żytniowa od dwóch lat jeździ do Holandii. Pracę przy pakowaniu serów załatwiła jak większość Ślązaków pracujących czasowo w krajach Unii - przez pośrednika. Dokumenty, jakie swego czasu podpisywała, były w języku niderlandzkim, również ten o przeniesieniu na polską firmę pełnomocnictwa do rozliczenia podatku dochodowego. Teraz dostała decyzję holenderskiego urzędu o zwrocie nadpłaconego podatku. Suma jest poważna, ale Renata Świata nie zobaczyła dotąd tych pieniędzy. Na czyje konto wpłynęło kilka tysięcy guldów?

**Dla** takich jak ona, coraz liczniejszych mieszkańców Opolszczyzny, którzy pracując za granicą napotykają rozliczne problemy, Heribert Heinrichs stworzył z żoną Jolantą kancelarię prawną. W każdą sobotę do Rogowa Opolskiego zjeżdżają oszukani przez pracodawców bądź pośredników. Najczęściej w Holandii, bo to teraz najbardziej popularny kierunek wyjazdów dla posiadających podwójne obywatelstwo Ślązaków.

- Ludzie podpisują różne dokumenty, nie znając języka - mówi Heinrichs.

- A potem się okazuje, że firma pośrednicząca nadała ten sam numer podatkowy kilku osobom. Ktoś pracuje i płaci podatek, a w tym czasie na ten sam numer zatrudnia się nowych pracowników ze Wschodu. I człowiek dostaje wezwanie, że ma płacić podatek za trzy inne osoby.

- Ale wyjeżdżają. Mimo problemów, tłuką się kilometrami do roboty, bo tu roboty nie ma - tłumaczy mec. Zygmunt Delikowski, który prowadzi sprawy prawne pracujących za granicą Ślązaków. - Rozłąkę z rodziną rekompensują sobie zupełnie niezłymi zarobkami. Siedem, siedem i pół euro za godzinę, a są tacy, co i dziewięć zarabiają. Problemy pojawiają się, kiedy Niemiec płaci polskiemu pośrednikowi, a ten nie płaci pracownikom. Albo wypadki, po których pracodawcy próbują się pozbyć pracownika.

### W poniedziałek muszę być na budowie

**Tak** było z Konradem Mrozem z Górek. Pracuje w Duisburgu, robi ściany gipsowe w budynkach. Pojechał na nową turę w marcu, a w połowie maja miał wypadek. - Sześć tygodni byłem w szpitalu. Teraz szef nie chce płacić. Dlatego w sobotnie przedpołudnie przyjechał załatwić sprawy do Rogowa. Ale w niedzielę znów jedzie: w poniedziałek rano musi być z powrotem w pracy.

Mról jest jednym z ponad stu tysięcy opolskich Ślązaków, którzy stale jeżdżą do pracy w Niemczech i w Holandii. Choć niektórzy, jak prof. Robert Rauziński z Instytutu Śląskiego w Opolu uważają, że liczba ta jest nieco niższa i wynosi ok. 80 tysięcy, bezduszna statystyka pokazuje, że co dziesiąty mieszkaniec województwa opolskiego przebywa ponad dwa miesiące za granicą. Razem - 108 tysięcy ludzi. Pracują w tym czasie na budowach i w wielkich supermarketach albo przy zbiorze owoców, wykonując najprostsze prace fizyczne. Ci, co jeżdżą do pracy w Berlinie czy Frankfurtach, mogą być w domu raz na dwa tygodnie. Ale coraz więcej Opolan jeździ dalej, do Holandii, a stamtąd nie opłaca się przyjeżdżać do domu częściej niż raz na dwa miesiące.



Opolscy Ślązacy jeździli za pracą do Niemiec od lat. We wczesnych latach osiemdziesiątych miesiąc na niemieckiej budowie to był polski miesięczny zarobek razy sto! Dziennikarz z Opola pamięta, jak jeszcze pod koniec lat 80. wszyscy jego koledzy wyjeżdżali, żeby dorobić przez parę miesięcy. - *Kiedy taki wracał, imprezę kolegom z huty wystawiał, że się cały oddział nawalił i przez tydzień było o czym opowiadać.*

Dziś przelicznik euro na złotego nie jest już tak atrakcyjny - na Zachodzie można zarobić do pięciu średnich krajowych. To jednak wciąż potężne pieniądze, a i same wyjazdy stały się dziś wręcz koniecznością. Największe opolskie przedsiębiorstwa albo są w likwidacji, albo ograniczyły zatrudnienie. Już nie przyjmują nikogo do huty Małapanew w Ozimku ani do kędzierzyńskich Azotów, ani do strzeleckiego Agrometu; przeciwnie, stamtąd zwalnia się ludzi. Więc trzeba wertować „Nową Trybunę Opolską” w poszukiwaniu ogłoszeń („tylko dla posiadających paszport Unii Europejskiej”). Trzeba jechać.

Z drugiej strony ekonomista z Uniwersytetu Opolskiego dr Romuald Jończy pokazuje badania, z których wynika, że tylko co siódma osoba deklaruje, że wyjeżdża na Zachód, bo pod Opolem pracy nie ma. Dla większości liczą się w pierwszym rzędzie pieniądze. A te są niebagatelne: Jończy szacuje, że w ciągu roku Ślązacy przywożą około pół miliarda euro, czyli ponad dwa miliardy złotych. Dzięki temu dochód w rodzinie autochtonicznej jest wyższy o 540 złotych na osobę (w skali całego województwa o ok. 230 zł na członka rodziny). Bez tych pieniędzy, których oficjalne statystyki nie liczą, województwo opolskie znajduje się na dziesiątym miejscu w Polsce pod względem dochodu na osobę; biorąc jednak po uwagę zarobione na saksach pieniądze, Opolszczyzna to najbogatsze województwo w kraju!

## Tata w Niemczech, mama w Holandii

Jeśli zjechać z autostrady w Krapkowicach czy w Strzelcach Opolskich i wjechać na opolską wieś - to może być prawda. To jest świat uporządkowany i czysty, bez jednej dziury w płocie czy krzywego dachu. Diter Kalla z Krośnicy, uznanej za najpiękniejszą wioskę w regionie, jeździ popracować w czasie wakacji do Niemiec, ale takiego porządku nawet tam nie spotkał. Tutaj widać, że ludzie przywożą do domu euro i inwestują je w domy i posesje. Dalej na wschód, za Głogówkiem i Niemodlinem, gdzie przez długie powojenne lata bywało, że osadnicy niczego nie naprawiali w poniemieckich zabudowaniach, już nie jest tak pięknie i bogato. Podział na „polską” i „śląską” część Opolszczyzny

pozostaje w mocy, choć i tam, na „Opolszczyźnie B”, coś się powoli zmienia: w końcu Ślązacy wydają na miejscu zarobione pieniądze, podbijając koniunkturę w całym województwie. Prof. Rauziński szacuje, że zarobkujący Ślązacy dają pracę 40 tysiącom osób.

- *Bo Ślązak jest gospodarny i zaradny, potrafi dbać o swój heimat* - mówi poseł Henryk Kroll. - *Niestety, te łatwe pieniądze zarobione za granicą przynoszą też sporo złego.* Na początku lat 90. Kroll sądził, że zaopatrzeni w niemiecki paszport Ślązacy będą pracować w Niemczech, a po powrocie otwierać firmy na Śląsku Opolskim. Niestety, podobne przypadki są dziś tak rzadkie, że o każdym nowym sklepie czy firmie budowlanej, założonej przez powracającego z saksów Ślązaka, rozpisują się miejscowe gazety. Paszport Bundesrepubliki oznacza dziś wyłącznie możliwość legalnego zatrudnienia w Unii, nic więcej. Ludziom spodobał się taki model życia i przywykli do niego: ojciec zarabia za granicą, w domu niepracująca matka wychowuje dzieci.

- *Dzisiaj jest nawet gorzej niż kilka lat temu* - mówi senator Dorota Simonides, - *dziś coraz częściej wyjeżdżają również matki. A dzieci wychowują dziadkowie. Najlepszym tego dowodem są opowieści księży, którzy chodzą po kołędzie. Gdzie mama? W Holandii. Tata? W Niemczech. Dzieci się nie uczą, bo przykład idzie z góry. Po co się kształcić, skoro wystarczy zawodówka i paszport, żeby wygodnie żyć. W ten sposób zniszczeniu ulega najpiękniejsza rzecz, jaką się udało na Śląsku zachować: rodzina.*

Mówił o tym arcybiskup Alfons Nossol w głośnym liście pasterskim, dwa lata temu na Wielkanoc. „Robotnicy - pisał - wyjeżdżający do pracy za granicą z reguły pracują po około 10-12 godzin dziennie, a często także w niedziele. Zamieszkują w wieloosobowych pokojach. Samotnie spędzają wieczory, zwłaszcza soboty i niedziele”. Ale doceniając wyrzeczenia, Nossol postawił wprost pytanie: „Czy rodzina poprzez te wyjazdy czasami więcej nie traci niż zyskuje?” I argumentował: „Małżeństwo zakłada w swej istocie przebywanie razem, bez jakiegokolwiek długiej rozłąki. Rozwody na śląskiej wsi były jeszcze do niedawna czymś obcym. Obecnie zdarzają się coraz częściej. Można podejrzewać, iż wpływ na to mają także zarobkowe wyjazdy za granicę”.

Wielu obruszyło się na takie stanowcze słowa opolskiego biskupa. Jak to, przecież my harujemy, kosztem rozłąki z rodziną! Skoro nie ma pracy tu, zarabiamy tam i dzięki temu w śląskich gminach bezrobocie jest najniższe w Polsce: statystycy podpowiadają, że tylko sześć procent! Ale statystyka pokazuje także, że krzywa rozwodów w śląskich rodzinach rośnie.

- *Mężowie wracają kilka razy w roku i w ciągu trzech dni chcą wychowy-*

*wać dzieci* - tłumaczy prof. Simonides. - *A jeżeli przyjeżdżają na dłużej, na święta na przykład, wtedy widać, że mąż i żona zdążyli odzwyczaić się od siebie. Przyzwyczajone do życia osobno żony, nie chcą, żeby im się mężowie wtrącali do kuchni i garnków. I stąd coraz więcej rozwodów. Gdyby oni choć wrócili z doskonałą znajomością języka, żeby tu być kimś. Żeby jakieś biznesy zakładali. A tak, to wszystko idzie w te domy...*

## Model bez przyszłości

Trudno się więc dziwić, że połowa dzieci z gimnazjum w Izbicku pójdzie prosto do zawodówki. Tak jest w większości gmin autochtonicznych. Tu też wyniki testów gimnazjalnych były najniższe w województwie. - *Dyrektorzy szkół tłumaczyli, że to właśnie przez te wyjazdy rodziców* - mówi burmistrz Krapkowic Piotr Solloch. - *Bo kto ma w domu dzieci do nauki gonić? Mama? Jej też często nie ma.*

Wiceburmistrz Kolonowskiego Norbert Kostoń swego czasu też jeździł do pracy w Niemczech, ale za pierwsze pieniądze kupił sobie komputer. - *U nas niestety wciąż obowiązuje model pragmatyczny, materialistyczny. Liczy się fach, praca i dom. Nauka nie jest jeszcze powszechnie uważana za inwestycję na przyszłość.* Niewielu zatem posłuchało opolskiego biskupa, który tłumaczył: „Kochana młodzieży, błagam was: uczcie się dalej, a po maturze podejmujcie studia na naszych wyższych uczelniach, bo to wspaniała inwestycja w wasze życie!” Powoli, bardzo powoli rośnie procent Ślązaków studiujących na Uniwersytecie i Politechnice Opolskiej: mierzony ostatnio tzw. wskaźnik scholaryzacji wynosił wciąż 80 do 20, na niekorzyść dzieci z rodzin śląskich. Bo wzorzec ojców i starszego rodzeństwa działa: jakikolwiek zawód, byle prędej, potem paszport i do pracy za 2000 euro na miesiąc. Żeby po pół roku można było zabrać do dyskoteki dziewczynę własnym autem.

To jednak może się skończyć. Nie od razu, za rok czy dwa, ale za kilka lat gremialne wyjazdy do pracy za granicę mogą ustać. Od przyszłego roku Holandia otwiera swój rynek pracy dla wszystkich Polaków, nie tylko dla tych z podwójnym obywatelstwem. Może się zrobić gorąco - zastanawiają się niektórzy - bo konsekwencją polsko-polskiej konkurencji o robotę może być obniżenie stawek. Opolscy Ślązacy przeniosą się zapewne z powrotem do Niemiec, które nadal będą wymagać unijnego paszportu. Ludzie do pracy przy najprostszej murarce czy pakowaniu owoców w hipermarketach będą wciąż potrzebni, ale... W Niemczech bezrobocie wynosi już dziś cztery miliony: sto tysięcy Ślązaków może się tam po prostu nie zmieścić.

# W matni

Z DITEREM KALLĄ, dyrektorem gimnazjum w Izbicku  
rozmawia MAREK BASTER

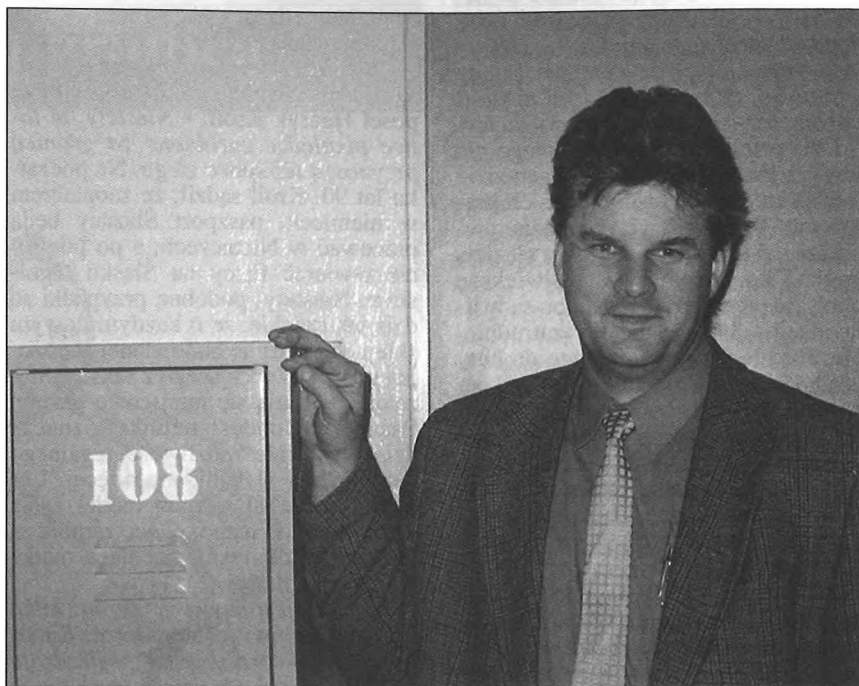


Foto: Marek Baster

- Ma pan ma drugi paszport w domu?

- Tak.

- Też pan jeździ do pracy w Niemczech?

- Rzadko. Tylko w wakacje. Mam pracę, moja sytuacja finansowa jest stabilna. Nie mam powodu tłuc się po Europie, chyba że potrzebuję odreagować stres i przy okazji dorobić.

- A kiedy pan zaczął jeździć?

- Wtedy, kiedy wszyscy zaczęli. W 1986 roku. Pracowałem w warsztacie elektrycznym koło Dortmundu. Zarabiałem 10 marek na godzinę. Jak przyjechałem do domu, mój Boże, to było pół roku pracy u nas!

- A w tym roku też pan był?

- Tak, we Freudenbergu. W firmie, w której pracowałem ostatnio trzy lata temu. Praca na akord, przy wystroju sklepów. Stawiamy ścianki, obalamy ścianki. Kładziemy wykładziny, zrywamy wykładziny. Kleimy, płatkujemy. Pracowałem razem ze swoimi uczniami.

- ?

- Tak, z moimi byłymi uczniami. W 11-osobowej załodze było ich siedmiu. Codziennie po 10 godzin, jak to oni mówią, tykaliśmy. Niestety, moja wydajność 40-lątka była niższa, bo już nie te lata i nie ten czas.

- No, to piękny pan im przykład dawał!

- Przykład osobisty na niewiele się zda, gdyż moje wynagrodzenie po trzech fakultetach nijak się ma do tego, co oni zarabiają. Ale myśmy tam sporo przegadali. Ja im cały czas tłumaczyłem: Przyjacielu, zarobisz w dwa miesiące masę pieniędzy i co dalej? No, co chcesz zrobić z tą kapuchą? Proszę pana, mówi mi jeden, odnowię sobie dom. Faktycznie, kilku chłopaków remontuje albo buduje własne domki. Inny mówi: ja się tu, proszę pana, ustawię i te pieniądze pozwolą mi na godziwe życie, kiedy mnie przyciśnię. Jeden czy dwóch z tej siódemki odpowiada, że może otworzy jakąś firmę. Może otworzy, bo lęk przed zainwestowaniem sporych pieniędzy jest wielki, Ślązacy nigdy nie byli specjalnie skłonni do podejmowania ryzyka. A praca w Niemczech daje im bezpieczeństwo i życie na wysokim poziomie materialnym.

- No i po co się uczyć?

- To są bystrzy, inteligentni, mądrzy chłopcy, proszę mi wierzyć. Bardzo wielu skończyło szkołę średnią z wyróżnieniem. Ale wolą harować fizycznie w Niemczech, bo doszli do wniosku, że nie będą pracować za dwa tysiące złotych. Wolą dwa tysiące, ale euro.

- Ale coś za coś.

- Oni sami to mówią. Chłopie, mówię, ty tu tykasz w akordzie, a młodość ci ucieka, wszystkie dziewczyny

ny ci koledzy wyjmą i zostaniesz sam jak pień! A on mi odpowiada: proszę pana, ja wiem, ja już jestem sam jak pień, dlatego jak przyjadę na dyskotekę, to nie mam się z kim pobawić, bo nikogo nie znam. Ale ja podjąłem tę decyzję świadomie. To jest coś za coś.

- A kiedy pan im mówi o nauce i studiach, to...

- ...odpowiadają, że teraz są takie czasy, że trzeba najpierw mieć samochód, ciuch, dolby surround, komputer i komórkę. A wykształcenie? Nie teraz, za rok albo za dwa. Proszę pana, mówią mi, ja jestem ambitny, ja najpierw muszę zarobić, a dopiero potem będę myślał o wykształceniu. Brakuje im ciągłego wbijania w głowę, że jak jesteś zdolny, to powinienes się uczyć.

- Szkoła nie wbija?

- Wbija, wbija, ale co robić, kiedy młodzi patrzą na przykład rodziców i starszego rodzeństwa. Jeśli ktoś się od dziecka osłuchuje z tym, że można w miesiąc zarobić sześć tysięcy złotych, to jaką może pan mieć motywację do nauki? W te wakacje pracowałem razem ze mną ubiegłoroczny absolwent. On ma 17 lat! Za zarobiony grosz chce sobie sprawić sportowe auto. Jak je kupi, będzie chciał mieć dolby surround, więc znów trzeba będzie jechać... W ten sposób chęć posiadania przebija chęć wykształcenia.

- **Jak pan ma wywiadówkę w szkole, to ilu rodziców brakuje?**

- Jeżeli są akurat w domu, to przychodzą. Ale jeśli są skargi na dziecko, że się nie uczy, jeśli sąsiedzi „donoszą”, że są z nim kłopoty - to nie przychodzą. Ze wstydu. Więc albo nie przychodzą, bo ich nie ma, albo nie przychodzą ze strachu przed problemami z dzieckiem.

- **Ilu pańskich uczniów ma rodziców w pracy na Zachodzie?**

- Około jednej trzeciej rodziców stale lub dorywczo pracuje na Zachodzie.

- **To kto wychowuje dzieci?**

- Babcia albo dziadek. Albo drugi rodzic, ale on też pracuje i wraca do domu o osiemnastej. A często sam jeździ do Niemiec. I cóż ta biedna ołma może? Bryka się rozjeżdża - rodziców nie ma. Młodzież pali papierosy, pije alkohol. W wieku dojrzewania pojawiają się zakazane owoce: ja się dowiaduję, że oni już nie tylko dyskotekują, ale siedzą w restauracjach i sączą sobie płyny... O, za panem leżą nasze ulotki z apelem o niesprzedawanie młodzieży alkoholu i papierosów. W poniedziałek to pójdzie do wszystkich właścicieli barów i sklepów, bo innego wyjścia nie mamy. Jednej dziewczynce powiedziałem wczoraj, że albo mi odda papierosy, albo jej robię rewizję, bo wiem, że ma. Położyła. I tę paczkę papierosów oddałem matce, którą wezwałem do szkoły. Ustaliliśmy, że będzie bardziej kontrolowała córkę. Ale ja wiem, że ona będzie znowu musiała jechać do pracy. Ona tutaj jest przez tydzień, a na trzy tygodnie jedzie do pracy.

- **Tak jak w Izbie, jest wszędzie?**

- Tu jest bardzo specyficzny region. Tu praktycznie z każdej rodziny albo ktoś siedzi w Niemczech, albo pracuje, albo wyjeżdża choć raz w roku do pracy. Stąd taka niska świadomość edukacyjna. Nikt z nas nie ma wątpliwości, że kluczem do sukcesu jest współpraca między rodzicami a szkołą, ale... Tutaj nie ma ciągłości wychowawczej, wie pan. To jest dramat Śląska! Dramat młodzieży, która jest mądra, inteligentna...

- **...a kiedy przychodzi do testu gimnazjalnego, to w sąsiednich gminach wyniki są najsłabsze w całym województwie opolskim.**

- A jaką oni mają motywację, żeby w ogóle pisać ten test?!

- **Ilu wybiera szkołę zawodową?**

- Połowa. Tłumaczymy im, żeby szli do szkoły średniej, do liceum profilowanego, żeby mieć i zawód,

i maturę. Układamy programy profilaktyczne. Ale jak głową w ścianę. „No przecież ja, proszę pana, nie będę robić za tysiąc złotych. Ja w ogóle pracy nie znajdę, jeżeli mnie rodzice nie wsadzą do pracy w Niemczech, bo tu jest bezrobocie”... Więc idą do zawodówki, żeby ją szybko skończyć. Nieważny zawód, bo czy to wiadomo, co w tych Niemczech będą robić? Niech będzie na przykład elektryk, tam i tak będzie pracował jako tapeciarz: spręży się i przekwalifikuje. I tak byt określa świadomość. Kasa określa świadomość.

- **A może: praca określa świadomość?**

- Tutaj, gdzie dominuje model wyjazdów zarobkowych do Niemiec, faktycznie istnieje ukryte bezrobocie. My tego nie widzimy, bo większość w Niemczech pracuje. Gdyby tu nagle zjechało 60 tysięcy ludzi, wszyscy byliby bezrobotni! Tylko dlatego Śląsk Opolski jest regionem o najniższym bezrobociu w Polsce. Ale za to płacimy wysoką cenę - my, czyli szkoła, rodzina, społeczeństwo. I to się może w przyszłości odbić czkawką.

- **Ale to dobrze, że biedy nie widać, nie?**

- Ale jest drugi koniec tej prawdy. Niby wszystkim się żyje dobrze, aut i sprzętów mamy potąd, a nasze chałupki wyglądają pięknie. Ale jak popatrzymy na wykształcenie, to w rejonie Izby, Jemielnicy i Zawadzkiego procent ludzi z wyższym wykształceniem jest chyba najniższy w całym powiecie strzeleckim. Mit szybko zarobionych pieniędzy i mit czekającego dobrobytu jest silniejszy. Także mit stabilnej starości, bo proszę sobie wyobrazić, że ci, co tam przepracują 10 lat, mają już prawo do emeryturki.

- **Którą może i będą konsumować sami, bo przez te wyjazdy liczba rozwodów rośnie.**

- Małżeństwa po czterdziestce są raczej stabilne. Najbardziej się sypią małżeństwa między 20 a 30 rokiem. Sam znam kilka przypadków, kiedy chłopak pojechał do pracy i puścił się w tan. Albo inny: mąż pojechał, żona pojechała i w tan poszli oboje, a małżeństwo się rozleciało. Teraz jedna z matek przyjeżdża i mówi, że bierze dziecko do Holandii. U nas miał zostać jako drugoroczny, ale ona go zabiera. Mówi, że syn holenderskiego się będzie uczył, tam jest jego miejsce, ona tam zapewni mu byt i godziwe życie.

- **To nie tak miało być z tym podwójnym obywatelstwem.**

- A! I tu jest problem, z którym moim zdaniem mniejszość niemiecka i sam Kroll powinni się zmierzyć. Bo nie ma żadnego związku między czerwonym paszportem a patriotyzmem. Gdyby tak było naprawdę, to w czasie wyborów w Niemczech oni, pracując tam, szliby do tych wyborów. Kiedyś powiedziałem jednemu: Jurek, są wybory do parlamentu, wypadaloby pójść głosować na orientację, która ci dała czerwony paszport? A on: Jo to mom w zadku, a co to zmieni w moim życiu? Mam paszport i nie mam czasu, ja muszę pracować.

- **Niewiele posłuchało próśb biskupa Nossola: pracujcie, jeśli musicie, ale uczcie się!**

- Biskup Nossol, mam wrażenie, jest idealistą. On chciałby, żeby wszyscy się uczyli i byli wykształceni, ale... Słowa nauczają, ale to czyny pociągają. Szlachetne słowa zapraszają do nauki, ale czyny potwierdzają: po cholerę mi się uczyć, skoro ja tam wyjadę, będę zwykłym, szarym pracownikiem, obowiązkowym, rzetelnym, wydajnym, ale zwykłym pracownikiem i dzięki temu zarobię furę pieniędzy, które umożliwią mi życie na europejskim standardzie, do którego przecież Ślązacy nigdy nie byli przyzwyczajeni. ...Pytanie: jak długo? Spotykam w sklepie chłopaka, dawno go nie widziałem. Co słychać?, pytam. Proszę pana, właśnie jestem po operacji płuc. Po jakiej operacji, ty masz dopiero 26 lat! A on mi mówi, że w związku z wykonywaną tam pracą zachorował na płuca, a poza tym ma uszkodzony kręgosłup. Młody człowiek, nawet dziesięciu lat nie popracował. A kiedy startował w Niemczech, może i ktoś mu mówił: synku, może trzeba będzie za te pieniądze zapłacić wysoką cenę...

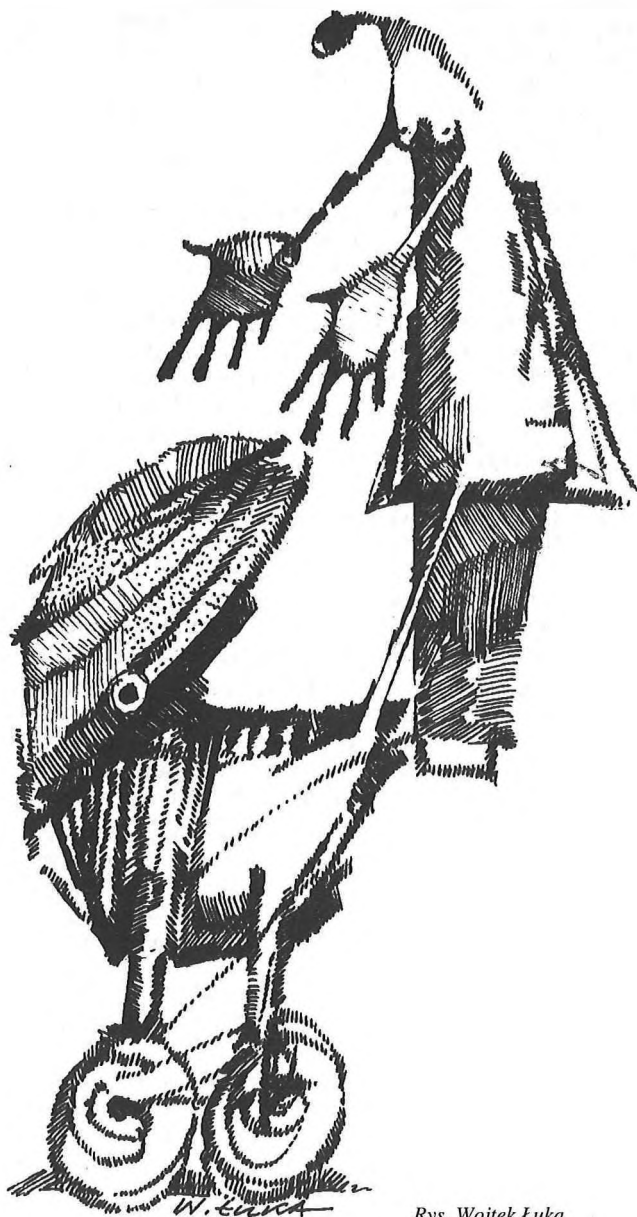
- **Pan też tłumaczy swoim byłym uczniom, kiedy szykujecie nowy sklep do otwarcia, że nauka jest ważniejsza. A oni pewnie mówią, że pan plecie, bo sam dorabia.**

- Nie, oni mnie znają i myślę, że mnie słuchają. Tylko, że oni wpadli w takie tryby, że trudno im z tej matni wyjść. Przyzwyczajenie jest zbyt silne, oczekiwania od życia są wysokie. Model pracy zarobkowej w Niemczech uzależnia. I oni w nim tkwią. Być może za parę lat jeden czy drugi wyrwie się z tej brygady i pójdzie na studia. Ktoś uruchomi w rodzinnej wiosce kolejny prywatny warsztat. Ale to wyjątki. Oni w tej chwili gorliwie piją ze źródła, które im dano. Póki wciąż można.



# Marketiada

MARZENA ORCZYK



Rys. Wojtek Łuka

Dyżur się skończył. Ada szła wolno ulicą, jej jasnoniebieska sukienka buntowniczo krzyczała kolorem. Wizualne „nie” - na przekór naburmuszonej szarości kamienic, popękanych chodników i nastrojów przechodniów. W nozdrzach czuła jeszcze tę woń - wód płodowych i słodkawej, mlecznej niewinności. Osiem godzin na nogach: zmęczenie tętniące w skroniach, plus cztery nowe życia, w tym jedno przez cesarskie cięcie. No i minus te dwa na intensywnej terapii. Szpitalna matematyka... Porodówka i „ojom” - wieczny wyścig od i do życia. „Na szczęście oddział położniczy to przynajmniej dodatni bilans” - pomyślała Ada - „Nie zniósłabym ojomu”.

Na przystanku autobusowym stała, jak zwykle, spora grupka osób. Ada podeszła do wiaty i spojrzała na rozkład jazdy, a po chwili wyciągnęła z torebki swój zegarek, na skórzanym kikuciku paska zwisała smętnie tarcza. Niepełnosprawność rzeczy martwych. Niepełnosprawność, ale nie złośliwość - zegarek działał, była 19.15. Do odjazdu czternastki zostało pół godziny. „Za mało, nie zdążę” - pomyślała i postanowiła pojechać kolejnym autobusem. Skierowała się w stronę placu św. Marka, potem przecięła w poprzek ulicę Sienkiewicza, ostatni zakręt i oto była już prawie u celu.

Przed nią rozciągał się olbrzymi plac parkingowy, zapelniony po brzegi, dziesiątki ludzi kręciło się między autami. W świetle zachodzącego słońca wyglądało to niesamowicie. Wijące się kłębowisko sukienek, koszul, spodni, dziecięcych kokardek, pulsujące kolorem - żywa plazma miasta. Nad wszystkim górował, niczym Taj Mahal - hipermarket. Czerwony szyld „REAL” hipnotyzował wzrok.

Ada zaczęła przeciskać się przez tłum pakujący swoje zakupy z metalowych wózków do zachłannych gardzieli bagażników. Po kilku minutach dobrnęła wreszcie do wejścia.

Po obu stronach obrotowych drzwi stały dwie osoby w przebraniu uśmiechniętych świnek i zapraszały do środka. Trwała właśnie weekendowa Akcja Szukania Świnki. W każdy piątek pracownicy marketu ukrywali małą maskotkę - różową świnkę wśród produktów. Szczęśliwy znalazca otrzymywał bon towarowy o wartości 200 złotych. Co tydzień dorośli i dzieci myśleli wśród półek, przetrząsali kosze z ubraniami, zanurzali ręce w przegródki pełne cukierków, batoników, zaglądali za szłoiki z konfiturą i pod liście kapusty przy stoisku warzywnym, przy okazji wrzucając to i owo do koszyków. Dzisiaj również trwało wielkie poszukiwanie.

Jednak Ada nie zamierzała dołączać do poszukiwań, wzięła koszyk i bez pośpiechu weszła do hali. Srebrne barierki otworzyły się zachęcająco.

Przechadzała się leniwie wąskimi korytarzykami. Półki wabiły kolorami i zapachami. Wszystko przebiegało jak zwykle zgodnie z rytuałem. Tak... Rytuał to bardzo ważna rzecz, daje poczucie sensu, bezpieczeństwa. Bywa także aktem sztuki, weźmy na przykład japońską ceremonię parzenia herbaty czy ikebany. Bywa i medytacją, a czasami nawet lekiem na stres i lęk. Relaksuje, odrywając od rzeczywistości.

Ada miała swoją osobistą ceremonię marketową i celebrowała ją z wręcz mistycznym zaangażowaniem. Już z chwilą, gdy metalowe barierki otwierały się przed nią, czuła, że zostawia za sobą rzeczywistość, pracę, swoje życie, wchodzi do jakiegoś innego świata. Najważniejsze było jednak to, że w marketcie mogła czuć się anonimowa, niezauważalna. Bo tutaj nikt na nikogo nie patrzył, wszyscy koncentrowali się tylko na ładach i półkach. Co ciekawe, można było nawet przejść tuż obok znajomych nie zauważając ich (i vice versa). Adzie to odpowiadało. Paradoksalnie czuła, że odpoczywa od natrączywej obecności ludzi, nikt się nią nie interesował. Czasami jednak lubiła podglądać innych. Patrzyła jak chodzili od półki do półki, obserwowali co kupują. Tutaj roztargniona matka z dwoma małymi chłopcami, wrzucającymi ukradkiem do przepełnionego koszyka „snickersy” i „milky way”. Obok szara, zaniedbana kobieta z karteczką i długopisem w dłoni, w koszyku najtańsze środki czystości i „czekoladopodobna” czekolada. Przy chłodni chuda pannica przebiegająca cienkimi palcami w jogurtach z napisem „0% tłuszczu...”. Zawartość jej koszyka można było odgadnąć bez trudu - słodzik, dietetyczny batonik i bezcukrowa cola. Może stąd ta skwaszona mina? Przy stoisku ze zdrową żywnością - młodzieniec z dreadami, odziany w kolory ziemi z uwagą studiujący etykiety, być może wegetarianin z ekologicznymi zapędami. A tutaj znów „serdelkowata” para trzymająca się za ręce, wrzucająca raz po raz do koszyka - a to golonkę w galarecie a to smalczyk, to znów chałwę, piwko. Zawartość koszyka jako metoda na poznanie człowieka - ciekawa hipoteza, warta sprawdzenia...

Rytualna droga Ady zaczynała się od działu muzycznego. Najpierw przeglądała nowości i starsze płyty, czasem wybierała jakąś i przesłuchiwała wybrane kawałki. Dzisiaj zauważyła zbezczerzczony muzyczny rarytas - płyta „Secret World” ulubionego Petera Gabriela w wersji live leżała w koszyku z napisem „promocja” wraz z jakimiś składankami i „britneysprowskimi” made in Poland. Wyciągnęła płytę i wrzuciła do swojego koszyka.

Potem punkt numer dwa: słodczyce. Ada, jak zwykle nasączała się aromatem czekolad, który mimo szczelnego opakowania wydobywał się dyskretnie i uwodził nos. Spoglądała na prostokątne tabliczki, dla których wymyśliła specjalną typologię. Na przykład mleczna - czekolada dla dzieci i dziewczec. Z orzechami - dla twardego macho, kawowa zaś dla pracoholików, rumowa dla abstynentów, biała-czarna dla „donkiszotów” i polityków. Z nadzieją dla ciężarnych, a gorzka dla ludzi starych - wytrawnych koneserów życia.

Kolejny przystanek - dział książek. Przyjemnie było poczuć gładkość papieru i ten zapach - słów zastępczych na białych kartkach. Ada wzięła do ręki „Spóźnionych kochanków” i zaczęła czytać. Zawsze kiedy przychodziła do supermarketu czytała dwie strony, była już na 254. W takim sposobie czytania było coś magicznego i trochę smutnego. Bo to nie było tylko zwykłe czytanie, ale przede wszystkim odmierzenie czasu i samotności za pomocą książki...

Po przeczytaniu kolejnej „porcji” Ada odłożyła książkę na półkę i skierowała się w stronę działu zabawek. Przechodziła między półkami, patrzyła na lalki, misie, samochodziki, klocki. Im dłużej patrzyła, tym bardziej boleśnie odczuwała prawdę - to, że sama nie będzie mogła mieć dzieci. Położna z wyciętą macicą. Przewrotny fakt... Poczula przykry ucisk w klatce piersiowej i gardle, ale nie mogła przecież pozwolić sobie na płacz. Westchnęła i przeszła do produktów kosmetycznych. Oglądała teraz kształtne słoiczki kremów, buteleczki wód toaletowych, olejków do opalania, eliksirów młodości, barwne pudełka farb do włosów. Oczy rejestrowały, a myśli coraz bardziej zwalniały bieg. Czuła się jak zahipnotyzowana. Trwało to pięć, dziesięć, a może dwadzieścia minut...

Z tego dziwnego stanu wyrwały ją krzyki dochodzące ze stoiska z artykułami gospodarstwa domowego. „Jest! Jest!” - piskliwy głos odbijał się z siłą Molotowa od ścian sklepu i atakował uszy. Ada podeszła bliżej i ujrzała zwyciężczynię weekendowych poszukiwań świnki - energiczną platynową blondynę około pięćdziesiątki, z kilkucentymetrowymi odrostami oraz biustem w zenicie. Obok stał jej mąż. Był, dla kontrastu, chudy jak patyczak i miał przejmująco nieobecny wyraz oczu. Sprawiał wrażenie, jakby wygrana w ogóle go nie obchodziła. „Leżała w tym garnku! O tu!” - skrzeczała blondyna, wskazując na masywny rondel z przykrywką. Obok niej zebrała się grupka ciekawskich. „Właśnie oglądaliśmy z mężem te garnki, patrzymy i jest!” - ciągnęła dalej, ściskając w garści szmacianą świnkę. Ktoś zaczął klaskać. Zamieszanie trwało jeszcze kilka minut, po czym kobieta obwieściła: „Stasiu, idziemy, muszą nam wydać bon” i ruszyła ostro w kierunku kas. Staś posłusznie podreptał za nią...

Ada spojrzała na zegarek, półtorej godziny minęło jak dziesięć minut. Zaczęła powoli kierować się do wyjścia. Minęła stoisko ze świeżym pieczywem, potem przeszła między półkami z artykułami dla zwierząt, w końcu doszła do stoisk z odzieżą. W wielkich koszach leżały skotlowane dżinsy, bluzki, bielizna. Na wieszakach wisiały bardziej eleganckie ubrania: żakiety, spodnie z dobrej gatunkowo wełny, jedwabne bluzki i ozdobne chustki. Ada miała już stamtąd odejść, kiedy na jednym z wieszaków zauważyła błękitną apaszkę z etnicznym haftem i przyszytymi małątkami turkusikami. Pomyślała, że kolorem pasowałaby do sukienki. Wzięła ją do ręki. Apaszka była lekka jak piórko i niesamowicie droga, kosztowała prawie 60 złotych. Z wahaniem odłożyła chustkę z powrotem.

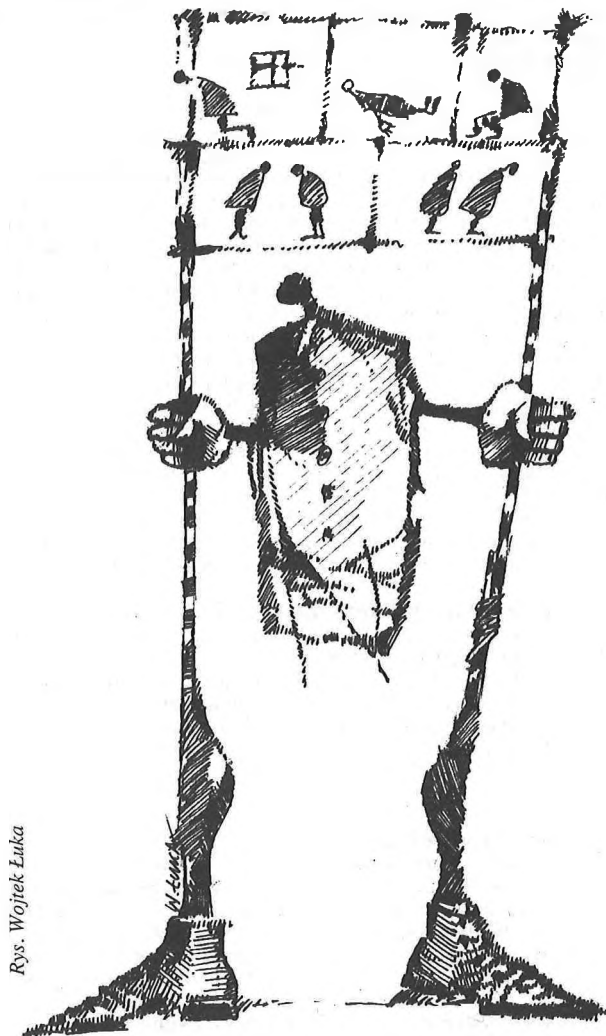
I wtedy ją zobaczyła. To była dziewczynka dwuipółletnia, może trzyletnia. Miała jasne włosy i duże zielone oczy. Siedziała w podniszczonym spacerowym wózku i uśmiechała się. Do niej. Ada rozejrzała się dokoła. Przyszło jej do głowy, że ktoś dziecko zostawił, ale po chwili zrozumiała, że matka dziewczynki jest w przymierzalni. Zasłona była nieco za krótka i widać było stopy kobiety. Na drążku przytrzymującym kotarę wisiało kilka par spodni, jedna spódnica i bluzka. Matka zaaferowana była przymierzaniem.

„Niektórzy rodzice nie zasługują na swoje dzieci” - pomyślała Ada. Gdyby ona mogła mieć taką córeczkę... Poświęciłaby jej każdą minutę. Bo przecież narodziny są cudem. Ada wiedziała o tym najlepiej - codziennie przyjmowała dziesiątki porodów. „Ta kobieta z przymierzalni, najwyraźniej nie rozumie tego cudu” - myślała i czuła coraz bardziej zbierający gniew. Dziewczynka cały czas uśmiechała się, Ada patrzyła na nią jak w transie. Nie widziała już półek sklepowych, nie widziała ludzi obok. Z sekundy na sekundę wzrastało w niej poczucie pewności. Teraz wiedziała, co musi zrobić, to było jak nagłe objawienie. Uratuje to dziecko, da mu prawdziwą miłość, da mu siebie. Zostawiła swój koszyk z zakupami, chwyciła rączki wózka i zaczęła kierować się w stronę wyjścia. Dziecko nie reagowało.

Ręce jej drżały, mimo wszystko zachowała resztki świadomości. Bała się, że ktoś nagle może podejść do niej i odebrać małą. Nie mogła na to pozwolić, nie teraz, kiedy już wszystko zostało przesądzone. Przeszła niepewnie przez barierki. Absurdalnie oczekiwała, że rozlegnie się piskliwy dźwięk. Nic nie zapiszczało. Odechnęła z ulgą.

# Klatka

MARZENA ORCZYK



Rys. Wojtek Łuka

Jestem stróżem. Znam to miejsce na wylot. Blok jak setki innych - osiem pięter, winda, schody, drzwi, ludzie. Słyszę każdy trzask, szmer, każde westchnienie. Krucha tkanka betonu rejestruje i odzwierca. Dźwięk, ruch, zapach. Linia papilarna, dzięki której rozpoznaję siebie.

Nie pamiętam nazwisk wszystkich mieszkańców, o wiele bardziej interesują mnie wartości stałe tego miejsca - rozkrwawione napisami ściany, poręczce, zsypy, chłodna faktura szyb rankiem, kiedy zaczynam sprzątać od ostatniego piętra. To mówi mi o nich znacznie więcej niż wizytówka z nazwiskiem czy zdawkowe: „dzień dobry” rzucone w przestrzeń. Kiedy wieczorem przemierzam piętra, czuję jak ściany pulsują, promieniają. W niektórych miejscach silniej. Odczuwam to jak głuche uderzenie, tąpnięcie, gdzieś w okolicy mostka. Potem fala podchodzi do gardła, rozlewa się na całe ciało aż po końcówki palców. Czasem ściany zdają się żarzyć, czasem są zimne, jakby pokryte lodem.

W windach napotykam zapachy. Na przykład dzisiaj rano wyczułem słodkawą woń tytoniu zmieszaną z piżmowym zapachem męskiego potu. To Wiktor S., piętro czwarte. Z kolei tuż pod żarówką - zapach lekko nadpalonych lokówką włosów i lakieru fir-

my Wella. I ten dziwny smak powietrza, coś jakby cząsteczki rdzy na języku. Tak. To Elżbieta, piąte piąte, ekonomistka.

Mógłbym o nich powiedzieć więcej, mogliby się nawet bardzo zdziwić gdyby wiedzieli... Ale z reguły nie zwracają na mnie uwagi. Może tylko ten dziwny niepełnosprawny chłopak, nie pamiętam jego imienia. Tylko on sprawia wrażenie jakby rozumiał...

Niekiedy bywa zabawnie. Aniela z parteru, żwawa rencistka kontra zniechęcona przez nią trzydziestoosmioletka - biuściasta kobieta z ogniem we włosach i lędźwiach - Jadwiga R. To blokowudowodicielka, od lat hoduje poroże na głowie swojego nic nie podejrzewającego męża.

Widzę jak Aniela, stała obserwatorka wnętrza korytarza wymyka się chyłkiem do piwnicy w filcowych bamboszach. W konspiracji wkłada gumową rękawiczkę, z kieszeni swetra wyciąga woreczek foliowy i ostrożnie wkłada kocie bobki. Potem po cichu mknie na pierwsze. Lekki szeleść folii i odchody lądują na słomianej wycieraczce Jadwigi.

Za to przy dzwonku Anieli jutro pojawi się świeży napis wykonany dziecięcą ręką: „Glupia cipa”.

Czasem jednak mam ochotę płakać, krzyczeć. A czasem czuję się pusty, zwłaszcza wtedy, gdy wylapuję

### myśli Elżbiety.

Myśli Elżbiety mają kolor czerwony. Elżbieta lubi ten kolor. Swoją kawalerkę urządziła w różnych odcieniach czerwieni. Kiedy wraca z banku, z westchnieniem kładzie ciężką torbę na bordowym taboreciku. Zdejmuje buty, potem spodnie (zawsze chodzi w spodniach), bluzkę, biżuterię, zegarek. Ubrania układa równo w szafie. Zegarek i biżuteria mają swoje miejsce w specjalnym puzderku z czerwonej laki. Zakłada malinowy dres, zaparza herbatę „Figura 2” i siada w bordowym fotelu. Bordowa jest również kanapa, abażur lampy, popielniczka, zasłony. Bordowe są pasemka na blond włosach (ostatni hit sezonu). No i oczywiście paznokcie a od paru dni także nowe etui na telefon komórkowy.

Elżbieta włącza telewizor i ogląda program TVN - wszystko od godziny siedemnastej do dwudziestej drugiej. Najbardziej lubi program: „Tylko miłość”. Około dziewiętnastej zjada kolację. Po dziesiątej trochę pracuje przy komputerze, tabelki i rubryki uzupełniają się bankowymi danymi. Numery kont, kwoty przelewów, daty układają się w przewidywalną symfonię cyfr. Niezawodnych, w przeciwieństwie do ludzi...

Przed północą wyciąga z szafy pościel w czerwone róże i gasi światło. Zanim zaśnie mija około godziny, potem pojawiają się sny. Jednak pozory mylą, sny Elżbiety nie są czerwone...

### Nie lubię też mieszkania numer 54.

Mieszka tam od niedawna kobieta po czterdziestce z nastoletnią córką. Każdemu sąsiadowi opowiada o mężu, który zmarł na raka. Jest w niej tyle smutku i bezradności. Ale jest też coś drażniącego, co sprawia, że chciałoby się nią mocno potrząsnąć. Nie lubię jej słuchać, nie lubię nawet przechodzić koło jej drzwi. Cały bok ciała mi wtedy drętwieje.

Za to

### Wiktor jest w porządku.

On przynajmniej nie narzeka. Jego myśli i słowa są jak brzytwa Okhama. Konkretny gość. Nie rozczuła się nad sobą. Wysoki, barczysty, szpakowaty. Wciąż podoba się kobietom. Wiek? Abraham plus siedem chudych lat. Kiedyś wzięty fotografik, dzisiaj prowadzi zakład fotograficzny. Zdjęcia ślubne, komunijne, zdjęcia do dowodów, różnych legitymacji, bo ludzie lubią przecież gdzieś przynależeć. Oprócz Wiktora. Przez to właśnie skończyła się jego dobra passa artystyczna. Typowy buntownik z silną awersją do towarzystw wzajemnej adoracji, autorytetów i stałych związków. Kiedyś zламаł serce paru kobietom, ale to było dawno, poza tym one wybaczyley...

Ogólnie jest zadowolony, pracuje, kiedy chce, dużo czyta, lubi spacerować po mieście.

Dwa razy w tygodniu odwiedza Jadwigę R, przedpołudniową porą w czasie, gdy mąż pracuje a syn jest w szkole. Nie przeszkadza mi to, nie jestem moralistą.

Wiktor jest z nich najbardziej klarowny. Żyje chwilą obecną, tu i teraz i nie pozostawia zbyt wielu śladów. Kiedy jest w pobliżu, nie oblepiają mnie jego wspomnienia, emocje, nie straszy grząska zapadnia ego.

Oni wszyscy tacy powinni być, wówczas znacznie lżej by mi się pracowało. Lubię Wiktora S.

Czego nie mogę powiedzieć

### o rodzinie z siódmego piętra.

Matka, emerytowana nauczycielka, schorowany, bezbarwny mąż i syn - Marek, czterdziestolatek, chirurg, ordynator miejscowego szpitala. Nikt z jego współpracowników nawet nie podejrzewałby takiego scenariusza: mamusia robi herbatkę z melisy. Poda-

je a on warczy: „Nie będę pił tej herbaty” Ona: „Wypij skurwysynu, nie po to zaparałam”, on: „Nie będę pił tego świństwa, wy stara gestapowska świnió”. Pryskają pozory, zaczyna się werbalna jatka. Ojciec milczy.

Najczęściej klóć się w soboty rano. Powody - różne, a to wana nie wymyta jak należy, to znów śmieci nie wyniesione, innym razem przyczyną jest tajemnicza „trucizna” w garnkach, którą Marek gotuje i nie chce jeść po ludzku (najprawdopodobniej jest to marynowane tofu).

Ich rozdergana energia, niczym promienie X, przenika przez podłogi, ściany, alchemicznym sposobem przybiera naturę jadu i zalewa mnie. Muszę wtedy znaleźć sobie jakąś robotę na dworze, bo inaczej sparaliżowałyby mnie, zupełnie rozpuściły te emocje. Wolę już zgiełk podwórka, dziwną muzykę chłopców w szerokich spodniach z krokiem w kolanach, z magnetofonem pod pachą...

Wracając do Marka - to człowiek o najsłabszej woli życia ze wszystkich mieszkańców bloku, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest już bardzo zmęczony życiem, poza tym znów jest beznadziejnie zauroczony. Ostatni sekretny romans z zamężną okulistką wyczerpał go psychicznie. Teraz fascynuje go „czerwona” Elżbieta z piątego. Wydaje się być taka tajemnicza a Marka przyciąga wszystko co tajemnicze i mało dostępne. Często mijają się w drzwiach wejściowych klatki schodowej. Widzę wyraźnie jak na nią patrzy. Mogliby zostać parą, ale wiem, że nic z tego nie będzie. On jest ledwie tłącem się ogarkiem, nie znosi swojego odbicia w lustrze i jest pewne, że nigdy jej nie zaczepi. Ona w ogóle go nie zauważa. Jej oczy przypominają dwa wyschnięte jeziora, w których na próżno mężczyzna szukałby „wody życia”. Mimo trzydziestki nigdy nie była z nikim związana, nie ma żadnych przyjaciół i przede wszystkim nadal jest dziewicą. Ale o tym cicho szał, bo właśnie zaczyna się

### sen Elżbiety

*Brzeg majaczy w szarej mgłę. Kładka przerzucona przez rzekę wygląda na solidną. Elżbieta wie, że musi przejść na drugą stronę. Stara się nie patrzeć w dół, ostrożnie stawia stopy na wilgotnych drewnianych klepkach. Kładka kołysze się lekko. Robi jeden krok, potem jeszcze jeden. Woda zaczyna się podnosić, mętnieje, pojawiają wiry. Do przejścia na drugi brzeg zostało jeszcze pięć, może sześć kroków ale żywił dosięga już stóp. Elżbieta chce krzyczeć, jednak nie może wydobyć głosu z gardła. W panice biegnie z powrotem. Zimna fala chlusta jej w twarz, zalewa usta i oczy...*

Natomiast w tym samym czasie na czwartym piętrze (mieszkanie narożne, dwupokojowe z oknami na południową, słoneczną stronę)

### Jerzy G., inżynier elektryk

na bezrobociu, nałogowy alkoholik, drżącymi rękami przesuwając pustą butelkę w barku. Nic nie znajduje. Idzie do łazienki i bierze buteleczkę wody toaletowej swojej żony. Po kolejnej awanturze po raz kolejny ucieka z dzieckiem do siostry. W łazience zostały po niej jedynie kosmetyki.

Czuje w nozdrzach silny zapach drzewa sandałowego. Ach ci ludzie...Szybko zjeżdżam windą na trzecie.

Czy wspominałem już o chłopcu o kulach?

### Chłopiec o kulach

najbardziej mnie intriguje. Mieszka z rodzicami. Nie potrafię określić jego wieku, może mieć dwanaście, ale i równie dobrze piętnaście lub szesnaście lat. Nie chodzi do szkoły, bo jest chory, nie wiem, na czym polega jego choroba. Podejrzewam, że to coś z układem nerwowym. Widziałem w nocy parę razy jak podjeżdża pod blok karetka pogotowia i zabierają chłopca. Nie było go miesiąc. Kiedyś ojciec woził go do szkoły, teraz nauczyciele przychodzą do domu.

Chłopiec ma duży pokój pomalowany na niebiesko, dębowe biurko pod oknem, trzy regały z książkami, głównie poezją, komputer. No i najważniejsze - kolorową papugę w klatce. Chłopiec bardzo mało mówi, papuga wręcz przeciwnie. Często naśladuje różne dźwięki: terkot telefonu, gwizdanie czajnika, szum spuszczonej wody. Bardzo mnie to denerwuje. To wstrętne ptaszysko zakłóca naturalną równowagę bloku.

Najgorzej jest gdy zamiatam piętro. Choćbym starał się robić to nie wiem jak cicho, zawsze mnie wyczuje. Skrzeczy wtedy: „Wcale ciebie nie ma. To ja cię wymyśliłam”. Wkurzając stworzenie!

Za to sny i myśli chłopca napawają mnie zdumieniem. Owszem, zdarza się, że śni o „normalnych” rzeczach, o grze w piłkę, kolejkach, których chciałby mieć, podróżyach do nieznanych miejsc, ale niekiedy śni jakoś dziwnie. Nie potrafię tego wyjaśnić...

### Myśli chłopca:

*jestem przestrzenią między oknem a szafą  
klatką pierwszą nocy  
powietrzem którym oddychacie*



gdy patrzycie w głąb siebie  
wygaszam rozum  
zamykam szczelnie okna  
bo okno jest magnesem oka  
wabikiem języka i ucha  
zanim schowacie na dnie szafy to co was okrywa  
- płaszcze koszule rękawiczki  
zdejmijcie buty  
zerwijcie etykiety i twardą otoczkę  
rozbierzcie z rumieńców wstydu  
sztywnych mięśni uśmiechu  
żebra samotności  
gdy będziecie nadzy  
wejdźcie  
schowajcie się jak w łonie matki  
jak w tajemnej jaskini kobiety  
by wyjść ponownie i pamiętać  
że nie oczekujecie już słodczy  
ponieważ kocham

Kiedy słucham chłopca czuję się podekscytowany, ale i zaniepokojony. Jego słowa ściągają mnie na orbitę mojej własnej przeszłości. A tego mi przecież nie wolno!

Szybko się opamiętuję i ponownie zapominam. Znowu jestem stróżem. Mogę spokojnie skoncentrować się na obowiązkach. Czuję się tak jakby kamień spadł mi z serca.

No właśnie, serce...

### Ten, który pracował tutaj przede mną

zwykł mawiać: „Strzeż się ludzi, oni mają naturę pleśni, rozrastają się jak grzybnia niszcząc nasze aseptyczne umysły, zapuszczają korzenie w ściany, podłogi, serca, krępują skrzydła. Chroni ich, lecz strzeż się”.

Chroń ich, lecz strzeż się”.



Nie wiem czy miał rację, wiem natomiast, że muszę...

*mojej siostrze, Małgorzacie*

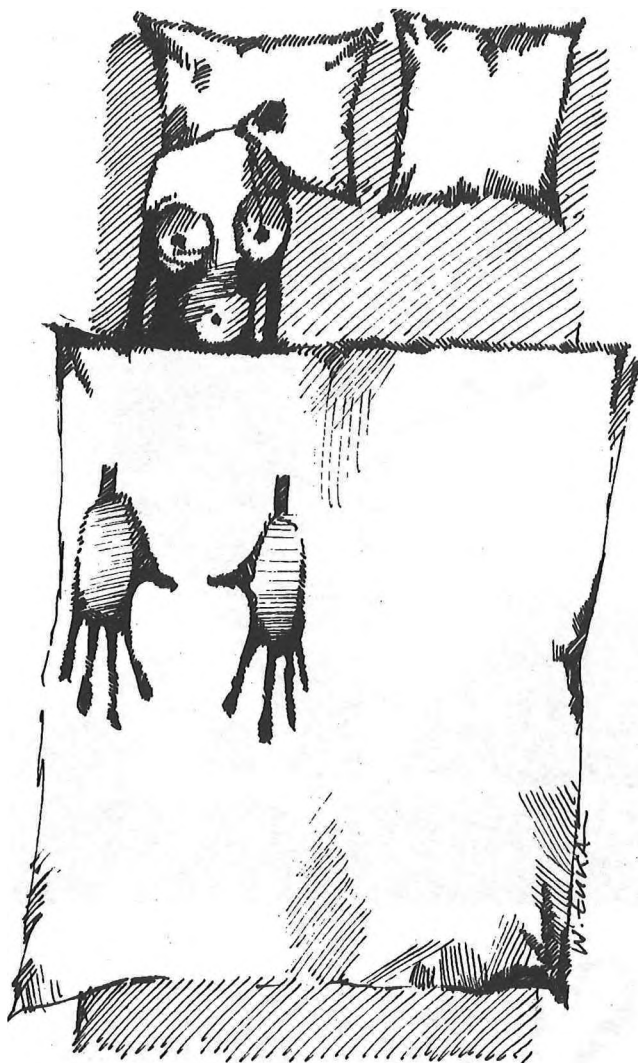
Kiedy otwieram oczy, siateczka zmarszczek na ścianie przypomina mi o nie nakarmionych pajakach. O pustej sieci. Brak much, komarów i innych owadów zaświadcza o przewadze zręcznej materii nad duchem, umysłu nad sercem. Ten sam obraz. Sterylność powietrza. Płożące się pędy wskazówek zegarka. Mikroklimat z bielejącą szybkością w tle.

I zaraz zaciskam powieki, by nie rozlały się oczy, zwabione światłem poranka, by nie zostały wzięte za, powiedzmy, ostrzygi i pożarte przez konsumentów hipermarketu REAL. Więc zamiast wstawać - leżę, chcąc podrzucić ten dzień jak kukulcze jajo, hiperrealnie strącić ze skały, roztrzaskać lub ostrożnie umieścić. W inkubatorze. Czekać aż wykluje się gdzieś w odległej przeszłości, w martwiczej tkance dzieciństwa. „Skalpel, siostrzo” - powiesz i zaczniesz się operacja, cesarski poród postanowień.

Pamiętam okres ZOO w naszym domu, pierwszą lekcję o prawach natury. Powolne wydzieranie przestrzeni, hodowanie światłolubnej wrażliwości. Po fascynacji kwiatami doniczkowymi musiał przyjść czas na zwierzęta.

Najpierw był chomik Orion, potem kot, też Orion. Raz wyskoczył z balkonu, z trzeciego piętra i nic mu się nie stało. Jedynie trochę kulął przez kilka dni. Bo kot zawsze spada na cztery łapy, człowiek zaś ma tylko nogi i ręce, w których trzyma kurczowo swoje małe prawdy. I nieustannie celebrował stratę.

Po stracie kota, który pewnego dnia wyszedł z domu i nie wrócił nasz instynkt opiekuńczy zszedł z powrotem na lalki, a trochę



Rys. Wojtek Łuka

później - na psy. Pies oczywiście też nosił imię Orion - uroczy, czarny kundelek, który dawał łapę i wyjadał nieczystości z osiedlowych śmietników. W międzyczasie było też:

1. Stojące obok telefonu akwarium pełne rybek.
2. To samo akwarium pełne żabek, karmionych ogłuszonymi, tłustymi muchami.
3. Oraz w końcu akwarium pełne niedopałków papierosów, wrzucanych przez matkę podczas przydługich, nudnych rozmów telefonicznych. Cmentarzysko instynktu.

Ale jeszcze dużo wcześniej ojciec przyniósł inkubator. Wkładaliśmy jajka kaczek, ostrożnie, z namaszczeniem. Metalowe drzwiczki sejfiku pachniały lampą solux do leczenia zatok. Zaprogramowana temperatura i po dwóch tygodniach wykluwały się kacuszki. Kaczuszkom wydawało się, że są ludźmi lub odwrotnie, już nie pamiętam. Idziesz, a taka dopiero co wykłuta kuleczka idzie za tobą. Zatrzymujesz się, ona też stoi. Stukasz paznokciem w podłogę - ona stuka dziobkiem. To jest uczenie się z ufnością. Imprinting bez podejrzeń i handlowych chwytów. Czyste lustro natury.

Kaczki były w domu przez trzy tygodnie. Ostatecznie lądowały w małej kłicie w ogródku działkowym, by po roku lub dwóch zasilac nasze tkanki, wzmacniać strukturę białka, rozplatać DNA przywiązania.

W końcu każdy z nas ląduje na talerzu, jako przystawka albo danie główne. Na nic rytuały oczyszczającego placzu. Rodzimy się po to, by wyluskać miłość i zatrasnąć drzwi. Odgryźć pępówinę, pożreć łożysko snu.

### To jest późny okres ZOO.

W ciepłej pościeli, każdego ranka, dojrzewa jajo. Drapię od środka, walę w drzwi, których nie ma, palcami szukam szpary, półprzepuszczalnej błony obłędu.

Pierwotny instynkt. Będzie nas trudno nakarmić...



# Sława i krzywdą

TADEUSZ  
KIJONKA

W ostatnich latach zaznacza się postępujący spadek zainteresowania twórczością Gustawa Morcinka, pisarza o szczególnych zasługach dla Śląska, z którym w pewnych okresach był wręcz utożsamiany. Tylko Wojciech Korfanty i August Hlond - osobistości o wybitnym miejscu w dziejach Polski - wyprzedzali wówczas autora „Wyrąbanego chodnika” spośród najbardziej znanych rodowitych Ślązaków. Skromny nauczyciel z niewielkiego Skoczowa zyskał przebojem ogólnopolską sławę, zaś niezwyklej kariera literacka wynikała z całego splotu okoliczności, które trafnie ujmują słowa Morcinka stanowiące wyraz pisarskiej misji... Chodzi mi o to aby Śląsk przybliżyć do Polski, a Polskę do Śląska.

Ten ambitny cel niezwykle pracowity i wydajny w istocie samorodny pisarz, osiągnął w takim stopniu, że można mówić o fenomenie Gustawa Morcinka wykraczającym poza ramy literatury. Bez względu na póź-

niejsze komplikacje, czy zmienną koniunkturę nie zawsze przyjaznej mu krytyki, której oczekiwania wykraczały poza możliwości i naturę talentu Morcinka, jest faktem nie podlegającym weryfikacji, że to właśnie jemu przypadła historyczna zasługa wprowadzenia Śląska do literatury polskiej w szerokim, wielostronnym ujęciu. Dziś może to nie mieć większego znaczenia, skoro zainteresowanie samym Śląskiem coraz bardziej wygasa, a klasyk tematu górniczego stał się pisarzem świata, który mija. Lecz czy oznacza to rzeczywiście zmierzch czytelnicznej uwagi - może ważyć i decydują o tym inne okoliczności? Jeśli w plebiscycie „Gazety Wyborczej” z roku 2000 pośród 100 najwybitniejszych Ślązaków minionego stulecia Gustaw Morcinek zajął wysoką 10. pozycję, jest to bez wątpienia świadectwo wciąż dużej popularności zmarłego w roku 1963 pisarza oraz utwierdzonego przez kilka pokoleń kapitału czytelnicznego uznania.

### Pamięć i piętno

A jednak od szeregu lat nawet najbardziej wzięte książki Morcinka nie są wznawiane; jak zresztą wielu autorów wybitnych, cenionych, czy zaliczonych do najpopularniejszych, choć ich miejsce w literaturze polskiej jest niepodważalne. To następstwo nowych reguł komercyjnego rynku i sytuacji wydawniczej po granicznej cenzurze roku 1989... Jest to więc pisarz nieobecny dziś w czytelnicznej ofercie, choć w tym przypadku może to wynikać również z faktu kto i w jakich okolicznościach stał się spadkobiercą jego praw wydawniczych. W każdym razie rozpoczęta w 1979 roku 10-tomowa edycja „dział wybranych”, którą wydawnictwo „Śląsk” doprowadziło w następnych latach do końca, jest już dawno nieosiągalna.

Pamięć o dziele i zasługach pisarskich Gustawa Morcinka kurczy się i zawęża, lecz wciąż w wielu miejscowościach są ulice jego imienia. Pisarz rodem z Karwiny jest jeszcze patronem bodaj 30 szkół, chociaż ich liczba w wyniku reformy oświaty i likwidacji sporej części szkół górniczych uległa znacznej redukcji. Ma Gustaw Morcinek w niejednym mieście śląskim ulicę i szkołę swego imienia, w tym w Katowicach; lecz także w Warszawie jest patronem zarówno szkoły i ulicy. Noszą też jego imię księgarnie i biblioteki... Pod względem obecności w nazewnictwie niewielu pisarzy współczesnych może się z nim równać, a to ważne świadectwo uznanych zasług i popularności pisarza, którego łączne nakłady przekroczyły w latach powojennych 3 miliony egzemplarzy - co dawało mu miejsce w pierwszej dziesiątce najbardziej poczytnych polskich autorów. Jak nie oceniać tej bogatej i zróżnicowanej twórczości był to na pewno wielki sukces czytelnicy towarzyszący pisarzowi do ostatnich dni życia.

Miał Morcinek prawo czuć się nie tylko twórcą spełnionym: powszechnie znany, ceniony, lubiany, zapraszany, honorowany i tłumaczony na szereg języków. Jego pogodna twarz była rozpoznawana w całej Polsce a dom w Skoczowie - ów „Dom w słońcu”, jak go nazywał sam pisarz, stał się miejscem licznych odwiedzin nie tylko osób zaprzyjaźnionych; także celem wycieczek szkolnych i drużyn harcerskich z całego kraju. A skoro aż tyle faktów poświadcza co osiągnął i kim stał się jako pisarz masowej poczytności, skąd w tytule tego szkicu zderzenie sławy - z krzywdą?... gdy mało który autor doświadczył aż tylu satysfakcji, bez względu na to jak układały się bieżące relacje z krytyką i recenzentami. A jednak Morcinek nosił w sobie do końca życia głęboki uraz od czasu, gdy sterroryzowany uległ presji i odczytał 28 kwietnia 1953 roku z sejmowej tribuny przekazany mu do wygłoszenia wniosek o przemianowanie Katowic na Stalinogród. Miał świadomość do czego został z premedytacją użyty oraz jak ten fakt zaważył na jego opinii, bo wnet doświadczył zniewagi i potępienia. Ostatnie dziesięć lat życia pisarza będą naznaczone tym piętnem, choć Morcinek poza jednym, dość niezręcznym wyjaśnieniem w „Przemianach” z końcem 1956 roku, gdy Katowice powróciły do swej nazwy, do sprawy tej wracał wprost nie będzie. To oczywiste, że wybór właśnie jego osoby do tak perfidnego zlecenia, był następ-

stwem pisarskiej popularności najbardziej wówczas znanego w Polsce Ślązaka. Dlaczego się jednak zgodził, dlaczego ustąpił, dlaczego nie oparł się presji, skoro musiało to rzutować na jego pisarski wizerunek - kwestia, która jest najdrażliwszym problemem w biografii Morcinka i w różnych okolicznościach ożywa i wraca.

Pierwsza fala oskarżeń wzmożła się po roku 1990 - ponad ćwierć wieku od śmierci Morcinka - gdy w atmosferze politycznych rozliczeń i weryfikacji pamięć pisarza została obciążona winą za przemianowanie Katowic na Stalino-  
gród. I odtąd co jakiś czas pojawiają się nowi sędziowie i oskarżyciele. Co z tego, że ukazało się szereg udokumentowanych wyjaśnień dotyczących tamtego wydarzenia oraz roli sterroryzowanego Morcinka - szczególnie wiele uczyniła w tej sprawie profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz, autorka cenionych prac o biografii i twórczości Morcinka. I tak z upływu lat autor „Wyrąbanego chodnika” funkcjonuje w potocznym obiegu wręcz jako inicjator tamtej fatalnej operacji, co musi też mieć wpływ na stosunek do jego książek. A im mniejsza orientacja w okolicznościach i mechanizmach politycznych ponurych lat stalinizmu - tym większa łatwość wydawania wyroku: kwestia do której jeszcze powrócę.

Czas po roku 1990 nie okazał się jednak korzystny również dla stworzenia nowego kanonu najważniejszych pozycji Morcinka z nader obfitego i różnicowanego dorobku. Ostatnim rokiem większej uwagi badawczej i społecznej zainteresowania jego życiem i twórczością, była 100. rocznica urodzin pisarza w roku 1991, gdy zorganizowane zostały liczne uroczystości rocznicowe, głównie na ziemi pisarzo-  
wej najbliższej po obu stronach Olzy. Odbyla się wówczas uwieńczona cenną publikacją dwudniowa sesja naukowa; nawet w rodzinnej Karwinie nadano wreszcie jednej z ulic imię pisarza. Jak zawsze - nie zawiódł wdzięczny Skoczów, gdzie działa niestrudzona opiekunka pamięci i dziedzictwa literackiego Morcinka, Halina Szotek. Jest w znacznej mierze i jej zasługą, że po latach starań w 15. rocznicę śmierci pisarza otwarto w roku 1986 Muzeum Morcinka w Skoczowie. Rok później stanął sugestywny pomnik pisarza dłuta Jana Kucza. W ten sposób została nieco zatarta inna, wręcz bezprecedensowa krzywda, która spotkała Morcinka a miała charakter wyjątkowego skandalu. Oto w okolicznościach budzących potępienie, po przetrzebieniu zbiorów, wyrugowa-  
wał muzeum pisarza mieszczące się w jego własnym domu, zachłanny spadkobierca, Maciej Kuglin, który wszedł w posiadanie całego majątku pisarza wraz z prawami wydawniczymi w okolicznościach, które skłaniały do unieważnienia podejrzanych podstaw związanych z tym decyzji. Do ich skutecznego wzruszenia ostatecznie nie doszło - bo nastał właśnie stan wojenny - ale pamięć bezprzykładnej krzywdy wyrządzonej pisarzowi trwa - jak ten znajomy dom przy drodze do Wisły, zbudowany przez Morcinka, w którym pisarz żył i tworzył do ostatnich dni: sławny „Dom w słońcu”.

## Był „Dom w słońcu”

Bywałem tam wielokrotnie gdy zbliżała się 70. rocznica urodzin Morcinka. Powierzono mi wówczas, młodemu poecie, jeszcze studentowi, przygotowanie do druku jubileuszowej publikacji, choć nie miałem żadnego doświadczenia redakcyjnego i edytorskiego. Gdyby nie zachorował ciężko Zdzisław Hierowski, zapewne on, autor wielu publikacji o autorze „Ondraszka”, przygotowałby tę pozycję do druku. Pozostawałem z nim wówczas w stałych kontaktach, bo mimo znacznej różnicy wieku byliśmy po

imieniu. W tej sytuacji wyprawiałem się kilkakrotnie już jesienią 1960 roku do Skoczowa by skonsultować z Morcin-  
kiem redakcyjne zadanie. Przyjmowany byłem gościnnie przez obdarzonego wyjątkowym urokiem osobistym przyjaciela gospodarza, zawsze skorego do pomocy. Pamiętam za-  
improvizowany skok samochodem do Zofii Kossak w Gór-  
kach Wielkich, która zgodziła się napisać wspomnienie zaty-  
tułowane: „Jak się stało, że Morcinek nazywa mnie matką  
chrzestną”... I wyjazd do Ludwika Brożka, kustosa muzeum  
w Cieszynie, zwanego „śląskim Korbutem”, też urodzonego  
w Karwinie, najbardziej oddanego przyjaciela Morcinka, któ-  
ry oczywiście nie odmówił zaktualizowania bibliografii.  
Morcinek chętnie wyprowadzał z garażu zadbanego wartbur-  
ga i siadał za kierownicą. Miałem wówczas okazję przekonać  
się jak bardzo był popularny, rozpoznawany z miejsca, gdy  
raz i drugi wędrowaliśmy po ukochanym Cieszynie.

Skoczowski dom pisarza - jak to potwierdza słynna księga  
gości gdzie i mój wpis się znalazł - znany był z gościnności.  
Było tak przede wszystkim za życia siostry Teresy, która we  
wspomnieniach pojawia się zawsze w serdecznej aurze.  
Tamtego domu, gdy prowadziły go zapobiegliwa i pogodna  
siostra pisarza, najbliższa po matce osoba w jego życiu, nie  
miałem już okazji poznać. Jej śmierć w czerwcu 1959 roku  
była dla osamotnionego brata oczywiście wielkim ciosem.  
Pobyty w domu Pana Gustawa wspominam miło. W tym cza-  
sie prowadziła go już Pani Waleria Kuglin, synowa przyja-  
ciela pisarza, znanego typografa i bibliofila Jana Kuglina  
z Bogumina. To on usadowił ją w domu Morcinka wraz  
z niespełna 10-letnim wnukiem Maciejem. Miało także zna-  
czenie, że trzymała go do chrztu siostra Teresa, więc pisarz  
poczuł się w obowiązku przejąć z tego tytułu powinności sio-  
stry. Gdyby wiedział kogo przygarnia pod dach „Domu  
w słońcu” i jak przyszyły spadkobierca „odwdzięczy się” tro-  
skliwemu „wujkowi” gdy tylko dorosnie i zawiadnie mająt-  
kiem... W tym czasie Pani Waleria, opuszczona przez męża,  
znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji. Oferta objęcia roli  
gospodyni „Domu w słońcu” była atrakcyjna przede wszyst-  
kim ze względów bytowych. Trzeba przyznać, że Pani Wale-  
ria, kobieta ładna i zaradna, którą Morcinek znał i lubił, do-  
brze czuła i sprawdzała się w tej roli, do czasu gdy...

„Dom w słońcu” miał w sobie istotnie coś słonecznego, co  
zaznaczało - niby godło - w szczytowym zwieńczeniu  
wschodzące słońce w listwach promieni. Fronton budynku  
w stylu charakterystycznym dla tych okolic zwrócony był  
w stronę Beskidów, z widokiem na masyw Czantorii i Rów-  
nicy. Morcinek uwielbiał ten widok z balkonu - a właśnie na  
piętrze miał pracownię. Uważał Beskidy, co często stwierd-  
zał, za góry z uśmiechu Boga. Wiele też dla niego znaczy-  
ło, że w dole, wzdłuż szosy prze-  
błytkiwała przez drzewa roz-  
szemrana Wisła, do źródeł której  
pielgrzymował nie raz. Nazwa,  
którą nadał swemu domowi  
określa jego stosunek do słońca,  
jednego z kluczowych słów,  
a wyrażających stan religijnego  
wręcz kultu. Sam miał w sposo-  
bie bycia i wyczuwalnej aurze  
coś słonecznego. Na większości  
zdjęć Morcinek się uśmiecha:  
nawet na fotografii po wyjściu  
z Dachau i podczas pobytu w sa-  
natorium w Żegiestowie na trzy  
miesiące przed śmiercią. Do dziś  
pamiętam ostatni uśmiech Mor-  
cinka podczas przypadkowego  
spotkania z końcem listopada  
1963 roku na korytarzu Minister-  
stwa Górnictwa. Wracał od przy-  
jaciela jeszcze z lat karwińskich,  
dyrektora Antoniego Bury. Ra-  
zem rozpoczynali pracę w kopal-  
ni „Głęboka”, byli członkami te-  
go samego chóru przy Towarzy-  
stwie Katolickich Robotników  
„Praca”, działali w kółku teatral-



Skoczowski dom Morcinka, który jest - i którego już nie ma. Niby ten sam, lecz dziś jaki obcy!



nym i czytelnym. Potem jeden osiadł jako nauczyciel z powołania w Skoczowie, drugi po ukończeniu Politechniki Lwowskiej związał się z kopalniami na odzyskanym Śląsku. To znamienne dla Morcinka - krąg przyjaciół i ludzi najbliższych w znacznej części wywodził się z karwińskich lat dzieciństwa. Morcinek z głębi korytarza wyłonił się nagle; wysoki, śmigły, jakiś nasłoneczniony, z tym swoim uśmiechem... Na pewno nie przeczuwał, że pożegnał się przed chwilą z przyjacielem na zawsze. Uśmiech Morcinka - cała skala uśmiechów.

## Scena z Dachau

Byłem oczywiście czytany w Morcinku, bo i kto w tamtych latach nie miał na Śląsku za sobą okresu fascynacji światem jego książek. Wiedziałem też sporo o jego drodze do literatury oraz biografii pisarza, w której tak wielką rolę odgrywał Skoczów i „Dom w słońcu”. Po latach ponad 40. pamiętam układ tego domu, jego klimat i wyposażenie. Na parterze na wprost wejścia mieścił się pokój gościnny z okrągłym stołem, swoisty salon pełen pamiątek z widokiem na ogród. Tu we wrześniu 1961 roku odbyło się domowe przyjęcie z okazji 70. rocznicy urodzin, w którym dane mi było uczestniczyć. Na głównej ścianie wisiał obraz Jana Żebroka z szeregiem przysadzistych parterowych domostw. W jednym z nich, spełniającym funkcję wielorodzinnych, prymitywnych familoków, urodził się 25 sierpnia 1891 roku Augustyn Morcinek - imię, z którym wnet się rozstał, a które ocaliło mu być może życie, bo w obozach koncentracyjnych prowadzony był pod imieniem metrykalnym, zaś hitlerowcy tropili autora „Wyřabanego chodnika”, pisarza Gustawa.

Do dziś nie potrafię sobie wyjaśnić dlaczego pisarz ofiarował mi wówczas makabryczne zdjęcie opisane: Dachau. W drodze do pieca... Widać na nim wychudzone straszliwie nagie zwłoki mężczyzny, które dwóch więźniów w pasiakach wlecze uchwyciwszy głowę w specjalne obcęgi. Odtąd ilekroć pojawia się oskarżenie o udział Morcinka w przemianowaniu Katowic na Stalinogród, przypomina mi się to zdjęcie. Tak, mógł go spotkać los anonimowej ofiary, jednej z wielu tysięcy. Mógł zostać także skierowany do obsługi krematorium, jak ci dwaj widoczni na zdjęciu skazańcy. Kim byli i czy przeżyli Dachau?

W roku 1953 autor poobozowych „Listów spod Morwy” i „Dwu koron. Rzeczy o ojcu Maksymilianie Marii Kolbem” na pewno jeszcze nie wyzwolił się na tyle z przejęć „choroby obozowej”, żeby jej koszmary nie wracały. Pamiętamy jaki to był czas i co się działo gdy 5 marca zmarł generalissimus Józef Stalin. Już 7 marca Rada Państwa i Rada Ministrów podjęły uchwałę o przemianowaniu Katowic na Stalinogród a województwo katowickie - na stalinogrodzkie, podpisane przez Bolesława Bierutę (prawdopodobnie pomysłodawcy) i Aleksandra Zawadzkiego. Dzień wcześniej co prawda z ideą taką wystąpił Komitet Wojewódzki PZPR w Katowicach, ale było to w istocie oficjalne potwierdzenie propozycji podzuczonej przez Warszawę. Gdy półtora miesiąca później wniosek ten zatwierdził Sejm, po odczytaniu go przez Gustawa Morcinka, jest to już wyłącznie oficjalna formalność, akt propagandowy.

Trzeba jednak postrzegać stojącego na trybunie sejmowej zniewolonego pisarza ze Skoczowa także na tle żałobnego łopotu i pokazowych panachidii z udziałem wielu mistrzów skandowanych strof i klasyków współczesnej prozy - a znajdują się tutaj wielcy i najwięksi, z Tuwimem, Broniewskim, Jastrunem,

Ważym, Gałczyńskim, Strykowskiem, Iwaszkiewiczem, Dąbrowską, Nałkowską... Trzeba przede wszystkim pamiętać, że toczą się wówczas od kilku lat w Polsce pokazywane procesy polityczne, tak głośne jak proces generałów w 1951 (w tym Stanisława Tatara), że w styczniu 1953 rozpoczął się proces przeciw grupie księży z kurii krakowskiej, we wrześniu - przeciw ordynariuszowi kieleckiemu biskupowi Czesławowi Kaczmarkowi, a jednocześnie uwięziono prymasa Stefana Wyszyńskiego. Trwa nadal pacyfikacja polityczna społeczeństwa, przemoc fizyczna i tortury są praktyką realizowaną z pełnym okrucieństwem, surowe wyroki objęły kilkadziesiąt tysięcy uwięzionych osób a nie cofano się też przed pokazową karą śmierci.

W tej sytuacji Gustawa Morcinka trzeba widzieć przede wszystkim w roli politycznej ofiary a nie gorliwego inicjatora wniosku. Pamiętać co przeżył od dnia pojmania 6 października 1939 roku we własnym domu - a gestapowcom towarzyszył dawny uczeń, skoczowski rzeźnik nazwiskiem Niemiec, który również zjawił się w mundurze gestapowca - do wyzwolenia Dachau przez Amerykanów 29 kwietnia 1945 roku. Za drutami autor „Narodzin serca” zachowywał się zawsze godnie, wspierając duchowo współtowarzyszy bezwzględного losu. A spośród 28 skoczowskich Polaków uwięzionych razem z Morcinkiem ocalał tylko on. Piszę to mając znów przed oczami zdjęcie, które zachowałem od ponad 40 lat. Nie ma w tym przypadku - otóż wiąże je pośrednio z porażającym zdarzeniem z 28 kwietnia 1953 roku. Przecież w młodości dał Morcinek dowody męstwa i odwagi. Lecz jakoś mało się o tym pamięta, gdy tak łatwo oskarża.

## W mundurze polskiego oficera

Podczas skoczowskich wizyt przejrzałem teki fotografii podostępnione przez Morcinka. Do książki wybrałem kilka szczególnie ważnych dla biografii pisarza, w tym zdjęcie młodego podoficera w austriackim mundurze pochylonego nad maszyną do pisania. Gustaw Morcinek wcielony w sierpniu 1914 roku do wojska znalazł się w 31 pułku strzelców w Cieszynie. Rok później ranny w bitwie pod Wolbromiem został zwolniony ze służby wojskowej. Do czynnej służby powołano go ponownie w sierpniu 1918 roku. Kilka miesięcy później odegrał znaczną rolę w przewrocie wojskowym w Cieszynie, gdy jako radiotelegrafista, podczas dyżuru odebrał 31 października meldunek z Krakowa, że zawiązała się tam Polska Komisja Likwidacyjna i trwa rozbrajanie Austriaków. To, iż akurat Morcinek pełnił wtedy dyżur nie było przypadkiem: w napiętej sytuacji tych decydujących dni grupa polskich oficerów przygotowywała przewrót wojskowy dążąc do przejścia władzy. W sprzyśnięciu tym uczestniczył także Gustaw Morcinek, który odebrał z Krakowa rozkaz brygadiera Bolesława Roi i przekazał go polskiemu porucznikowi, Klemensowi Matusiakowi zatajając informację przed komendantem austriackim pułkownikiem Gerndtem, zmuszonym wnet do zrzeczenia się funkcji. Gdyby spiszek został wykryty i wydała się rola bystrego radiotelegrafisty, kapral Morcinek nie miałby nigdy okazji ujawnić niepospolitych talentów literackich... ba, nie ogłosiłby w roku 1920 w „Dzienniku Cieszyńskim” nawet „Wspomnienia z przewrotu wojskowego w listopadzie 1918”, bo znalazłby się przed plutonem egzekucyjnym z jednoznaczny wyrokiem.

Niedługo z bronią w ręku, w stopniu podporucznika, Mor-



Podoficer austriacki Gustaw Morcinek odegrał jako radiotelegrafista ważną rolę w polskim przewrocie wojskowym.

ciniek stanie do walki w obronie Śląska Cieszyńskiego w dramatycznych dniach czeskiej agresji. Weźmie udział w dwudniowej krwawej bitwie pod Skoczowem, gdzie 600 polskich żołnierzy stawilo najeźdźcom skuteczny opór. Nie było przypadku, że został potem mianowany przez dowództwo 6 dywizji piechoty komendantem placu w Skoczowie. A czy jest wystarczająco znany inny ważny fakt, że Gustaw Morcinek zgłosił się jako ochotnik do czynnej służby na froncie wojny z bolszewikami; znalazł się w tych dniach w rejonie obrony Warszawy, gdy trwała, wydawało się rozstrzygająca ofensywa Armii Czerwonej. W mundurze polskiego oficera wrócił w maju 1921 roku do Skoczowa by objąć ponownie posadę nauczyciela. Miał niespełna 28 lat i wiele doświadczeń w decydującym okresie historii, gdy rodzi się Polska - w przyszłości wielki temat literacki jego pisarstwa wpisany w walkę o Śląsk, bo w akcję plebiscytową też zaangażował się z patriotyczną pasją przyszły autor „Wyrąbanego chodnika”.

Dość nieporadny malarsko obraz Żebroka przypominał mu skąd wyszedł: z dna skrajnej biedy - jak to w drobniawej relacji odtworzył po latach zaolziański literat i dziennikarz Jan Rusnok. W górniczej Karwinie rodzina Morcinków zaliczała się do biedaków. Szczególnie po śmierci ojca Józefa, zaharowanego wozaka, który pewnej nocy po upadku z wozu stoczył się wprost pod koła. Przez trzy dni dogorywał na poddaszu izdebki w jednym z przeludnionych pokracznych familków zwanych tu budelami. Augustyn, późniejszy Gustaw - a właściwie Gustlik - ma wówczas osiem miesięcy i ojca nie będzie pamiętać. Starsze rodzeństwo - z ośmiorga dzieci Morcinków żyło czworo - oddane zostało przez bezradną matkę Mariannę, która najmowała się do różnych robót, na sierocą służbę. Wątki, nadwrażliwy, choć bystry i zaradny Gustaw biedował odtąd z matką, by w 16. roku życia trafić na kopalnię i rozpocząć pracę od najcięższych robót - jako „tacznik”, przeciągający węgiel w najniższych pokładach w grozie łamliwego stropu i jęczących stępli. Młody, inteligentny chłopak wyżywający się w pracy kulturalnej trafił w końcu do Seminarium Nauczycielskiego Męskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Białej, jako jeden z trzech stypendystów, skierowany tam przez górników z Towarzystwa „Praca”. Szkoła była prywatna, dlatego mogła być szkołą polską. Nadal jest nędzarzem, skoro nawet podczas przyjazdów do Karwiny z okazji różnych uroczystości dorabiał jako pucybut. Tak rozpoczynał życie ten, który jako samorodny pisarz wyjątkowego talentu i wrażliwości wypełnił zadana sobie misję - jak nikt wcześniej odkrył przed odrodzoną Polską górniczy Śląsk i jego drogę do wspólnej ojczyzny. Był jednocześnie tym pisarzem z rodowodem śląskim, który jako pierwszy przeszedł drogę od pisarza w najlepszym rozumieniu regionalnego - do ogólnopolskiego i zdobył własne miejsce w literaturze polskiej.

Ktokolwiek ocenia i opisuje dorobek pisarski Morcinka - a jest on nie tylko ilościowo imponujący - nie może zapominać, że dokonał tego własnymi siłami, skazany wyłącznie na siebie, zapracowany ciężko nauczyciel w prowincjonalnym Skoczowie, gdzie osiadł na całe życie po podziale Śląska Cieszyńskiego. Było to i jego osobistą tragedią, skoro za Olzą pozostała rodzinna Karwina i zagrabione Zaolzie z ludnością w przewadze polską, z rodzinami rozbitymi na zawsze. Wszystko co dotąd przeżył i nosił w sobie, wyraził po eksplozji żywiołowego talentu Morcinek - pisarz z proletariackim rodowodem, obdarzony wyjątkową pamięcią miejsc, do-

znań, ludzi, krajobrazu, realiów oraz fascynującym słuchem językowym. Misję, której się poświęcił, wypełnił do końca, wszystko poświadczając biografią świadomych wyborów.

Kiedy 28-letni Morcinek osiadł na stałe w Skoczowie, który dzięki niemu zyska rozgłos oraz rozpoznawalne miejsce na mapie, jest to jeszcze inne miasteczko. Młody nauczyciel zjawiał się w szkole w mundurze polskiego oficera, co też miało swoją wymowę. Należy pamiętać, że Skoczów nie bez racji uchodził za miasto silnie zgermanizowane; działał tam ponadto przywódca Śląskiej Partii Ludowej, separatysta Koźdoń. Morcinek z niebywałą pasją zaangażował się w misję repolonizacyjną, demonstrując własnym przykładem społecznikowskie ideały polskości. A nauczycielem był doskonałym. Jak postrzegał funkcję polskiej szkoły w tamtym czasie świadczy pierwsza publikacja przyszłego pisarza wydana osobno: „Walka szkoły polskiej o duszę dziecka jako przyszłego obywatela”, która zawiera także wiele przesłań późniejszego pisarstwa. Dochodzi do niego mozolnie, zrazu nieśmiało, zapracowany bez reszty i coraz bardziej zadowolony w Skoczowie. dokąd sprowadził wnet „Mamulkę”, która spędzi to najszczęśliwsze lata życia.

## Miejsce w literaturze

Jeśli literackim odkryciem był zbiór nowel Gustawa Morcinka wydanych w roku 1929 w tomie „Serce za tamą” - książka objawiająca nowego pisarza rodem ze Śląska, wielkim wydarzeniem stała się dwa lata później panoramiczna powieść „Wyrąbany chodnik”, ukazująca drogę Śląska do Polski, pełną ofiar i poświęcenia. Ta uhonorowana I nagrodą w Śląskim Konkursie Literackim, rozstrzygniętym w czerwcu 1931 roku, wkrótce wydana drukiem powieść, pieczętowała pojawienie się na Śląsku pisarza rangi ogólnopolskiej, który wnosił do literatury swój temat jako epik świata kopalni i górnośląskich walk wyzwoleniczych. Wysoka nagroda (12.500 ówczesnych złotych!) pozwoliła Morcinkowi zbudować w roku 1933 „Dom w słońcu”. Tu narodzi się ponad pół setki tytułów jednego z najbardziej zapracowanych do ostatnich dni życia pisarzy polskich, którego ostatnia, niedoceniona powieść „Górnicy zakon” ukazała się już po śmierci.

Od „Wyrąbanego chodnika” zaczyna się pełnoprawne miejsce Śląska w polskiej kulturze. Czym była i co oznaczała wówczas ta książka świadczy wyznanie Wilhelma Szewczyka odnoszące się do jego lat szkolnych w rybnickim gimnazjum, który wspominał: „... to była lektura dla nas! Byliśmy głodni wiedzy o Śląsku. Wiedzieliśmy prze-

cież, że po tylu wiekach jesteśmy pierwszym pokoleniem śląskim, któremu danym było uczęszczać do prawdziwie polskiej szkoły. To zobowiązywało. Być Polakiem na Śląsku i nie wiedzieć, jaka była droga Śląska do Polski? (...) Ta panorama najnowszych dziejów Śląska miała w sobie urok świeżości, fascynowała nas odkrywcą pasją pisarza zakochanego w Śląsku. (...) Smakowaliśmy każde zdanie. (...) podziwialiśmy pisarza za opis spraw i rzeczy, o których nie sądziliśmy, że będą nadawały się do wielkiej epickiej opowieści. (...) Książka Morcinka musiała działać jako testament epoki. (...) dla międzywojennych pokoleń śląskich Morcinek stał się pisarzem całego tego okresu niepodległościowego”.

Od „Wyrąbanego chodnika” datuje się także zmiana sytuacji życiowej samego Morcinka,



Z ukoczaną „Mamulką”, która zamieszkała z synem w Skoczowie

który staje się pisarzem nie tylko poczytnym, ale i oczekiwanym: często wyprawia się w głąb Polski godząc jednak nadal działalność literacką z pracą w szkole. Odbywa także podróże zagraniczne. Przede wszystkim pisze, benedyktyńsko pracowity a imponująco wydajny. Jeśli pamiętać, że wszystko co stworzył, łącznie ponad 50 tytułów, w tym kilka parotomowych, powstało w niespełna 30 lat (jeśli odliczyć czas obozowej gehenny) dzieło życia Morcinka musi wzbudzać podziw.

Jego dorobek literacki jest nie tylko rozległy, ale nadzwyczaj zróżnicowany. Został przede wszystkim klasykiem górniczego tematu i autorem najświetniejszych dokonowań na tym gruncie jako powieściopisarz i nowelista. Lecz stał się także wyrazicielem spraw narodowych i pisarzem kwestii społecznych. Zdobył się na powieść psychologiczną i na rozległą powieść historyczną. Niewiele jest w literaturze polskiej równie przeżytych, wartościowych książek dla dzieci i młodzieży. „Epokę pieców” wyraził w książkach o tematyce etycznej i mistycznej. Stworzył także barwną powieść awanturniczą. A baśnie, legendy i podania. Książki reporterskie i krajoznawcze. I co ważne - choć nie jest to dorobek artystycznie równy i jednolity - jeszcze pod koniec życia wydał kilka tytułów, które trzeba zaliczyć do ważnych osiągnięć pisarza - w tym na swój sposób „hrabalskie” - przed Hrabalem!... „Siedem zegarków kopidola Joachima Rybki”, książkę prezentującą najlepsze cechy jego pisarstwa. Można więc zaprzeczyc narzuconej przez zbyt surową krytykę opinii, że „siłą tej prozy nie był artyzm, lecz nowatorstwo tematyczne”...

Jubileusz 70-lecia Morcinka przerodził się w szczytowy czas literackiego świętowania. Uroczystości trwały kilka miesięcy, łącząc od inauguracji rocznicy urodzin w sali skoczowskiego ratusza. Centralnym punktem programu była akademicka w sali Pałacu Młodzieży 6 września 1961 roku. Trwał potem rozpisany na kilka tygodni ciąg spotkań w kolejnych kopalniach, w tym wałbrzyskich, a wszędzie górnicy fetowali „swojego pisarza” obdarowanego kilofami, lampami górniczymi i zegarkami, które stworzyły jubileuszową kolekcję. Jeszcze w grudniu odbyło się wieńczące cykl obchodów uroczyste spotkanie w AGH w Krakowie. Morcinek mógł mieć poczucie pisarskiego spełnienia - w świetnej formie czarował talentami gawędziarskimi, tryśkał humorem, reagował na toasty. Wydawało się, że jest mu pisane życie długie w zdrowiu i dostatku, bo wznawienia, wznawienia, wznawienia...

## Pośmiertna eksmisja

**T**rawiła go już jednak choroba - białaczka limfatyczna. Zatajone przed pisarzem rozpoznanie z I Kliniki Chorób Wewnętrznych w Krakowie nie pozostawiało złudzeń a transfuzje tylko na krótko przywracała siły. To rzutowało także na zmianę w atmosferze „Domu w słońcu”, gdzie nie bez inspiracji wynawcy „miłości braterskiej”, przyjaciela Jana Kuglina, trwa presja na pisarza aby sporządził testament przekazując wszystkie prawa do majątku... synowej Walerii, jeszcze bez rozvodu i jej synkowi Maciejowi. Doszło nawet do incydentu podczas spotkania u cieszyńskiego notariusza Rudolfa Brannego, gdy okazało się, że w porozumieniu z nim... Morcinek nie zebrał niezbędnych dokumentów. Pani Wala wywołała tam wówczas taką scenę, że notariusz dostał zawału serca ze śmiertelnym skutkiem (pisze o tym Krystyna Heska-Kwaśniewicz w „Pisarskim zakonie. Biografii literackiej Gustawa Morcinka”). Jak musiały wyglądać wówczas dni i wieczory Morcinka w tym „Domu w słońcu”, gdy wzbraniał się przed spisaniem testamentu zgodnie z wolą, no kogo?...

Do spisania testamentu ostatecznie nie doszło, pisarz który spodziewał się powrotu do Skoczowa, zmarł w mroczny piątek 20 grudnia 1963 roku w krakowskiej klinice przy ulicy Kopernika. Pamiętam dobrze ten dzień. Przed południem dyrektor Wydziału Kultury WRN, Zbyszko Mikołajski, powiadomił Wilhelma Szewczyka o krytycznym stanie zdrowia Morcinka. Pod redakcją „Poglądów” - wówczas jeszcze przy ulicy Warszawskiej 37 - podjechała czarna wołga. Ra-

zem z sekretarką ZLP, Elżbietą Pietrzok ruszyliśmy do Krakowa. Rozlewała się coraz gęstsza mgła. Na miejsce dotarliśmy o zmroku. Ponury budynek kliniki był dla mnie miejscem bolesnej pamięci: właśnie tu przed ponad 2 laty zmarł na ostrą białaczkę szpikową mój brat Edward. Nie zdążyliśmy na czas do umierającego pisarza: już nie żył. Łóżko stało zaścienione a dyżurująca siostra zakonna niewiele mogła nam wyjaśnić.

Następnego dnia, w sobotę na pierwszych stronach gazet pojawiły się czarne tytuły: GUSTAW MORCINEK NIE ŻYJE. W poniedziałek 23 grudnia odbył się pogrzeb, który przerodził się w żałobną manifestację. Po uroczystościach pożegnalnych w holu cieszyńskiego teatru kondukt wyruszył na cmentarz. W Cieszyźnie zwiślały opuszczone do połowy masztów flagi. Było mroźnie, bezwietrznie. Chyba nigdy w jednym miejscu nie stawiało się więcej górniczych pocztów sztandarowych. Trumnę nieśli górnicy w galowych mundurach, na czakach drżały białe pióropusze. Po bokach tworząc ruchomy szpaler szli górnicy w roboczych uniformach z pełnym rynsztunkiem. Morcinek spoczął w panteonie pośród najbardziej zasłużonych synów Ziemi Cieszyńskiej.

Po śmierci pisarza jego willa została przekształcona w muzeum biograficzne, a opiekę nad nim z funkcją kustosa powierzono Walerii Kuglin, która pobierała z tego tytułu uposażenie, a koszty utrzymania obiektu pokrywał Wydział Kultury. W okolicznościach nie do końca jasnych, w oparciu o oświadczenia jakoby ponad 70-letni Morcinek miał zamiar poślubić Walerię Kuglin, a więc i usynowić Macieja - wnuka „zapobiegliwego” przyjaciela... spadkobierczynią całego majątku i praw wydawniczych pisarza została jego gospodyni. Jan z Bogumina Kuglin, który już w roku 1959 zmierzał do przechwytnie schedy po Morcinku, co doprowadziło nawet do dysonansu, osiągnął cel. Z praw do spadku została całkowicie wyłączona rodzina pisarza - i to z najbliższego kręgu rodzinnego Morcinka. W ówczesnych warunkach granica na Olzie okazała się wystarczającą przeszkodą do pełnej izolacji i dochodzenia praw. To, iż Morcinek nie pozostawił testamentu pozostawało tajemnicą. Ma także swoją wymowę, że rodzina „za Olzą” dowiedziała się o dniu i miejscu jego pogrzebu w ostatniej chwili.

Po śmierci Walerii Kuglin, która zmarła w 1974 roku, spadkobiercą życiowego dorobku pisarza został Maciej Kuglin. Wkrótce wykazał się niezwykłą brutalnością i zachłannością doprowadzając do bezprzykładnej eksmisji pisarza z jego własnego domu, pomimo protestów środowiska literackiego i bulwersujących publikacji. Zabór mienia ułatwił fakt, iż w latach działalności Muzeum Morcinka nie została sporządzona przez Panią Kustosza inwentaryzacja wyposażenia. Wyłoniły się więc rozliczne trudności w odzyskaniu części eksponatów gdy wysiłkiem Skoczowa powstało w końcu muzeum pisarza w oddanym na ten cel budynku przy ulicy Fabrycznej.

★ ★ ★

**SŁAWA - I KRZYWDA GUSTAWA MORCINKA!...** Czy mogła spotkać go krzyda większa niż ta, której dopuścił się pazerny spadkobierca pomimo prasowej kampanii w obronie domu pisarza, wznawianych protestów i interwencji. Z upływem lat zaczęły się także nasilać oskarżenia dotyczące roli Morcinka w przemianowaniu Katowic na Stalinogród. Co bolesne szczególnie - nie są wznawiane, nawet najbardziej poczytne książki z dorobku tego, który Śląsk przybliżył Polsce - a Polskę Śląskowi. Czy ma dziś jakiegolwiek znaczenie również tak ważny fakt, że ani razu po wojnie nie został wydany „Wyrębany chodnik” w pierwszej, autorskiej wersji, bez późniejszych skreśleń wynikających z interwencji cenzury.

I wreszcie zdarzenie o wyjątkowej wymowie: kopalnia, której w uznaniu wybitnych zasług pisarza dla górnictwa nadano imię Gustawa Morcinka, jedna z najmłodszych w polskim górnictwie, zbudowana nad Olzą pod Cieszyńnem, uległa likwidacji. Z daleka widoczny szyb z nazwiskiem pisarza został wysadzony w powietrze. Scena nie tylko symboliczna dla pisarskiego losu Morcinka.



# Ankieta

## „Śląska”



ANTONI HALOR  
pisarz i reżyser

Morcinka szanuję nadal (mimo złej pogody dla górnictwa), żałuję że już go nie wydają, a masowo Ludlumi i Morckocki (chyba tak się pisze?), ale jest to tak samo beznadziejne stwierdzenie jak obserwacja, że w TVP 1 od bardzo wielu lat w ogóle nie ma w programie muzyki klasycznej, to samo (z żalnymi wyjątkami) TVP 2 (w razie potrzeby służę dokumentacją). O dziwo, od czasu do czasu (i tu akurat systematycznie), chyba w niedziele, jest za to Bach, Mozart, Chopin w TV Polonia. Wynika z tego obezwładniająco logiczny wniosek, że wszyscy Polacy nie mający drewnianego ucha (by nie użyć mocniejszych porównań) wyemigrowali. I pewnie tak też sprawy się mają z Morcinkiem. Można się tylko pocieszyć, że istnieje dość stare pojęcie renesansu.

Prof. KRYSZYNA  
HESKA-KWAŚNIEWICZ  
(Uniwersytet Śląski)

1. Morcinek wszedł na stałe do wszystkich opracowań polskiej litera-

- Jak z dystansu czasu postrzegane jest miejsce Gustawa Morcinka w literaturze polskiej?
- Jakie tytuły z jego dorobku zasługują na przypomnienie?
- Jakie są przyczyny, że od pewnego czasu nie są wznawiane książki Gustawa Morcinka, pisarza nie tak jeszcze dawno wyjątkowo poczytnego?

tury dwudziestolecia międzywojennego jako najwybitniejszy przedstawiciel Śląska i tego miejsca nikt już mu nie odbierze. Wprowadził do polskiej literatury Śląsk, stworzył jego niepowtarzalną wizję; realistyczną i mityczną zarazem. Jeden z najsurowszych i najwybitniejszych krytyków, a zarazem badaczy tego okresu, prof. Stefan Kołaczkowski artykuł o *Wyrąbanym chodniku* zatytułował *Uroczystość w literaturze*. („Kultura” 1932, nr 11), podobnie wypowiedzieli się także tacy pisarze, jak Zofia Kossak czy Melchior Wańkowicz. Z perspektywy czasu widać słuszność tego sądu; nawet niechętny pisarzowi Zdzisław Hierowski przyznawał, że tak jak Morcinek już nikt o Śląsku nie pisał. Dodajmy, że zamknął on w swych powieściach i opowiadaniach wizję Śląska, jakiego już nie ma. Że wraz z likwidacją kopalń odchodzi nieodwracalnie krajobraz znakomicie utrwalo-ny utalentowanym piórem skoczowskiego pisarza.

2. Z dorobku pisarskiego autora *Łyska z pokładu* Idy próbę czasu wytrzymują z pewnością jego baśnie, jedno z najpiękniejszych baśni polskich w ogóle, bez przesady można mówić o mistrzostwie w tym gatunku. Sprawdzają się one znakomicie wciąż w dziecięcym odbiorze czytelniczym. Zdecydowanie nie traci swej aktualności *Wyrąbany chodnik*. Właśnie obecnie, gdy toczą się bolesne dyskusje o polskości Śląska, warto sięgnąć do tej powieści, napisanej przecież przez rdzennego Ślązaka, świadomego uwikłań historycznych i politycznych tej ziemi. Choćby fragmenty *Wyrąbanego chodnika* powinny znaleźć się w lekturach gimnazjalnych. Świetna jest nadal proza krajoznawcza i wiele opowiadań. *Listy spod morwy* robią wciąż wstrząsające wrażenie, potwierdzają to moi studenci, którzy lekturę niektórych z nich proponowali młodzieży szkolnej. A *Judasza z Monte Sicuro*? To przecież jedna z lepszych powieści w polskiej literaturze powojennej, ostro i boleśnie dotykająca problematyki ludzkiego sumienia. Chciał ją kiedyś sfilmować Tadeusz Konwicki.

3. W moim odczuciu przyczyna nieobecności książek Morcinka na półkach księgarskich jest następująca: spadkobiercą praw autorskich pisarza jest Maciej Kuglin, który żąda od wydawców zbyt wysokich tantiem. Wiem o szeregu prób pertraktacji z Kuglinem, które skończyły się fiaskiem.

Prof. KRZYSZTOF  
KŁOSIŃSKI  
(Uniwersytet Śląski)

#### Chodnik niewyrąbany

Zacznę od cytatu. Kto mógłby to napisać? Pewnie któryś z pisarzy międzywojennych: Saint-Exupéry? Rémarque? Barbusse? Posłuchajmy:

„Ciężki kadłub samolotu, przechylony w przód, ślizgał się teraz w lekko falującej linii, brzeg ziemskiej kotliny wznosił się coraz wyżej w płaszczyznę rozradowanych oczu, a oszalały wichur prął miękkimi dłońmi o duże szkła na Emilowych oczach, ocierał się z krzykiem o jego ciało, dzwonił wysokim, piskliwym tonem w stalowych więzaniach skrzydeł.

Emil doznawał znowu po stokroć wracającą rozkosz swej mocy i woli. Oto w dłoniach trzyma wymyślne rączki, palce obłapiają lśniąca obręcz koła, wyczuwają jej okrągły, zimny kształt, najmniejszym drgnieniem woli i myśli przesuwają ich położenie, a cudowny ptak słucha potulnie, wywijając się wyjąca gardzielią pod niebo, zatacza szerokie łuki, na boki kładzie, na wznak przewala, potem zadrze ogon w górę i spada z szumem w kryształową przepaść, to znów wyrównywa się w locie, bierze pod skrzydła powietrze i leci, leci, pijany słońcem i przestrzenią. [...] Wychylił się za burzę. Podnosi się do niego olbrzymia kolistą wklęsłość ziemi, brzegi jej opadają z lekka, a środek, dotychczas głęboko zapadnięty, rośnie, wyrównywa się, wydźwiguje coraz wyżej i wyżej, cała ziemia pędzi pod niebo”.

Przez lata układałem dla kandydatów na śląską polonistykę testy styliz-

styczne i wykorzystywałem podobne fragmenty gęstej prozy, troszkę je jeszcze „podrasowując”, bo, wiadomo, z tekstem jak z ciastem, nie można w jednym pomieścić wszystkich możliwych bakalii. Ten typ prozy, którym zajmowałem się w osobnej książce, charakteryzuje odmianę polskiego modernizmu, wyróżniającą się szczególnym, jak to mówiono na początku wieku XX (a często i później), „wystylizowaniem”. Mój uczony przyjaciel określił model tej prozy jako „poetycki”.

Zacytowany fragment nie jest „podrasowany”, pozostał autentyczny, autentyczny w swym niesłychanym (rzekłbyś: testującym czytelnika) bogactwie, które przecież wcale nie zamazuje jego czytelności, które nie czyni z niego stylistycznego rebusu. Idę o zakład, że gdybym przeczytał ten cytat nie tylko kandydatom na polonistykę, ale nawet jej adeptom, może nawet wielu jej wykładawcom, zwłaszcza poza Śląskiem, to nikomu nie przyszłoby do głowy, że autorem jest... Gustaw Morcinek.

To jest właśnie problem, który staje w związku z tą wielką, ale całkowicie zignorowaną postacią literatury polskiej, wcale nie regionalną, to znaczy nie tylko regionalną, nie bez reszty regionalną. Odwrotnie, wielką wielkością wyrastającą ze swego regionalizmu, jak Faulkner wyrasta ze swego mitycznego hrabstwa Yoknapatawpha.

Wilhelm Szewczyk napisał kiedyś, że Morcinek „przywrócił znaczenie wszystkim drobnym akcesoriom życia śląskiego, które przez to samo wchodziły do literatury jako elementy pełnoprawne, mogące budzić takie samo wzruszenie, jakie budziły w nas dotąd romantyczne rekwizyty spod Nowogródka czy z ukraińskich stepów”.

To jest zupełnie pierwszoplanowa funkcja pisarstwa Morcinka: epickie podniesienie Śląska do rangi mitycznego domu, mitycznego centrum świata. Szewczyk zauważył, że to literackie podniesienie dotyczy w jakiś niezwykle sposób także i „nas”, mieszkańców tej ziemi: „co było w nas [...] wstępowało w nas na nowo, dokonując przeobrażenia”. Rekwizyty tego świata funkcjonują tutaj niczym Soplicowskie „ogórki i arbuzy”, o których pisał Miłosz, że „spełniają wszelkie warunki, aby otrzymać godność symbolów, czyli rzeczy, które zarówno są sobą w całej pełni jak znaczą coś innego”.

Epickość Morcinka, zawarta w relacji świata i języka ma na pewno wymiar metafizyczny. Jeszcze inne porównanie: z Singerem. Też epickość świata (i języka - dodajmy) dotąd zamkniętego przed literaturą, a więc przed porozumieniem z innymi, przed wymianą odczuć, myśli, doświadczeń, także takich, jak smak chleba i palcami niemal „drobionym” mrok kopalni.

Jak pięknie, a zarazem z jaką baśniową aurą, mówi Morcinek o książce, o jej znaczeniu dla człowieka. „Kiedy wyzuty z ostatnich sił z rozpaczą buntownika pchał naładowane taczki do gospody i kiedy wszystko w nim gasło, a myśli powlekały się żałobą - uśmiechał się w duchu zniebawca, bo sobie przypominał, że w domu czeka go książka, która go znowu jakby wodą żywą napoi, za rękę weźmie i w dalekie światy poprowadzi, gdzie o wszystkim złym i nędzy zapomni”.

Morcinek jest pisarzem modernistycznym, wierzy w przemieniającą, zbawczą moc słowa. Jest, jak to powiadano, „epikiem pracy”, także jeśli słowa te ułożyć odwrotnie, mając na myśli z całym nabożeństwem i z całym poczuciem odpowiedzialności wykonywaną przez pisarza kunsztowną „pracę epika”, która, powtarzam za Szewczykiem, ma „dokonać przeobrażenia”.

Czy można spychać to pisarstwo w podobszar „literatury popularnej”, gdzie mieściłoby się obok, dajmy na to, Mniszkównę?! Tak to ujmują na ogół podręczniki. Zresztą, czy te wszystkie stratyfikacje należałoby podtrzymywać dziś jeszcze, wobec ponowoczesnego przemieszania obiegów? Z drugiej strony, zanegowanie specjalnie po śląsku ludowego charakteru jego pisania odbierałoby mu szczególność równą osobnym i niepowtarzalnym światom Celnika Rousseau albo Teofila Ociepki.

Morcinek stanowi wyzwanie dla nas, piszących o literaturze polskiej. Gruntownie upupiony, wciskany przed wojną w ciasny regionalizm czy nacjonalizm, a po wojnie w jeszcze ciaśniejszy socrealizm, pozostaje jednym z największych dziś „nieczytanych”. Należy mu się przecież w końcu „wyrąbany chodnik” do literatury polskiej.

Prof. JAN MALICKI  
Dyrektor Biblioteki Śląskiej

To wielka tragedia Gustawa Morcinka. Pisarz, który potrafił stworzyć własny oryginalny program literacki, operujący znakomitą warsztatem, piszący polszczyzną, o której mogą marzyć pokolenia polonistów po raz kolejny poniósł klęskę. Przypisywano mu wiele niecnosci świata tego. Taki właśnie jest nasz współczesny świat.

Ale dla mnie owa tragedia zasadza się jeszcze na czymś innym. Dla mnie Morcinek i jego twórczość jest silnie osadzona w tradycji kulturowej, etyki wywodzącej się z etosu rycerskiego, a trwającej aż do czasów klasycznych dżentelmenów. Ten etos minął. Minęły też czasy wzorców preferowanych przez autora „Ondraszka”. W czasach etyki a rebours wzorce są już przebrzmiałe. Kultura kiboli i blokersów zwycięża.

Prof. JAN MIODEK

Myślę, że Gustaw Morcinek ma ciągle jeszcze silną pozycję w świadomości kulturowej ogółu społeczeństwa, i to nie tylko Górnego Śląska. Przypominam, że w plebiscycie „Gazety Wyborczej w Katowicach” na 100 największych postaci XX stulecia zajął bardzo wysokie 10 miejsce - najwyższe spośród wszystkich ludzi pióra, wyprzedzając bardzo dziś popularne i - co najistotniejsze - medialne postacie. Jurorzy plebiscytu umieścili go na jeszcze wyższej ósmej pozycji. Kiedy zaś przy takich czy innych okazjach egzaminacyjnych wypada mi zapytać studentów polonistyki wrocławskiej o pisarzy kojarzących się z poszczególnymi regionami kraju, przy Górnym Śląsku zawsze pojawia się nazwisko Morcinka.

Takie jego utwory, jak *Łysek z pokładu ldy*, *Listy spod morwy*, *Pokład Joanny* czy *Wyrąbany chodnik* to klasyka literatury mojego pokolenia, do której - co bardzo ważne - odnosi się inne dokonania artystyczne. Kiedy na przykład niezapomniany laureat drugiej edycji gwarowego konkursu „Pogodomy po naszymu” Henryk Konsek snuł swą opowieść o oślepiłym kopalnianym koniu, skojarzenia z Morcinkiem były dla nas czymś oczywistym.

Śmiem jednak twierdzić, a zdążyłem to sprawdzić, że dla generacji młodszych już one tak oczywiste nie były. Bo też Morcinka się nie wznawia, tak jak nie wiem, czy w szkołach górnośląskich decydują się na lekturę jego książek nauczyciele języka polskiego. A przecież można by ją zaproponować młodzieży w ramach programu edukacji regionalnej. Pisarz ten zasługuje bowiem na trwałą obecność w historii literatury polskiej, na Górnym Śląsku natomiast powinien utrzymać status klasyka.

Moja pamięć wybacza mu także postawienie do sejmu kadencji 1952-1957, choć doprawdy miał już wtedy taką pozycję, że chyba nie musiał się godzić na zgłoszenie oficjalnej „parlamentarnej” propozycji, by Katowice stały się Stalinogrodem.

dr hab. DARIUSZ ROTT  
(Uniwersytet Śląski)

Na przypomnienie z dorobku Gustawa Morcinka pisarza, którego łączny nakład książek przekroczył półtora miliona egzemplarzy, zasługują w mojej opinii bez wątpienia jego pełne humoru, związane z folklorem śląskim baśnie (zebrane w tomach *Jak górnik Bulandra diabła oszukał*, *Baśnie śląskie*; *Przedziwne śląskie powiarki*; *Przedziwna historia o zbrojniku Ondraszku* - niektóre z baśni ilustrował Teofil Ociepka). Ważne są też inne utwory dla dzieci i młodzieży



Na deptaku w Krynicy (1960/61). G. Morcinek drugi z prawej.

(m.in. *Narodziny serca* - znakomity hold dla harcerstwa, *Ludzie są dobrzy, Uśmiech na drodze* czy *Czarna Julka* - niezwykle powrót pisarza do kraju lat dzieciennych), które cechuje atrakcyjna fabuła, wyraziści bohaterowie i walory etyczne. Próbe czasu wytrzymują także opisy umiłowanego przez pisarza krajobrazu beskidzkiego. Warto wznowić chyba całkiem dziś zapomnianą powieść *Siedem zegarków kopidola Rybki* czy *Judasza z Monte Sicuro*, którego pierwsze wydanie rozeszło się zaledwie w ciągu kilku tygodni! *Judasz...* zainteresował Tadeusza Konwickiego (wówczas doradcę literackiego zespołu filmowego „Kadr”) i Jerzego Kawalerowicza. Do ekranizacji jednak nie doszło. Upomniałbym się również o reportaże podróżnicze Morcinka.

Rzadko dziś chyba już pamiętamy, że z utworów Morcinka Polska „uczyła się” kiedyś Śląska. Jedną z przyczyn obecnego braku wznowień książek Morcinka jest chyba ogólna sytuacja rynku książki - jego przypadkowość, komercjalizacja, brak skoordynowanych działań promocyjnych. Drugą... restrukturyzacja górnictwa, gałęzi przemysłu, które daleko odeszło dziś od świata kopalni przedstawianego przez autora *Wyrąbanego chodnika* - kopalni romantycznej, swoistej sfery sacrum, połączonej z realistycznymi opisami szlachetnej i braterskiej pracy górników, dziedziczonej z ojca na syna - „górniczego zakonu” - jak określił to Morcinek. Nikt już chyba nie przedstawi barwniej i realniej niż on tego świata zmieniającego się dzisiaj w zetknięciu z ekonomią i prawami rynku.

dr TADEUSZ SIERNY  
(prezes Wydawnictwa  
Naukowego „Śląsk”)

Duchy Gustawa Morcinka i wielu, wielu innych twórców wpisanych w dzieje Śląska konsekwentnie i bez rożgłosu odsyłane są przez czytelników do rewirów smutnego literackiego nieba, zarezerwowanych - dla zapomnianych i nie czytanych - tzw. pi-

sarzy regionalnych.

To prawda, że G. Morcinek nie był Conradem podziemnych żywiołów, ani też nie stworzył porażającego realizmem dokumentu na miarę pióra E. Zoli.

Był pisarzem niemal mistycznym, zalecającym swoim bohaterom proste i niemodne prawdy takie jak: nawiąną wiarę w zwycięstwo dobra nad złem, mądrości nad głupotą, miłości nad nienawiścią i rozpacz, nieufność wobec „obcych” a pobłażliwość i wyrozumiałość dla „swoich”.

Chrześcijański, dobrotliwy i pocziwy został dziś wypchnięty ze świadomości społecznej agresywnymi, perswazyjnymi wytworami kultury masowej, bardziej jednoznacznymi w swej wymowie niż jego powieści, opowiadania i baśnie.

Styl narracji G. Morcinka, klasyczny - dziewiętnastowieczny nie budzi już wielkiego zainteresowania i emocji u współczesnego, masowego czytelnika, który przecież bardziej lubi być stymulowanym czytaniem tekstem niż tylko inspirowany zawartymi w nim ideałami.

Wszystkie te okoliczności nie są jednak wystarczające, by wydać na całą twórczość Pana Gustawa wyrok wiecznej banicji z czytelniczej pamięci.

Często bowiem tak bywa, że społeczeństwo pozbawione choćby tylko „na chwilę” pozytywnej wizji swojej przyszłości, a tak stało się dziś na Śląsku, starając dostosować się do nowych warunków oraz okoliczności w jakich przyszło mu żyć, odrzuca lub

- brnąć w przeciwną skrajność - bezkrytycznie zamyka się w dostępnych mu enklawach tradycji, ugruntowanych w lokalnej kulturze, dawnych, archaicznych hierarchiach wartości.

Dlatego dziś, tutaj na tym Śląsku pozbawionym perspektyw spokojnego bytu, poddanym tak gwałtownym procesom przemian, należy pamiętać o twórczości Gustawa Morcinka i spierać się z nim bardzo serio.

Wielka, bogata, twórcza kultura rodzi się z pamięci o lokalnej przeszłości, ale przede wszystkim z mozolnego, wieloletniego przekształcania zastanych wzorów, mitów i tekstów kultury, sporów z nimi, klęsk i artystycznych sukcesów.

Pisarstwo Gustawa Morcinka potrzebne jest współczesnym jak zwierciadło, może już nieco wyblakłe, ale demonstrujące śnione kiedyś ideały minionej, ponoć bardziej ludzkiej cywilizacji. Po to, by móc je odrzucić dla nowych, innych, atrakcyjnych form, trzeba tamte ideały - nie dezawuuując ich lub łatwo wyszydzać - poznać, zapamiętać, zrozumieć i chcieć zmienić. Jak uczy historia literatury, tak zazwyczaj powstają dzieła wielkie, bynajmniej nie regionalnych twórców i nie tylko o górnikach.

W szkołach, w procesie wychowawczym teksty G. Morcinka mogą spełniać niezwykle istotną rolę edukacyjną i promocyjną wobec naszego regionu, a także stabilizującą elementy pedagogiki niezbędne do budowy nowego uniwersalnego, europejskiego ideału wychowawczego.

Dlatego należy wznawiać i wydawać piękne opowieści, **baśnie i legendy oraz niektóre nowele** Gustawa Morcinka, pozostawiając historykom literatury czytelnicze zmagania z powieściami tego pisarza.

Samego twórcę należy chronić przed zapomnieniem nie poprzez edycje nie oczekiwanych przez nikogo dzieł wybranych lub co gorsza pozbiętych, ale przez twórczy z nim dyskurs i sprzeciw, analizę jego ideałów etycznych, postawy politycznej, biografii.

Pamięć niepokorna intelektualistów i nieudawane szlachetne uczucia najmłodszych prowokowane lekturą zapomnianych dziś tekstów baśni oraz opowiadań lepiej służą utrwaleniu pamięci o takich postaciach jak Gustaw Morcinek niż jakiegokolwiek spiżu lub zwyczajowe np. konkursy jego imienia.

EWA SŁAWEK  
Instytut Literatury Polskiej U.S.

Jako językoznawcę zajmującego się problematyką języka artystycznego Morcinek zainteresował mnie przede wszystkim jako stylista, choć z jego Osobą byłam zżyta od dzieciństwa. Na jego prozę, której liczne fragmenty brzmią dzisiaj jak dramatyczne apele ekologów, patrzyłam więc niemal wy-

**EX LIBRIS 1891**  
\*1963  
1991

KARWINA  
SKOJCZÓW  
DACHAU  
KATOWICE  
CIESZYN

**GUSTAW MORCINKA**

W 100 ROCZNICE URODZIN  
IN MEMORIAM ET HONOREM



łącznie przez pryzmat organizacji jej tworzywa językowego. Harmonijna i zarazem pełna dysonansów orkiestracja stylów, z jaką obcujemy w utworach pisarza, ich jasne i chropawe tonacje, literackie i gwarowe brzmienia - domagały się dokładniejszego opisu. Dla stylistyka, który wprawiał się w analitycznym rzemiośle, a dysponował instrumentarium, w które wyposażało go współczesne językoznawstwo, teksty autora *Wyrąbanego chodnika* stanowiły wręcz modelowy przykład materiału badawczego. Materiału, w którym panowało stałe napięcie między różnymi wzorcami literatury wysokiej (zwłaszcza modernistyczną metaforą) a mową ludową, z którą związany był pisarz. Badacz dwudziestowiecznej prozy, tropiący w niej wszelkie przejawy eksperymentów z formą, dostrzegając w nich „symbolizację polityczności i erotyczności”, mówiłby tutaj o „toczącej w prozie Morcinka, uderzającej natychmiast w lekturze, grze między wolnością swobodnego kreowania (...), swobodą stylizowania, przyznawanej artyście przez modernizm (...) a zgodną z narzuconym sobie etosem - „korektą” [mową ludową - E. S.] (...)”

Wiedzioną słuchem - stawiałam się temu pisarstwu z biegiem lat do tego stopnia „posłuszna”, by w kilku szkicach podjąć próbę zmierzenia się z jego stylistyką. Dałam w nim wyraz przekonaniu o „rozmaitości” stylistycznej dzieła karwińsko-skoczowskiego pisarza, przeświadczeniu, iż stanowi ono jako całość subtelna mozaikę stylów i języków, która w sposób spektakularny ilustruje podstawową dla tej twórczości ideę - tożsamość kulturowej (w tym językowej) Śląska (przede wszystkim Cieszyńskiego).

Spuściznę literacką Morcinka, widzianą w perspektywie językowo-stylistycznej, odczytuję jako wyjątkowe świadectwo kształtowania się etniczno-kulturowego oblicza Ziemi nad Olzą. A jego znamiona szczególnie to z jednej strony wierność wobec rodzimych, lokalnej tradycji (obecność folkloru górniczego i beskidzkiego, gwary cieszyńskiej), z drugiej zaś ogromne aspiracje ku „wyższej” polskiej kulturze narodowej i kult wobec całej jej tradycji.

Jeżeli wartość dzieła Morcinka międzywojenna krytyka literacka upatrywała w wyjściu poza wąsko rozumiany regionalizm, to ideologia współczesnego europeizmu, otaczająca szczególną troską wszelką twórczość wyrastającą z doświadczeń konkretnego miejsca i właściwego mu czasu, powinna przywrócić owej „lokalności” należne jej miejsce, nobilitując to słasko-cieszyńskie pisarstwo. Ta literatura, która tak wieloma nićmi powiązana jest z ziemią rodzinną pisarza, jej historią (rozpad monarchii austro-węgierskiej, powstania śląskie), jej mową, pejzażem i kulturą wydaje się ponad wszelką wątpliwość praktyczną

ilustracją popularnej dziś europejskiej idei „małych ojczyzn” i w jej kontekście powinna być przede wszystkim dzisiaj odczytywana i oceniana.

Przypisywana Morcinkowi regionalność wypełnia się dziś nową treścią, nabiera nowego znaczenia połączona z ideą Europy nie tylko jako wspólnoty narodów, lecz przede wszystkim małych wspólnot i społeczności, rozdzielonych dziś często granicami państwowymi. Nie sposób nie dostrzec, iż w odniesieniu do tak często portretowanego przez pisarza Śląska Cieszyńskiego, którego część w roku 1920 znalazła się poza granicami państwa polskiego i do dziś poza nimi pozostaje, uwaga ta nabiera szczególnego znaczenia.

Regionalny charakter prozy karwińskiego pisarza nie oznacza już dla nas związku z ideą integrowania się regionów w obrębie polskiej państwowości, jak miało to miejsce w dwudziestolecu, lecz nabiera charakteru ponadnarodowego i ponadpaństwowego. W moim przekonaniu pozostaje on w ścisłej relacji z ideą nowej zjednoczonej Europy z jej ideologią transgranicznych wspólnot etniczno-kulturowych.

Pokonujący bariery granic państwowych regionalizm wspólnej Europy zapewne odkryje nieklamany walor utworów Morcinka, dostrzegając w nich zapis historycznego świata tego cieszyńsko-karwińskiego kąska ziemi wraz z jego mową i jego tradycją, w której archaicznych formach patetyczno-biblijną wzniosłość sąsiaduje z sentymentalną uczuciowością, i w której pietyzmowi dla przeszłości towarzyszy nieustanne zainteresowanie tym, co nowe i jeszcze nie rozpoznane.

Lektura tekstów (lub ich obszernych fragmentów) pisarza, które zgromadziłaby odpowiednio skrojona antologia, powinna się dziś odbywać w duchu hermeneutyki egzystencjalnej i współczesnej geografii humanistycznej, patronującym modelowi edukacji regionalnej. W „spotkaniu” z kulturą regionu, które oferuje nam twórczość Morcinka, dokonuje się akt samozadomowienia pozwalającego odpowiedzieć na tak często zadawane dziś przez literaturę pytanie „kim” i „skąd” jestem.

HALINA SZOTEK  
dyrektor Muzeum  
Gustawa Morcinka  
w Górkach Wielkich

1. Sądząc z wciąż dużego zainteresowania życiem i twórczością Gustawa Morcinka, jakie od lat obserwujemy w naszej placówce muzealnej, ma on pewne i niekwestionowane miejsce w polskiej literaturze XX wieku. Postrzegany jest jako polski pisarz, choć kojarzony z naszym regionem, a wielu zna nawet jego zaolziańskie korzenie.

Zainteresowanie Morcinkiem wykazują głównie przedstawiciele starszego i średniego pokolenia, co jest naturalne. Ci ludzie mogli znać pisarza osobiście, czytać o nim, oglądać go i słuchać, mieli łatwy dostęp do jego książek. W rozmowach nie ukrywają fascynacji jego osobowością, podkreślają podziw dla jego twórczości. Zdarzało się wielokrotnie, że odchodzili od drzwi muzeum, kiedy dowiadawali się, że czasowo zbiory morcinkowskie prezentowane są np. w Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze. Szukają u nas książek Morcinka, a my mamy tylko książki „o Morcinku”.

2. Z bogatego dorobku Gustawa Morcinka najbardziej warte przypomnienia są przede wszystkim zbiory baśni i legend śląskich, a także - *Wybrany chodnik*, *Pokład Joanny*, *On-draszek*, *Czarna Julka*, *Ludzie z pociągu*, *Judas z Monte Sicuro*, *Listy z mojego Rzymu* czy *Serce za tamą*.

Może - wobec powrotu do zdrowo pojętego regionalizmu - warto byłoby się przyjrzeć *Czytankom śląskim*, których był współautorem czy jego artykułom publikowanym w „Miesięczniku Pedagogicznym”, które są nadal zadziwiająco aktualne i pokazują Morcinka jako wytrawnego pedagoga.

3. Wydaje mi się, że ostatnia seria książek Morcinka ukazała się nakładem „Śląska” w 1988 r. Potem już tylko *Łysek z pokładu Idy* i w 2001 r. w nakładzie 150 egz. *Legendy skoczowskie* (wyd. Biblioteka Śląska w Katowicach).

Powód, że książki Gustawa Morcinka przestały się ukazywać jest oczywisty. Prawa autorskie zostały przedłużone do 30, a potem do 50 lat po śmierci autora. Prawa te nabył w 1973 r. Maciej Kuglin, który nie robi nic, by wydawać jego książki. Inni zaś nie mają praw.

Obawiam się, że ta sytuacja doprowadzi w końcu do tego, że aczkolwiek Morcinek zasłużył na trwałe miejsce w polskiej literaturze, za kilka lat będzie zupełnie zapomniany! Już teraz dla młodego czytelnika jest wyłącznie autorem *Łyska*. Nie mają dostępu do twórczości pisarza nawet uczniowie szkół imienia G. Morcinka, których w całej Polsce jest ponad 30 (było 40). Książki wydawane przed kilkudziesięciu laty zostały w większości bibliotek wycofane jako „zaczytane”, nowych nie można kupić i wszystko wskazuje na to, że jeszcze przez następne 10 lat nic się nie zmieni. Autor nieobecny w bibliotekach i na półkach księgarskich przez dłuższy czas, a tak jest właśnie z Morcinkiem, skazany jest na zapomnienie. Jeśli więc mimo to wciąż są ludzie szukający książek śląskiego pisarza, upominający się o nie, jest to swoisty fenomen i świadczy o jego wielkości i poczytności. Nie pozwólmy, by ta ważna dla naszego regionu i polskiej literatury twórczość poszła w zapomnienie.



# Morcinek wśród młodych

MATEUSZ  
BABAK

Od śmierci Gustawa Morcinka, piewcy Śląska i egzotyki górniczego trudu, może nawet współtwórcy śląskiego etosu pracy mija 40 lat. Śląsk się zmienia, wspomniany etos czas chyba najwyższy przewartościować, mody literackie też są całkiem inne. O Morcinku nie pisze się, a jeśli już, to w kontekście stalinogrodzkiego epizodu w nazwie stolicy naszego województwa. Czy jest Morcinek czytelny? A jeśli — przez kogo? Z konkursu na tekst o wybranej książce lub książkach pisarza, zorganizowanego przez Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu dla młodzieży szkolnej wynika, że tak. Zapewne nie masowo, ale uważnie, z elementami autentycznego dialogu z pisarzem, a historia o Łysku nie jest wszystkim, czego młodzi czytelnicy u Morcinka szukają.

Prawdą jest, że „Łysek z pokładu Idy” był tytułem dość często powtarzającym się w pracach najmłod-

szych konkursowiczów. W szkołach podstawowych utwor ten jest jeszcze traktowany jako lektura i bardzo dobrze, że tak jest. Justyna Arkit, uczennica średniej szkoły plastycznej, wspominała o trudnych poszukiwaniach egzemplarza „Roztomych ludków”; nie mogła go znaleźć ani w bibliotekach publicznych, ani w szkołach noszących imię pisarza. Pewnie w bibliotekach szkolnych egzemplarzy „Łyska” jest jeszcze dość. Być może Morcinek jednak nierzadko został już „zaczytany” w wielu bibliotekach i należałoby pomyśleć o wznowieniach niektórych utworów. Ta sama konkursowiczka pisze, że utwory Morcinka są wdzięcznym tworzywem do ilustrowania. Morcinek, jak wielu innych pisarzy, za życia nie był rozpieszczany ładnymi wydaniem i niewątpliwie parę takich wydań mu się należy.

Jakie, prócz powszechnie znanego „Łyska”, utwory Morcinka inspirowały młodych czytelników” do sięgnięcia po pióro? Były to zbiory nowel „Serce za tamą” i „Miód w sercu” (oraz wybory z nich, bądź pojedyncze nowele) i po-

wieści: „Wyrobany chodnik”, „Narodziny serca”, „Ludzie są dobrzy”, „Uśmiech na drodze”, „Pokład Joanny” i „Górnicy zakon”. Popularny był „Ondraszek” i „Przedziwne śląskie powiastki”. Szczególnie interesujące wypowiedzi pojawiły się po lekturze mniej znanych książek Morcinka, autobiograficznych, takich, jak „Czarna Julka”, „Roztomili ludkowie” i „Dziewczyna z Pól Elizejskich”. Były to więc tak książki pisane z myślą o młodym czytelniku, jak i książki dla dorosłych.

Piszący zdawali się być świadomi, że zaszerzowanie poszczególnych dzieł do którejś z tych kategorii jest ważne, ale inaczej niż się specjalistom od literatury dotąd zdawało. Agnieszka Huf bardzo przekonująco dowiodła, że powieść „Ludzie są dobrzy” dzisiaj powinna być książką dla dorosłych — lekturą obowiązkową dla nich (a konkurs zakładał weryfikację aktualności twórczości Morcinka); to dorosłym takie książki są potrzebne, kiedy dostrzegają jedynie wypadki, gwałty, wojny, i fascynują się nimi w środkach masowego przekazu.

„Ludzie są dobrzy”, „Serce za tamą” to - pisano - dobre tytuły. Jednoznaczne, zrozumiałe, potrzebne. Morcinek także tak sądził, był przecież uczniem Kornela Makuszyńskiego. Poetyka Morcinka jest zatem i dziś potrzebna czytelnikom. Z jej kompozycyjnym szczęśliwym zakończeniem („wśród pracowitych górników jest bumelant, są i tacy, ale musi być happy end”). Dobro bezwzględnie zwyciężyć musi w baśniach — i to założenie jest podkreślane jako atut Morcinka-baśniopisarza. Niektórzy akcentują fakt czytania im tych śląskich baśni przez rodziców we wczesnym dzieciństwie; oni przyznają się, że chętnie do lektury Morcinkowych baśni wracają, ciesząc się ich językiem, wymową i przednim humorem.

Język, a konkretnie gwara, bywa już kontrowersyjna. Niektórzy uważają, że utwory Morcinka są na skutek operowania gwarą mniej przystępne. Częściej wszakże gwara podoba się. Dominice Giezmie bliska jest „ślonsko godka” i - podobnie jak Agnieszka Rekus - odnajduje u Morcinka żywą gwarę, nie zepsutą naleciałościami, czyniącymi z niej żargon. Uważa, że literatura ta dalej pełni wielką funkcję przybliżania Śląska Polsce i Polski - Śląskowi. Pogląd ów potwierdza słuszność i aktualność zamierzeń autora „Gómiczego zakonu”.

Bywa Morcinek odbierany porażająco szczerze, jakby instynktownie. Świadczy o tym zachwyt młodego czytelnika opowiadaniem „Rozmowa w Górach Stołowych”. Nie jest to utwór znaczący pośród beletrystyki Morcinka. Autor pracy konkursowej czuje jednak bezbłędnie radość górnika ze słońca w górach, na które patrzy. O tej radości mówią czasem śląscy malarze, profesjonalni i niedzielnicy. Romana Nowotarskiego, przybysza na Śląsk, fascynują ciemne podwórka z kłopsztangami. Ślązaków, jak np. Kazimierza Szołtyśka, czy Norberta Paprotnego pociągają jasne, kolorowe pejzaże. Morcinka, pisarza - także.

Praca, podniesiona przez Morcinka do rangi mitu, wspomagającego etos ciężkiej, fizycznej pracy najemnej, jest dostrzegana przez Morcinkowych czytelników jako wielkie dobro. „Praca to modlitwa - powtarza mi dziadek” - napisał jeden z nich, zachwycony Morcinkiem. Za pisarzem uważa on - i nie on jeden - że krzywda i zło biorą się z braku pracy i są konsekwencją społeczną bezrobocia. Wielu uczestników konkursu dostrzega zmiany w modelu śląskich rodzin, gdzie telewizja wyparła wiele zainteresowań i codziennych czynności. I pyta, czy wiara Morcinka w ludzką dobroć, uczciwość i solidarność nie zostałaby dzisiaj zachwiana.

Dla wielu Morcinek nie jest autorem łatwych czytań i jego twórczość kojarzona jest z ważkimi przesłaniami i znaczącymi we współczesnej kulturze twórcami. Morcinek jest dla nich współczesnym drogowskazem. Ewa Rusin pisząc o postaciach z „Czarnej Julki”: inż. Racku, panu Lizaku, księdzu Kuryłowiczu („dziś rzadko można spotkać księdza o tak bezinteresownym

sercu”), nazywa ich bohaterami. Uważa, że duszę trzeba karmić książkami i dobrymi uczynkami, bo „głodna dusza może przestać istnieć”. Książka Morcinka jest dla niej takim pokarmem dla duszy. Znow Morcinek byłby szczęśliwy, bo przecież o to mu chodziło, jako pisarzowi.

Justyna Arkit, laureatka I nagrody, pisząc także o powieści „Czarna Julka”, zauważa, że to dorośli harowali potulnie jak woły robocze, ale Julka, Gustlik, młody Waniek - już inaczej. Oni chcieli się wykształcić, intuicyjnie przezuwając znaczenie edukacji, które dziś jest oczywiste dla młodego pokolenia mieszkańców Śląska. I - łącząc treści „Czarnej Julki” i „Roztomionych ludków” - Arkit przeprowadza analogie losu młodych na Śląsku Morcinka i dzisiejszym: młodzi tu i tam chcą studiować i być kimś, solidaryzują się z powodzianami, kochają zwierzęta, chcą pokoju jak pacyfistka Cyłka, Małyszowi kibicują jak Bajanowi, wystawiają jasełka, organizują zbiórki na biedniejszych, fascynuje ich magia literatury i teatru. Inni pracują, gdy pracę mają, raczą się trunkami pod sklepami, a gdy zdarzy się tragedia, każda gazeta pisze o niej inaczej, a winnych i tak nie ma. Morcinek jawi się bardzo aktualny! Morcinkowe postacie to i dla Justyny bohaterowie. Przytacza słowa socjalisty Lizaka: *Nie trzeba być od razu bohaterem. Wystarczy, jeżeli będziecie porządnymi ludźmi. Być porządnym - to także nieraz bohaterstwo!* I dodaje zwięźle: To zawsze bohaterstwo. Upomina się o przywrócenie blasku zwrotowi: być porządnym człowiekiem.

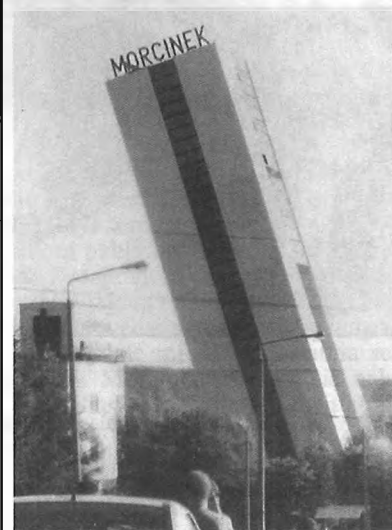
Najważniejsze zdają się być uwagi Justyny o języku Morcinka, o wyrażonych metaforycznie scenach drogi do nieba i pożegnania z Julką. Oraz o takich scenach, jak sprzedaż zepsutych jajek, podwójne Bóg zapłać, czy Wańka na latarni, wypinającego za sprawą policjanta gołe pośladki na Najjaśniejszego Pana. To obrazy jak z Hrabala - pisze laureatka i - ma rację! Ma rację, ukazując nam wcale nie prowincjonalnego, śląskiego pisarza, Gustawa Morcinka.

Julia Janicka z Rybnika pisząc o „Dziwczyninie z Pól Elizejskich” konfrontuje wrażenia z lektury Morcinka z łagrowymi wspomnieniami swego dziadka, ale też z „Pasią życia” Irvinga Stone’a, poświęconą Vincentowi van Goghowi. Morcinek i dla niej jest prawdziwym pisarzem, mającym człowiekowi i w 2003 roku wiele do powiedzenia. I umięjącym to powiedzieć lepiej, niż sądzili dotąd nawet zyczliwi mu krytycy.

Konkurs dowiódł, że pisarstwo Morcinka istnieje dla młodych obok fantasy, Harrego Pottera, Marqueza, Huellego, Kuczoka i innych. Zwycięzcy konkursu zakończyła swój minisej tak: *„Będzie wielka szkoda zakopać kiedyś tę twoją głowiczkę w ziemi”* - powiedziała mała Julka do małego Gustlika. Pisarz to jego dzieło. Obyśmy niepamięcią nie zakopali głowiczki Morcinka naprawdę.” Niechaj wszyscy zastanowią się nad tymi słowami.

## „Morcinek” wysadzony w powietrze

Kopalnia „Morcinek” w Kaczycach nad Olzą należała do najmłodszych w polskim górnictwie. Jej budowę rozpoczęto w 1978 roku i po 8 latach budowy otwarto ją uroczystie z okazji Barbórki 4 grudnia 1986 roku. Powstała kopalnia z dostępem do bardzo cennych złóż, z węglem najwyższej klasy, cenionym na zagranicznych rynkach, - a przy tym zakład o efektywnej architekturze, uderzającej harmonią i wysmakowaną kolorystyką.



Nadane jej imię miało być wyrazem hołdu polskiego górnictwa dla największego pisarza górniczego i klasycy tego tematu. Lecz już w połowie lat 90. pojawiły się informacje o nieopłacalnej eksploatacji i zagrożeniu kopalni likwidacją. A jednocześnie o zabiegach czeskiej spółki „Carbon-Invest” - która dysponuje po drugiej stronie Olzy grupą 5 kopalni - o kupno tej nierentownej kopalni.

Pomimo protestów załogi i miejscowych środowisk, bo ekspertyty fachowców nie były zgodne, doszło w roku 2001 do unicestwienia kopalni. Szczególne wrażenie wywołał akt wysadzenia potężnego szybu z nazwą kopalni na szczycie. I ten moment został uchwycony na zdjęciu.

„Morcinek” był najlepiej widoczny ze wznieśień Stonawy i dalej aż po Karwień, miejsca gdzie się pisarz urodził i gdzie poznał pracę w górnictwie. W tym kontekście wysadzenie „Morcinka” w powietrze było operacją, która miała nie tylko techniczny wydźwięk.

Nadal rodzi się oczywiście pytanie, dlaczego dobrze kalkulujący Czesi zabiegali o przejęcie „Morcinka”, teraz natomiast czynią skuteczne starania o zgodę na przebicie się do bogatych pokładów po polskiej stronie pod Olzą.



Po zakończeniu tegorocznej edycji festiwalu zabrzańskie władze publicznie zadeklarowały, że impreza będzie kontynuowana. To cieszy, bo festiwal jest ciekawy, a tutejsza publiczność zdążyła go już polubić.

Grand Prix, czyli nagrodę publiczności, otrzymał w tym roku Wojciech Tomczyk, autor prapremierowego *Wampira*. Sztukę tę wystawił gospodarz festiwalu, czyli Teatr Nowy. Zabrzańskim artystom przyznano najwięcej laurów. Jury w składzie: Jacek Sieradzki (przewodniczący), Władysław Zawistowski i Rudolf Ziolo uznało, że spektakl zasłużył na Nagrodę Główną. Doceniono „zarówno walory artystyczne przedstawienia, jak odważne i oryginalne podjęcie problematyki o szczególnym znaczeniu dla społeczności lokalnej”. Nagrodę stanowi dyplom honorowy dla Teatru Nowego oraz seria nagród indywidualnych w wysokości 3 tysięcy złotych dla: Jolanty Niestrój-Malisz (za rolę Marianny Nawrockiej), Jerzego Kaliny (za scenografię), Marcina Sławińskiego (za reżyserię), Zbigniewa Stryja (za rolę Albina Musiała) i Mariana Wiśniewskiego (za rolę Czesława i Romana Nawrockich).

Ponadto jury przyznało nagrody w dziedzinie reżyserii (po 2,5 tysiąca). Otrzymali je: Łukasz Kos za inscenizację *Od dziś będziemy dobrzy* Pawła Sali w Teatrze Polskim we Wrocławiu oraz Paweł Szkotak za inscenizację *Rodziny wampira* Wasilija Sigariewa w Teatrze Polskim w Bydgoszczy.

Nagrody aktorskie (po 2,5 tysiąca) przyznano: Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej za rolę Vivian Bering w spektaklu *Dowcip* Margaret Edson z Teatru Studio w Warszawie, Teresie Kwiatkowskiej za rolę Ludmiły Simonow w spektaklu *Rodzina wampira*, Dorocie Pomykałe za rolę Corinne w spektaklu *Na wsi* Martina Crimpa z Teatru Studio w Warszawie, Piotrowi Tokarzowi za rolę Protazka w spektaklu *Piaskownica* Michała Walczaka z Teatru Dramatycznego w Wałbrzychu oraz Adamowi Woronowiczowi za rolę Philipa w spektaklu *Kształt rzeczy* Neila LaBute'a z Teatru Powszechnego w Warszawie.

Nagrody dla młodych aktorów (po 1,5 tysiąca) otrzymali: Sambor Czarnota za rolę Mężczyzny Młodszego w spektaklu *Toksyny* Krzysztofa Bizio z Teatru im. Jaracza w Łodzi oraz Paweł L. Gilewski za rolę Wiktora w spektaklu *Rodzina wampira*.

Medal im. Stanisława Bieniasza przyznawany przez miesięcznik „Śląsk” za najlepszy spektakl festiwalu otrzymał zespół warszawskiego Teatru Powszechnego za *Kształt rzeczy* Amerykanina Neila LaBute'a.

# Seria prapremier

KRZYSZTOF  
KARWAT



„Kształt rzeczy” Neila LaBute'a z Teatru Powszechnego nagrodziliśmy Medalem im. Stanisława Bieniasza za najlepszy spektakl festiwalu.

**Nie** wykluczone, że znikną a przynajmniej zostaną zawieszone katowickie „Interpretacje”, festiwal dla młodych reżyserów. Gdyby tak się rzeczywiście stało, to zabrzański przegląd urósłby do jednego z najważniejszych w regionie. Wprawdzie bronią się jeszcze festiwale w Bielsku i Opolu, ale przecież mówimy o 5-milionowym makroregionie, w którym działa kilkanaście

scen dramatycznych, muzycznych, lalkowych i liczących się teatrów alternatywnych bądź pozainstytucjonalnych. Jakaś konfrontacja im się należy, no i należy się ona śląskiej publiczności. *Rzeczywistość przedstawiona*, choć jest w całości finansowana wyłącznie ze źródeł miejskich, to jednak rangą wykracza poza wymiar lokalny. I ten fakt trzeba wyraźnie i z satysfakcją podkreślić.

## Skromnie i kameralnie

**Jak** w poprzednich latach, dyrektorem artystycznym był Bogdan Ciosek, który jednoosobowo odpowiada za repertuar. To on jeździ po Polsce i wybiera przedstawienia, które — jego zdaniem — warto zaprosić. Warto i można, bo przecież zawsze pojawia się jakaś przeszkoda — albo techniczna, albo finansowa. Chyba nie było przypadku w tym, że tak wiele spektakli pokazanych w tym roku było skromnych, obsadzanych powyżej przez kilku aktorów. Inna rzecz, że sztuki autorów współczesnych na ogół trafiają na sceny kameralne, a tak się złożyło, że tym razem oglądaliśmy niemal same prapremierowe przedstawienia.

Utrzymano wszystkie najważniejsze cele i zasady programowe festiwalu. Wybiera się zatem przedstawienia, które powstały na podstawie najnowszej literatury dramatycznej, zarówno polskiej, jak i obcej. Dlatego pojawiają się nazwiska mało lub wręcz nieznanne szerszej publiczności. To dobrze, bo to wcale nie jest tak, że dla teatru pisze w Polsce tylko kilka osób. Ma więc zabrzański festiwal walor promocyjny. Potwierdza się, że polskie sceny wcale chętnie i wcale często sięgają po nowe utwory. Wielu dyrektorów i reżyserów ma świadomość, że publiczność zmieniała się, a skoro tak, to trzeba szukać dla niej innego repertuaru.

W ogóle trzeba chcieć i umieć pielęgnować emocjonalną i intelektualną więź z widzami. W tym roku organizatorzy zabrzańskiego festiwalu postanowili, że po konkursowych spektaklach realizatorzy będą spotykali się z publicznością i toczyli z nią dialog. Ten pomysł się udał, skoro niektóre dyskusje trwały bodaj dłużej niż same przedstawienia.

Ponadto młodzież szkół średnich redagowała festiwalową gazetkę, a te-

atralne grupy szkolne prezentowały swoje spektakle, zrealizowane na kanwie utworów Janusza Głowackiego (ubiegłorocznego laureata Grand Prix). Wzorem ubiegłych lat kontynuowano prowadzone przez Władysława Zawistowskiego warsztaty dramatyczne. Zorganizowano też ciekawą wystawę fotografii, autorstwa uczniów zabrzańskiego Liceum Sztuk Plastycznych. Słowem — niejako wciągnięto młodzież do współdziałania, licząc zapewne na silniejsze zespolenie jej z zabrzańskim teatrem. Zresztą już w ubiegłym roku te pomysły przyniosły odczuwalne rezultaty. Na festiwalowej widowni pojawia się myśląca i wrażliwa publiczność. Otwarta na niekonwencjonalne formy teatralne.

## Młodzi dla młodych o młodych

**P**olski teatr, trochę podobnie jak polskie kino, stara się wyciągać wnioski z faktu, że na widowni zasiadają przede wszystkim ludzie młodzi. Sięga się zatem po literaturę, która opowiada o ich problemach, która mówi ich językiem. To przypadek *Kształtu rzeczy nowojorczyka* Neila LaBute'a. To właśnie ten spektakl nagrodziliśmy Medalem im. Stanisława Bieniasza, bo był — naszym zdaniem — najlepszy.

Grzegorz Wiśniewski zrealizował przedstawienie moralnie poruszające, choć pozornie w warstwie narracyjnej błahe. Poznajemy czworo młodych ludzi, dwie połączone uczuciami pary. Czy są to uczucia prawdziwe? Zrazu nie zadajemy sobie tego pytania. Ot, zwykli studenci, których niekonwencjonalność zachowań mieści się przecież w jakimś środowiskowym standardzie. Ktoś kogoś kocha, ktoś kogoś zdradza, i nawet jeśli tworzy się niebezpieczny erotyczny czworo-

kąt, to nie budzi to naszego niepokoju. Cóż w tym nienaturalnego, że młodzi nie są pewni swego, że szukają silniejszych wrażeń? Być może w ten właśnie sposób próbują dookreślić swoje życiowe dążenia, lepiej poznać swe pragnienia, jakoś się odnaleźć.

Spektakl jest utrzymany w tonacji bez mała obyczajowej komedii, więc łatwo polubimy młodych bohaterów (granych przez Edytę Olszówkę i Mariana Zaniewskiego oraz Paulinę Holtz i Adama Woronowicza). Ale finał będzie zaskakujący, wręcz szokujący. Okaze się, że ci sympatyczni młodzi ludzie wzajemnie siebie „rzeźbią”, manipulują nie tylko cudzymi, ale i własnymi uczuciami. W imię czego? Sztuki? (dzieweczyna kreowana przez Olszówkę jest rzeźbiarką). Karriery? A może ta bezwzględność jest jakoś narzucona tym ludziom? Może takie reguły gry tkwią w przestrzeni społecznej, a ci młodzi nawet nie wiedzą, ile w nich destrukcji? *Kształt rzeczy* z warszawskiego Teatru Powszechnego niespodziewanie więc staje się metaforą. A nic na to nie wskazywało. To sztuka obyczajowa, głęboko diagnozująca współczesność.

Do młodych zwraca się także Paweł Sala, autor dramatu pt. *Od dziś będziemy dobrzy*, zrealizowanego we wrocławskim Teatrze Polskim przez Łukasza Kosa, który zaangażował do swego spektaklu grupę nastolatków. Jest to więc swoisty eksperyment, w Zabrzu pokazany w niekonwencjonalnej przestrzeni Sceny Kameralnej (szkoda, że dawna biblioteka Donner-smarczków funkcję tę przejmie tylko na czas festiwalu). Eksperyment bardzo odważny, tym bardziej że sztuka Sali jest obrazoburcza, także w warstwie leksykalnej.

Spektakl świadomie odarty jest z atrybutów teatralności. To werystyczny obraz domu poprawczego, prowadzonego przez bezsilnych zakonników, nie umiejących znaleźć wspólnego językami ze swymi zupełnie zdeprawowanymi wychowankami. Obraz przerażający, ale — niestety — także trochę żenujący, bo oczywiście w tej sytuacji nieporadności aktorskie, a także wąty materiał literacki, nie pozwalają prawdziwie przejąć się tym, co widzimy. Każdy dobry reporter też telewizyjny powie nam o tym świecie i o tej młodzieżowej subkulturze więcej.

*Piaskownica* Michała Walczaka jest gatunkowo zupełnie inna. Dwoje wrocławskich aktorów (Karolina Adamczyk i Piotr Tokarz) przyjmuje rolę dzieci, których wyobraźnia zupełnie zdominowana została przez telewizyjnych czy filmowych bohaterów. Punktem wyjścia jest więc konwencja zabawy, pobudzająca widzów do niepohamowanych wybuchów śmiechu, ale i wydobywająca liryczne tony, skoro między tymi dziećmi, które przecież dziećmi nie są, rodzi się zain-



„Rodzina wampira” Wasilija Sigariewa to werystyczna opowieść o przemocy i matczynej miłości.

teresowanie seksualnością. Spektakl Piotra Kruszyńskiego jest więc przekorny i wieloznaczny, choć dość płaski, bo przechylony w stronę kabaretu. Kabaretowe „grypsy” podobały się, ale co z nich wynika?

## Filmowcy wołają teatr?

Coraz więcej reżyserów kojarzonych z kinem czy telewizją, trafia do teatrów. W Zabrzu pojawiła się ich całkiem spora reprezentacja. Najlepiej wypadł Wiesław Saniewski, który z dwójką świetnych łódzkich aktorów, doświadczonym Bronisławem Wrocławskim i młodym Samborem Czarnotą, zrealizował *Toksyny* Krzysztofa Bizio. Ta sztuka składa się z kilku oderwanych od siebie scen, które — jak u Sali — mogłyby być tematami ostrych reportaży telewizyjnych, poruszających tzw. drażliwe kwestie społeczne (fizyczna przemoc, alienacja wychowanków domów dziecka, brutalne relacje między szefem a podwładnym, narkotyki i samotność chłopca z wielkiego miasta, którego w dzieciństwie opuścił ojciec). Przecież jednak realizatorom tego spektaklu udało się wyjść poza publicystyczną doraźność. Powstało przedstawienie poruszające, pięknie zagrane i właśnie „filmowo” zmontowane — z nerwem, z zachowaniem silnego tempa i napięcia emocjonalnego.

*Toksyny* a także *Wampir* Wojciecha Tomczyka, przygotowany przez zabrzańskich gospodarzy i reżysera Marcina Sławińskiego, wzorcowo wpisały się w programową formułę tego festiwalu, swego czasu wymyśloną przez Stanisława Bieniasza. To były, co się zowie — kawałki „rzeczywistości przedstawionej”, okruchy społecznej materii, dla których szukano jakiegoś metafory, jakiegoś uogólnienia. Sztuka Tomczyka, która przypominała nam lata 70. i polityczną otoczkę, jaka towarzyszyła złapaniu słynnego śląskiego wampira, nie dawała jednak takich możliwości. Tak, to jest niezłe przedstawienie, ale przecież już wcześniej powstały na ten temat telewizyjne dokumenty, o ileż lepiej i trafniej oskarżające ówczesny aparat władzy i sprawiedliwości. Poza mozaikową rekonstrukcję tamtych głośniejszych wydarzeń nie udało się wyjść, bo też chyba nie było na to szansy. A swoją drogą ciekawe, jak wypadnie przygotowywana właśnie telewizyjna wersja tej sztuki, z innymi realizatorami i innymi aktorami. Nie wierzę, by udało się — jak chciał tego Tomczyk — z historii o śląskim wampirze wysnuć opowieść, która nie byłaby tylko parodokumentalna.

Znacznie wyżej postawiłbym *Rodzinę wampira* Wasilija Sigariewa w reżyserii Pawła Szkotaka, który nie po raz pierwszy przybliżył nam współczesną dramaturgię rosyjską.



W „Toksynach” Krzysztofa Bizio kapitalne role stworzyli Sambor Czarnota i Bronisław Wrocławski.

Wprawdzie nie przepadam za sztukami w pewnym sensie interwencyjnymi (tutaj bohaterem jest chłopak uzależniony od narkotyków), to jednak nie sposób nie dostrzec inscenizacyjnej siły tego przedstawienia. Publiczność akcję obserwuje z góry, sponad sceny, ciasno zamkniętej w kształt klatki, jaką staje się mieszkanie zabiedzonej rosyjskiej rodziny, może nawet kiedyś „normalnej”, ale dzisiaj — z winy chłopca — pozbawionej nie tylko dóbr materialnych, ale przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa (piękna rola Teresa Kwiatkowskiej grającej matkę narkomana).

Bydgoskie przedstawienie jest do bólu werystyczne. Pokazuje upadek rodziny, która przecież mogłaby się niczym od innych nie różnić. Jest inaczej — teraz narażona jest na brutalny atak narkotykowego dilerka i jego podejrzanej kompanii. To spektakl o przemocy, ale i o miłości, wystawionej na najcięższą próbę.

Magdalena Łazarkiewicz sięgnęła też po temat społecznie drażliwy. *Dowcip* Margaret Edson jest sztuką o umieraniu. Główną rolę gra Teresa Budzisz-Krzyżanowska, której aktorskie mistrzostwo i tu nie podlega dyskusji, a jednak spektakl Teatru Studio budzi mieszane uczucia. Powie ktoś: bo o to właśnie chodziło, by widza postawić pod moralną ścianą i kazać mu obserwować umieranie 50-letniej kobiety, silnej i do końca pogodnej, niejako przygotowującej się do śmierci. Tak, jakieś tabu zostało złamane. To kolejna sztuka porażająca i przerażająca. Ponad wszystko jednak drażni, bo wpisana jest w nią natrętna teza. Ta sztuka i to przedstawienie chcą nam wmówić, że nie rozmyślamy o śmierci, że nie wiemy, czym jest choroba nowotworowa. To dobre dla tych, którzy rzeczywiście nigdy nie widzieli cierpień swych

najbliższych. Ja widziałem i dlatego ten teatralny ekshibicjonizm tak mnie zmęczył.

Nie zmęczyły mnie dwie inne sztuki pokazane w konkursie: *Miłość — to takie proste* Szweda Larsa Noréna oraz *Na wsi* Martina Crimpa, choć oba spektakle momentami mogły jednak trochę znużyć, bo zostały zagrane jakby na jednej nucie. Pierwszy zrealizował w Teatrze im. Jaracza w Łodzi Tomasz Zygałło, drugi — w stołecznym Studio wystawił Mariusz Grzegorzek.

W obu tych sztukach, choć gatunkowo różnych, można by się dopatrzeć pewnych podobieństw. Ich bohaterami są ludzie w średnim wieku, połączeni w małżeństwa czy pary, lepiej bądź gorzej udające, że jeszcze je coś głębszego łączy. W sztuce Noréna maski opadają dość szybko. Miłość podszyta jest nienawiścią, tolerancja — fałszem. I to doprowadzi do niespodziewanego przesilenia, nawet do tragedii, której już odwrócić się nie da. W sztuce Crimpa — alienacja i samotność dwójga głównych bohaterów (w tych rolach Dorota Pomykała i Krzysztof Stroński) właściwie do końca będą ukrywane. Ale diagnoza będzie podobna — z emocjonalnej pustki nie ma ucieczki, gdy zabraknie uczuć, gdy zabraknie miłości.

Tak jak w poprzednich latach, w dniu rozdania nagród publiczność obejrzała spektakl pozakonkursowy i nie mieszczący się w formule programowej festiwalu. Tym razem była to *Opera Mleczana* z Narodowego Teatru Starego z Krakowa. I jak w poprzednich latach, była to decyzja trafna. Spektakl Mikołaja Grabowskiego, powstały na podstawie rysunków Andrzeja Mleczki, to uroczą, choć zjadliwa zabawa w teatr, w grę konwencji.



# Niczego nie żałuję

Z prof. dr. JERZYM  
JULIANEM WĘGIERSKIM,  
emerytowanym wykładowcą  
Politechniki Śląskiej w Gliwicach  
rozmawia  
WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

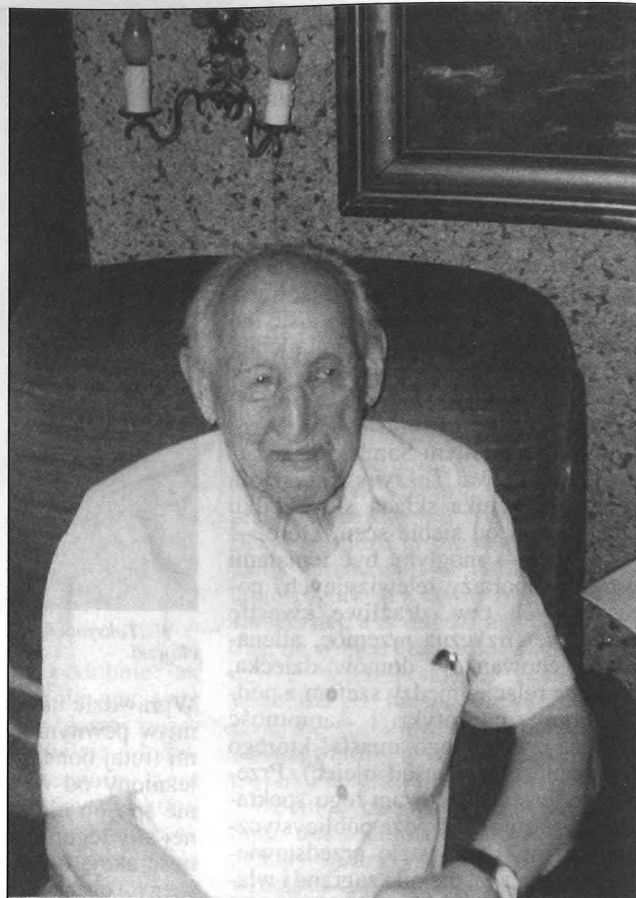


Foto: Włodzimierz Paźniewski

– Panie Profesorze, zacznijmy od rzeczy pogodnej. Jest Pan spokrewniony z osiemnastowiecznym poetą polskim Tomaszem Kajetanem Węgierskim, jak również z gen. Emilianem Węgierskim. Wśród Pana krewnych znajdujemy nazwiska ludzi, które sporo znaczą w historii i kulturze polskiej: Estreicherowie, Mościccy, Pułascy. A propos tego ostatniego: czy istnieje szansa, że Pan lub Pana potomkowie odzyskają w Ameryce spadek po gen. Pułaskim? Podobno za zasługi w wojnie o niepodległość, głównie za zorganizowanie kawalerii amerykańskiej, która walczyła z Anglikami według polskich regulaminów, Pański krewniak otrzymał od Kongresu olbrzymie nadziały ziemi. Pod koniec osiemnastego wieku były to rozległe pustkowia pod Waszyngtonem, ale od ponad stu lat, to już samo centrum stolicy Stanów Zjednoczonych. Nie chodzi o kilkanaście czy kilkadziesiąt działek budowlanych – lecz o całe kwartały! – dzisiejszej stolicy i miejsca, na których wznosi się wiele urzędów i instytucji federalnych. Na polskie warunki byłoby to kwoty gigantyczne. Kiedy czytam w prasie polskiej zamieszczane co roku listy najbogatszych Polaków, wpadam w rozbowienie. Bo gdyby udało się wygrać proces

o majątek gen. Pułaskiego, czego Panu z całego serca życzę, najbogatszym Polakiem byłby chyba Pan, mieszkaniec bloku na katowickim Osiedlu Tysiąclecia i Pańscy krewni. To nie ulega wątpliwości. Czy zanosì się więc na wojnę polsko-amerykańską, oczywiście na argumenty prawne?

– To jedna z dość żywych i stale obecnych historii rodzinnych. O ile dobrze pamiętam interesowali się nią zarówno mój dziadek, jak i ojciec. Gdzieś dwadzieścia lat temu napisał do mnie jeden z pretendentów do tego spadku po Pułaskim. Niestety, badając sprawę natrafiamy na sprzeczne wersje, np. na kogo ten majątek faktycznie został zapisany. Dla mnie osobiście jest to historia miejscami zabawna, ale w sumie mało poważna. Dlatego od pewnego czasu traktuję ją jako anegdotę. Moim zdaniem nie ma żadnych szans, aby to odzyskać. W opublikowanych w tym roku wspomnieniach „Bardzo różne życie” podaję szczegóły o łączących mnie pokrewieństwach. Nie są jednak one do końca pewne. W końcu minęło ponad dwieście lat. To szmat czasu. Gigantyczny spadek? Zupełnie się o to nie staram i wcale na to nie liczę. Jak więc pan widzi w najbliższym czasie nie zanosì się, abym został polskim Krezusem. Ale może to i lepiej.

– Pańska biografia może wystarczyć na film sensacyjny, tyle w niej niecodziennych zdarzeń: sielskie dzieciństwo, spędzone we Lwowie, gimnazjum a potem studia na Politechnice Lwowskiej. Specjalizował się Pan w kolejnictwie. Karierę zawodową przerwała wojna. Cały czas działalność podziemna w AK. Aresztowanie w 1945 roku i pobyt w łagrach sowieckich. Obozowa przyjaźń z Sołżenicynem. Przyjazd do Polski i profesura w Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Posiada Pan imponujący dorobek naukowy, dotyczący kolei i w ogóle „dróg żelaznych”. A na emeryturze nowa pasja: pisarstwo historyczne. Za główny temat obrał Pan sobie dzieje Armii Krajowej we Lwowie. Jako znawcy tego dramatycznego rozdziału w historii najnowszej zadam Panu pytanie, które nachodzi mnie bardzo często: czy naszą polską specjalnością nie stało się złe użytkowanie historii? Stąd tyle porażek, wpadek i katastrof. Co zawodzi – wyobraźnia czy nieumiejętność przewidywania skutków? Znany Panu z autopsji rok 1939 we Lwowie. Miasto, w którym zgromadzono dużo sprzętu wojennego i sporo wojska świetnie sobie radzi z oblężeniem niemieckim. 22 września pod miasto podchodzą Sowieci i co? I nic. Kapitulacja bez jednego

strzału. To zdaje się marszałek Piłsudski powiedział kiedyś, że na wojnie, bez względu na sytuację, najgorzej wychodzi ten, kto poddaje się bez walki.

– Święta prawda. Z Sowietami należało się bić. Tym bardziej, że było czym. Moim zdaniem dowodzący obroną Lwowa gen. Władysław Langner popełnił wielki błąd. Gdybyśmy w 1939 roku na Kresach nieźle przetrzepali skórę Armii Czerwonej, co nie było trudne, może nie byłoby Kатыnia. Niech Pan zauważy, że Rosja Sowiecka nie wymordowała w obozach wziętych do niewoli oficerów niemieckich czy jeńców fińskich. Gdyby walczyli, nasi także mieliby status jeńców, a tak nie bardzo było wiadome jaka jest ich sytuacja prawna. Byli osobami internowanymi, a to duża różnica.

– Mnie zawsze przeraża łatwość z jaką NKWD udało się jesienią 1939 roku wyłapać oficerów garnizonu lwowskiego. Nie trzeba było ich wcale szukać - zgłosili się sami. Wystarczyły ogłoszenia, aby oficerowie polscy w trybie pilnym zameldowali się na ulicy Kubali, rzekomo w celach rejestracji. Przyszli dobrowolnie. Nikt nie domyślił się, że to może być pułapka. Sami położyli głowy pod topór. Oficerów tych wieziono potem w Starobielewsk. Odnależli się po latach w komplecie, tyle że w grobach na przedmieściach Charkowa.

– W drugiej wojnie światowej, moim zdaniem, często zawodziła taktyka. Poza tym było bardzo wiele naiwności, co zdradza spore kłopoty z racjonalnym myśleniem. Co dziwniejsze zdarzało się, że ludzie wykształceni, a więc światli, tracili instynkt samozachowawczy. A to zawsze prowadzi do klęski. Na stare lata widzę to z całą ostrością. Niech pan zauważy, że cele jakie postawiono przed AK, były prostym powtórzeniem niezwykle skutecznego planu Piłsudskiego z pierwszej wojny światowej: mieć w gotowości liczną i dobrze przygotowaną armię podziemną i wykonać przy jej użyciu pod koniec wojny jedno uderzenie, gdy okupant będzie kompletnie osłabiony. To zupełnie nie sprawdziło się w czasie drugiej wojny światowej, bo była to już zupełnie inna wojna, z czego polskie ośrodki kierownicze jakby nie zdawały sobie sprawy. Dlatego nie jestem wielkim entuzjastą Akcji „Burza”, mimo że sam w niej walczyłem. Co zyskałoby? Odsłanialiśmy swoje struktury. Rosjanie otrzymali nas jak na talerzu. Tym samym wrogo nastawiona do AK stalinowska Rosja miała ułatwione zadanie, aby nas potem zniszczyć. W czasie wojny najwięcej uwagi, przynajmniej na Kresach na-

leżało poświęcić ochronie skupisk polskich. To robiono, ale, moim zdaniem, nie dość skutecznie. Należało uderzać przewencyjnie. Nie dopuścić do rozbudowy np. podziemia ukraińskiego. Nie doszłoby wtedy do rzezi na Wołyniu i Podolu. A tak nacjonaliści ukraińscy wykonali dla Sowietów pożyteczną robotę z punktu widzenia interesów politycznych Moskwy: wymordowali i wypędzili Polaków. Dokończyli więc to, co zaczęli Stalin i Beria w latach 1939-40. I jeszcze jedno. Sowieckie prowokowanie starć ukraińsko-polskich, to obecnie temat chętnie przemilczany, choć nie bardzo wiadomo dlaczego?

– W wydanych ostatnio Pańskich wspomnieniach „Bardzo różne życie” wstrząsnął mną pewien szczegół, gdy opisuje Pan moment wkroczenia oddziałów niemieckich do Lwowa 29 czerwca 1941 roku. Stojąca wśród gapiów na chodniku ulicy Sapiehy młoda Żydówka głośno zachęcała swojego kilkunastoletniego synka, by ten wykrzykiwał do żołnierzy hitlerowskie pozdrowienie. W kontekście Holocaustu i późniejszej tragedii to szokujące zachowanie. Czy nie jest tak, Panie Profesorze, że nam jako świadkom historii najgłębiej zapadają w pamięć sytuacje, które nas całkowicie zaskoczyły albo wprawiły w osłupienie? Inne, trzymające się granic normy, szybciej bledną w miarę upływu lat.

– Na to wygląda. Ja mam taką oryginalną pamięć, a mianowicie, wszystko, co przechowuję, zapamiętuję w obrazach. I potrafię powiedzieć, gdzie, co się działo. W tej chwili mam przed oczami wszystkich stojących naprzeciwko Politechniki. Było tam wówczas dużo ludzi i ta Żydówka z tym, jak to się u nas mówiło „szajgecem”, która go trącała i mówiła: „Krzyż, heil Hitler!” Ludzie zachowują się różnie. Żadna zbiorowość nie jest monolitem. Czy pan wie, że na mnie do NKWD donieśli Polacy, wskutek czego dziewięć i pół roku spędziłem w sowieckich łagrach? Wśród donosicieli był nawet oficer. Wydał wielu ludzi. Jak sam pan widzi, nikt nie ma patentu na bohaterstwo czy przyzwoite zachowanie.

– Na pewno pamięta Pan swój portret, zamieszczony przez Aleksandra Solżenicyna w „Archipelagu Gułag”:

– „I tu rozumiałem co to jest polska дума - na czym polegał sekret polskich powstań, tak pełnych zapamiętania. Polak, inżynier Jerzy Węgierski był teraz w naszej brygadzie. Odsiadywał ostatni, dziesiąty rok swojej kary. Nawet gdy był kierownikiem robót nikt nie słyszał od niego ostrego słowa. Był zawsze cichy, uprzejmy, wyrozumiały.

*A teraz – twarz mu się zmieniła. Z gniewem, pogardą i męką odwrócił oczy od tego żebraczego orszaku, wyprostował się i krzyknął ze złością, donośnie:*

*– Brygadziście! Mnie proszę na kłacie nie budzić! Ja nie pójdę!*

*Wdrapał się na górne nary, odwrócił się do ściany – i nie wstał. Myśły w nocy poszły jeść - a ten nie wstał! Nie dostawał paczek, był zupełnie sam, nigdy nie był syty - a nie wstał. Para unosząca się nad gorącą kaszą nie mogła mu przesłonić obrazu bezcielesnej Wolności.*

*Gdybyśmy wszyscy byli tacy dumni i nieustępliwi – to jaki tyran by się ostał?”* („Archipelag Gułag”, przekład Jerzego Pomianowskiego). Jakim człowiekiem był w tamtym okresie Solżenicyn, czyli „Sasza”, jak go Pan często nazywa w rozmowach?

– Późniejszy noblista opisał w tym fragmencie nasz obozowy bunt w postaci głodówki i jej załamanie się. Pod koniec można było sobie pozwolić nawet na taki sprzeciw. Jeszcze kilka lat wcześniej takie sprawy załatwiano za pomocą serii z automatów. I było po sprawie. Opowiadałem się za kontynuacją głodówki, stąd moja ostentacyjna demonstracja. Pyta pan jakim był człowiekiem w Ekibastuzie? Postać wspaniała. Jakby żywcem wyjęta z utworów Czechowa. Bardzo uciążliwy na ludzką krzywdę, delikatny, sympatyczny. W każdej chwili gotowy do niesienia pomocy człowiekowi pogrążonemu w nieszczęściu. Moim zdaniem, posiadał wszystkie najlepsze cechy starej inteligencji rosyjskiej. W łagrze wspieraliśmy siebie nawzajem. Dzięki takim ludziom, jak „Sasza” można było przetrwać nawet w stalinowskim obozie, co wcale nie było łatwe. Ja do dziś jestem przekonany, że nade mną czuwała Opatrzność. W wolnych chwilach Solżenicyn coś tam sobie skrupulatnie notował. Dziś wiemy, że do były notatki do „Archipelagu”. Oficjalnie rozpuszczaliśmy wśród „zeków” pogłoski, że „Sasza” interesuje się językiem obozowym i zbiera co cenniejsze powiedzenia więźniów. To była wersja dla ewentualnych donosicieli, których nie brakowało. Z Solżenicynem rozmawialiśmy głównie na tematy obozowe; unikaliśmy dyskusji politycznych. Łączyła nas przyjaźń, czego dowodem są listy, jakie w latach sześćdziesiątych krążyły pomiędzy Riazaniem a Gliwicami, gdzie wówczas mieszkalem. Drukując „Jeden dzień Iwana Denisowicza” „Polityka” zamieściła zdjęcie Solżenicyna. Wtedy już nie miałem żadnej wątpliwości. To był mój przyjaciel z łagru. Napisałem więc do redaktora naczel-

nego miesięcznika „Nowyj Mir“ Aleksandra Twardowskiego do Moskwy, by przekazał mój list autorowi. I tak to się zaczęło. Kontakt urwał się, gdy pisarza, uznanego za wroga publicznego numer jeden wyrzucono ze Związku Sowieckiego. Ale nawet z Ameryki, przez polskiego historyka Jerzego Jaruzelskiego, przesłał mi długi list-nagranie na kasie magnetofonowej. Ta kaseta gdzieś się zawieruszyła u mojego brata ciotecznego. Szansą na nasze spotkanie były uroczystości katyńskie w latach dziewięćdziesiątych, na które zaproszono Sołżenicynę. Niestety, nie pojawił się. Podobno dał znać, że nie ma czasu. Byłem tym trochę rozczarowany. Zmienił się zupełnie po powrocie do Rosji. Zdarzały mu się antypolskie wypowiedzi, jakby miał trochę żal do Polaków, że kilkanaście lat temu populi szuki jego wyidealizowanej matuszce-Rosji.

– **Podobno, gdy Sołżenicyna wyrzucono ze Związku Sowieckiego, zaczęła interesować się Panem polska Służba Bezpieczeństwa. Chyba stało się tak na polecenie KGB?**

– Co do tego jestem przekonany. Według mnie, sprawdzano kontakty głośnego w świecie dysydenta. A my przez ładnych parę lat prowadziliśmy ze sobą korespondencję. Na pewno mieli to gdzieś odnotowane.

– **Jak Pan, uczestnik dramatycznych wydarzeń na Kresach, odebrał obchody sześćdziesiątej rocznicy rzezi wołyńskiej? Czy nie było to zaproszenie do jednostronnego pojednania? Przecież, aby ono rzeczywiście nastąpiło potrzebna jest dobra wola obydwóch stron. Zenujące są zwłaszcza próby zrównywania kata z ofiarą. To raczej klajstrowanie prawdy. Poza tym, moim zdaniem, gdy przy historii zaczynają majstrować politycy, to do niczego dobrego nie prowadzi?**

– Uważam, podobnie jak wielu ludzi z mojego pokolenia, że musi dojść do współpracy z Ukrainą, jeżeli chodzi o państwa. A sprawa przebaczenia? Przede wszystkim strona ukraińska powinna przyznać się do popełnienia tych wszystkich mordów i je potępić, bo przecież tak naprawdę było to ludobójstwo, czyli czystka etniczna. Dopóki oni nie powiedzą: tak, zrobiliśmy to, pojednanie będzie niepełne, a nawet szkodliwe. Dla uzupełnienia obrazu powiem, że bardzo mi odpowiada sposób w jaki o tych sprawach pisze Wiktor Poliszczuk, bardzo mądry historyk ukraiński. On słusznie podkreśla w swoich publikacjach, że UPA, to nie była cała Ukraina. Przede wszystkim skupiała ona mieszkańców dawnych naszych ziem wschodnich, a ukraińskich za-

chodnich. Zupełnie inaczej zachowywali się Ukraińcy mieszkający na wielkich obszarach wschodnich, za Zbruczem. I tam nigdy nie dochodziło to tego rodzaju konfliktów. W sumie zbrodni dopuściła się więc niewielka część tego społeczeństwa.

– **W dalszej części naszej rozmowy pozostaniemy przy współczesności. Pan, najwybitniejszy znawca kolei w Polsce, bardzo chyba przeżywa to, co obecnie dzieje się z polskimi kolejami. To już nie kryzys czy trudności, lecz katastrofa. Kolej w Polsce umiera. Kłopoty ma również na Zachodzie, ale tam, np. w Hiszpanii, buduje się szybkie trasy, na których pociągi osiągają prędkość dwustu i więcej kilometrów na godzinę. Dziś szybciej można dotrzeć do celu pociągiem, niż poruszając się samochodem po autostradzie.**

– To prawdziwy dramat, który odbieram jak osobistą klęskę. W końcu kolei poświęciłem sporo lat swego życia. Właściwie mamy do czynienia z likwidacją tej formy transportu. Czy Pan zauważył, że w dzisiejszej Polsce nie potrafimy niczego zmienić, zmodernizować, ulepszyć? Najłatwiej przychodzi nam jeszcze niszczenie. To chorobliwa skłonność do destrukcji. Zburzyć coś, zniszczyć, a potem budować na gruzach. To mało rozsądne postępowanie, a właściwie głupota. Z tym naszym myśleniem jest chyba coś nie tak. Niedawno napisałem ostatni już chyba artykuł o polskich kolejach dla fachowego czasopisma. To takie moje pożeganie.

– **Tym, co obecnie dzieje się w polskim życiu publicznym też chyba Pan Profesor nie jest specjalnie zachwycony. Czasami odnosi się wrażenie, że nasz kraj, po krótkiej euforii solidarnościowej, wzięli do spółki w agencje: złodzieje, kretyn i zdrajca. Niedawni zamordysci, w pośpiechu nawróceni na demokrację i niedawni dysydenci, w przedziwnej komitywie i wspólnocie interesów rozkradają Polskę aż miło, nie dbając o zachowanie pozorów. Gdzie się nie obrócić prywatą, korupcja i niegodziwość. I nie widać, aby to się miało zmienić. Czy to nie jest tak, że od dwustu lat wszystko co Polska miała najcenniejsze regularnie szło do piachu albo na wygnanie. W kraju pozostawało to, co byle jakie, słowem zwyczajne ludzkie bądziewie. Te złe cechy są już zakodowane w genach. Dokonała się w ciągu kilkunastu pokoleń selekcja negatywna. I dzisiejsze społeczeństwo polskie jest takim barachłem, bez charakteru, hamulców moralnych i zasad. Czego nie potrafi zmienić nawet chrześcijaństwo, z którym**

**się tak ostentacyjnie obnosimy, ale jest to przecież wiara bardzo powierzchniowa, mająca zbyt mały wpływ na postępowanie ludzi. W rezultacie Polak współczesny, niezależnie ciemny czy wykształcony, ateista czy wierzący, zachowuje się podobnie, tj. w sposób karygodny, samobójczy i głupi. Nie ma środowisk. Skutecznie zastąpiły je siłty. Polska współczesna nie posiada również partii politycznych z prawdziwego zdarzenia. Te, które istnieją, gdy się im dokładniej przyjrzyć, to żulie polityczne od lewa do prawa.**

– Przedstawił pan obraz przerażający, niestety, jest on prawdziwy. Codziennie jakaś afera, jakaś korupcja, a już szczytem wszystkiego to jest ta sprawa Rywina. To straszne fakty. Byłyby nie do pomyślenia przed wojną, w latach mojej młodości. Gdy wróciłem do Polski z łagrów i zacząłem pracować w 1956 roku to jeszcze żyli zupełnie inni ludzie. Wychowani i ukształtowani w II Rzeczypospolitej. Wtedy żadnych takich afer, przekupstw nie było. Wie Pan, przed wojną, tak to przynajmniej widzę, potęgą była opinia najbliższego środowiska. Złodziejowi czy kłamcy nikt by ręki nie podał. To był wstyd, także towarzyski. Dzisiaj złodzieja raczej pochwała się, że jest zaradny. Środowiska zostały rozbite. Kiedyś nie było tych betonowych domów-pudełek, gdzie ludzie żyją kompletnie anonimowi, więc i na opinii zupełnie nikomu nie zależy. W małych przedwojennych kamienicach wszyscy się znali i każdy postępował tak, aby nic złego na jego temat nie można było powiedzieć. Poza tym nie ma już takiego wychowania, jakie my odebraliśmy w szkołach. Ja miałem nawet trochę pretensji do „Oaz”. Moje dzieci brały udział w tym ruchu. Tam absolutnie nie mówiło się ani o Polsce ani o patriotyzmie. Wszystko ograniczało się do modlitwy. Nas wychowywano i religijnie i patriotycznie. Jesteśmy bardzo dziwnym krajem, w którym najbardziej zdumiewa normalność. Na przykład, gdy zacząłem pisać o AK we Lwowie, w krótkim czasie przybyło mi dużo wrogów. Nie wiem czy chodzi tu o zwykłą zawiść czy o to, co Wańkowicz określał mianem „kundlizmu”? Ale mając 88 lat i doświadczenia łagrów za sobą jestem na to uodporniony w sposób wystarczający. Czasami pytają mnie czy gdybym miał możliwość powtórzenia swojego życia, czy coś bym w nim zmienił. Odpowiadam wtedy, że nie. Niczego nie żałuję. Wszystko pozostawiłbym więc na swoim dawnym miejscu.



# MARIAN BEDNAREK

## GWIAZDY

Pod postacią poszukiwaczy kartofli  
mój sen drepcze w wiecznej nocy  
a świat okręcił się tyle razy  
nie doznając gwiazd,  
choćby pod skórą wstydu,  
więc wszystko zwała się na partacką  
Tajemnicę Spotkania.

Tak już jest o, ty zwykła  
Gwiazdo

Zgłębianego Guzika,  
niektórzy wolą Gwiazdę Mizdrzenia Się  
w świetle reflektorów.  
Gwiazdo Apteczki nad moją głową  
jak nad raną  
spotkań,  
tylko się nie urwij.

Gwiazdo Ostatniego Łyka,

Gwiazdo Wypełniania pustych miejsc  
drobnymi  
kroczkami,  
Wieczna Gwiazdo Przekraczania...  
idź.

## MAK

Mak sypie się.  
Ziarna wiatru w twarz,  
w nozdrza,  
w oczy,  
za koszulę,  
na całego,

Sypie się

staczaniątko

za staczaniątkiem,

gdzie cień możliwości  
dla szarych torebek rozmów,  
by kolano wróciło zdrowe  
pod choinkę i makowiec  
wypełnił wszystkie  
czarne dziury w nas.  
Sypie się  
zrę dorę  
należność.

Sypie się,  
i choć nie chcemy,

głucho uderza.

## T U

Tu, bliżej, nagle, zza krat te - go  
co ci wmawiają, wychyla się całkiem  
Inny,

co słodyczą jest.

Tu ponaglanie,  
warstwa za warstwą na filiżance ptaki i morze Jońskie,  
zamek turecki i zapach tawerny  
w mojej głowie.

Tu godziny lecą jak muszki owocówki, minutówki,  
sekundówki. Ktoś oblepiony serem i tłuszczem zadaje  
pytanie.

Głuche pytanie do maśla umiera.  
Nikt nigdy nie słyszał tego pytania, które  
winno się narodzić  
i pójść w świat.

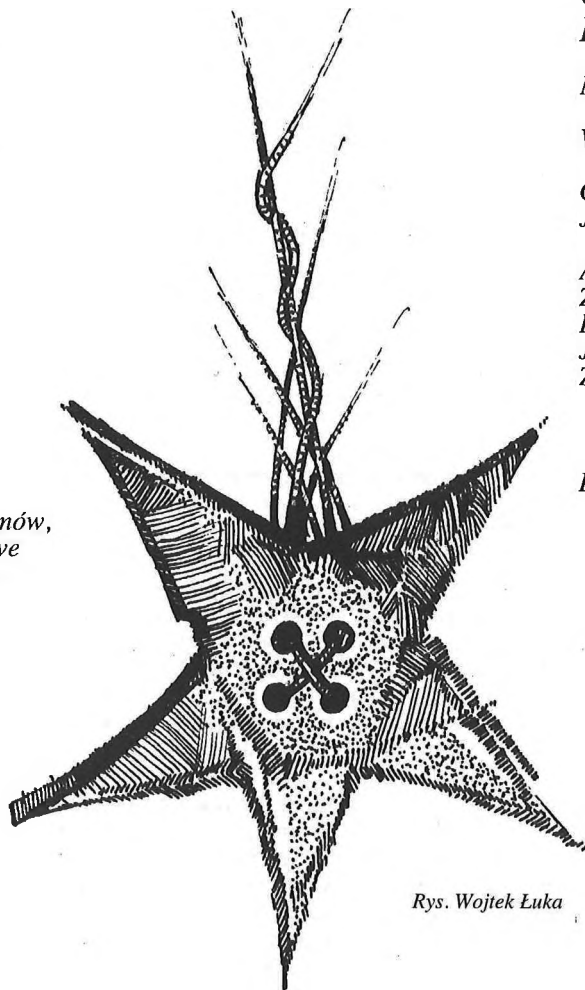
## UKRYTE KORZENIE I AKORDEONISTA

Mienią się w słońcu,

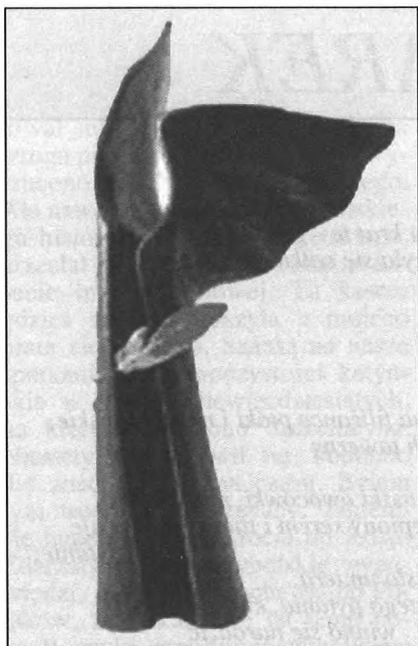
W sercu.

Gdy „zawsze”  
Jest paszczą pełną zębów.

Ale przychodzi godzina,  
Że wyciągamy muzykę  
I paskami przypinamy do pleców  
Jak skrzydła. I kiedy wszystko gra,  
Z przymrużonymi oczami jak  
jamy ślimaków  
jak mikrocele modlitwy  
jak otchłanie oblicza  
Dajemy stąd dyla.



Rys. Wojtek Łuka



# Nike po raz siódmy

BARBARA  
MARCINIAK

**T**egorocznym laureatem Literackiej Nagrody NIKE przyznawanej najlepszej książce minionego roku wydawniczego został Jarosław Marek Rymkiewicz, historyk literatury, eseista, poeta, dramatopisarz, związany od lat z Instytutem Badań Naukowych PAN w Warszawie.

Podczas wręczenia nagrody 5 października w Teatrze Stanislawowskim w Warszawie, przewodnicząca jury Maria Janion odczytała oczekiwany w napięciu werdykt. Uzasadniła go laudacją na cześć tomu „Zachód słońca w Milanówku”: „Tematem królewskim Jarosława Marka Rymkiewicza jest śmierć. «Thema regium», «Moje dzieło pośmiertne», «Znak niejasny, baśń półżywa» znaczą drogę poety, który stworzył swoją formę pisania o śmierci. Śmierć jest również królową «Zachodu słońca w Milanówku». To korona «śmiertelnej» poezji Rymkiewicza. (...) Ludzkie miesza się tu z nieludzkim w istnieniu - «straszonym dzikim kłaczem». Jest to współbraterstwo w śmierci: wszystko, co żyje, musi umrzeć. Nie przypadkiem dzieje się to umieranie w pięknym i okrutnym ogrodzie, który nie jest miejscem kwitnienia, lecz бутwienia i rozpadu. Przez nasze życie «jadą zmarli» z wierszy Leśmiana i późnego Iwaszkiewicza, zmarli już nigdy niezapomniani dzięki kunsztowi śmiertelno-nieśmiertelnego poety».

Stworzony słowem poetyckim ogród znajduje się bliżej tajemnicy i wiecznych cieni, Boga. W tym kierunku zmierza wszystko, co żywe. Ogród w Milanówku to miejsce, gdzie opowiada się ciemne baśnie, gdzie można usłyszeć miłosną pieśń śmiechu i płaczu - muzykę „nieży-

wą” i „półumarlą”, więc na wpół-wieczną, wzywającą do śmierci, do zimowego i wiecznego snu.

„Ciemność poezji nie jest pomysłem poetów, to jest coś, co jest jej rdzeniem. Gdyby poezję przenicować, wyrzucić na jej drugą stronę, na nice, to ukazałaby się - ciemność. Jacyś bogowie ją tam kiedyś umieścili. I wchodząc w tę ciemność - wchodzimy też w najgłębsze warstwy naszego tutejszego istnienia” - czytamy słowa Rymkiewicza na okładce tomu.

W ogrodzie w Milanówku króluje dystych i muzyka Vivaldiego, Schuberta, Brahmsa, Mahlera, Prokofiewa, przy akompaniamencie której życie i śmierć przyglądają się sobie nawzajem. To jednocześnie próba konfrontacji jednostki żyjącej na początku XXI wieku z odwiecznym tematem nicości i wieczności, wizją pośmiertnej pustki.

Poprzez odniesienia do tradycji literackiej kolejne utwory tomu stają się deklaracją roli poezji w dzisiejszym świecie - poezji metafizycznej zderzonej ze światem śmieci, plastikowych puszek i wysypisk, gdzie „język ludzki z nieludzkim miesza się i płacze / I pełni się istnienie - straszne dzikie kłacze”.

„Zachód słońca w Milanówku”, jak wynika z zamieszczonych w prasie wywiadów, opinii oraz ankiet towarzyszących nagrodzie od początku jej istnienia, był jednym z tegorocznych faworytów; rywalizował o statuetkę bogini zwycięstwa oraz, co charakterystyczne dla komercyjnej nagrody, jaką jest Literacka Nagroda NIKE - o czek na 100 tysięcy złotych z „Błyskami” Julii Hartwig - „śladowi codziennej krzątaniy umysłu, z której poezja chce się wy-

dobyć na strzelistą drogę wiersza lub poematu prozą”.

Nie pierwsza to nominowana do Nagrody Literackiej NIKE książka Rymkiewicza - „Znak niejasny, baśń półżywa” oraz „Leśmian. Encyklopedia” znalazły się już na liście najlepszych książek kolejno w latach 1999 oraz 2001.

**L**aureat, jak co roku, został wyłoniony w trzyetapowym konkursie. 15 maja 2003 ogłoszono listę 20 książek nominowanych. Było wśród nich sześć tomików poetyckich, trzy książki prozatorskie (m.in. głośny debiut Doroty Masłowskiej „Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną”), trzy tomy reportaży, jeden tom dramatów oraz siedem książek eseistycznych.

Wśród ogłoszonych we wrześniu książek finalistek siódmej edycji Nagrody Literackiej NIKE znalazły się tomy poezji: „Orfeusz i Eurydyka” Czesława Miłosza, „Chwila” Wisławy Szymborskiej, „Błyski” Julii Hartwig jako forma pośrednia między poezją a prozą. Do finału trafił także reportaż Wojciecha Tochmana „Jakbyś kamień jadła”, powieść Doroty Masłowskiej „Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną” oraz książka naukowa Andrzeja Walickiego „Rosja, katolicyzm i sprawa polska” traktująca o stosunku prawosławia do kościoła rzymskokatolickiego. Pomimo ogromnej wartości nowatorskiego spojrzenia na problemy obu kościołów nietrudno było się zorientować, iż książka ta nie stanie się konkurentką dla literatury pięknej. Na uroczystości wręczenia nagrody, sam Andrzej Walicki, odbierając pamiątkowe pióro dłuta Gustawa Zemły, dał wyraz temu, iż jest świadomy nieporównywalności

swojej książki do pozostałych książek-finalistek.

Formuła nagrody zakłada bowiem w regulaminie różnorodność gatunkową nominacji, co sprawia, iż ostateczny wybór książki-laureatki staje się czasami dla szanownego jury wyborem tragicznym.

Wróćmy jednak do tegorocznej edycji NIKE i jednej z obecnych w finale książek: „Wojny polsko-ruskiej pod flagą białą czerwoną” Doroty Maślowskiej. Pomimo fali sukcesów powieści a jednocześnie ze względu na wiek autorki i jej doświadczenie pisarskie nietrudno było przewidzieć, że tak kontrowersyjna i wzbudzająca ambiwalentne oceny krytyki sady książka nie otrzyma statuetki NIKE, zwyciężając tym samym nad książkami, w tym wypadku tomami poezji noblistów - Czesławem Miłoszem i Wisławą Szymborską. Młodzianka Maślowska została uhonorowana NIKE czytelników, którzy głosowali właśnie na „Wojnę polsko-ruską”. Autorka przyznała, że burzliwe reakcje czytelników na jej książkę pozwalały jej raczej oczekiwać zamachu bombowego niż nagrody publiczności.

W przypadku debutantki naczelną zasadą Nagrody Literackiej NIKE - promowanie polskiej literatury znalazłaby swoje pełne odzwierciedlenie. Nobliści nie potrzebują NIKE, zwłaszcza, iż Miłosz w 1998 roku otrzymał tę nagrodę za książkę „Piesek przydrożny”. To Nagroda NIKE potrzebuje dobrych pisarzy, którzy chcą skorzystać z maszyny promocyjnej NIKE, by zaistnieć w kulturze literackiej i pozostać w niej, zajmując równocześnie istotne miejsce w historii literatury i tym samym potwierdzić prestiż otrzymanego przez nich lauru.

W dotychczasowej historii nagrody najlepiej swe zwycięstwo potrafił wykorzystać Jerzy Pilch, który po przyznaniu mu wyróżnienia stał się osobą niezwykle medialną. Dla lepszego zilustrowania hossy na rynku wydawniczym dla książki „Pod Mocnym Aniołem” dodam, iż jej nakład po przyznaniu nagrody zdecydowanie wzrósł a sprzedaż powiększyła się aż siedmiokrotnie. Po ogłoszeniu werdyktu wydawnictwo sprzedało cały zapas powieści - hurtownie wykupiły w 15 minut pięć tys. egzemplarzy. Powieść „Pod Mocnym Aniołem” przeżyła również triumf na listach bestsellerów.

Wzrost nakładu i sprzedaży dotyczy nie tylko książki-laureatki, ale również nominacji, książek finalistek.

Literacka Nagroda NIKE istnieje od siedmiu lat. Przyznawana jest co roku przez dziewięćosobowe jury

jako jedna z kilkuset nagród literackich przyznawanych w Polsce. Jako pierwsza komercyjna nagroda po 1989 roku wykorzystuje sponsoring jako formę mecenatu. Ma za zadanie nie tylko promowanie dobrej książki, ale poprzez jednego z fundatorów - „Gazetę Wyborczą”, patronat medialny telewizyjnej „Dwójki” oraz radiowej „Jedynki” informowanie o nominacjach, jak i kreowanie atmosfery sensacji i tajemnicy (decyduje o tym, kto otrzymuje nagrodę za pado w dniu jej uroczystego przyznania) oraz podtrzymywanie zaniżającego w społeczeństwie zwyczaju czytania książek. Zachętę do sięgania po książki stanowi możliwość czynnego kształtowania werdyktu. Każdy czytelnik może głosować na książkę czytelników oraz napisać recenzję jednej z książek finalistek. Autor najciekawszej recenzji otrzymuje nagrodę w postaci wycieczki turystycznej.

Jak wiele idei w historii ludzkości, również idea nagrody NIKE narodziła się podczas obiadu w jednej z warszawskich restauracji Casa Valdemar, gdzie Henryka Bochniarz - prezes firmy Nicom Consulting, Adam Michnik - redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” oraz Michał Cichy - obecny sekretarz nagrody, chcąc przenieść na polski grunt prestiżową angielską nagrodę literacką Booker Prize przyznaną wyłącznie za powieść, stworzyli główne zasady regulaminowe Literackiej Nagrody NIKE. Jej laureatką może zostać książka każdego gatunku, która jest wybitnym osiągnięciem literackim i humanistycznym. Nagroda NIKE przyznawana jest wyłącznie żyjącym autorom. Nie można jej nie przyznać albo podzielić. Poza wydawnictwami, sekretarzem, zgłoszeń do nagrody dokonuje jury, którego członkowie reprezentują najważniejsze ośrodki naukowe z całej Polski. Nagroda nie ma być bowiem laurem środowiskowym a autorzy nominowanych książek powinni być w różnym wieku, reprezentować różne środowiska literackie, mają w różny sposób być związani z literaturą. Dotychczasowy dorobek autorów nie powinien jednak decydować (zgodnie z regulaminem nagrody) o nominacji i przyznaniu statuetki NIKE. W efekcie założenie to jest bardzo trudne do zrealizowania, gdyż książka, choć w pewnym sensie żyje swoim własnym życiem, jest nierozzerwalnie związana ze swym twórcą.

Przypominając, pierwszym laureatem nagrody w 1997 roku został Wiesław Myśliwski za „Widnokrąg” - powieść autobiograficzną, przyjętą przez krytykę z entuzjazmem. Nagroda NIKE była wtedy nowym zja-

wiskiem polskiej kultury literackiej, więc nie wzbudzała jeszcze krytycznych głosów i dyskusji. Dla pisarza-laureata fakt przyznania mu nagrody, wzbudził ambiwalentne odczucia ze względu na medialność tego wydarzenia i konieczność zaistnienia w świadomości nie tylko czytelników, ale również odbiorców prasy, radia i telewizji.

Kolejne rozdanie statuetki bogini NIKE przypomina rywalizację dwóch książek - „Mitologii Greków i Rzymian” Zygmunta Kubiaka oraz „Pieska Przydrożnego” Czesława Miłosza - laureata. Obserwatorzy drugiej edycji nagrody NIKE skrytykowali dobór nominacji oraz środowiskowość autorów wyróżnionych książek. Jednakże dla fundatorów nagrody kwestą kluczową stało się podkreślenie, iż w demokratycznej Polsce osiągnięcia artystyczne i gospodarcze powinny harmonijnie współistnieć. NIKE spełnia odąd rolę pierwszego mecenasa współczesnej literatury polskiej. Dla świata wydawców, księgarzy i samych pisarzy coraz bardziej wyraża się konieczność odpowiedniego promowania opublikowanego dzieła i sposób jego sprzedaży.

Atmosfera zaciekania kolejnym werdyktem jury wzrastała, czego wyrazem była przepelniona widownia w Teatrze Stanisławowskim podczas uroczystości wręczenia Nagrody NIKE w 1999 roku. Obecni na audytorium byli politycy oraz liczni przedstawiciele świata kultury, choć sami zainteresowani - autorzy książek-finalistek w dużej mierze nie przybyli osobiście. Komercyjność nagrody i atmosfera wokół niej kreowana nie odpowiada bowiem wielu piszącym pisarzom, w tym Tadeuszowi Różewiczowi. Emocje zainteresowanych i widowni opadły po odczytaniu werdyktu przyznającemu laur Stanisławowi Barańczakowi za tom „Chirurgiczna precyzja”.

Kolejnymi laureatami nagrody NIKE zostali: Tadeusz Różewicz za książkę „Matka odchodzi” (2000), Jerzy Pilch (2001) za powieść „Pod Mocnym Aniołem” oraz Joanna Olczak - Ronikier (2002) za opowieść „W ogrodzie pamięci”. Autorka książki miała co prawda w chwili otrzymania statuetki określoną pozycję w świecie literatury, głównie dzięki swym poprzednim książkom, jednak NIKE nadała blasku i rozgłosu zarówno „ogrodowi pamięci” rodziny Horwitzów, jak i samej autorce.

Wraz z kolejnymi edycjami suma nagrody wzrastała o 10 tys. złotych (Wiesław Myśliwski otrzymał dzięki nagrodzie 50 tys. złotych) aż do osiągnięcia stałej obowiązującej od-



tań kwoty 100 tysięcy w roku 2001. Tak duża kwota pozwala na uzmysłowienie wartości dobrej i godnej polecenia literatury.

Tegoroczne przyznanie nagrody literackiej NIKE nie wzbudzało tak gorących emocji jak w latach poprzednich, czego odzwierciedleniem były liczne puste miejsca na widowni Teatru Stanisławowskiego, dotychczas wypełnionego z tej okazji po brzegi, oraz nieobecność niektórych autorów książek finalistek. Osobiście przybyli jedynie: Wojciech Tochman, Andrzej Walicki, Julia Hartwig oraz najmłodsza uczestniczka konkursu Dorota Maśłowska. Komentarz nasuwa się sam - obecni to osoby zainteresowane otrzymaniem nagrody, która dla noblistów - Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza nie byłaby dodatkowym wyróżnieniem. Klasycy są poza konkurencją a ich pozycja w literaturze jest niezaprzeczalna i niepotrzebne jest potwierdzanie od dawna znanego nam faktu wagi ich twórczości.

**L**aureat siódmej edycji nagrody NIKE - Jarosław Marek Rymkiewicz również był nieobecny. Reprezentowała go przedstawicielka wydawnictwa „Sic!” Renata Lis, która przeczytała wystosowany do czytelników list napisany na okoliczność przyznania „Zachodowi słońca w Milanówku” nagrody NIKE. Czytamy w nim: „Literatura niczego nie potrzebuje. Ani zaszczytów, ani pieniędzy, ani łapówek, ani orderów, ani faworów władzy. Literatura nie jest żebrakiem, o nic nie prosi i nie czeka na wsparcie. Potrzebuje tylko czytelników”. To zastanawiające słowa, kwestionujące istotę Literackiej Nagrody NIKE wspierającej artystów w promocji i dotarciu do szerszego grona czytelników właśnie. W regulaminie nie określono jednak, czy laureat może nagrody nie przyjąć...

W kontekście słów poety zastanawiający jest fakt przydatności nagrody dla twórczości i osoby zajmującej określoną pozycję we współczesnej literaturze. Jak wynika z listu, Rymkiewicz nie potrzebuje NIKE. Czyżby NIKE potrzebowała Jarosława Marka Rymkiewicza?

Twórczość tego poety jest twórczością elitarną a tym samym dowodem na niemożliwość pełnego zde-mokratyzowania kultury wysokiej. Opisywana sytuacja w pełni odzwierciedla zmiany, jakie dokonywały się w statusie autora tworzącego dziś literaturę. Jak zauważyła Henryka Bochniarz - w nagrodzie NIKE z jednej strony mamy szanowne jury a z drugiej oskarową atmosferę - telewizyjny show i powagę panteonu literackiego. Sportowa atmosfera

wręczenia nagrody stawia autorów w nowej sytuacji rywalizacji i konkurencji. Otrzymanie nagrody niesie za sobą jednak wymierne korzyści. Ze wzrostu nakładów nominowanych do nagrody książek księgarze i wydawcy mają konkretne korzyści finansowe. Tradycjonaliści narzekający na formułę nagrody i stan polskiego czytelnictwa, jednocześnie często odmawiają wystąpienia w telewizji, udzielenia wywiadu. Dziś artyści muszą mieć świadomość konieczności zabiegania o swego odbiorcę.

**A**ktualna sytuacja pisarzy stanowi konsekwencję zmian, jakie dokonały się w polskiej kulturze po 1989 r. Wejście wolnego rynku doprowadziło do zmiany sensu czytania, które stało się po prostu rozrywką a rynek wydawniczy zmuszony został do konkurencji z rynkiem fonograficznym czy filmowym.

Werdykt jury tegorocznej edycji nagrody przypomina poprzednie lata, kiedy to przyznano nagrodę najlepszym książkom roku autorstwa pisarzy i poetów nie wymagających wypromowania i zauważenia przez czytelników. Funkcja promocyjna nagrody NIKE zawężałaby się więc do promowania dobrej książki i literatury jako takiej, bez szczególnego uwzględnienia młodych talentów. Dla nich laur NIKE jak dotąd okazał się jednak niedostępny. Rzadko kiedy bowiem kunszt literacki debiutanta lub młodego artysty przewyższa dzieła doświadczonych pisarzy. Sam fakt nominacji do nagrody przedstawicieli młodego pokolenia piszących stanowi już znaczące wyróżnienie.

Siedem lat istnienia nagrody zmusza zatem do pewnych uogólnień i podsumowań. Pomimo krytyki nagrody i jej niedostatków, niezaprzeczalnym jest fakt jej znaczenia w dzisiejszej kulturze literackiej. Ożywienie życia literackiego poprzez liczne dyskusje, omówienia, recenzje obecne w mediach są tego żywym dowodem.

Jednym z podstawowych problemów nagrody są jednak jej założenia regulaminowe i jej bardzo szeroka formuła zapewniająca nominacje książkom wszystkich gatunków, co czyni poszczególne książki nieporównywalnymi. Na liście najlepszych książek znaleźć można nie tylko tomy poetyckie, ale i powieść, opowiadania, biografie, eseje, szkice, dzienniki, wywiady, reportaże. Apogeum swej różnorodności nagroda osiągnęła podczas swej piątej edycji, kiedy to o główne wyróżnienie ubiegały się m.in. „Karoca z dyni” Kingi Dunin, „Śsiedzi” Jana Tomasza Grossa, „Schodów się nie pali” Wojciecha Tochmana oraz

zwycięska książka „Pod Mocnym Aniołem” Jerzego Pilcha. Jednakże w czasach, kiedy granice między poszczególnymi gatunkami zacierają się coraz bardziej, pojawiają się znaczące różnice nawet w obrębie samej tylko powieści przejawiającej tendencje hybrydyczne, sylwiczne oraz integrującej wiele innych gatunków, podważanie zasad regulaminu nagrody wydaje się nieuzasadnione. Godny uwagi jest jednak fakt, iż pomimo szerokiej formuły obejmującej nominacje do nagrody w całej siedmioletniej historii nagrody NIKE, nie zdarzyła się jeszcze książka-laureatka spoza literatury pięknej.

**Z**astanowić się należy również nad funkcjonowaniem promowania literatury dzięki nagrodzie NIKE wśród czytelników, których z roku na rok jest coraz mniej. Ci, którzy czytali, będą to robić zawsze. Problem tkwi w pozyskiwaniu nowych czytelników i wyrabianiu w nich nawyku czytania, z czym jest w naszym kraju zdecydowanie gorzej. Większość z nich, jeśli w ogóle sięga po książkę, to jest to najczęściej leksykon lub poradnik a nie literatura piękna, czy szeroko pojęta humanistyka. Literacka Nagroda NIKE świetnie funkcjonuje w ściśle określonym, aczkolwiek hermetycznym gremium. Nie literaturę popularną i masową się tu bowiem promuje. Tak czy inaczej nominacje do nagrody i jej laureatki to niekwestionowane sukcesy rynkowe.

Literacka Nagroda NIKE jest bez wątpienia ważną nagrodą przyznawaną w demokratycznej Polsce przede wszystkim ze względu na dobre spełnianie jej funkcji promocyjnej. Rola nagrody jako mecenas najlepszej polskiej literatury stanowi niezwykle ważny aspekt w czasach, w których niezwykle dużo miejsca zajmuje bańka i pustka intelektualna. Nawet, jeżeli jej założenia regulaminowe i werdykty wzbudzają krytykę, to świadczy to nie o niczym innym, jak o potrzebie podejmowania dyskusji o literaturze jej twórcach i ich roli w kształtowaniu współczesnej kultury.

Nie bez powodu Jerzy Pilch powiedział o nagrodzie, iż „życie literackie bez NIKE byłoby znacznie uboższe”. Pozostaje życzyć jej fundatorom i organizatorom, by nadal sprawowała mecenat nad literaturą wysokiej próby. Jak powiedział podczas ubiegłorocznej uroczystości wręczenia nagrody Adam Michnik: „Przyrzekamy, że dopóki państwo będziecie mieli cierpliwość czytać książki, dopóty będziemy angażowali w tę nagrodę nasze serca i portfele”. Oby co roku kolejna edycja NIKE była świętem polskiej literatury.



W „Pierwszej polce” w reżyserii Klausa Emmericha historia młodzieńczej miłości rozgrywa się w scenerii nadchodzącej wojny (na zdjęciu Marco Kröger jako Andreas Piontek i Miriam Geissler w roli Ulli Ossadnik).

JAN F.  
LEWANDOWSKI

# Bienek filmowy

W tekstach Horsta Bienka często pojawiają się motywy filmowe. Znanemu pisarzowi zdarzyło się zostać reżyserem filmowym, a jego prozę przerabiano kilka razy na spektakle filmowe. Jednak chociaż związki autora „Pierwszej polki” z kinem były wielorakie, ta strona jego ekspresji pozostaje mniej znana.

Pasje filmowe Bienka znalazły wyraz choćby w *Opisie pewnej prowincji* dzienniku pisanym w trakcie pracy nad słynną powieściową tetralogią gliwicką, gdzie relacjonuje swoje poszukiwania śladami gliwickich przodków wybitnego reżysera i aktora Ericha von Stroheima. W XIX wieku rodzice Stroheima mieli w Gliwicach sklep z kapeluszymi, a potem wywędrowali przez Pragę do Wiednia. Natomiast dziadkowie przyszłego reżysera pozostali - zdaniem Bienka - w Gliwicach i mieszkali przy Bahnho-

fstrasse, czyli przy dzisiejszej ulicy Dworcowej. Tymi gliwickimi korzeniami Ericha von Stroheima pisarz zafascynował się tak dalece, że wprowadził go do *Pierwszej polki* jako dawnego narzeczonego głównej bohaterki powieści, Valeski Piontek. Do młodzieńczego romansu doszło wtedy, gdy Stroheim spędzał wakacje u dziadków nad Kłodnicą, a Valesce pozostał z tego czasu nawet prezent od niego - okrętek wyrzeźbiony w korze, trzymany przez nią ciągle jeszcze, chociaż minęły dziesięciolecia, w skrzyni z bielizną.

## Celulidowe wspomnienia

Z kolei wspomnienia kin gliwickich z lat trzydziestych i pierwszej połowy lat czterdziestych, w których Horst Bienek przeszedł inicjację w celuloidowym świecie, powracają wiele razy w jego zapisach podróży w krainę dzie-

ciństwa. Wspomina więc kino „Capitol” w centrum miasta, które „było najpiękniejsze w mieście”.

„W niedzielne przedpołudnia - pisze Bienek - pokazywano tam filmy z Shirley Temple po obniżonych cenach, wydaje mi się, że miejsce kosztowało dwa dziesięcia fenigów. Widziałem wszystkie filmy z Shirley Temple, często, więcej niż jeden raz, a wszystkie dziewczęta w okolicy robiły sobie loczki-korkociągi, tak jak ich idolka. Na normalny seans chodziliśmy tylko w święta wielkanocne albo w Boże Narodzenie razem z mamą, czasami zabierał mnie też ze sobą wujek Gerhard, który uwielbiał Pata i Patachona, a nie lubił sam chodzić do kina”.

Prócz centralnego „Capitolu” wspomina Bienek w *Podróży w krainę dzieciństwa* peryferyjne kino w Szobiszowicach, położone za to bardzo blisko jego domu rodzinnego, do którego „zawsze

w piątek, gdy zmieniano program, szliśmy na seans popołudniowy, po obniżonych cenach”.

Na dodatek te dawne gliwickie kina, znane Bienkowi z dzieciństwa i wczesnej młodości, jak wspomniani „Capitol”, „Arena”, „CT Liechtspiele”, „Germania”, „Deli” czy „Schaumburg” - pojawiają się wiele razy na kartach kolejnych tomów jego powieściowej tetralogii gliwickiej (*Pierwsza polka*, *Wrzesniowe światło*, *Czas bez dzwonów*, *Ziemia i ogień*). W tych powieściach wspomniane są nawet tytuły filmów z przeszłości i sławne osobistości z kręgu X Muzy. Kilkakrotnie wspomniana zostaje gwiazda tamtych czasów, Mari-ka Röck, która po dziesięcioleciach zdążyła jeszcze zagrać w filmie opartym na powieści *Zamek Königswald*. A w *Czasie bez dzwonów* jeden z bohaterów wspomina, że widział sławnego reżysera Trzej Rzeszy, Veita Harlana podczas realizacji jakiegoś filmu w Pradze. Wszystkie te wzmianki wspomnieniowe i powieściowe każą widzieć w Bienku prawdziwego pasjonata kina i to od dzieciństwa.

## Pisanie i filmowanie

Jego zainteresowanie sztuką filmową znalazło wyraz także w publikacjach prasowych. Z nich warto tu przywołać szkic pod tytułem *Pisanie i filmowanie* (*Schreiben und Filmen*), opublikowany pierwotnie na łamach miesięcznika „Merkur” w 1976 roku. W tym krótkim, lecz ważnym tekście znalazły wyraz przemyślenia pisarza na temat relacji między literaturą i filmem. „Nie można - pisze zatem Bienek - tłumaczyć z jednego medium na inne, ponieważ wynika z tego coś, do czego przyzwyczailiśmy się, i co nazywamy sfilmowaną literaturą”. W przekonaniu Bienka pisanie jest skierowane do wewnątrz, a realizacja filmu jest czynnością skierowaną, na zewnątrz, z gruntu odmienną. „Film - zdaniem Bienka - musi wymyślać obrazy, aby zapomnieć o zdaniach. Rozmowy, reakcje, praca w zespole, komunikacja, wiele ludzi: to wszystko prze na zewnątrz”.

Te jego słowa zostały sformułowane - przypomnijmy raz jeszcze - w 1976 roku, a zatem już po doświadczeniu reżyserskim z *Celą* w której można dopatrzeć się próby kina introwersyjnego przed doświadczeniem z adaptacją filmową *Pierwszej polki*.

Nic dziwnego, że Bienek nie podjął się napisania scenariusza do filmu *Pierwsza polka*, chociaż otrzymał taką propozycję. Z pewnością zdawał sobie sprawę nie tylko z trudności w jej przekładzie na język kina, ale i z tego, że - jak sam wspomina w *Opisie pewnej prowincji*: „każdy scenariusz, nawet najlepszy, musi być bolesną amputacją”.

Zresztą, zgodnie ze swoją teorią wyłożoną we wspomnianym szkicu oraz w licznych wywiadach, Bienek wyrażał wtedy przekonanie, że „reżyser musi tworzyć niezależne dzieło sztuki”.

Jeśli pisarz Horst Bienek tak określał relacje między literaturą i filmem, to zadziaczał to zapewne i temu, że miał za sobą reżyserię fabularnej *Celi* oraz kilku filmów telewizyjnych i dokumentalnych.

W roli reżysera filmowego (telewizyjnego) Bienek zadebiutował w 1966 roku, kiedy to nakręcił aż dwa filmy powracające do twórczości wybitnego amerykańskiego poety Ezyra Pounda. Jeden z nich wyprodukowała firma pod nazwą: Horst Bienek Film z siedzibą w Monachium, a w kilku kolejnych krótkich filmach Bienek występuje z reguły także i w roli producenta. Były to przeważnie filmy o artystach, np. o niemieckiej pisarce Marie-Luise Kaschnitz albo o twórczości szwajcarskiego plastyka Jeana Tinguely. W sumie Bienek nakręcił 8 filmów telewizyjnych i dokumentalnych, a do tego fabularną *Celę* opartą na własnej powieści.

W zasadzie ta seria filmów kończy się na roku 1978, gdy pracował niezwykle intensywnie nad kolejnymi powieściami gliwickiej tetralogii. Jednak po dziesięciu latach, pod koniec lat osiemdziesiątych Bienek raz jeszcze bierze kamerę do ręki, by nakręcić dwa filmy o charakterze autobiograficznym dla telewizji ZDF. Pierwszy, *Gliwickie dzieciństwo* (z 1987 roku), jest zapisem jego pierwszej po ponad czterdziestu latach podróży do rodzinnych Gliwic, odbytej w towarzystwie polskiego filmowca Stanisława Krzemieńskiego. Drugi i ostatni film nosi tytuł *Czas przeciekający. Dziennik elektroniczny*. Zrealizowany 1989 roku, niedługo przed śmiercią, jest rodzajem dziennika pisarza, właśnie Horsta Bienka.

## Doświadczenie „Celi”

Można zatem powiedzieć, że reżyseria filmowa była ważnym doświadczeniem Bienka, a najważniejszym była niewątpliwie realizacja pełnometrażowej *Celi* w 1971 roku, opartej na własnej powieści.

Dla Bienka była to próba opowiedzenia o wolności poprzez opisanie więzienia, co zresztą zaznacza cytatem z samego siebie na początku filmu. Jednak w filmowej *Celi*, w odróżnieniu od wcześniejszej powieści mającej cechy autobiograficzne, więzienie zostało zupełnie wypreparowane z realnego kontekstu. Znajdujemy w niej więźniów politycznych, lecz nie wiadomo, gdzie i za co siedzą, co było zresztą świadomym zabiegiem reżysera, niegdyś więźnia enerdowskiego więzienia i sowieckiego lagru. W tym skromnym, czarno-białym, kameralnym filmie nie ma właściwie akcji. Są tylko długie ujęcia codziennego życia więziennego. Prawie nie ma muzyki i warstwy dźwiękowej. Bardzo statycznie grają aktorzy.

Z pewnością filmowa *Cela* wyrasta z osobistych doświadczeń więziennych autora, który próbuje je przetworzyć w wizję uniwersalną. Jednak metoda ascetyzmu formalnego, kojarząca się chwilami z twórczością Roberta Bressona, nie za bardzo się sprawdziła, skoro Bienkowi nie udało się wstrząsnąć nastrojem zamknięcia, osaczenia. W swoim czasie filmowa *Cela* dostała nawet federalną nagrodę filmową. Jednak z dzisiejszej perspektywy można w niej widzieć raczej próbę autorskiego eksperymentu z językiem kina, z ducha filmowej kontestacji tamtego czasu, w jakimś sensie bliską francuskiej Nowej Fali, która jako zjawisko pobudzające wtedy

zresztą się skończyła. Dzisiaj filmowa *Cela* wydaje mi się zaledwie wspomnieniem przeszłości.

## Gliwice w plenerach Ostrowy

Już ciekawsze wydają mi się dwie adaptacje prozy Bienka zrobione przez innych reżyserów, a umiejscowione na przełomie wojny i pokoju. *Pierwsza polka* w reżyserii Klausa Emmericha rozgrywa się w Gliwicach 31 sierpnia 1939 roku. Z kolei akcja *Ostatniej opowieści o zamku Königswald* w reżyserii Petera Schamonięgo toczy się w maju 1945 roku niedaleko Marienbadu (dzisiejsze Mariańskie Łaźnie) w czeskich Sudetach, gdzie starsze panie z niemieckiej arystokracji oczekują końca wojennej zawieruchy. Wydają się ciekawsze, pomimo iż obaj reżyserzy mieli problemy z przekładem Bienka na język kina.

Do produkcji *Pierwszej polki* wytwórnia Bavaria przystąpiła z pewnym rozmachem, o czym świadczy chociażby zatrudnienie znanej aktorki Marii Schell w roli Valeski Piontek, a szwedzkiego aktora Erlanda Josephsona, grającego wcześniej w filmach Ingmara Bergmana, jako jej męża Leo Marii Piontki. Pozostałe role zagraли aktorzy mniej znani. Z ciekawostek wspomnijmy, że pochodzący z Katowic Jan Biczyski (mieszkający wtedy już od lat w Monachium) zagrał niedużą, lecz istotną rolę księdza proboszcza Pattasa, który wygłasza ową słynną mowę o górnośląskich nazwach miejscowych. Reżyserował młody filmowiec Klaus Emmerich, brat sławniejszego Rolanda Emmericha (twórcy o wiele późniejszego amerykańskiego science fiction *Dzień Niepodejścia*). Natomiast zdjęcia były dziełem wybitnego operatora Michaela Ballhaus, rozpoczynającego wtedy wspaniałą karierę światową.

Do napisania scenariusza Bavaria Film nakłaniała Bienka, który jednak nie dał się skusić. „Chcę - pisał Bienek - i nie mogę pisać scenariusza. By przedstawić całą akcję, powieść musi być radykalnie skrócona - temu nie podołam. Skoro już tak być musi, niech robią to inni. Najlepiej, jeśli to zrobi sam Krapp. Z mojego pokolenia, nastawiony przyjaźnie, a to budzi zaufanie”. I tak się stało. Scenariusz napisał wspomniany wyżej Helmut Krapp, będący wtedy dyrektorem artystycznym wytwórni Bavaria.

Warto też wspomnieć, że Niemcy zamierzali nakręcić *Pierwszą polkę* w Gliwicach, na co nie zgodziły się władze katowickie z ówczesnym wojewódzkim szefem partii komunistycznej Zdzisławem Grudniem na czele. Skończyło się tym, że filmowcy z Monachium pojechali do Ostrowy w Czechach, która ma nieco podobną architekturę i również kopalnie wkoło, podobnie jak Gliwice. Jednak dato to niewiele, skoro nieliczne sceny plenerowe, w tym także te z kopalniami szybami, spełniały tylko rolę ozdóbek. Najwyraźniej Klaus Emmerich nie znalazł sposobu na Bienka, co nie było zresztą sprawą łatwą. Przecież niektóre wątki powieści, jak choćby historia owego żydowskiego urzędnika Montaga, piszącego biografię Wojciecha Korfantego, w ogóle nie nadawały się do sfilmowania.





Największą atrakcją „Ostatniej opowieści o zamku Königswald” Petera Schamoniego stały się dawne gwiazdy kina niemieckiego, które wcieliły się w arystokratki oczekujące końca wojny w Sudetach.

W *Pierwszej polce* Emmericha historia młodzieńczej miłości rozgrywa się w scenerii nadchodzącej wojny. Młodzi bohaterowie spotykają wszędzie żołnierzy i stają się świadkami napadu na radiostację gliwicką. W sferze akcji wszystko niby zgadza się z powieścią, lecz wyparowała gdzieś atmosfera górnośląskiego pogranicza, którą Bienek tak znakomicie potrafił wyrazić w powieści. W dodatku akcja filmu toczy się najwięcej w zamkniętych pomieszczeniach, a nie na żywej, gliwickiej ulicy.

W efekcie mimo starannej, nawet wyśmakowanej scenografii z epoki, filmowa *Pierwsza polka* wydaje się dziełem zaledwie poprawnym. Zmierzającym więcej w stronę kroniki rodzinnej niż kroniki prowincji, opowiadającym więcej o końcu epoki, a mniej o końcu pewnej prowincji, co było zamierzeniem Bienka w powieści. Jej premiera w 1979 roku, podczas festiwalu w Berlinie, z udziałem prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Waltera Scheela, była wprawdzie wydarzeniem, lecz tylko na chwilę. Bo zaraz - jak wspomina Bienek - „następnego dnia, zjechało film w gazetach”.

W tym samym *Opisie pewnej prowincji* Bienek wspomina też, że przekonwał Bawarię, by zatrudniła Andrzeja Wajdę w roli reżysera. Ciekawe, czy Wajda mógłby nakręcić *Pierwszą polkę* lepiej? Czy potrafiłby uchwycić specyfikę górnośląskiej scenerii? Dzisiaj to oczywiście tylko gdybanie, bo skończyło się przecież na pragnieniach Bienka. Nie jest rzeczą wykluczoną, że jego zamysły Wajdzie w ogóle nie były znane. W każdym razie sam Wajda w swoich wypowiedziach o nie zrealizowanych projektach - w tym w filmie Stanisława Janickiego *Marzenia są ciekawsze* i w autobiografii *Kino i reszta świata* - nie wspomina o projekcie filmowania Bienka.

Myślę jednak, że Bienek proponował Wajdę nie bez powodu. Przecież konstrukcja *Pierwszej polki* przypomina konstrukcję *Popiołu i diamentu*. Wszystko prowadzi w niej do finałowego bankietu z tanecznym finałem, jak właśnie u Wajdy. Tyle, że w filmie Wajdy akcja rozgrywa się na przełomie wojny i pokoju, a w filmowej *Pierwszej polce* odwrotnie - na przełomie pokoju i wojny. Jest też zastanawiające, że Wajda nakręcił później *Kronikę wypadków miłosnych* z podobną historią młodzieńczej miłości tuż przed wybuchem wojny i także w scenerii kresowej, tyle że na innych kresach, na innym pograniczu.

### Metafora Königswaldu

Z pewnością łatwiejsze zadanie miał Peter Schamoni, jeden z weteranów manifestu w Oberhausen w 1962 roku, mogąc skorzystać z filmowości opowiadania *Zamek Königswald* zawierającego w dodatku sporą dawkę groteskowego humoru. Znajdujemy w tym filmie z 1987 roku zderzenie konwencjonalności życia arystokracji na zamku z prozą rzeczywistości wojennej. Zabawne sytuacje wynikają ze zderzenia arystokracji z przybywającymi na zamek oddziałami niemieckim, a później amerykańskim, a także z oczekiwania, kto zjawi się prędzej: Rosjanie czy Amerykanie?

Jednak największą atrakcją filmu stały się dawne gwiazdy kina niemieckiego z lat trzydziestych i czterdziestych, by wspomnieć Camillę Horn, Mariannę Hoppe, Carolę Höhn czy Marię Röck, które wcieliły się w arystokratki. Niektóre pochodzą z Górnego Śląska, jak księżna Hohenlohe i hrabina Posadowski, a tą pierwszą opiekuje się Milka Piontek, znana z powieściowej tetralogii gliwickiej. Najbardziej zaś porywająca

jest wiekowa już Marika Röck tańcząca dla Amerykanów charlestona.

W efekcie Schamoni nakręcił film o końcu starego świata, film zabawny, i w dodatku z wyraźnymi podtekstami historiozoficznymi. Za powieścią Bienka film Schamoniego przemienia się w studium świata odchodzącego, który ginie wraz z końcem II wojny światowej. Jeśli można mieć zastrzeżenia, to tylko takie, że finałowy zmierzch Königswaldu nie poraża jednak tragedią, poprowadzony do ostatka w tonacji zartobliwie sentymentalnej.

★ ★ ★

W filmowej *Pierwszej polce* raczej samego Bienka zdaje się reprezentować ksiądz Pattas prawiący o Górnym Śląsku jako ziemi pogranicznej, należącej zawsze do Polaków i Niemców. W finale znajdujemy piękną i zarazem dramatyczną scenę modlitwy, gdy Valeska Piontek modli się po niemiecku, a jej służąca Halina po polsku. Z kolei w filmie Schamoniego księżna Hohenlohe i jej opiekunka Milka spoglądają z zamku w Sudetach w stronę Górnego Śląska i recytują Josepha von Eichendorffa, co oczywiście ma również znaczenie symboliczne.

Myślę, że te dwa filmy według prozy Horsta Bienka mogą być dla naszego oglądania sprawy górnośląskiej także pewną lekcją pokory, a już szczególnie wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę, że nakręcono je dosyć dawno. Nie znajdujemy w nich bowiem cienia narodowej jednostronności. Dla Bienka Gliwice są po prostu miastem pogranicza, co właśnie wydaje mu się sympatyczne i warte obrony. Wprawdzie filmy oparte na Bienku nie potrafiły przekazać w pełni jego pogranicznej mitologii prowincji, lecz nie zmieniły przecież jej przesłania. Z taką otwartością na racje drugiej strony nie potrafiły opowiadać o górnośląskim pograniczu polskie filmy rozegrane w jego scenerii.

Wincenty Lutosławski i śląska „Eleusis”

# Ludzie- -znicze

ZDZISŁAW  
JANECZEK



„Socjalizm hamuje postęp ducha i rozbija jedność narodu” (Wincenty Lutosławski).

Już filareta Tomasz Zan wskazywał, że takie same uczucia „rodzą się w każdym Polaku z historii polskiej i dzieł o Polsce i Polakach traktujących”. Podobnie myślał Joachim Lelewel twierdząc, że naród „przez przypomnienie przeszłości, którą wskrzesić pragnie, nabywa siłę”. Gdy wypowiadali te słowa nie przypuszczali nawet, iż w następnym stuleciu po raz kolejny ożywi ich ideę i zamierzenia Wincenty Lutosławski kreując w Galicji i na Śląsku ruch neofilarecki, którego głównym założeniem było „Wszystkie siły oddać Rzeczypospolitej”.

Autor tych słów, syn ziemianina Aspod Łomży, filozof, profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, znany w Europie jako znawca Platona, po podróżach do Finlandii, Szwecji, Danii i Niemiec, w 1899 r. przybył do Krakowa gdzie podjął wykłady jako prywatny do-

cent. Wśród młodzieży dużą popularność zdobył, głosząc prawdy nawiązujące do mesjanizmu doby polskiego romantyzmu, do wizji Andrzeja Towiańskiego, Zygmunta Krasińskiego i Juliusza Słowackiego. W rozważaniach na tematy społeczne odwoływał się także do Au-

gusta Cieszkowskiego. *Improwizacja z Dziadów* Adama Mickiewicza stać się miała „gotowym programem całego eleutryzmu”. Światopogląd mesjanistyczny propagował również podczas wykładów na uniwersytetach w Londynie, Paryżu i Stanach Zjednoczonych.

Twórca idei wszechpolskiej głosił, iż „żaden cel ludzkości go nie odwiedzie od tego jednego celu głównego: przyjąć udział w tworzeniu doskonałego narodu, co [...] nauką, sztuką, religijnym życiem [...] przodować będzie ludzkości, służąc jej za wzór Mesjasza”.

Swoją plan działania przedstawił podczas pobytu w Genewie gdzie opublikował Program wychowania narodowego. W Szwajcarii też zrodziła się idea śląskiej filii „Eleusis”. W swoich wspomnieniach pisał: *Jeden łatwy żywot zanotował: „w Morges miałem jedno przeżycie, które zdecydowało w znacznej mierze o dalszej mojej działalności. Przed Bożym Narodzeniem 1901 r. przybyła do mnie delegacja od górników śląskich, złożona z Joachima Soltysa i Jana Wyciska, z prośbą, abym pisał dla robotników. Był to skutek wydania 1-go tomu »Wykładów Jagiellońskich«, który trafił do rąk Soltysa, redaktora pisma ludowego w Zabrze, i wywołał u niego, i u jego czytelników chęć wciągnięcia mnie do pracy oświatowej na Śląsku. Przyjąłem ich serdecznie, zatrzymałem kilka dni i obiecałem, że po powrocie do kraju ich odwiedzę i z nimi się naradzę co do usług, jakie im mógłbym oddać”.*

„W dalszych skutkach ta inicjatywa spowodowała później wydawanie przezemnie pisma ludowego pt. „Iskra”, i sprowadzanie na mój koszt młodych górników do Krakowskiego Seminarium Filozofii Narodowej, aby ich kształcić. Był to skutek daleko donioślejszy, niż mogły mieć moje wykłady w obu uniwersytetach.”

## Do braci Górnolązaków

W walce o polskość Śląska miał duże znaczenie obchodzony w 1902 r. w Krakowie jubileusz działalności literackiej Marii Konopnickiej. W przygotowaniach do obchodów wzięły również udział gazety śląskie, drukujące wiersze poetki, m.in. „Katolik” i „Górnolązak”. Delegacja Ślązaczek na czele z Wojciechem Korfantym wręczyła Konopnickiej adres, uczestnicząc

m.in. w nabożeństwie w kościele Mariackim i uroczystościach zorganizowanych w krakowskiej sokolni. Wśród podarków znalazł się album z kilkuset podpisami dzieci z Zabrza i Adres hołdowniczy mieszkańców Siemianowic. W czasie uroczystości głos zabrał Korfanty. Przemówienie jego przedrukowała prasa lwowska i krakowska. Z kolei Konopnicka dziękując za przybycie zwróciła się do przesładowanych rodaków z zaboru pruskiego w *Liście do braci Górnoszlązaków*.

*„Te pamiętne dni krakowskie - pisała poetka - to było wielkie święto rodzinne, odszukali się rozłączeni, zjednoczyli rozdzieleni, zapoznali się ze sobą ci, co tylko z imienia i z opowieści wiedzieli o sobie. Cały naród lechicki okrzyknął się jednym zawołaniem wspólnym. Niech każdego dnia, choć raz na dzień będzie nazwane imię Polski. Niech ta Polska żywa będzie między wami. Mówcie o niej dzieciom waszym, niechaj rosną w tym uczuciu, że są dziećmi polskiej ziemi”.*

Uroczystości jubileuszowe nie tylko przyczyniły się do wzrostu popularności Konopnickiej na Śląsku, ale także przygotowały grunt pod rozwój ruchu neofilareckiego propagowanego przez Lutosławskiego. Ożywiły się kontakty Ślązaków ze społecznością galicyjską, czego dowodem był m.in. *Apel komitetu organizującego wycieczkę patriotyczną Górnoszlązaków do Krakowa*, opublikowany w „Głosie Śląskim”.

W styczniu 1903 r. powołano do życia towarzystwo „Eleusis”, które obok zasad typu skautowskiego miało kulturować uczucia patriotyczne. O swojej roli w jego działalności Lutosławski pisał: *„Wróciwszy [...] do Krakowa wyzyskałem odzyskane zdrowie dla urządzenia w Seminarium Wychowania Narodowego kursów dla robotników śląskich. Bywałem w Zabrze i Gliwicach, i zbierałem tam elsów górników potajemnie. Później władze pruskie skazały ich na sto kilkadziesiąt lat więzienia za te zebrania, na których czytałem i objaśniałem Dziady, Nieboską Komedję, i nawet Króla Ducha. Tym górnikom zaproponowałem, żeby z pośród siebie wybrali najzdolniejszych młodych ludzi, i wystali ich na wychowanie do Krakowa. Mieszkali w lokalu Seminarium.”*

*„Studentów uczęszczających na moje wykłady w Seminarium za-*

*chęciłem, by część czasu poświęcali na nauczanie przybyłych robotników. Sam poświęcałem prawie cały czas tej sprawie. Zaczynaliśmy dzień o 5-tej rano nabożeństwem u Pijarów, po którym miewałem do uczniów przemówienie w zakrystii. Potem praca trwała z małymi przerwami cały dzień. Uczniowie uczyli się kaligrafii, ortografii, rachunków i poznawali dzieła wieszczów oraz historię polską. Utrzymywani w stanie zapалу czynili szybkie postępy, co się szczególnie uwydatniało w przeobrażeniu pisma niewprawnego na piękne i równe.”*

*„Miałem nadzieję, że ci robotnicy wrócą do pracy ręcznej i będą podnosić poziom umysłowy innych. Ale pod tym względem się zawiodłem. Za to przy wyborach do niemieckiego parlamentu w 1907 r. agitacja tych uczniów zaważyła na szali, i przyczynili się oni do polskiego zwycięstwa. Kilku spośród nich, szczególnie najpierwsi, Edward Rybarz i Jan Przybyła, którzy już od 1902 r. przybyli, później w odrodzeniu narodowym Śląska żywy brali udział. Po pierwszych kursach prowadzonych przeze mnie w ciągu roku 1906/1907 nastąpiły inne pod kierunkiem moich uczniów i ta możliwości intensywnego wykształcenia chętnych do pracy robotników została ostatecznie potwierdzona.”*

Lutosławski wykładając w stu dziewięćdziesięciu miejscowościach, m.in.: w Buczu (pod Skoczowem), Cieszynie, Dziegiełowie (pod Cieszynem), Gliwicach, Katowicach, Królewskiej Hucie, Rybniku, Tarnowskich Górach, Wrocławiu i Zabrze potrafił zyskać aprobatę audytorium, o czym pisał: *„Występowałem publicznie wobec setek ludzi nieznanych i musiałem ich nastroić słowem w ten sposób, aby na czas wykładu wszyscy odczuwali wspólność ze mną, rozumiejąc mnie dokładnie”.*

Wydaje się także, iż był zadowolony z osiągniętych rezultatów i kontaktów ze Ślązakami. W *Jednym łatwym żywocie* tak oceniał owoce swojej pracy: *„W 1907 r. pomogłem do głośnego zwycięstwa w wyborach do parlamentu Rzeszy Niemieckiej na Śląsku. W 1919-1921 r. moi uczniowie przeprowadzali powstania i plebiscyt, a w 1932 r. sam wracam na Śląsk, by tam opracować ostatnie moje dzieła, mające służyć tym nowym ludziom, których oddawna zapo-*

*wiadał Krasieński w Przedświcie, a niedawno Małaczewski w Koniu na wzgórzu: prawdziwym sługom Bożym, co naród uświadomią i zbawią, życiem i śmiercią dowiodą, że Polska to wielka rzecz.”*

## Polskość przed sądem

Do historii przeszły procesy przeprowadzone w latach 1904-1905, pod zarzutem zdrady stanu, przez sądy niemieckie w Gliwicach. Dotyczyły one 22 elsów gliwickich i 25 zabrzańskich. U zatrzymanych przeprowadzono rewizje, które potwierdziły podejrzenia o kontakty z Galicją. Policja przedstawiała jako dowody papiery organizacyjne, książki, elementarze i śpiewniki polskie; sąd rozpatrywał również przypadki nauczania języka ojczystego i historii Polski oraz doniesienia o nielegalnych zbiorach pieniędzy przeznaczonych na cele narodowe.

Zdaniem Alojzego Targa, szczególnie obciążające wobec władz niemieckich były dowody regularnych schadzek oraz program obchodu rocznicy przysięgi Tadeusza Kościuszki, przygotowany przez Franciszka Żelaznego. Rejestr win górnoszląskich elsów powiększono, ujawniając treści rozmów i dyskusji, które dotyczyły sposobów i środków zmierzających do odbudowy państwa polskiego. Poza tym w akcie oskarżenia czytamy, iż śpiewano *Jeszcze Polska nie zginęła*. Przedstawiony materiał dowodowy posłużył do wydania surowych wyroków: wymierzone kary opiewały od 15 marek grzywny do 1 roku i 3 miesięcy więzienia oraz 100 marek grzywny. Wywołało to liczne protesty w prasie ogólnopolskiej. W gronie obrońców ludu śląskiego znalazła się m.in. Maria Konopnicka, która wezwała rodaków do zbiórki pieniężnej na rzecz uwięzionych i ich rodzin. Pisarka wydała odezwę potępiającą zainscenizowane procesy młodzieży śląskiej:

*„Listopadowe wyroki pruskie w gliwickim procesie są dokumentem dziejowym niezmiernie wagi. Stwierdza w nich, dowodzi, i pieczęcią swoją uwierzytelnia sąd pruski koronny, że się nasze ojczyste dzierżawy rozszerzyły pod krzyżackim zaborem. Żeśmy prastare ziemie Górnego Śląska odzyskali dla polskiego ducha, że duch ten jest tam w najżywotniejszym napięciu, że ogarnął szero-*



kie masy, że to już nie zarzewie, co pod popiołem tli, lecz płomień jasny i silny, co przenika życie! Pruski sąd koronny czyni więcej nawet. On nie tylko podpisuje się na to sam, ale wzywa lud górnośląski, aby świadczył polskości swojej - cierpieniem. Świadectwo wierzytelne, które nigdy jeszcze, w żadnym dziejszym procesie nie zawiodło. Lud śląski cierpi. Cierpią ojcowie i synowie rodzin, cierpią nieletnie dziewczęta. - Kto polską pieśnią karmił duszę swoją, skazany! Kto czytał imiona bohaterów polskich - skazany! Kto używał imienia ojczyzny - skazany! - Kto podnosił w sobie człowieczeństwo swoje, aby się stać godniejszym służby narodu - skazany! Koronny sąd pruski zebrał obfite żniwo. I stało się, że świadczących polskości ducha swojego powołano tyle, że ława oskarżonych pomieścić nie mogła, zasiadli tedy na ławie sędziów przysięgli.

Odpowiedzią na ten apel była m.in. notatka w „Kurierze Poznańskim”, informująca o składce zarządzonej przez Komitet w Krakowie na rzecz rodzin skazanych w Gliwicach.

## W konspiracji

Elsowie przeszli do głębokiej konspiracji i do pracy młodzieżowej w organizacji „Zet”. Mimo pruskich szykan, do 1914 r. powstało na Górnym Śląsku wiele nowych punktów organizacyjnych „Eleusis” m.in. w Grabowni, Bielszowicach, Benkowicach, Katowicach, Knurowie, Królewskiej Hucie, Sośnicy, Pszowie, Hajdukach, Szopienicach, Tarnowskich Górach, Bytomiu, Chropaczowie, Mysłowicach, Mikołowie, Pawłowie, Raciborzu, Rudzie Śląskiej, Wodzisławiu, Zabrze, Twardawie, Markłowicach, Biskupicach, Wójtowej Wsi, Rydułowcach, Paruszowcu, Brzegach, Żernicy. W ramach akcji odczytowej odwiedzali te miejscowości członkowie krakowskiej „Eleusis”: Wincenty Lutosławski, Kornel Makuszyński, Tadeusz Strumiłło i Stanisław Pigoń.

W 1910 r. śląscy elsowie uczestniczyli m.in. w obchodach jubileuszowych bitwy grunwaldzkiej w Krakowie. Udział Ślązaków w uroczystościach przekroczył 5000 osób. Elsowie razem z członkami „Sokoła” z zapałem czytali wiersze Kopernickiej: *Do granicy, Wolny naj-*

za zamachy bombowe (wykonane przez prowokatorów) na pociągi (m.in. pod Nakłem) i spisek na życie Wilhelma II, zawiązany podczas uroczystości odsłonięcia pomnika. Prowokatorzy mieli stworzyć pozory, iż akcją kierowali członkowie tajnego odłamu „Sokoła” oraz Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne.

Na szczęście ta kompromitująca prowokacja zakończyła się fiaskiem.

Pruscy agenci zainteresowani byli również tropieniem śląków przerzutowych zakazanej literatury samokształceniowej. W tym celu powołano w Krakowie pseudofirmę „Eksport Polski Dekiert i Mikołajczak”, która oferowała za 12 marek mieszkańcom ziem pruskich komplety światłodruków.

Ich patriotyczna tematyka miała zwabić polskich patriotów w sieci policji. Obawy przed pruską cenzurą i prokuraturą próbowali uspokoić redaktorzy ulotki: „wedle ustawy państwa niemieckiego wolno każdemu dla siebie samego sprawić jakikolwiek obraz lub książkę w jednym egzemplarzu i o ile taka rzecz nie jest dalej rozszerzana, żaden prokurator pruski nie może jej skonfiskować ani też jej właściciela za to karać”. Prowokator zapomniał

jednak o realiach panujących na Śląsku, gdzie z powodu zakazanego przez prokuratora utworu dramatycznego S. Wyspiańskiego *We se-le*, zatrzymano w Mysłowicach Bronisławowi Koraszewskiemu książki i obrazy narodowe wartości 400 marek.

Tak więc elsowie śląscy musieli działać bardzo ostrożnie i doskonalić zasady konspiracji. W 1912 r. skupili się w Związku Towarzystw Górnośląskiej Młodzieży Ludowej. Mimo represji, Wincenty Lutosławski zauważył: „Elsowie dalej się zbierali i tworzyli koła, które przetrwały wojnę i pod zmienioną od 1923 r. nazwą *Filarecki Związek Elsów* jeszcze istnieją”. Według J. S. Dworaka w Nowym Bytomiu ruch ten przetrwał do 1920 r. Liczył 14 członków, wśród których znaleźli się m.in.: Karol Torzec, Alek-



Tygodnik „Iskra” z 1903 roku: w tym samym roku jego wydawca, Joachim Soltys, zostanie aresztowany i osadzony w cytadeli warszawskiej.

mita, *Nie sprzedam ci ziemi*, recytowali *Rotę* i wozili ziemię śląską na kopiec grunwaldzki do Niepołomic. Wydarzenia te coraz bardziej niepokoiły pruskiego komisarza granicznego rezydującego w Bytomiu Wilhelma Mädlera i naczelnika Oddziału III w Królewskiej Dyrekcji Policji w Poznaniu Rajmunda Zachera. Ich agenci tropili kontakty Ślązaków z Galicją, a zwłaszcza z Krakowem. Byli oni przekonani, że wybudowanie Pomnika Grunwaldzkiego ożywiło nienawiść Polaków do Niemców. Wówczas to uknuto intrygę zmierzającą do kompromitacji polskich organizacji po obu stronach granicy. Posłużono się prowokacją, która miała przekonać Berlin i Wiedeń, iż obchody krakowskie przyczyniły się do powołania sprzyśnięcia, które było odpowiedzialne

sander Kubica, Wincenty Janas, Wiktor Nieradzik, Benedykt Sobel, Mikołaj Kania, Henryk Skowronek i Jan Siwczyk.

## Za Polskę

Przez szeregi organizacji przeszło od 1500 do 3000 ludzi. Spośród tego grona wywodziło się wielu patriotów-męczenników, działaczy gospodarczych, kulturalnych, oświatowych i uczonych, którzy przeszli nie tylko do historii Śląska. Mieli oni wielki wpływ na kształtowanie polskiej świadomości narodowej Ślązaków. Jednym z nich był zamordowany w Szombierkach przez bojówki niemieckie Piotr Niedurny.

Podobny los zgotowano Wincentemu Janasowi, działaczowi narodowemu, urodzonemu w Dąbrówce Wielkiej, w rodzinie górniczej. Ukończył on szkołę ludową w Rudzie i pracował w kopalni. Od 1907 r. był członkiem „Eleusis” i kolportował na Śląsku „Iskrę”. Ponadto organizował wiece narodowe. Dzięki akcji samokształceniowej zdobył kwalifikacje nauczyciela ludowego. Uczył młodzież rudzką języka ojczystego i historii. Był także zaangażowany w akcję gromadzenia i przechowywania broni dla POW G.Śl. Zginął 21 sierpnia 1919 r. od piętnastu kul, zaatakowany we własnym mieszkaniu przez niemiecką bojówkę złożoną z żołnierzy batalionu szturmowego III Brygady Marynarki.

Równie dramatyczna była droga życiowa Joachima Sołtysa, który założył w Kluczborku Towarzystwo Polskie, utrzymywał ścisłe kontakty z Bronisławem Koraszewskim, a od 1898 r. redagował czasopismo „Światło” i dział prawny „Katolika”. W Zabrze założył Polski Związek Robotniczy „Obrońca” i czasopismo „Gazeta Polska”. Był ponadto współzałożycielem śląskiej „Eleusis”. W 1903 r. aresztowany na granicy niemiecko-rosyjskiej i osadzony w cytadeli warszawskiej, zbiegł z więzienia i osiedlił się wraz z rodziną we Lwowie. W 1914 zaciągnął się do Legionów Polskich. Później uczestniczył w kampani plebiscytowej. W trakcie trzeciego powstania pracował w Wydziale prasowym NKWP.

W krakowskim seminarium Lutosławskiego kształcił się także Edward Rybarz, na przełomie 1905/6 r. więziony w Gliwicach za

działalność w ruchu elsów. Redagował kolejno „Polaka” (1909-1910), „Gazetę Ludową” (1911-1913), „Dziennik Śląski” i „Górnoślązaka” (1913-1918). Rybarz był ponadto delegatem na Sejm Dzielnicowy w Poznaniu i współorganizatorem Podkomisariatu NRL w Bytomiu, jednym z założycieli POW G.Śl. 3 stycznia 1919 r. został przyjęty przez J. Piłsudskiego z grupą Ślązaków domagających się zbrojnej pomocy dla Górnego Śląska. W 1919 r. przebywał w Paryżu i uczestniczył w pracach komisji terytorialnej ziem zachodnich przy Polskim Biurze Prac Kongresowych. Po pierwszym powstaniu organizował Generalny Sekretariat Plebiscytowy i Centralne Biuro Informacyjne dla Koalicji. W okresie trzeciego powstania był członkiem władz politycznych i redagował „Gońca Śląskiego” oraz „Oberschlesische Grenzzeitung”. W II Rzeczypospolitej został aktywistą Obozu Wielkiej Polski.

Znanym działaczem Towarzystwa Oświaty im. św. Barbary i kółka „Eleusis” był Maksymilian Basista. W latach 1906-1910 uczestniczył on jako els w kursach handlowych, drukarskich i księgarskich w Krakowie. W Rybniku prowadził własną księgarnię polską. Był działaczem POW G.Śl., uczestnikiem pierwszego powstania, w czasie kampanii plebiscytowej redagował „Gazetę Rybnicką” i zakładał towarzystwa śpiewu. Jako burmistrz Rybnika, został w 1943 r. przez Niemców aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, gdzie 7 stycznia 1941 r. został zamordowany Ludwik Piechoczek, autor wspomnień *Powiat rybnicki w czasie powstań śląskich*, górnik w kopalni w Chwałowicach, zjednany przez Basistę dla idei ruchu „Eleusis”. aktywny przy zakładaniu POW GŚl. w powiecie rybnickim. Piechoczek był dowódcą 2 baonu w 2 Pułku Strzelców Rybnickich, następnie komendantem powiatowej POW G.Śl. W czasie pierwszego i drugiego powstania dowodził akcją zbrojną w powiecie rybnickim. Podczas kampanii plebiscytowej organizował wiece narodowe i przewodniczył powiatowemu Polskiemu Komitetowi Plebiscytowemu w Rybniku. W trzecim powstaniu pełnił funkcję dowódcy Grupy „Południe”. Wyróżnił

się wówczas w bitwie pod Olzą. W okresie międzywojennym był działaczem ZPSł, posłem do Sejmu Śląskiego II i III kadencji oraz Sejmu RP.

Środowisko śląskich elsów reprezentował również Józef Grzegorzek, robotnik huty „Silesia”, później górnik w Westfalii i wreszcie księgowy w Bytomiu. W latach 1903-1905 aktywny działacz „Eleusis” w Gliwicach. Był także współorganizatorem POW G.Śl. i przewodniczącym jej Komitetu Wykonawczego oraz sekretarzem Wydziału Polityki Wewnętrznej PKPleb. W trzecim powstaniu został członkiem Komitetu Wykonawczego Naczelnej Władzy. Karierę jego zamyka pobyt w obozie Dachau.

Z kolei w komorze gazowej Oświęcimia zginął Jan Przybyła, jeden z najbardziej reprezentatywnych śląskich elsów. Najpierw pracował w hucie Donnersmarcków. Wstąpił do „Eleusis” założonej w Gliwicach i Zabrze przez Joachima Sołtysa. Członkostwo w tej organizacji umożliwiło mu kontynuowanie nauki w prywatnym seminarium wychowania narodowego Lutosławskiego w Krakowie. Następnie w latach 1907-1909 był wolnym słuchaczem w Akademii Rolniczej w Dublanach. Podczas wyborów do Reichstagu brał czynny udział w polskich akcjach propagandowych na Śląsku, pisywał na tematy śląskie w „Katoliku”, „Iskrze”, „Zaraniu Śląskim”, „Gazecie Ludowej”, „Kurierze Śląskim”. W pierwszym powstaniu śląskim był kierownikiem sekcji Podkomisariatu Śląskiego Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu z siedzibą w Sosnowcu. Warto zaznaczyć, iż Przybyła był współzałożycielem „Kocyndra” i „Powstańca” oraz śląskiego oddziału Polskiej Agencji Telegraficznej. W trzecim powstaniu kierował Wydziałem Prasowym. Należał do grona współzałożycieli śląskiego okręgu ZOKZ. Ponadto był autorem dzieł: *Walka o Górny Śląsk. Od powstania do plebiscytu* (1920) i *Śląsk Sobieskiemu* (1933).

Losy wspomnianych elsów są reprezentatywne dla całej grupy, która na Śląsku stanowiła zaczątek rodzimej polskiej inteligencji. Działalność bowiem Lutosławskiego rozbudziła w pewnym kręgu Ślązków świadomość narodową, bez której trudno sobie byłoby wyobrazić walkę o Polski Śląsk.

# Górny Śląsk w cieniu swastyki

RYSZARD  
KACZMAREK

## Kalendarium wydarzeń 1939–1945

1942

### ■ 2 I 1942

- numerem 25 164 został oznaczony kolejny więzień przywieziony z Katowic

- zarządzeniem prezydenta rejencji katowickiej, Waltera Springorama, zakazano swobodnego poruszania się polskim robotnikom zatrudnionym czasowo na tym terenie po powiatach należących do tzw. Starej Rzeszy (Gliwice, Zabrze, Bytom, Toszek) bez otrzymania specjalnego, policyjnego pozwolenia.

### ■ 14 I 1942

- burmistrz Będzina wezwał ludność miasta do oddania dla celów wojskowych sprzętu narciarskiego, który był w posiadaniu tych osób.

### ■ 30 I 1942

- wprowadzono dla wszystkich Żydów na terenie rejencji katowickiej nakaz ciągłego noszenia, także w miejscu pracy, „gwiazdy żydow-

skiej”; ponowienie tego zarządzenia było spowodowane jego sabotowaniem przez zatrudnionych w tzw. aryjskich zakładach.

### ■ 10 II 1942

- przekształcono katowickie konserwatorium w górnośląską Krajową Szkołę Muzyczną (Landesmusikschule Oberschlesien), na specjalnie w tym celu zorganizowanej uroczystości byli obecni gauleiter Bracht, odpowiadający za sprawy kulturalne w prowincji górnośląskiej radca krajowy Kate i katowicki nadburmistrz Tiessler.

### ■ 14 II 1942

- rozkazem gen. Władysława Sikorskiego przemianowano Związek Walki Zbrojnej na Armię Krajową; od marca 1942 roku realizowano zmianę tej nazwy także w okręgu śląskim ZWZ.

### ■ 15 II 1942

- z Bytomia dotarł do KL Auschwitz pierwszy transport Żydów aresztowanych przez gestapo w tym mieście, których natychmiast zamor-

dowano w komorze gazowej przy pomocy cyklonu B

### ■ 22 II 1942

- triumfalnie ogłoszono tworzenie na wzór tzw. Starej Rzeszy nazistowskiej struktury partyjnej wraz z afiliowanymi przy NSDAP organizacjami przy okazji powołania do życia pierwszej zwartej jednostki S.A. na terenie Zagłębia Dąbrowskiego.

### ■ 27 II 1942

- uroczyste ogłoszono otwarcie działalności górnośląskiego instytutu naukowego, którego inauguracja nastąpiła w Gliwicach w „Haus Oberschlesien” z udziałem gauleitera Brachta; wykład inauguracyjny na temat znaczenia nauki dla gospodarki wojennej wygłosił wówczas berliński ekonomista - Prof. Ernst Wagemann.

### ■ 8 III 1942

- w prowincji górnośląskiej zarząd okręgowy partii ogłosił całkowity zakaz przynależności do NSDAP osób pochodzenia żydowskiego, tzw. mieszkańców oraz członków ich rodzin, jednocześnie zaznaczając, że niemożliwy jest jakikolwiek tryb odwoławczy od tych decyzji.

### ■ 10 III 1942

- na rozkaz gauleitera Brachta zakazano wszelkich odświętnych przyjęć organizowanych przez instytucje partyjne i urzędy administracyjne, które byłyby połączone z bankietami „żeby wśród ludności nie obudzić wrażenia, że zaopatrzenie w towary żywnościowe nie jest zgodne z zasadami wspólnoty narodowej”; w ślad za tym zarządzeniem Albert Hoffmann, jako szef Niemieckiego Frontu Pracy, zakazał także takich przyjęć połączonych z poczęstunkiem podczas oficjalnych wizyt w górnośląskich zakładach przemysłowych.

### ■ 13 III 1942

- na polecenie kierownika organizacyjnego NSDAP nastąpiła zmiana nazw dwóch miejscowości: Janowa na Gieschewald i Grodzka na Burghof.

### ■ 15 III 1942

- w miastach powiatowych i w stolicy prowincji zorganizowano tzw. Heldengedanktag (dzień poświęcony pamięci tzw. bohaterów wojennych) z udziałem formacji partyjnych w pełnym umundurowaniu; w Katowicach wieniec na tej uroczystości w imieniu NSDAP składał gauleiter Bracht.





# Ahnenpaß

de.....

Name: .....

Beruf: .....

Ort: .....

Dieser Ahnenpaß ist begutachtet von der Reichsstelle für Sippenforschung im Reichsministerium des Innern und von vielen Dienststellen der NSDAP. zum Dienstgebrauch empfohlen. Er ist nur für Deutschblütige bestimmt. Mischlinge und fremdrassige erhalten Eintragungen in diesen Ahnenpaß bei den Standesämtern nicht beglaubigt.

Ahnenpass – dokument obowiązkowo wypełniany dla uzyskania potwierdzenia tzw. aryjskiego pochodzenia.

## ■ 20 III 1942

- w Cieszynie odbyła się publiczna egzekucja, podczas której powieszono 20 członków AK

- w uruchomionych komorach gazowych i krematoriach obozu KL Auschwitz II (Oświęcim-Brzezinka) rozpoczęto masowe mordowanie Żydów polskich z Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego.

## ■ 2 IV 1942

- policja niemiecka powiesiła w Żywcu 11 osób za wykradzenie kartek żywnościowych.

## ■ 7 IV 1942

- sąd specjalny w Katowicach wydał i wykonał 90 wyroków śmierci.

## ■ 15 IV 1942

- gauleiter Bracht wydał zarządzenie partyjne nakazujące natychmiastowe wykluczenie z NSDAP i jej organizacji afiliowanych tych członków, którzy używają języka polskiego, ponieważ „używanie tego języka (polskiego, słowiańskiego języka do-

mowego, wasserpolnich, śląskiego) jest możliwe tylko u obcych narodowo (Fremdvölkischen), którzy nie mówią po niemiecku, i tylko na tak długo dozwolone, jak tego wymagają specjalne względy zatrudnienia”

- gauleiter Bracht wydał zarządzenie nakazujące zbliżenie volksdeutschów i reichsdeutschów, ponieważ pozostają oni „pomiędzy sobą w niechęci i obopólnego zamknięcia na swoje potrzeby”, co według gauleitera wpływać miało na zakłócenie pracy partyjnej.

## ■ 22 IV 1942

- w zarządzanej przez zarząd okręgowy NSDAP zbiorce książek zebrano 185 130 książek, z czego 1179 wysłano dla Wehrmachtu na front, a 90 do lazaretów rozlokowanych na Górnym Śląsku.

## ■ 1 V 1942

- po raz pierwszy zorganizowano, przy współudziale organizacji niemieckiej „Deutsche Stiftung” „Tydzień Górnos Śląskich Autorów”; gauleiter Bracht przekazał przy tej okazji pochodzącemu z Katowic pisarzowi, Wilhelmowi Stanietzowi, literacką nagrodę górnośląską (Stanietz do trzeciego roku życia mieszkał w rodzinnych Katowicach, a potem jego rodzina przeniosła się na Dolny Śląsk, był autorem sztuk teatralnych).

## ■ 11 V 1942

- na zlecenie pełnomocnika do spraw zatrudnienia, Sauckla, gauleiter Bracht nakazał zatrudnienie przy pracach polowych całej młodzieży w 1942 roku

- organizacje Hitlerjugend, Bund Deutscher Mädel i Frauenschaft zobowiązano specjalnym zarządzeniem gauleitera Brachta do zaangażowania się w akcję zbiorów ziół na potrzeby Wehrmachtu.

## ■ 12 V 1942

- zabito w komorach gazowych KL Auschwitz przy pomocy cyklonu „B” 1500 Żydów przywiezionych z Sosnowca.

## ■ 16 V 1942

- według szacunków AK liczbę konfidentów gestapo tylko w inspektoracie katowickim oceniano w 1942 roku aż na 2 000.

## ■ 19 V 1942

- kardynał wrocławski Bertram wyśtosiował pismo o przekazaniu pomocy dla kurii katowickiej przeznaczo-

Górny Śląsk  
w cieniu swastyki

nej na cele duszpasterstwa więzien-  
nego.

## ■ 27 V 1942

- w Katowicach utworzono placówkę dla spraw adopcji dzieci nie obciążonych chorobami genetycznymi

- rozpoczęły się pierwsze z kilku w 1942 roku masowe aresztowania w okręgu śląskim AK, tym razem w inspektoracie sosnowieckim (aresztowano m. in. inspektora Romana Kałuzińskiego).

## ■ 30 V 1942

- Carl Clauberg, prowadzący praktykę lekarską (ginekologiczną i położniczą) w Królewskiej Hucie (opiekował się między innymi żoną gauleitera Brachta) zwrócił się z prośbą do Himmlera o umożliwienie mu w KL Auschwitz przeprowadzenia eksperymentów sterylizacyjnych na więźniarkach, by uzyskać możliwość szybkiej i taniej sterylizacji ludności uznanej za „niepełnowartościową rasowo”.

## ■ 1 VI 1942

- Fritz Bracht przywrócił funkcjonowanie na terenie prowincji górnośląskiej sądów doraźnych.

## ■ 2 VI 1942

- prezydent rejencji katowickiej, Springorum, zwrócił się z pismami do wszystkich nadburmistrzów i landratów, by wsparli działalność niemieckiej policji porządkowej wszystkimi dostępnymi siłami dla zwalczania „narastającego bandytyzmu” i „wrogiej propagandy”.

## ■ 12 VI 1942

- za sabotaż przeprowadzony w „Hucie Bankowa” powieszono w Dąbrowie Górniczej 10 Polaków.

## ■ 20 VI 1942

- w Cieszynie powieszono w czasie publicznej egzekucji 24 osoby.

## ■ 1 VII 1942

- trwają masowe aresztowania w inspektoracie katowickim AK, m.in. aresztowano komendanta obwodu Katowice ppor. rez. Alfreda Rompela

- na terenie prowincji górnośląskiej rozpoczęto wywłaszczanie parafii katolickich z prawa własności nad cmentarzami na rzecz gmin i miast.

## ■ 7 VII 1942

- ukazał się pierwszy numer bielskiego organu komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej „Trybuna Śląska” (sygnowany 7 czerwca).

## ■ 14 VII 1942

- zgilotynowano 15 Polaków w więzieniu w Katowicach.

## ■ 17 VII 1942

- druga wizyta Himmlera wraz z gauleiterem Brachtem i wyższym dowódcą SS i policji z Wrocławia Schmauserem w KL Auschwitz; w jej trakcie „zaprezentowano” Reichsführerowi SS cały proces zagłady jednego z transportów Żydów przy pomocy zagazowania w bunkrze; następnego dnia Himmler zwiedził cały oboz; ubocznym efektem wizyty było wstrzymanie publicznych chłost kobiet, wykonywanych jako kara obozowa (Himmler kazał sobie zaprezentować wykonanie kary chłosty w obozie kobiecym i zastrzegł sobie po tym „sadyistycznym spektaklu”, by tego rodzaju karę na przyszłość uzależniać od jego osobistej decyzji)

- stracenie w Berlinie drugiego komendanta okręgu śląskiego ZWZ Józefa Szmecchy.

## ■ 1 VIII 1942

- zaczął się ukazywać polskojęzyczny „Dziennik ogłoszeń dla ludności powiatów: Bendsburg, Bielitz, Blachstädt, Ilkenau, Krenau, Saybusch, Sosnowitz, Warthenau” (Będzin, Bielsko, Blachownia, Olkusz, Chrzanów, Żywiec, Sosnowiec, Zawiercie)

- w KL Auschwitz rozpoczęto mordowanie Żydów z Będzina (do 3 września zgładzono około 5000 osób).

## ■ 6 VIII 1942

- 5 Polaków zgilotynowano w więzieniu w Katowicach.

## ■ 8 VIII 1942

- do KL Auschwitz w transporcie razem z Żydami holenderskimi przy-

jechała Edyta Stein, siostra klasztoru karmelitanek w Echt (urodzona we Wrocławiu), która po selekcji została zamordowana w komorze gazowej.

## ■ 10 VIII 1942

- policja niemiecka wykryła drukarnię pisma podziemnego „Front Polski”.

## ■ 15 VIII 1942

- w Jawiszowicach utworzono podobóz KL Auschwitz przy kop. „Brzeszcze-Jawiszowice” (dla ok. 700 więźniów; zatrudniono ich po raz pierwszy w dziejach obozu pod ziemią)

- przywiezieni w liczbie ok. 2 tys. Żydzi z getta w Sosnowcu zostali zamordowani w komorach gazowych.

## ■ 18 VIII 1942

- w KL Auschwitz wybrano 56 więźniów ze Śląska, przebywających w obozie już od 1940 roku, i stracono ich pod „Ścianą Straceń”, jakoby w odwecie za spalenie 6 dworów na Śląsku.

## ■ 20 VIII 1942

- właściciel firmy myślowickiej, niejaki Köhler, omawiał w KL Auschwitz szczegóły prac murarskich związanych z budową 5 kominów krematoriów.

## ■ 1 IX 1942

- w Chrzanowie rozstrzelano publicznie 13 Żydów

- zmieniono tytuł głównej gazety niemieckiej na Górnym Śląsku - „Kattowitzer Zeitung” - na „Oberchlesische Zeitung”; nadal pozostała, co zaznaczono w podtytule, organem zarządu okręgowego NSDAP na Górnym Śląsku.

## ■ 5 IX 1942

- kolejna wizyta przywódcy Niemieckiego Frontu Pracy, Roberta Leya, w Katowicach na zaproszenie gauleitera Brachta.

## ■ 7 IX 1942

- gauleiter Bracht nakazał rozpoczęcie naboru do obozów przysposobienia wojskowego członków Hitlerjugend na obszarze całej prowincji górnośląskiej; najstarszy rocznik członków organizacji, który stał tuż przed powołaniem do Wehrmachtu, został podzielony na grupy zobowiązane do 3-tygodniowych obozów, które zorganizowano w: Goczałkowicach (2), i w Bad Königsdorf; przewidywano utworzenie docelowo 6 ta-



Józef Szmechta – drugi komendant ZWZ okręgu śląskiego, stracony w 1942 roku w Berlinie.

kich obozów przysposobienia woj-  
skowego na Górnym Śląsku.

#### ■ 22 X 1942

- wykonano wyroki w Katowicach  
na 24 Polakach skazanych przez sąd  
doraźny.

#### ■ 25-26 IX 1942

- kolejne masowe aresztowania  
w śląskim okręgu AK, tym razem  
w inspektoracie bielskim (aresztowa-  
no m.in. inspektora Feliksa Kisiela).

#### ■ 1 X 1942

- według stanu z 1 października  
1942 pośród skonfiskowanych w re-  
jencji zakładów przemysłowych na-  
dal pod tym zarządem, a więc nie  
przejęte przez nowych właścicieli by-  
ło 5436 przedsiębiorstw i warszta-  
tów, 44 pozostawiono pod zarządem  
Verwaltung der Oberschlesische  
Baustoffwerke Bielitz; 68 zarządzane  
były przez Filmtreuhand a 217 prze-

kazano do dyspozycji Zarządu Po-  
wierniczego w Berlinie; 3678 zlikwi-  
dowano; brak decyzji wynikał z nie-  
możliwości ustalenia jaki jest stan  
prawny związany z dotychczasowym  
prawem własności tych majątków,  
głównie ze względu na brak decyzji  
o kategorii volkslisty byłych właście-  
cieli.

#### ■ 2 X 1942

- według wytycznych Wehrmachtu  
pozwalano na zrzeczenie się prawa

do odwołania decyzji o nadaniu  
volkslisty (dotyczyło to tych, którzy  
posiadając grupę III otrzymali oby-  
watelstwo niemieckie tylko na 10 lat)  
dla osób zwalnianych z wojska po  
odbyciu służby wojskowej.

#### ■ 7 X 1942

- doszło do masowych aresztowań  
w obwodzie oświęcimskim AK  
(aresztowany został m.in. komendant  
Alojzy Banaś).

#### ■ 30 X 1942

- uruchomiono trzecią część obozu  
oświęcimskiego - KL Auschwitz III  
(Buna) w Monowicach, przeznaczo-  
nego do obsługi zakładów należą-  
cych do koncernu IG Farbenindu-  
strie.

#### ■ 16 XI 1942

- gauleiter Bracht został powołany  
na stanowisko komisarza Rzeszy do  
spraw obrony (Reichsverteidi-  
gungskommissar); od tej pory stał nie  
tylko na czele normalnej admini-  
stracji ale także miał nadzór nad tzw. ad-  
ministracją komisaryczną, poza tym  
mógł działać w praktyce poza kontro-  
lą berlińskiego ministerstwa spraw  
wewnętrznych; od tej pory wszystkie  
działania: partyjne, administracyjne,  
policyjne, a później również przygo-  
towania do obrony podlegały wyłącz-  
nie jemu, zgodnie z zasadą wodzo-  
stwa.

#### ■ 1 XII 1942

- w Gliwicach wzniecono w miej-  
scowej hucie pożar, który władze nie-  
mieckie uznały za akt sabotażu.

#### ■ 19 XII 1942

- zgilotynowano 13 Polaków  
w więzieniu w Katowicach.

#### ■ 28 XII 1942

- doktor Clauberg rozpoczął eks-  
perymenty sterylizacyjne na więź-  
niarkach w baraku 30 KL Au-  
schwitz.

#### ■ 31 XII 1942

- podana na ten dzień liczba zakła-  
dów zbrojeniowych na Górnym Ślą-  
sku wynosiła 348 (w Generalnym  
Gubernatorstwie 382, w okręgu  
Gdańsk-Prusy Zachodnie 83,  
a w tzw. Kraju Warty 74)

- do KL Auschwitz przywieziono  
ostatni w 1942 roku, złożony z 68  
więźniów, transport pochodzący  
z Katowic; ostatniego z więźniów  
oznaczono numerem 85264.

Górny Śląsk  
w cieniu swastyki



**Cz**warty kwartał każdego roku jest w III RP czasem narastającej od lat grozy podminowanej wizją katastrofального budżetu. Dochodzi wówczas do ujawnienia coraz bardziej zapalnych kolizji interesów, które brodaty klasyk materializmu nazwałby walką klas. Od jej rozpętania na miarę przewrotu dziwowego dzieli nas jeszcze kilka serii afer gospodarczych i skandali politycznych, ale nieublagane prawo reakcji łańcuchowej wykazuje stałe przyspieszenie. Tak więc to co w okresie powszechnej iluzji rozpoczął kanonizowany przez areopag liberalizmu dogmatyk reformy gospodarczej, profesor Leszek Balcerowicz, którego nawet siwy włos się nie ima, kontynuuje teraz wicepremier Jerzy Hausner, również profesor, bo i odwrotu nie ma.

W polskiej rzeczywistości projektowanie budżetu sprowadza się głównie do tego co oraz ile komu wziąć — i to bez znieczulenia. Podobnie jest i teraz, gdy nieustępliwy wicepremier Hausner zaproponował serię cięć zarówno doraznych i strategicznych, bo jak już ciąć, to ostro a do skutku. Im bardziej zdecydowanie i głębiej, tym ponoć z lepszym rezultatem dla ofiary. Tak w każdym razie dowodzi praktyka chirurgów wojskowych, którzy w warunkach polowych, często pod ostrzałem, musieli dokonywać bezwarunkowych amputacji i operacji bez znieczulenia, nie licząc upojenia się spirytusem po rozwarciu silą szcęk skazańca: albo — albo!...

Akurat ta metoda jest w powszechnym użyciu, szczególnie w rejonach strukturalnego bezrobocia, gdzie stosowana dobrowolnie jako metoda na życie, prowadzi do stanu zbiorowego alkoholizmu wszystkich, od wrzaskliwych osesków, po zapadających się w beznamiętną niepamięć matuzalewów. Pić, pić, schlać się, żeby nie rozróżniać dnia od nocy, aż do osiągnięcia stopnia absolutnej pomroczności jasnej i nieodwracalnej przemiany metabolicznej całych grup posocjalistycznych skupisk. A to, że w tym stanie dochodzi do spontanicznych aktów prokreacji świadczy o niespożytej krzepie lędźwi naszego ludu bożego, który nawet w takiej sytuacji wypełnia swą historyczną misję.

**Jak** co roku hasło skutecznych cięć dla dobra zagrożonego bytu Rzeczypospolitej przybiera na sile, zaś ostrych egzekutorów przybywa. Zgodnie z panującą doktryną i tym razem najbardziej radykalne cięcia są wymierzone w organizmy ułomne, bezwolne, wegetujące w stanie społecznej apatii. Wynika to z autorskich reguł nadanych przez wielkiego guru superreformy gospodarczej, tegoż L. Balcerowicza, twórcy niezawodnego automatu do przeistaczania wszelkiej cwaniaków, aferzystów, kombinatorów, malwersantów, oszustów i gangsterów w bezwzględnych kapitalistów, zgodnie z historycznym doświadczeniem, że pierwszy milion, by wejść w posiadanie



## Jak nauczał Karol M.

kapitału, trzeba zagrabieć. Wystarczy więc operacja prywatyzacyjna — i już pojawia się kolejny multimilioner, jeśli nie miliarder. Jeszcze nigdy w tym miejscu na ziemi tak niewiele nie ograbiło aż tak wielu... i to w szczytowym momencie triumfu błogosławionej idei!

A jednak nie ma nigdy sukcesu absolutnego. Toteż produktem ubocznym tych manipulacji jest przekonanie aż 78 procent obywateli ogołoconego majątku narodowego, że państwo pozbyło się zbyt wielu fabryk, przedsiębiorstw



Rys. Marek Polanski

i firm, nie mówiąc o utracie kluczowych banków, które przeszły niemal w całości w obce łapy. Jeszcze więcej, bo aż 87 procent pełnoprawnych obywateli uważa, że III RP wyszła na prywatyzacji fatalnie i... o toż to: zdecydowana większość tychże, choć nie kojarzy materializmu dialektycznego z jego wiekopomnym demiurmem, opowiada się za renacjonalizacją. Czyżby duch Karola Marksa wracał — a to już zapowiedź... brrr!

W pogoni za „racjonalizacją wydatków” (co brzmi podniosłe i uczenie, skoro ratio to po łacinie rozum) także wicepremier Jerzy Hausner nie szuka jednak rezerw tam, gdzie się wręcz przelewa. Wiadomo, że nic nie przemawia bardziej do świadomości niż przykład własny. Tymczasem władza w Polsce realnej — i to każda, po kolejnym rozdaniu łupów — sprowadza się do dogadania sobie oraz mnożenia stanowisk dla najbliższego żerowiska politycznego. I tak od czasów rządów Mieczysława Rakowskiego kończących

epokę parcia PRL-u — w wyniku nieustannej redukcji przerosłów biurokratycznych — administracja państwowa, która liczyła wówczas 47 tys. stanowisk, rozrosła się trzykrotnie. W ślad za tym poszli też samorządowcy, toteż łącznie wszelakich urzędasów utrzymywanych przez podatników mamy grubo ponad 300 tys., a to jeszcze nie koniec!

**Jest** to gigantyczna, wciąż pęczniąca maszyneria z piramidą dygnitarzy różnych szczebli, zaś każdy musi mieć dostrzegalne atrybuty swej pozycji w postaci sekretariatu, samochodu do osobistego użytku i kierowcy na etacie. Jeśli sama administracja centralna dysponuje około 50 tysiącami wozów służbowych, a są to z reguły maszyny wysokiej klasy, to już z tej liczby wyłaniają się potężne kwoty, bo dochodzą jeszcze koszty zaplecza i obsługi technicznej oraz rozmaite bonusy. Szacuje się, że redukcja administracji państwowej o 2 tysiące etatów, to około 2,5 miliarda złotych oszczędności rocznie.

A gdyby tak ograniczyć jej stan do poziomu z czasów agonii biurokratycznej PRL, oskarżanej za wszystkie o gigantyczne przerosły administracyjne? Już ten jeden ruch doprowadziłby do wynurzenia się ogromnych polaci rezerw. A przecież krocie pochłaniają także rozliczne obiekty reprezentacyjne, rezydencje, lecznice i sanatoria wraz z obsługą.

Ciężkie miliardy pożera coraz większy lęk o bezpieczeństwo własne władzy z demokratycznego przecież mandatu. Otóż elita III RP coraz bardziej się boi, o czym świadczy rozdzęcie służb Biura Ochrony Rządu, które skupia już około tysiąca muskularnych superochroniarzy. Mieczysław Rakowski poruszał się po stolicy z 1. BOR-owcem bez kawałady limuzyn na sygnale. Natomiast Leszek Miller ma już w ostawie 16 ochroniarzy. Równie niepewnie czują się inni członkowie dostojnicy oraz ich rodziny,

którym udzieliła się psychoza zamachów, napadów rabunkowych i ataków terrorystycznych. Trzeba jednak podziwiać odwagę zgrzybiałego Władysława Gomułki, któremu wystarczył jeden ochroniarz, podobnie wystającego o głowę ponad otoczenie Edwarda Gierka. Jakby nie liczyć — wychodzą dziesiątki miliardów złotych rezerw, których szuka zdesperowany wicepremier Hausner wołający o tańsze państwo.

Gdyby tak otrząść raz a skutecznie to gigantyczne drzewo administracji i władzy a w ślad za tymi otrzęsinami zlikwidować tysiące płatnych fuch w postaci niespożytych zastępów różnych konsultantów, doradców, ekspertów, płatnych rad i komisji (maksimum profitów, lecz minimum odpowiedzialności!). A jednocześnie ograniczyć gigantyczne uposażenia menedżerów i prezesów spółek Skarbu Państwa, ich rozdętych rad nadzorczych z wzajemnym udziałem bossów z branżowych klik — jaka też wyłoniłaby się z tego niewyczerpalna rezerwa w miliardach

realnych. W tej sytuacji pewnie urzędujący prezydent, człowiek z natury spolegliwy, ograniczyłby swój urząd, powiedzmy z 600 do 200 urzędników, co i tak byłoby 3-krotnie więcej niż utrzymywała kancelaria Ignacego Mościckiego i to przy znacznie większej władzy prezydenta.

No a skapitalizowani w stopniu absolutnym właściciele wycieńczonej III RP; posiadacze krociowych fortun, którzy po rozdrapaniu majątku narodowego nie płacą w ojczyźnie nawet podatków, za to poruszają się powietrznymi limuzynami klasy gulfstream IV SP (wydatek, drobnostka: 30 mln dolarów!). Co z nimi?... Bo jeśli ciąć, to jednak głównie tam gdzie rezultaty gwarantowane. Co bowiem da ciężka praca siepaczy finansowych w rejonach dolnych uposażeń na liście płac, często poniżej granicy minimum socjalnego? Ile jeszcze można wycisnąć z mizernych zasiłków porodowych, pielęgnacyjnych, opiekuńczych, wychowawczych, porodowych, czy z opodatkowania płatnych studiów? Co można jeszcze ująć rodzinom, gdzie wypada po 4 złote na osobę na dzień a głód stał się głębokim doświadczeniem patriotycznym? Wiara, że da się tu wykarczować jeszcze miliardy — a co ujawnia program restrykcyjny Hausnera — to jakby wymusić na ulicznych żebrakach, żeby wyposażyli się w kasy fiskalne w celu opodatkowania procederu, który stał się istotnie masowy.

**Jak** dotąd wszystko wskazuje na to, że przy wsparciu konstytucyjnych organów państwa — skoro akurat posłowie dorzucili dla siebie w nowym budżecie spory peczek milionów — powstaną naturalne warunki do stworzenia jeszcze większych napięć klasowych. Niebawem tak drastycznych, że zyska pełne uzasadnienie wiekopomna nauka klasyka materializmu dialektycznego K. Marksa. Ten ponury brodac przypisywał zasadniczą rolę w przewrotach dziejowych ostrym załamaniom w sferze gospodarczo-społecznej, uznając je za czynniki historyzoficzne. Uporczywe działania w celu dalszego pogłębienia nierówności i podziałów klasowych, przy wzroście bezrobocia i bezwzględnej wyzysku przez pracę, mogą — i to akurat w kraju zacofanym, zdziczałych praw pierwotnego kapitalizmu — doprowadzić do tego, co głosił, przewidział i doprowadził do skutku ideolog rewolucji proletariackiej niejaki W. I. Lenin.

Co było dalej — wiadomo: bezlitosna dyktatura proletariatu, skoro wybuch sprzeczności w wyniku walki klas wymaga zastosowania bezwzględnych środków przymusu. A już dziś tu i tam znów coraz głośniejszy słychać: „Wyklęty powstań ludu ziemi. Powstańcie, którzy dręczy głód”... Na wszelki wypadek nie wadzi nauczyć się „Międzynarodówki”, gdyby się okazało, że jednak „Bój to jest nasz ostatni”!...

Czyżby o to właśnie chodziło rządowi panującej lewicy pod wodzą postkomunisty Leszka Millera? Szczyty politycznej perfidii!

SKORPION



## LIMERYKI

TADEUSZ KIJONKA

### TALENT

Róch Sękacz, mistrz szewski z Dębina,  
Jak szewc od dzieciństwa przeklina.  
Już kiedy pierś ssał mamusi,  
Klął gdy się mlekiem zakrztusił:  
Kto talent ma - wcześniej zaczyna.

### AUTOPSJA

Wodził, wiódł ulicami Katowic,  
Dzień w dzień, dalekowiedza krótkowidz.  
Co knajpa - przystawali,  
By ustalić co dalej.  
Tak z autopsji knajp powstał skorowidz.

### KOCHAŚ

Kochliwy macho spod Barcelony,  
Gdzie się pojawił - brał z miejsca żonę.  
Aż raz zjechały się w zmwie,  
Więc ma je wszystkie na głowie:  
Bab w sumie chyba trzy miliony!

### REKTOR

Ach, ten rektor przesławny, głośny z tego w świecie,  
Że w gronostajach chadzał, w todze i birecie.  
Lecz raz pomylił miejsca i adresy wszystkie  
I błędząc do agencji wstąpił towarzyskiej.  
Cóż tam robił, bo wyszedł goluśki jak dziecię?...

### IGNORANCI

Zawsze i wszędzie pod dom Penelopy  
Jak knury ciągną co dnia jurne chłopy.  
Choć każdy nogami przebiera,  
Lecz kto z nich czytał Homera?  
Daremne chęci, gdy jest się jełopem!

### MĘDRZEC

Mędrzec z Bredzian, z Kluch, czy Miletu,  
Aż sześć liter znał alfabetu.  
Na palcach liczył do pięciu,  
Choć nie miał córek - miał zięciów.  
W dysputach wszystkich kładł... z pistoletu.

### LABA

Na pustyni Gobi,  
Nikt tam nic nie robi:  
W piachu leży,  
Bez odzieży,  
Kózki w nosie drobi.



Rys. Marek Michalski



Rys. Marek Michalski

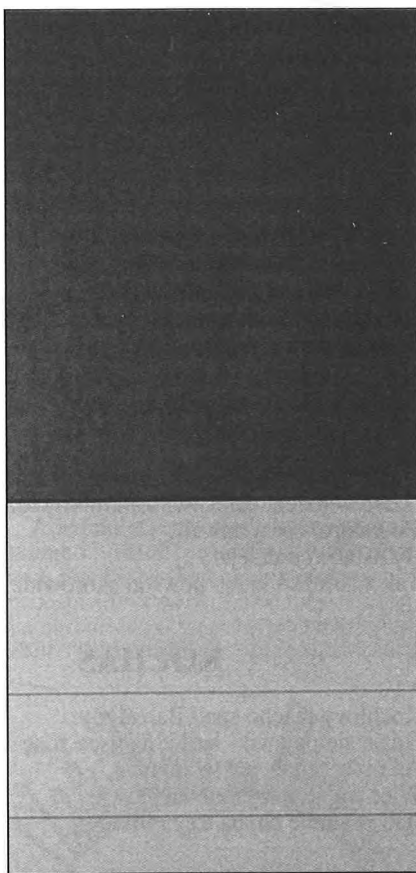
Andrzej Gieraga jest już klasykiem wśród artystów posługujących się tzw. językiem geometrii. W tym co robi, co konsekwentnie zajmuje go od kilkudziesięciu lat, to malarskie wypowiedzi artystyczne ukierunkowane na poszukiwanie ideału harmonii, ład metafizycznego, maksymalnej ekspresji i piękna absolutnego. Posługuje się w tym celu kolorem – jego wszelkimi walorami i formą – sprowadzoną do podstawowych figur geometrycznych, jako ideału piękna samego w sobie: koła, kwadratu, trójkąta, linii prostej. Poprzez niebywałą precyzję wykonywania swoich prac osiąga jednym razem ład i wrażenie niczym nie zmałowanego spokoju, innym – dynamikę i ekspresję.

Gieraga zaczynał w latach 70. zeszłego wieku – wtedy jedynymi jego kolorami była biel i czerń w całej swej skali odcieni. Pokrywał nimi geometryczne figury, nadając tym płaszczyznom dodatkowy walor – od całkowicie matowej do silnie błyszczącej. Kolejnym etapem w jego twórczości było dążenie do osiągnięcia maksymalnej ekspresji i dramatyczności obrazy stały się – również za sprawą nadawanej im formy i faktury – wyrazem zmagających się sił przyrody. I znów po okresie „ekspresyjnym” do głosu doszło wyciszenie. Zmieniła się wówczas kolorystyka obrazów Gieragi: stały się wielobarwne, zawsze jednak dające prymat światłu i geometrii. Obrazy przecinały linie diagonalne lub wertykalne, pojawiły się multiplikacje trójkątów oraz formy zbliżone do kwadratów lub prostokątów. Mimo różnorodności stosowana przez artystę gama kolorystyczna była znów stonowana i chłodna.

Novum stały się zapoczątkowane w latach 90. tonda o pokaźnych średnicach i nowej kolorystyce – w barwach grafitowo-szarych. Nazwał je Nokturnami. Tak samo jak inne prace, tak i tonda przecinają linie w postaci reliefu, zatrzymujące światło i nadające obrazowi wrażenie nowej kolorystyki.

O swoim wejściu w świat języka geometrii Andrzej Gieraga mówi tak: „W geometrii zawarty jest głęboki sens i są z nią związane emocje. Linie, figury i kolor – środki wyrazu bliższe geometrii, odarte z treści semantycznych, tworzą świat nowego ład metafizycznego. Są załącznikiem piękna absolutnego, które nie ulega dezaktualizacji, tak jak kolo będzie zawsze kołem, kwadrat – kwadratem, a trójkąt – trójkątem, gdyż same w sobie są skończone piękne. Geometria sprawia, że to co w naturze jest zbyt skomplikowane, tu – wyrażone w języku form geometrycznych, staje się proste i czytelne”.

Obrazy takie nie wyrażają nic poza tym, czym same są: figurą geometryczną i kolorem. Obrazy te niczego nie komentują, nie żyją w zgodzie z modą, trendami i kierunkami. Dążą do osiągnięcia absolutnej niezależności, jeśli już to mogą być traktowane jako swo-



Andrzej Gieraga „Dwa kwadraty”, 100 x 50 cm, technika własna, 2003



iste medium do wyrażania metafizycznych bądź egzystencjalnych niepokojów, do wyrażania nastrojów bądź stanu ducha twórcy.

Jak twierdzi Bożena Kowalska, autorka wielu prac o języku geometrii w sztuce, sztuka operująca tym językiem znów (podobnie jak w czasach swoich narodzin) znalazła się w kręgu podejrzeń i niechęci. Współczesna (postmodernistyczna) krytyka twierdzi, że język geometrii wcale nie jest językiem egalitarnym, wręcz odwrotnie, że wymaga wysiłku intelektualnego, nie zawsze zgodnego z kierunkiem myślenia twórcy. Ponadto, jak twierdzi Bożena Kowalska, mimo że sztuka nurtu geometrycznego, już dawno stała się obok innych kierunków, nurtem równouprawnionym, ciągle ma wielu przeciwników. Będzie jednak, mimo wszelkich przeciwności dalej rozwijać się, przede wszystkim zaś ze względu na wagę i głębię zawartych w niej uniwersalnych przesłań, niemożliwych do przekazania jakimkolwiek innym językiem, a także ze względu na walor jej oddziaływania na ludzi obdarzonych szczególną wrażliwością, poszukujących czynnika ład i ciszy w chaosie i zgiełku świata.

To pewnie dlatego na wernisażach sztuki nurtu geometrycznego nie ma tłumów, jak wtedy, kiedy wystawia się Malczewskiego, Kossaków czy Chełmońskiego. Na wernisażach Gieragi czy Wiktora przychodzą ci, którzy wiedzą, czego mogą się spodziewać. Oczywiście dla tych, którzy nie są zorientowani, obrazy geometryczne nie przedstawiają w zasadzie żadnej wartości: jakaś figura, linie, figury geometryczne. Ale są i tacy (niekoniecznie wyrafinowani znawcy sztuki geometrycznej), którzy stając przed takim dziełem, zachwycają się nim jakby podświadomie: urzeka ich wysublimowana bądź niespodziewanie agresywna kolorystyka, proste, doskonałe, formy niosące ową barwę i kolor, w całości tworzące dzieło interpretowane nie jakąś konkretną myślą, lecz wyłącznie przelotnym skojarzeniem, impresją.

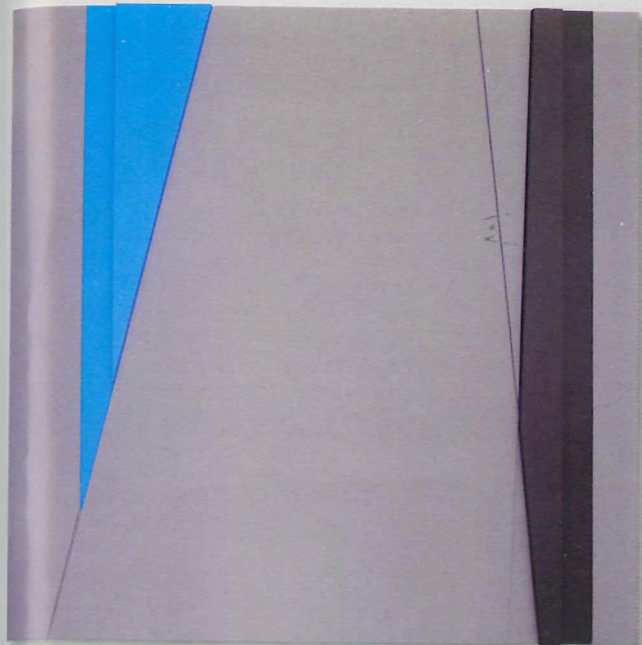
Wystawa dzieł Andrzeja Gieragi w Muzeum Śląskim była swego rodzaju niespodzianką: oprócz obrazów artysta pokazał również niezwykle urokliwe, malownicze grafiki. Były to prace niewielkich rozmiarów, czarno-białe, wykonane tradycyjnymi technikami mezzotinty i akwatinty. Każda z nich charakteryzowała się dużym ożywieniem kompozycyjnym, piękną grą światłocieni, w czym dużą rolę odgrywała również zastosowana technika reliefu. Wypukłości i załamania skłaniały do wnikliwego przyglądania się każdej miniaturze. W sumie stanowią znakomite uzupełnienie geometrycznego, wielkoformatowego na ogół malarstwa.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Andrzej Gieraga: *Obrazy i grafiki*. Wystawa w Muzeum Śląskim w Katowicach. Komisarz wystawy dr Jadwiga Bednarska.



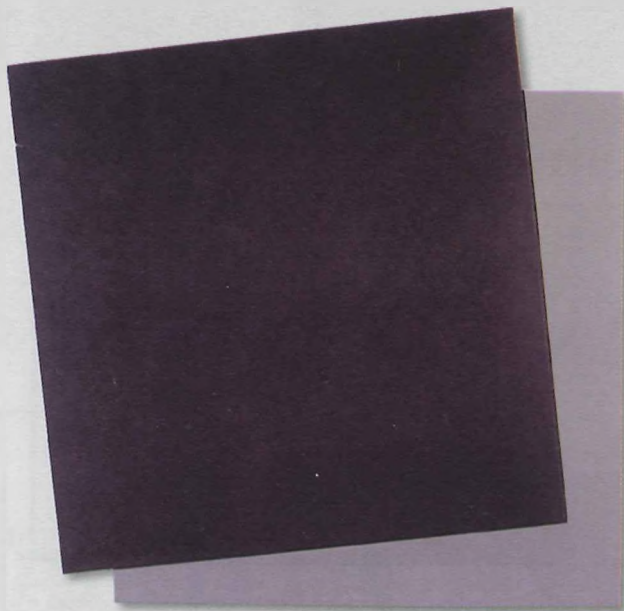
# Andrzej Gieraga



Obraz CCXXX, 100x100 cm, technika własna, 1992



Progresja, 50x50 cm,  
technika własna, 2002



Dwa kwadraty, 100x100 cm, technika własna, 2003

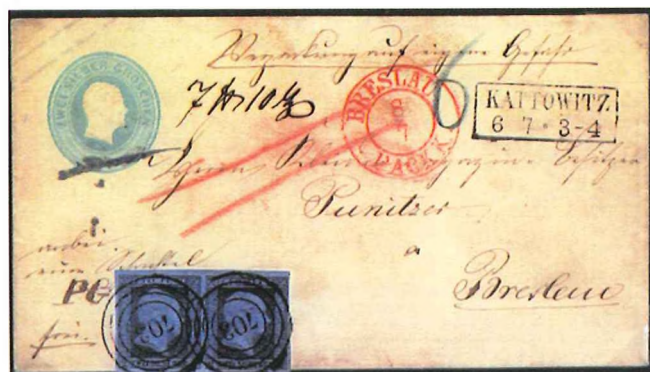


**KOMPANIA  
PIWOWARSKA**



**SPONSOR „ŚLĄSKA”**

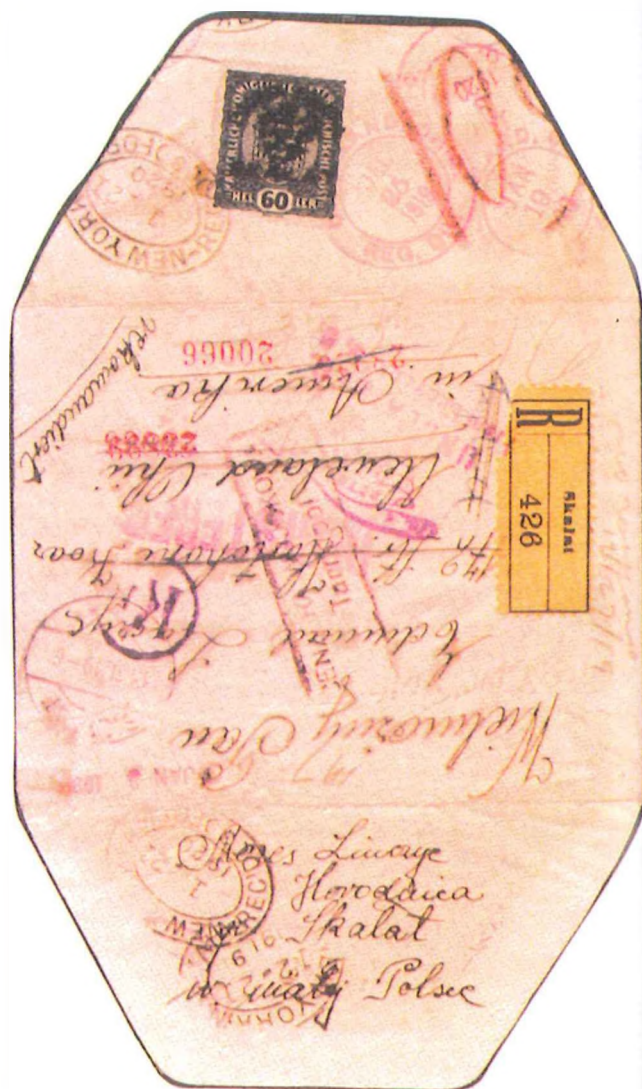




List paczkowy o wadze 7,10 luta nadany z Katowic do Wrocławia, gdzie dokonano odbioru czerwonym stemplem „Packkammer. Oplata łączna 6 Sgr (srebrne grosze).



List nadany w Katowicach do Koblenzji o wadze 2 luty. Oplata: 3 Sgr - znak opłaty na całostce + Sgr znaczek.



Plakietka Komitetu Organizacyjnego XIX OWF „Katowice 2003”

## XIX Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna „Katowice 2003”





**Nie** byłoby ani filatelistyki, ani filatelistów, gdyby nie było poczty. Polska Poczta zaczęła raczkować za Bolesława Chrobrego. System wici, gońców i posłańców funkcjonował na zamkach, w klasztorach, na uniwersytetach, potem w miastach. Dopiero jednak 18 października 1558 roku postawiła swój pierwszy poważny krok - Zygmunt August nadał Prosperowi Prowanie przywilej organizowania i kierowania pocztą na trasie Kraków - Wenecja. Za opłatą można było przestać wiadomość - także prywatną.

Cztery lata później otwarto szlak Kraków-Wilno. Za Batorego pojawiły się pierwsze (na świecie!) jednolite opłaty według wagi listów - niezależnie od odległości 4 grosze za łut (12,8g), za Władysława IV poczta zaczęła być finansowana ze skarbu państwa, pojawili się „pocztarze” (odpowiednik listonosza), powstały stosowne urzędy, otwarto nowe szlaki, a sama „instytucja” przynosiła zyski.

W 1807 roku w Warszawie pojawiły się pierwsze trzy skrzynki pocztowe (na użytek żołnierzy napoleońskich). Mniej więcej dwadzieścia lat później kursowały już karety kurierskie (Warszawa-Kraków w osiem dni!), w Królestwie Polskim poczta dostarczała listy, druki, paczki, pieniądze, przedmioty wartościowe, gazety i oferowała przejazdy pasażerskie.

W 1840 otwarto pierwszą szkołę dla pocztynionów, gdzie m.in. wykładano jazdę konną i melodyjną grę na trąbce. W 1860 ukazał się pierwszy polski znaczek pocztowy z herbem Królestwa Polskiego. Pierwsze Ministerstwo Poczty i Telegrafów powstało w roku 1918. Dziesięć lat później przekształciło się w państwowe przedsiębiorstwo „Poczta Polska, Telegraf i Telefon”.

**Pożółkle kartoniki, sfatygowane koperty, kiedyś kolorowe, dziś wyblakłe niewielkie prostokąciki znaczków. Stemple, nadruki, starannie kaligrafowane listy z czasów kiedy znaczki jeszcze nie były w użyciu. Korespondencja wojenna, obiegowa, służbowa, wycinki listów. Kasowniki lokalne, znaki wodne, fiskalne wreszcie całe arkusze znaczków. Serie okolicznościowe, tematyczne, stare, nowe. Dokumenty czasu, świadkowie, a właściwie uczestnicy historycznych zdarzeń.**

Czasem unikatowe, bezcenne, czasem nieprzyzwoicie wręcz drogie, czasem zupełnie zwyczajne, rzecz można pospolite. Posegregowane, opisane, specjalnie ułożone, opracowane - karty pocztowe, znaczki, pieczęcie - „eksponaty filatelistyczne”, niektóre pamiętające czasy rozbiorów.

Inne całkiem nowe, przypominające o niedawnych wydarzeniach. Zabezpieczone w specjalnych gablotach, dla laika trącające myszką, dla miłośnika - skarby. Przez dwa tygodnie (od 22.08 do



Nr 4.

Kraków, 1 kwietnia 1922.

Rok IV.

# Dokumenty czasu

KATARZYNA  
SADURA

06.09 br.) w katowickim Centrum Kultury swoje święto mieli filateliści. Wspominali 445-lecie Poczty Polskiej, 110-lecie polskiego ruchu filatelistycznego i I Wszechświatową Wystawę Filatelistyczną, która odbyła się w Katowicach w 1934 roku.

Kolorowe, pocztowe znaczki mają w sobie coś magicznego. Chyba każdy, choć raz w życiu, choćby na bardzo krótko, uległ ich urokowi i w zakamarkach dziadkowych biurów poszukiwał starych korespondentek, znaczków. Fascynował się kolorowymi kartami przysyłanymi gdzieś ze świata, oklejonymi najpopularniejszymi znaczkami - im bardziej egzotycznymi, tym lepiej. Z wypiekami na twarzy, uzbrojony w lupę, sprawdzał znaczki „zabki” i z miną znawcy, pogardliwie odrzucał w kąt „kancery”... Młodzieńcze zauroczenie najczęściej jednak szybko mijało. Wierni pozostawali i pozostają mu tylko nieliczni.

- *To całe moje życie* - mówi z uśmiechem Zbigniew Adamczyk, wiceprzewodniczący Komitetu Organizacyjnego

XIX Ogólnopolskiej Wystawy Filatelistycznej Katowice 2003. - *To relaks i złodziej czasu... Zamiast zajmować się żoną, każdą wolną chwilę spędzam nad klaserem. Z drugiej strony to przecież dokumenty naszej tożsamości, te zbiory to nasze korzenie, nasza przeszłość, teraźniejszość, nasza historia. To dokumentacja dziejów, obraz tego, co działo się w naszych małych ojczyznach... I tak naprawdę możemy powiedzieć, że to hobby po prostu nas kształci.*

## Odrobina historii

Początki polskiego ruchu filatelistycznego sięgają końca lat 80. XIX stulecia, kiedy to w austriackich, niemieckich i francuskich czasopiśmie filatelistycznych zaczęły pojawiać się nazwiska polskich zbieraczy.

- *Wpływy wiedeńskie i pewna autonomia ówczesnej Galicji sprawiły, że właśnie w Krakowie powstało pierwsze koło filatelistyczne* - mówi Alojzy Waler, prezes Okręgu Śląsko-Dąbrow-



skiego Polskiego Związku Filatelistów - *Z inicjatywy Maksymiliana Urban-  
skiego, właściciela pierwszego pol-  
skiego sklepu filatelistycznego  
w styczniu 1893 roku ukonstytuował  
się Klub Filatelistów.*

W latach następnych Klub dzielił się i ponownie jednoczył by niemal w przededniu wybuchu I wojny liczyć 119 członków - z trzech zaborów - działających w Związku Międzynarodowych Filatelistów „Unia” z siedzibą w Rzeszowie. Po odzyskaniu niepodległości stowarzyszenia filatelistyczne powstawały w Krakowie, Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Lwowie, Kielcach, Toruniu, Rzeszowie, a także na Śląsku.

Śląski Związek - a później Stowarzyszenie Filatelistów - powstało w latach 30. XX wieku. Już od początku swej działalności śląscy filatelisci działali bardzo prężnie, czego dowodem niech będzie zorganizowanie w Katowicach w 1934 roku I Wszechrzeczysławskiej Wystawy Filatelistycznej.

*- Lata II wojny to bardzo trudny czas także dla filatelistów - mówi Waler - Wielu z nich walczyło z okupantem, wielu - jak jeden z organizatorów przedwojennej wystawy w Katowicach, Jan Banisz, przypłaciło walkę życiem. Ci, którzy przeżyli, zaraz po wojnie włączyli się do działań na rzecz reaktywacji przedwojennych stowarzyszeń filatelistycznych.*

W rezultacie w 1950 roku powstał Polski Związek Filatelistów. W jego władzach był Zbigniew Mikulski, honorowy gość tegorocznej wystawy, który w nowym opracowaniu zaprezentował m. in. wyjątki ze zbioru „Poczta Polska na Germanii 1918/19”, nagrodzonego Grand Prix podczas wspomnianej już wystawy w 1934 roku.

Dzisiaj, tylko na Śląsku, w ponad 200 kołach zrzeszonych jest ok. 6 tys. filatelistów. Od wielu lat działają kluby zainteresowań - „Silesiana”, „Dymarki” czy też Klub Miłośników Znaczków Niemieckiego. Bogaty jest dorobek wydawniczy, organizowany są większe i mniejsze wystawy, członkowie zdobywają nagrody, medale, wyróżnienia oraz - co ciekawe i godne podkreślenia - filatelistyką interesuje się spore grono młodzieży.

## Wartość unikat

Ogłoszenie portalu internetowego: „Wielki rarytas austriackiej poczty, znaczek 9 kr czysty z 1850 r. nr katalogowy 5 według Michel Spezial Austria oraz kasowany znaczek Lombardii Wenecji 45 centes nr 5 z 1850 r. skasowany datownikiem Verona, wydrukowanym na drugiej stronie znaczka 9 kr, jednostronnie użyty. Przypadki dwustronnego zadrukowania arkusza są opisane w Filatelistyce nr 6/2000 i są uznawane za wielką rzadkość, zwłaszcza wyższe wartości, tak jak 9 kr.

Różne katalogi wyceniają je w granicach 20 000 EURO za znaczek, ale nie zdarzyło się, aby na drugiej stronie wy-

drukowano nie ten sam, ale inny nominal znaczka. Było to wynikiem tego, że ówczesna Drukarnia Wiedeńska drukowała znaczki nie tylko dla Austrii, ale też dla Lombardii - Wenecji i w czasie druku wszystkie słabo odbite arkusze odkładano w celu drugostronnego przedrukowania bardziej intensywnym kolorem poprzez mocniejszy docisk tłoku na maszynie typograficznej. Wskazuje na ten fakt niedobity znaczek 9 kr w dolnym prawym rogu, częściowy brak liter i przerwane ramki. Widocznie przez przeoczenie odłożony arkusz nie został zadrukowany ponownie drugostronnie tą samą wartością. Kiedy następnie zmieniono matryce z 9 kr na 45 centes nie poprawiony arkusz 9 kr ponownie użyto (papier był bowiem bardzo drogi). Zadrukowano go drugostronnie nowym nominałem co było o tyle rozsądne, że oba znaczki drukowano w tym samym kolorze.

Następnie partie gotowych arkuszy wysłano do jednego z urzędów pocztowych w Veronie i tam został użyty jako znaczek 45 centes, tworząc niezwykłą rzadkość filatelistyczną Austrii, o czym świadczy fakt, że nie został on skatalogowany mimo 152 lat od swojego wydania - powyższe może nasuwać spostrzeżenie, że jest to jedyny znany egzemplarz. Cena wywoławcza: 100 000,00 zł.”

O cenach kolekcji filatelistycznych krążą legendy. Unikatowe kolekcje pojawiały się w literaturze i filmie. Jak drogocenne kamienie wzbudzały emocje i pożądanie. Jednocześnie korciły... fałszerzy. Na czym polega wartość zbiorów filatelistycznych? Oczywiście na ich unikalności.

*- Im rzadszy egzemplarz, tym bardziej wartościowy - mówi Adamczyk - Serie krótkie, stare, w dobrym stanie, nie uszkodzone są najbardziej pożądane. Każdy zbieracz ma swoje, nazwijmy to, źródła pozyskiwania nowych eksponatów. Ale to nie do końca jest tak, że filatelistyką mogą zajmować się tylko ludzie majątni. Proszę pamiętać, że niemal każda kolekcja jest tworzona od najbardziej niepozornych znaczków, kart. Oczywiście, zdarza się, że pasja - wraz z kolekcją - przechodzi z pokolenia na pokolenie, ale tak naprawdę przypadków takich nie ma u nas zbyt wielu.*

W latach II Rzeczypospolitej w Polsce funkcjonowało około 100 różnych sklepów i firm filatelistycznych. Już wtedy też pojawiały się pierwsze „czarne listy” niesolanych kontrahentów, fałszerzy, powołano też pierwsze „Biuro oceny prawdziwości znaczków”.

Dzisiaj, z biegiem lat i rozwojem techniki, fałszowane bywają nie tylko kolekcje, ale nawet stemple i... gwarancje. I właściwie trudno się dziwić, skoro np. wspomniana już kolekcja pana Mikulskiego ubezpieczona była na 200 tys. dolarów. Jednak diabeł - jak zwykle - tkwi w szczegółach: trzeba po prostu znać się na filatelistyce. Dla laika język zbieraczy bywa zupełnie niezrozumiały... Poza tym, być może dla tego środowisko to zdaje się być skonso-

lidowane, filatelisci słyną troski o zachowanie autentyczności dorobku i kultywowanie tradycji. Dotyczy to także organizacji - bo nie będzie ani kokieteryj, ani zbytnią przesadą twierdzenie, że działalności filatelistów towarzyszy specyficzna atmosfera i coś co sami nazywają etosem filatelistyki polskiej.

## Medalowe rarytasy

**CÓŻ** byłaby warta kolekcja, gdyby chwalić - mówi z uśmiechem jeden z organizatorów katowickiej wystawy. To bodaj najbardziej wiarygodny sposób na zaprezentowanie swojego dorobku, to także okazja do spotkań, rozmów, wymiany doświadczeń a także konfrontacji. Wystawom towarzyszą zazwyczaj konkursy organizowane według surowych zasad i z zachowaniem określonych rygorów. Specjalny sąd konkursowy ocenia zbiory według katalogów, klas wystawienniczych. Pod uwagę bierze się opracowanie „ekspozycji”, jego znaczenie filatelistyczne, stan, jakość, a także wiedzę wystawcy. Najlepsze otrzymują medale. Najwyższy honor to oczywiście Grand Prix oraz tzw. Wielkie Nagrody i medale.

Na pierwszy rzut oka wyblakłe karty nie przyciągają. Dopiero po chwili możemy docenić wartość tego, co oglądamy: pierwsze polskie znaczki sprzed półtora wieku, pierwsze pieczęcie lakowe i stemple tuszowe, korespondencja z czasów Królestwa Polskiego, poczta tranzytowa przez Katowice w okresie pruskim, znaczki brytyjskie z połowy XIX wieku, stemple okolicznościowe i nie tylko, karty i znaczki z czasów plebiscytu na Górnym Śląsku, historia polskiego pieniądza i wiele innych.

„Oglądając poszczególne ekspozycje, zastanówmy się, jak wielką wiedzę musi równocześnie posiadać wystawca, tę ogólną i tę specjalistyczną, dla opracowania ekspozycji filatelistycznej. Często akcentujemy, że wydawane znaczki, bloki i dokumentacja pocztowa są doskonałym udokumentowaniem historii regionu i kraju. Bardzo często mówi się, że filatelistyka jest znakomitym hobby, które daje odpoczynek umysłowy i relaksuje nas. Proszę jednak wziąć pod uwagę i tę drugą stronę - wychowawczą i promującą nasz kraj, przyrodę, architekturę, kulturę naukę i inne dziedziny naszego życia. Zastanówmy się, ile dobrego filatelistyka wnosi i wnieść może w wychowanie młodego człowieka i nie przechodźmy wokół filatelistyki obojętnie” - napisał Alojzy Waler we wprowadzeniu do katalogu wystawy.

Tegoroczna XIX Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna odbyła się pod honorowym protektoratem premiera Leszka Millera i patronatem arcybiskupa Damiana Zimonia, Michała Czarńskiego - marszałka województwa śląskiego oraz wojewody śląskiego Lechosława Jarzębskiego.

Każdy, kto dawniej palił węglem w piecu spotykał złote lśniące złote kryształki w górnolaskim węglu kamiennym. Często dzieci poszukują w bryłkach węgla i w lupkach tego „złota głupich”. Nazwa ta wywodzi się z okresu gorączki złota, kiedy to niedoświadczeni poszukiwacze złota podniecali się wydobytym pirytem, często dostawali obłądu z nadmiaru szczęścia, które później okazywało się złudne.

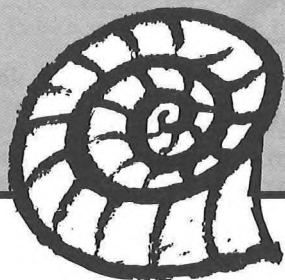
Ten lśniący jak złoto minerał był znany już w starożytnej Grecji. Piryty budzi zainteresowanie ludzi, jedni pożądają go - inni zaś przeklinają. Przez wieki służył alchemii i poszukiwano go jako rudę żelaza. W średniowieczu mówiono o nim - iskrzyk, ziemia siarkowa i stosowano go do produkcji kwasu siarkowego. Dzisiaj posadza się go o psucie węgla, o ojcostwo kwaśnych deszczy i korozji. W Anglii mówiło się że „ulice Londynu są usłane złotem”, a wzięto się to z blasku ziarenek piryty zawartych w bruku ulicznym i świecącym jak złoto. Górnicy świętokrzyscy nazywali go ze względu na psucie jakości rudy żelaza „paskudem”. Technologom przeróbki węgla piryt przysparza nieprzespane noce. Ilość piryty w węglu decyduje o ilości siarki a tym samym o jakości i cenie zbytu węgla. Również skandynawscy wędkarze posadzają go o sprawstwo zakwaszania jezior i niszczenie populacji ich ryb.

Czym jest piryt? Jest dość powszechnym minerałem z rodziny siarczoków i siarkosoli. Niektórzy twierdzą, że jest najbardziej rozpowszechnionym siarczkiem w skorupie ziemskiej. Złocista barwa, metaliczny połysk i brak łupliwości upodabniają piryt do złota. Było to powodem niejednej tragedii i rozczarowania. W wilgotnym środowisku piryt zmienia się w kwas siarkowy, rdzawe tlenki żelaza i białawe siarczany. Sproszkowany piryt spala się, barwiąc płomień na niebiesko i wydzielając przy tym gryzący dwutlenek siarki. Dawnemu służył jako lont czy zapalnik do podpalania prochu.

Największe ilości piryty eksportuje się w Hiszpanii (Minas de Rio Tinto) i Japonii, poza tym duże złoża znajdują się także w Grecji, Szwecji, Włoszech

## EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana  
ze środków Wojewódzkiego  
Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej  
w Katowicach



# Pirytowa paskuda

i USA. W Polsce występuje w Górach Świętokrzyskich (Rudki), na Dolnym Śląsku (Wieściszowice) oraz Górnym Śląsku. Towarzyszy złożom cynku i ołowiu i pokładom węgla kamiennego. Górny Śląsk obdarzony został sownie pirytem. W naszym zagłębiu obserwowano w trakcie eksploatacji już w początku 19 wieku wypełnienia pirytem szczelin i uskoków w pokładach tak wielkie, że nadawały się do odrębnej eksploatacji.

Piryty w węglu jest wielkim paskudztwem dla środowiska i nie sprzyja jakości życia. W wyniku spalania zsiarczonego węgla i innych paliw kopalnych powstaje agresywny gaz: dwutlenek siarki, który w połączeniu z parą wodną tworzy kwas siarkowy i siarkowy. Te gazy i zawiesiny kropelek kwasów migrują w atmosferze na wielkie odległości i opadają w postaci kwaśnych deszczy, powodując agresywną korozję metali, niszczenie szaty roślinnej, zakwaszenie gleb i jezior.

Siarka, a tym samym piryt najprawdopodobniej jest pochodzenia organicznego. Jakość spalnego węgla ma fundamentalne znaczenie dla stanu środowiska. Jeśli spalamy wysokozasiarcone węgle musimy inwestować w drogie technologie odsiarczania spalin. A przy nich zawsze powstają tony odpadów, które należy zagospodarować. Węgle o podwyższonej zawartości siarki występują w kopalniach Siersza, Janina, Jaworzno, Jan Kanty.

W ostatnich latach w tych kopalniach zbudowano cztery zakłady wzbogacania i odsiarczania miału węglowego. Podczas wzbogacania grawitacyjnego nie ma możliwości całkowitego usunięcia siarki z węgla. Z tego powodu prowadzi się badania nad innymi metodami odsiarczania węgla. Jest już kilka dobrych metod odsiarczania, wdrożonych na dużą skalę np. w Elektrowni Jaworzno III, ale wybór metody powinien być poprzedzony szczegółową analizą techniczno-ekonomiczną uwzględniającą konkretne warunki. Należałoby również uwzględnić problem ograniczenia emisji tlenków azotu, gdyż w niektórych metodach odsiarczania istnieje również możliwość usunięcia części tych groźnych zanieczyszczeń. Instalacja odsiarczania spalin w Elektrowni Jaworzno III jest również największą w Polsce fabryką gipsu, który jest właściwie uwodnionym siarczanem wapnia.

Z pirytem trzeba umieć żyć: można go podziwiać jako podświetlone w gablocie złoto głupich, można z niego wykonać taną biżuterię. Ale trzeba z nim walczyć, aby było go jak najmniej w naszym spalonym węglu. Bo od tego zależy nasze zdrowie, kondycja lasów jak i korozja blach samochodowych. Pocięające jest to, że w zakresie ograniczania szkodliwej emisji dwutlenku siarki zrobiliśmy wielki postęp, nie jesteśmy już jako Polska wielkim agresorem transgranicznym.

JAN RZYMELKA

PS. Poprzednie felietony ekologiczne  
przeczytać można w internecie  
na stronie  
<http://rzymelka.sejm.pl>

# Kultura to dobry biznes

Z dr. MACIEJEM SZYMANOWSKIM  
- dyrektorem Instytutu Polskiego w Budapeszcie  
rozmawia BARBARA GRUSZKA-ZYCH

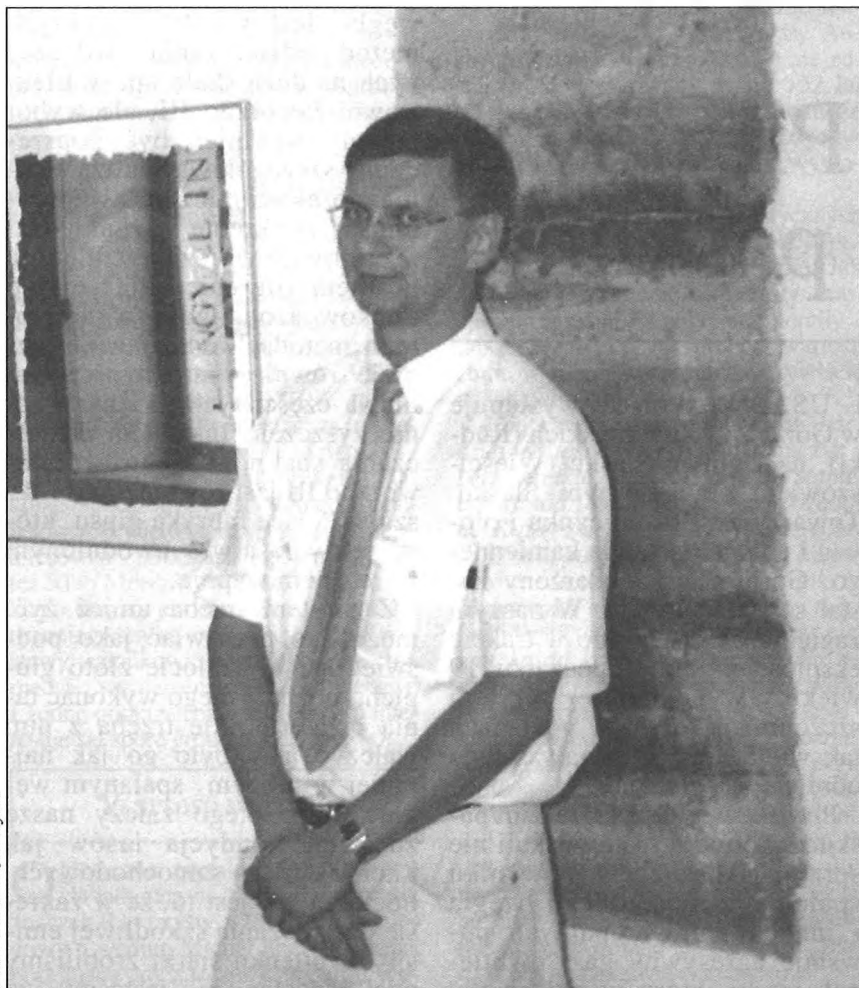


Foto: B. Gruszka-Zych

Maciej Szymanowski (ur. 1966), absolwent X Liceum Ogólnokształcącego w Katowicach. W latach 1987-1989 stypendysta elitarnego Eorvos Collegium w Budapeszcie. W 1991 r. ukończył wydział filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, specjalność hungarystyka. W 2001 r. uzyskał doktorat na wydziale historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1992-1999 mieszkał w Pradze, gdzie pracował w dziale zagranicznym największego czeskiego tygodnika społeczno-politycznego „Respekt”. Od 2000 r. jest pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Maciej Szymanowski: „Na Śląsku spotkali się moja mama i tata, wywodzący się odpowiednio ze Stryja pod Lwowem i Leszna Wielkopolskiego. Tak naprawdę to zawsze była i jest dla mnie pierwsza ojczyzna, ta najprawdziwsza, do której się wraca, aby poczuć zapach znajomego powietrza, zobaczyć jedynie tutaj spotykane odcienie czerni, pokrzepić się piwem i krupniokiem.”

- O Polakach i Węgrach chyba zawsze mówiło się jako o „dwóch bratankach”.

- Mamy imponującą ponad tysiącletnią tradycję przykładowych stosunków polsko-węgierskich. Począwszy od korony, która od papieża wędrowała dla Bolesława Chrobrego. Nim dotarła do Polski otrzymał ją król Stefan, późniejszy święty, który w zamian za to, jak głosi legenda, obiecał, że zawsze będzie żył w pokoju z Polakami. Z czego Węgrzy się do dzisiaj wywiązują. Istnienie Instytutu Polskiego to dowód na to, że Polska jest mile widziana w Budapeszcie i na Węgrzech. Pamiętamy okresy kiedy nie było ambasady polskiej w Budapeszcie, gdy w czasie II wojny światowej Państwo Polskie znikło z mapy Europy, ale zawsze działał Instytut Polski. Sami Węgrzy utrzymywali go z własnych pieniędzy.

- W przyszłym roku Pana placówka będzie obchodzić 65-lecie istnienia.

- To drugi najstarszy Instytut na Węgrzech, Instytuty wymyślili właśnie Węgrzy. Jako pierwsi zaczęli je zakładać po I wojnie światowej. Ponieśli wtedy duże straty terytorialne i ludnościowe, i między innymi w taki właśnie sposób starali się bardziej wzmocnić swoją obecność za granicą, podkreślić to, że istnieją. W ślad za nimi poszły inne kraje. Nasz Instytut miał swoją dobrą kartę w momentach przełomowych - w 1956 r. i na początku lat 80. Podobnie jak Instytut Węgierski w Warszawie.

- Pewnie ułatwia Panu pracę znajomość węgierskiego.

- Niedawno rozmawiałem z panią dyrektorką Festiwalu Wiosennego, największego wydarzenia kulturalnego na Węgrzech, która powiedziała mi, że nie wyobraża sobie, aby szefem Instytutu Polskiego mogła zostać osoba nie znająca języka węgierskiego. A trzeba zaznaczyć, że nie jest to regułą w innych instytutach. Jest to szczególnie ważne, żeby zaistnieć w tutejszej rzeczywistości. Korzystamy z przywileju, że nie jesteśmy traktowani tylko jako przedstawicielstwo obcego kraju, ale także trochę jako węgierska instytucja kultury. Nasz budynek stoi w tej części Budapesztu, gdzie w promieniu kilkuset metrów znajduje się 12 teatrów, opera, operetka. Nie ma większego wydarzenia kulturalnego, w które byśmy się nie angażowali. Niezależnie od tego czy to Promenada Słońca - impreza przed referendum do Unii Europejskiej, czy jakiś poważny wernisaż. Instytuty są powołane do tego, żeby



promować polską kulturę za granicą. Wywiązujemy się z tego jak potrafimy najlepiej. Polska nie ma takich produktów markowych, które by się z nią kojarzyły jak Skoda, Pilsner, Philips. Ich brak staramy się zastąpić markowymi prezentacjami kulturalnymi np. koncertem Krzysztofa Pendereckiego, wystawą Małgorzaty Abakanowicz. To jest jednak najprostsza praca, którą można wykonać - zapraszanie interesujących osób, reprezentujących różne dziedziny kultury w Polsce, organizowanie spotkań z nimi. Próbuje się też iść dalej - sami staramy się kreować nowe wartości w kulturze. Wiele ważnych zjawisk powstawało przecież na przecięciu kultur, dlatego wykorzystujemy kontakty z miejscowymi twórcami, zapraszając ich do współdziałania. Nie tylko prezentujemy polski jazz, ale udało nam się powołać do życia polsko-węgierski zespół jazzowy P. H. Connection, który już jeździ z koncertami po Europie. Latem nagraliśmy też wspólną płytę. Węgierski zespół wykonywał polsko-węgierski repertuar pod batutą polskiego dyrygenta Łukasza Borowicza. W przyszłości do tego zespołu chcemy też włączyć czeskich i słowackich solistów.

**- To prawdziwa unia europejsko-artystyczna. W Instytucie działa też galeria.**

- Dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś był sklep. Od kilku lat uważa się ją za jedną z lepszych galerii Budapesztu. Jest dobrze usytuowana i dlatego często zaglądają do niej zainteresowani. Można w niej obejrzyć polską sztukę współczesną, nazwiska znane, ale też i te, dopiero wchodzące w obieg, na tyle dobre, by zorganizować im wystawę na większym metrażu. Prezentowaliśmy w niej prace Stasysa, Deskura, Pawłaka. Staramy się też promować ciekawych twórców węgierskich. Na przykład grupę „Kis Varsó” co po polsku znaczy „Mała Warszawa”. To dwójka młodych rzeźbiarzy, robią interesujące projekty. Jeden z nich nosi nazwę „Pałac Kultury w Warszawie jako centrum wszechświata”. Zamieszczałyśmy też prace twórców z Europy Środkowej - Słowenów, Czechów, Chorwatów, ale też Amerykanów, jak Perry Gunthen. Wielu nie przyszłoby tu tylko na wernisaż polskiego twórcy, dlatego staramy się ich przyciągać poprzez artystów z innych krajów.

Mamy też salę kinowo-konferencyjną. Ostatnio dla studentów uniwersytetu w Budapeszcie zorganizowaliśmy cykl polskich filmów historycznych. Pokazywaliśmy, jak pewne postacie np. Bohdan Chmielnicki są przedstawiane w kinematografii polskiej, ale też ukraińskiej, rosyjskiej czy czeskiej.

**- Czy współpracujecie z węgierskimi wydziałami filologii polskiej?**

- Na Węgrzech istnieją trzy filologie polskie. Budapeszteńska jest zorientowana na językoznawstwo. Uniwersy-

tet Katolicki w Piliscsaba ma świetną filologię polską ukierunkowaną na literaturoznawstwo. To ona właśnie wypuściła w ostatnich latach szereg znakomitych młodych tłumaczy. Wśród przetłumaczonych przez nich książek jest „Pianista” Spilmana, pierwszy przekład na język obcy Doroty Masłowskiej, a także tytuły Hanny Krall, Andrzeja Stasiuka. Staramy się w wydawnictwach stale nadążać za nowościami. W latach 50. i 80. kultura polska była dla tych krajów Europy Środkowo-Wschodniej oknem na świat. Teraz musimy się zastanawiać jak utrzymać tę przyjaźń i zainteresowanie naszą kulturą wśród młodszej generacji. Okazuje się, że najmłodszym Polska się kojarzy np. z hip-hopem.

**- Jak staracie się ich przyciągać do Instytutu?**

- 13-14 września zorganizowaliśmy w Instytucie Noc Otwartych. Wszystko zaczęło się konkursem rysunkowym dzieci ze szkół węgierskich położonych w tej okolicy i szkoły polskiej. Następnie odbyły się dwa wernisaże - krakowskiej „Grupy 13”, którego głównym tematem był mężczyzna i performance Julity Wójcik. Pokazaliśmy filmy „Katedra”, „Anioł w Krakowie”, „Angelus” Lecha Majewskiego oraz „Eden”. Odbył się też wieczór utalentowanego poety węgierskiego Gabora Zsille, tłumacza m.in. „Tryptyku Rzymskiego”. Kulturę kulinarną zapewniło krakowskie „Chłopskie Jadlo”, które polskim bigosem, wypiekany ręcznie pieczywem, kielbasami i smalcem nakarmiło, i to dosłownie, blisko tysiąc osób. Równolegle jedna z większych węgierskich stacji radiowych - Radio Cafe, nadawała polską muzykę, ale także wywiady ze znanymi Węgrami, także z tymi z przysłowiowych pierwszych stron gazet, którzy opowiadali o swoich związkach z Polską, bądź przygodach, których doświadczyli w kontaktach z Polakami.

**- Jak Pan został dyrektorem Instytutu Polskiego w Budapeszcie?**

- Stałem do konkursu i wygrałem. Przedtem byłem dziennikarzem w Pradze, po siedmiu latach wróciłem do Polski i zapragnąłem się zająć czymś innym niż dziennikarstwo. Trafiłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

**- Polubił Pan Budapeszt?**

- Tak, to jedna z ładniejszych stolic europejskich. Zwłaszcza w nocy jest pięknie iluminowana. Miasto rozciąga się na wielu wzgórzach. Są tu takie zakątki, że można mieszkać w lesie, a jednocześnie przecież w stolicy. Nigdzie nie spotkałem tak wspaniałych basenów termalnych. Tu szczególnie kulturowe się kulturę kąpeli, tak, że człowiek przestaje się dziwić, iż armia rzymska tak długo tu stacjonowała. Po prostu było jej tu przyjemnie. Żołnierze posadzili sobie winorośle, mieli się gdzie kąpać. Każdy z przyjeżdżających powinien się wybrać na

wyspę św. Małgorzaty, gdzie znajduje się czternaście basenów termalnych o właściwościach leczniczych. Wspaniała jest też dzielnica kamienic, w której położony jest nasz Instytut. Tu się wprawdzie gorzej mieszka niż w Pradze, bo to miasto narzuca większe tempo. Ale tak już musi być w metropolii europejskiej, tętniącej życiem, niestety wciąż mocniej niż Warszawa.

**- Węgry to kraj, który zwłaszcza w ostatnich latach docenia znaczenie kultury.**

- Władze poważnie inwestują w jej infrastrukturę. W tej chwili w Budapeszcie przy moście Petőfiego po stronie Pesztu, na terenie dawnej proletariackiej dzielnicy buduje się potężne centrum kulturalne. Już jest gotowy teatr narodowy, trwa budowa filharmonii narodowej na 6000 miejsc, muzeum sztuki współczesnej, Domu Tradycji, Archiwum Nagrań Cyfrowych, etc. To wszystko usytuowane będzie w olbrzymim parku z hotelami, parkami, basenami termalnymi.

**- Przecież mówi się, że kultura jest deficytowa.**

- Ależ nie, jak się okazuje, to jest dobry biznes. Trwający w zeszłym roku we Francji Rok Węgierski kosztował Węgrów 2 mln. dolarów. Ale dzięki temu, że się więcej o nich pisało, pokazywało ich sztukę, zwiększyła się ilość turystów francuskich przyjeżdżających na Węgry i tylko w ciągu sześciu miesięcy dochody z turystyki pokryły koszty zainwestowane w tamto przedsięwzięcie. W Budapeszcie odbywa się co roku Festiwal Wiosenny, przypominający naszą Warszawską Jesień. W połowie jego organizację pokrywa się z wpływów za bilety sprzedawane cudzoziemcom, głównie Austriakom i Niemcom. No, ale oni do stolicy Węgier dojeżdżają szybką autostradą... A trzeba zaznaczyć, że wspomniany festiwal ma wiele publiczności austriackiej i niemieckiej. Węgrzy myśla o swoim kraju całociśowo. Zbudowali szybką autostradę do Wiednia i to im ułatwia kontakty z Austriakami, którzy na przykład korzystają z tutejszych imprez kulturalnych.

**- Kultura kulturą, ale niektórzy przyjezdni zachwycają się kuchnią węgierską, pełną ostrych przypraw i papryki.**

- Kuchnia węgierska wymusza dwa rodzaje postaw - albo się je wszystko przez tydzień, a potem się pości trzy tygodnie, albo się traktuje ją wybiórczo. Na pewno jest bardzo dobra, głównie oparta na mięsie. Sam delectuję się nią, ale z pewnymi ograniczeniami. Moja żona jest Czeszką, kuchnia czeska niewiele się różni od węgierskiej, dlatego staramy się nasze menu urozmaicać o potrawy pochodzące także z innych krajów i niekoniecznie mam tutaj na myśli specjalny McDonałda.

Opole hucznie i długo świętowało jubileusz 90. rocznicy urodzin Zbyszka Bednorza - pisarza, publicysty, poety, wybitnego śląskoznawcy. 10 października, w wigilię urodzin twórcy w Wojewódzkiej Bibliotece w Opolu otwarto piękną, znakomicie i z sercem przygotowaną wystawę.

Uroczystość zgromadziła opolski świat nauki i kultury, przybyły władze marszałkowskie i wojewódzkie, rodzina i przyjaciele. Rektor Uniwersytetu Opolskiego, prof. Józef Musielok mówił, kim jest Jubilat dla miasta i Uniwersytetu. Życzeniom i wiwatom nie było końca, a wzruszony Jubilat, jak zwykle skromny, w sposób pełen wdzięku dziwił się niepomniernie, iż tak jest kochany i szanowany. Wśród gratulacji i adresów nie brakło najlepszych życzeń z Katowic, od Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i Tadeusza Kijonki. Laudację wygłosiła pisząca te słowa, wyznając publicznie jak wiele ośobiście i naukowo autorowi *Gniazda wędrującego* zawdzięcza.

Po podniosłym toaście wzniesionym przez Eugeniusza Chrobaka, dyrektora biblioteki wyruszyliśmy „Bednorzowym szlakiem” wśród plansz, gablot i zdjęć: ekspozycję pięknie opracowała p. Violetta Łabędzka. Oglądaliśmy fotografie z archiwum rodzinnego pisarza, rękopisy, dyplomy, wydania książek, artykuły umieszczane w prasie, kopie dokumentów osobistych pisarza. Komentarz do prezentowanych materiałów stanowiły fragmenty z *Gniazda wędrującego* Zbyszka Bednorza oraz informacje faktograficzne z życia autora. Odbiliśmy, więc piękną i pouczającą wędrowkę w czasie, po której prowadził nas sam pisarz.

Wyruszyliśmy z domu w Skalmierzycach koło Ostrowa Wielkopolskiego, gdzie urodził się Zbyszek 11 października jako syn Józefa i Marii z d. Woźniak. To ten dom, o którym napisał: ... *Ojcowski salon, czyli kancelaria „od ulicy”*. Ulica była zwyczajną, wyboistą drogą wiejską. Biurko z telefonem na korbkę. Książki. Cytra.

Przy tym biurku stawialiśmy - dzieci kilkuletnie: wrocławski Kazik, Halka bytomska i my, maluchy tutejsze, skalmierzyckie - ja i Bogusz z mamą przygarniającą nas do siebie. Stawialiśmy wszyscy w każdą niedzielę rano i śpiewaliśmy „Boże coś Polskę” do wtóru instrumentu. Ojciec zaparkami podrywał struny cytry, grając prawą ręką wysoką melodię, lewą zbierając grube, niskie dźwięki na muzyczny podkład. Ze zdjęć wychylają się szlachetne postacie państwa Bednorzów, patrzą dzieciennie oczy rodzeństwa. Stare fotografie zatrzymały klimat tamtego czasu.

A potem młodość, w której tak znaczącą rolę odegrał ojciec i komentarz pisarza: *Rodzic mój*,

## Zbyszek Bednorz ukończył 90 lat



# Wielkie święto Opola

czcigodny, Józef z Rudy Śląskiej, nie tylko uczył się, czerpiąc wiedzę z profesorskich wykładów i podręczników, ale mocno tkwił w mieszcowskim środowisku akademików polskich z Poznańskiego i Górnego Śląska. [...] Za najważniejszą ideę życia uznał służbę dla sprawy polskiej.

Wkrótce już wędrowaliśmy ulicami Poznania; to kolejna odmiana czasu z dziecka wyrasta student, szybkim krokiem, zaferowany w rozmowach, w towarzystwie młodzieży przemierza miasto. I ten klimat pięknej młodości przełamuje kolejna plansza: to już czas wojny i okupacji. I znaki tamtego czasu: okładka wstrząsającej, ważnej książki *Śląsk wierny ojczyźnie*, strona dodatku satyrycznego do konspiracyjnej *Rzepy*, znakomita *Luźna kartka*, znaki tamtego czasu: dokumenty osobiste - kenkarta, zdjęcie domu w Warszawie, w którym mieszkał Jubilat w latach 1942-43. I piękne duże zdjęcie Róży Wróbel - ślicznej łączniczki „Izy”. Tam z obowiązku szefa, spotykałem się z nią

i coraz bardziej byłem pod urokiem jej oczu. [...] - przyznaje Jubilat. I już oglądamy ślub z Różą Wróblówną i odpis aktu ślubu.

I już wchodzimy w okres powojenny, budowanie domu i warsztatu pracy. Portret pisarza z 1946 r. W dojrzałej męskiej twarzy wypatrujemy śladów tamtego dziecka, chłopca, studenta. Są, skrywają się gdzieś na dnie oczu. Takich samych jak dzisiaj, gdy mówi: *Ależ Krystyno! Cóż ty o mnie opowiadasz?* Przyciąga wzrok plakat pierwszego spotkania autorskiego w wyzwolonych Katowicach, potem okładki książek *Od Opola do Wrocławia*, *Glossy śląskie*, *Strofy serdeczne*, zdjęcia z wyprawy Instytutu Zachodniego na Dolny Śląsk - to realizacja marzenia, iż *zachodem pójdą dzieje*. I już pisarz w nowej roli... Ojcowskiej. Już spogląda na nas Włodzimierz Bednorz, dzisiaj dr medycyny, lekarz wrocławski.

Teraz przemierzamy mroczną epokę stalinizmu. Lata pięćdziesiąte: uwięzienie autora *Śląska wiernego ojczyźnie*. Listy z więzienia we Wronkach do żony, pisma w sprawie uwolnienia Z. Bednorza, telegram informujący o powrocie z więzienia, dokumenty terroru, przy których winien przystanąć każdy, kto nie wie, jak wyglądał totalitaryzm.

Dalej wędrowka przez czas opolski. Rok 1954 - przyjazd do miasta nad Odrą: *A teraz - Opole moje. Opole nasze. Mieszkanie cudowne, trzypokojowe, z dużą balkonową werandą, ogrodem. Ulica Grunwaldzka 7, pierwsze piętro. A na tej ulicy stare drzewa blisko siebie stojące*. Tu nie trzeba było wrastać, bo wszystko było śląskie, własne, przyjazne. Rosła śliczna Marzenka, nastąpiła dobra odmiana czasu. Na zdjęciach widzimy pisarza przy pracy w domu, w gabinecie w Instytucie Śląskim, oglądamy uroczystość nadania tytułu doktora nauk humanistycznych. Są też opolskie i wrocławskie wnuki. No i jeszcze na chwilę wступujemy w atmosferę sakrosongów.

W gablotach wszystkie wydania książek, na które łakomym okiem spoglądają opolscy (i katowiccy) książkolubcy, tekstolodzy czują poruszenia serca widząc rękopisy wierszy dedykowanych żonie.

Jakże tu śpiewać *Sto lat*, gdy dwieście wydaje się mało; już lepiej *Gwiazdę pomyślności* i *Plurimos annos*. A najlepiej przytoczyć słowa Bednorzowego wiersza:

*Wciąż w księżde świata swoje kreślisz znaki, Te znaki życia serdeczne i piękne - Niechaj Cię nadal Bóg łaską bogaci I dniom przydaje słońca coraz więcej*

KRYSTYNA  
HESKA-KWAŚNIEWICZ

**D**on Kichot i jego wierny sługa, Sancho Pansa, to jedno z najpopularniejszych postaci w literaturze. Przygody bohaterów tej powieści Cervantesa stały się osnową wielu baletów. Już w roku 1614, w dziesięć lat po wydaniu tej arcydzieła pojawił się na jednym z dworów francuskich balet o Don Kichocie. Odtąd powieść Cervantesa inspirowała baletmistrzów kolejnych epok - lista tych realizacji jest spora, szczególnie w wieku XIX, gdy w 1869 roku wchodzi na scenę balet skomponowany przez wybitnego francuskiego choreografa, wówczas szefa cesarskiego baletu w Petersburgu, z muzyką Ludwiga A. Minkusa. I ta wersja później uzupełniona i skorygowana przez A. Gorskiego (1900 r.) stała się podstawą wielkiej kariery *Don Kichota* na scenach baletowych, choć w naszych czasach pojawiło się szeregi nowych baletów osnutych na powieści Cervantesa (m.in. Nurejew, Barysnykow).

Nadal jednak jako pozycja wzorcowa prezentowany jest balet oparty na libretcie i przekazach choreograficznych M. Petipy i A. Gorskiego. W tej wersji scenicznej *Don Kichot* nie jest dziełem filozoficznym, lecz opowieścią na wskroś przepełnioną perypetiami zakochanego w wyimaginowanej Dulcynei Don Kichota a także konkurujących do ręki pięknej Kitri, zwłaszcza urodziwego Basilio i obmierzłego Gameche'a.

*Don Kichot* w repertuarze Opery Śląskiej w Bytomiu po raz pierwszy pojawił się trzydzieści lat temu, w 1973 roku w realizacji Barbary Kasprowicz z Bolesławem Bolewiczem w partii tytułowej. W spektaklu tym, w roli Espady wystąpił Henryk Konwiński, wówczas znakomity tancerz, który przygotował *Don Kichota* we własnej inscenizacji choreograficznej.

Sceniczny *Don Kichot* to żartobliwie pokazane perypetie głównego bohatera, zakochanych w sobie Kitri i Basilio, starającego się o względy pięknej panny Gameche'a (w tej roli znakomitą, humorystyczną postać wykreował Kazimierz Cieśla) i dbającego o stosowne zamążpójście swej córki karczmarza Lorenzo. Urody przedstawieniu dodają liczne, szczególnie hiszpańskie rytmy, w takt których tańczą tancerze i tancerki, Cyganie ze swoją dynamiczną i pełną temperamentu muzyką, a także humorystycznie zaprojektowane postaci - jak chociażby sam Sancho Pansa, kreowany w bytomskiej premierze przez Krystynę Prokopiak.

Tytułowy Don Kichot to raczej postać statyczna - nie tyle tańczy, co przenosi się z miejsca na miejsce, stwarzając okazję do zmiany scen i rozwoju dalszej akcji. To, wbrew pozorom, niezwykle trudna i odpowiedzialna rola. W przedstawieniu Opery Śląskiej w Don Kichota wcielił się Ryszard Borys, który stworzył postać niezwykle charakterystyczną, refleksyjną, czasem melancholijną, a jednocześnie pełną humoru. Charakter postaci podkreślał pięknie zaprojektowany ko-



Jedna z popisowych scen Marty Fiedler (Kitri) i Marcina Dempca (Basilio).

## Posuwiste pas Don Kichota

BALET

stium, wybijający go spośród pozostałych uczestników scenicznych perypetii. Towarzyszący mu niezwykle ruchliwy Sancho Pansa - w tym przedstawieniu był prawdziwą błyskotką: rozbiegana, towarzyską, zalotną i dowcipną.

Na osobną uwagę zasługuje para tancerzy wykonujących popisowe partie Kitri i Basilio. Gościnnie w spektaklu premierowym wystąpili czołowi soliści Teatru Wielkiego w Poznaniu: Marta Fiedler i młodziutki, niedawny absolwent Szkoły Baletowej w Gdańsku, Marcin Dempc. Oboje, a nade wszystko Marcin Dempc, urzekli nie tylko urodą, lecz uderzającym talentem, muzykalnością, świetną techniką i zdolnościami aktorskimi. Stworzyli piękną parę, gromko oklaskiwaną przez bytomską publiczność. Precyzja wykonania układów choreograficznych zachwyciła najbardziej wybrednych. Popisowe partie solowe bądź duety warte były najwyższego uznania. Podkreślić jednak trzeba, że i tancerze Opery Śląskiej: wspaniali Grzegorz Pajdzik, Aleksander Pos czy Witalij Jakimowicz a także Bernadeta Maćkowiak i młodziutka Aleksandra Piotrowska, radzili sobie doskonale, chociaż w przypadku tej niedawnej uczennicy bytomskiej szkoły baletowej, widoczna była (czasem aż nazbyt) ogromna trema, która nie pozwalała na pełną swobodę. Ale jest to tancerka utalentowana, z dobrą szkołą.

Prawdziwe kreacje w charakterystycznych postaciach stworzyli Kazimierz Cieśla i Jarosław Światała - którzy swoją *vis comica* wnieśli do przedstawienia wiele radosnego śmiechu. Choć obaj to już baletowi „seniorzy”, dowiedli, jak ważna w tego rodzaju przedstawieniach jest nie tylko sprawność techniczna, ale - dzięki aktorskim zdolnościom - umiejętność stworzenia postaci niepowtarzalnej, o własnej, mocno zarysowanej osobowości.

Muzyka Minkusa - dziś już nieco starsowiecka i odrobinę ociężała, jest organicznie zrośnięta z akcją baletu i stwarza warunki do tanecznych popisów. Jego muzyka tworzona według XIX wiecz-

nych reguł tej sztuki, pod dyktando choreografa nie zawsze ma dość lekkości i tworzy zbyt sztywne ramy rytmu i konwencji. Toteż trudne zadanie przypadło Oldze Kozimali-Kliś, która wystąpiła w roli Księżnej - postać to z założenia statyczna. Nie mało musiał natrudzić się choreograf, jak i sama wykonawczyni, by osiągnąć to co pokazano podczas spektaklu. Tego rodzaju, bardzo rytmiczna, eksponująca poszczególne numery muzyka, wymaga od wykonawców wielkiej koncentracji, by osiągnąć pełną zgodność założeń choreograficznych z popisowymi walorami kolejnych scen *Don Kichota*, gdzie co partia i układ, to okazja do pokazu sztuki baletowej.

Dobrze swoje zadanie wypełnili uczniowie bytomskiej Szkoły Baletowej, którzy wzięli udział w premierze.

Henryk Konwiński nie po raz pierwszy dowiódł, jak dobrze czuje się w repertuarze baletowym o walorach komicznych (nie tak dawno dowiódł tego w pysznej „Córce źle strzeżonej”). Ten choreograf, który tak twórczo realizuje się także w baletach współczesnych (wyniósł to w końcu ze szkoły Leona Drzewickiego) opanował umiejętność nadania nowego wyrazu i świeżości pozycjom uchodzącym za konwencjonalne i starsowieckie.

Warto także podkreślić walory na scenografii przygotowanej przez Ireneusza Domagałę. Już od pierwszej chwili, kiedy oczom widzów ukazał się ogromny czerwony wachlarz, wiadomo było, że będzie to spektakl dynamiczny, złożony z mozaiki scen, niezwykle barwny. Rzadko zdarza się, by na widowni rozlegały się tak często brawa na widok sceny. Podczas *Don Kichota* wydawało się to nie raz. Domagała wykazał się dużą inwencją w wykorzystaniu poszczególnych elementów do zmiany miejsca akcji, co sprzyjało jej wartości, bowiem kolejne obrazy wymagały przerw technicznych ograniczonych do minimum.

Całość zrealizowana niezwykle starannie, z pomysłem na oryginalne rozwiązania, a zarazem dowcipna i wiele zabawna. Widać było, że przy realizacji *Don Kichota* spotkali się ludzie dobrze rozumiejący się: choreograf, kierownik muzyczny - Krzysztof Dziewięcki - wydobywający z partytury wszystko co najpiękniejsze w tej muzyce, scenograf i oczywiście zespół baletowy oraz soliści. Wszyscy zasłużyli na wielkie brawa. A sylwetka *Don Kichota* na długo pozostanie w pamięci każdego, kto na ten spektakl się wybierze.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Ludwig A. Minkus *Don Kichot*. Balet w 3 aktach - pięciu obrazach. Libretto według powieści Miguela Cervantesa. Inscenizacja i choreografia Henryk Konwiński, kierownictwo muzyczne Krzysztof Dziewięcki. Premiera w Operze Śląskiej 27 września 2003 roku.



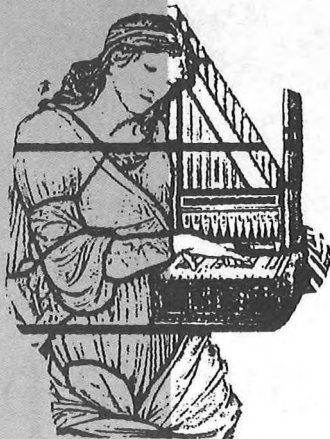
## XIII Festiwal Laureatów Konkursów Muzycznych

Październik przyniósł jak zwykle moc muzycznych atrakcji. Wśród nich jako wydarzenie dużej rangi i takiegoż stopnia „użyteczności publicznej” wypada wymienić XIII Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych zorganizowany przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” (12-23.10.br.).

Na festiwal złożyło się 47 koncertów. Połowa odbyła się w Katowicach, reszta w innych miastach śląskich, w miejscach znanych muzycznych festiwalu, którym partneruje „Silesia” (Wrocławiu, Nowym Sączu, Słupsku, Krynicy i Zakopanem), jak również w sąsiedzkich centrach muzycznych: Bratysławie, Lwowie i Kijowie. Koncepcja tegorocznego festiwalu przewidywała, jak poprzednio, połączenie występów młodych artystów z koncertami firmujących ich talenty gwiazd. W roli gwiazd wystąpili m.in. Urszula Kryger, Lidia Grychtołówna, bratysławski organista Jan Vladimir Michalko, japońska pianistka Tokiko Kobayakawa, „U-trio” z Kijowa (jego liderem jest znany katowickiej publiczności skrzypek Ostap Szutko) oraz „Guitar 4mation” z Wiednia. Utalentowaną młodzież muzyczną reprezentowali soliści z całego kraju (z naszych: Piotr Banasik, Ewa Biegas, Rafał Bartmiński, Agnieszka Bochenek-Osiecka, młodzieńki gitarzysta Dawid Bonk, Joanna Ciupa, organistka Marta Kogut, sopranistka Elżbieta Kolorz, Mikołaj Konopelski, skrzypek Mariusz Morys, altowiolistka Elżbieta Mrozek, oboista Adam Stachula, tubista Jakub Urbańczyk i sopranistka Joanna Wiśniewska). Wśród kilkunastu zespołów, które zagrały na festiwalu, warto wymienić „Grand Duo Concertante” z Ukrainy, wrocławski duet gitarowy Anny i Łukasza Pietrzaków, „Albrecht Quartet” z Bratysławy i katowickie Trio Stroikowe.

Koncerty Festiwalu Laureatów zostały uporządkowane według siatki stałych serii koncertowych „Silesii”, co znakomicie ułatwiło publiczności orientację w ogromie propozycji. Oceniając ideę i dorobek festiwalu nie sposób uciec od refleksji na temat trudnego położenia młodego muzyka – absolwenta akademii muzycznej, mającego nieraz imponujące osiągnięcia konkursowe. Dramat absolwentów polskich uczelni muzycznych polega na tym, iż posiadanie dyplomu, choćby z najwyższym wyróżnieniem, nie gwarantuje niczego: ani pracy, ani sukcesu. „Młodym

MIEDZY NUTAMI



zdolnym” pozostaje wyjazd na zagraniczne stypendium, ewentualnie uczestnictwo w mnożących się studiach podyplomowych na miejscu, które też nie gwarantują ani pracy, ani sukcesu, ale za to wydatnie podreperowują chude budżety uczelni, zmniejszając bezrobocie, wydłużając jednocześnie młodość muzykom. To ostatnie zwłaszcza jest nie do przecenienia.

### Jubileusz „Silesii”

Wśród wydarzeń omówionego wyżej festiwalu jest jedno, które wypada odnotować osobno: uroczysty koncert z okazji 20-lecia Instytucji, który odbył się 19 października w sali Filharmonii Śląskiej. Przyjmując udział w koncercie, wyrazy uznania dla „Silesii” i jej nieustrudzonej szefowej złożyły najwybitniejsze postacie polskiej sceny muzycznej: Urszula Kryger, Katarzyna Jankowska-Borzykowska i Lidia Grychtołówna. Z powodu choroby odwołano niestety przewidziany w programie występ Elżbiety Stefańskiej.

Koncert miał charakter uroczystej akademii, w trakcie której na ręce Ewy Pawlik-Żmudzińskiej spłynęły gratulacje od przedstawicieli władz, instytucji artystycznych, instytucji współpracujących z „Silesią” oraz artystów i prelegentów. Mówiono o wielkiej roli, jaką odgrywa placówka szerząc zainteresowanie muzyką wśród rozmaitych grup społecznych, podsumowywano osiągnięcia, jakimi są nie tylko wypracowana przez Instytucję wieloraka oferta koncertowa i zrealizowane przedsięwzięcia festiwalowe, ale i najcenniejsza „zdobycz” – wierna, stała publiczność, której można proponować najbardziej elitarne programy.

O samym koncercie można mówić tylko w superlatywach. Urszula Kryger wykonała ze swoją stałą partnerką Katarzyną Jankowską szereg pieśni Schuberta w sposób doskonały, łączący pełne zaangażowanie emocjonalne z dbałością o każdy szczegół interpretacji i ogromną muzykalnością.

Grychtołówna dała w swojej części koncertu, obejmującej wykonanie szeregu dzieł Chopina (m.in. *Scherza b-moll*, *Ballady F-dur* oraz *Andante spianato* i wielkiego *Poloneza Es-dur*) popis tradycyjnej polskiej pianistki, pełnej wyrazowych niuansów i żywiołowej. Bardzo podobala się śląskiej publiczności, która nagrodziła cały koncert stojącą owacją.

### Koncert i płyta z muzyką Woytowicza

Wśród jesiennych imprez zorganizowanych przez katowicki Oddział Związku Kompozytorów Polskich warto wymienić recital Moniki Sikorskiej-Wojtacy, który odbył się 29 października w Studiu Koncertowym Polskiego Radia. Koncert, „zaksięgowany” jako 91. Śląska Trybuna Kompozytorów, uświetnił równocześnie 10-lecie dwumiesięcznika „Opcje”, który ma niemały wkład w popularyzowanie muzyki poważnej i szerzenie najnowszej wiedzy o kulturze muzycznej. Koncert wypełniła muzyka nestora „śląskiej szkoły kompozytorskiej” Bolesława Woytowicza. W perfekcyjnym wykonaniu Moniki Sikorskiej-Wojtacy, od lat specjalizującej się w interpretowaniu utworów współczesnych, zabrzmiały mazurki, tańce polskie i wreszcie fortepianowe opus magnum Woytowicza – dwa zeszyty etiud.

Koncert poprzedziła promocja płyty z muzyką Woytowicza, którą nagrała Monika Sikorska dla warszawskiej firmy „Acte prealable”, specjalizującej się w dokumentowaniu mało znanych lub zupełnie nieznanych rozdziałów rodzimej twórczości muzycznej (za co jej chwała). Płytę zaopatrzone w książeczkę zawierającą uczony wywód na temat „wielorakość stylu Woytowicza”), niewolny od lapsusów językowych oraz okładkę, na której znajduje się... wizerunek królika. Jest to podobno aluzja do faktu, że Woytowicz miał w Katowicach prywatną hodowlę królików. Czy warto było się do tego, nieznanego szerszemu ogółowi faktu odwoływać? Mnie się Woytowicz nie kojarzy z królikiem, ani luksusowym z „Playboya”, ani swojskim, rodem z chlewika. Z chlewikiem to do kojarzy mi się Śląsk. Może to o to chodziło?

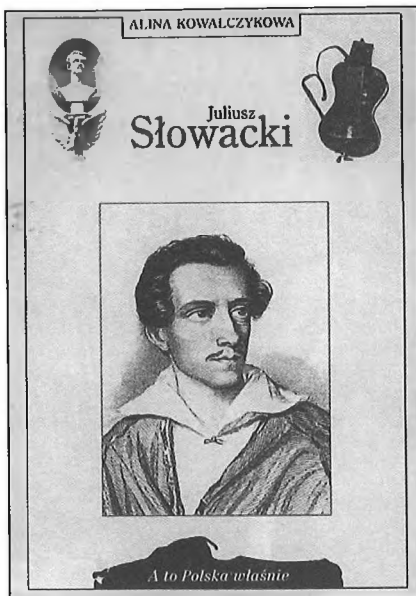
MAGDALENA DZIADEK

Ponieważ recenzowałem niegdyś na tych łamach książkę *Mickiewicz* prof. Jacka Łukasiewicza (Wrocław 1996), przygotowanego dla serii *A to Polska właśnie* Wydawnictwa Dolnośląskiego (*Mickiewicz - „największym polskim poetą”*), „Śląsk”. R. 2: 1996, nr 10, s. 68), z ogromną radością mogę wreszcie gorąco rekomendować Czytelnikom naszego miesięcznika kolejny tom tej serii autorstwa prof. Aliny Kowalczykowej - *Juliusza Słowackiego* (Wrocław 2003). O ile Łukasiewicz wyprzedził uroczyste i huczne obchody Roku Mickiewiczowskiego o blisko dwa lata, o tyle książka o Słowackim ukazuje się właściwie bez jakiegokolwiek jubileuszowego kontekstu. Zawsze w cieniu.

Właściwie samo zestawienie obu tytułów wiele nam wyjaśnia: Mickiewiczowi wystarczy nazwisko, Słowackiemu dodaje się imię, by nie mylić go z ojcem Euzebiuszem - profesorem Uniwersytetu Wileńskiego i autorem świetnej klasycystycznej teorii literatury (*Prawidła wymowy i poezji wyjęte z „Dziela”*; w latach 1826-1858 aż sześć wydań!), by nie myłono go, gdy nie zauważymy braku inycjalnej wielkiej litery, z narodem lub językiem naszych południowych sąsiadów.

Seria *A to Polska właśnie* stawia przed autorami szczególne wymagania: muszą oni na niewielkiej przestrzeni zmieścić to, co najważniejsze w biografii i dorobku tytułowego bohatera, muszą liczyć się ze stosunkowo szerokim kręgiem odbiorców, których nie interesują szczegółowe zagadnienia pasjonujące historyków i teoretyków literatury tudzież pozostałych „moli książkowych” różnych profesji. Nie interesują ich zagadnienia średniowiecznej i akcentacji, rytmu i wyszukanych rymów w tak kunsztownej strofie, jaką jest oktawa (strofa *Beniowskiego*), chcieliby natomiast wiedzieć, dlaczego „Słowacki wielkim poetą był” i - ewentualnie - kto to powiedział. Książki z tej serii można czytać na kilka sposobów: delectować się tekstem głównym, smakować niespiesznie niewielkie kęsy biografii bohatera i celne, aczkolwiek niezbyt obfite analizy jego dzieł. Można pieścić oko harmonijnie dobranymi ilustracjami (zazwyczaj kilkuset!) i towarzyszącymi im podpisami, które niekiedy stanowią starannie wyselekcjonowane fragmenty dzieł. Treści rozdziałów rozbija interesująca „żywa pagina”. Można też pokusić się o symultaniczne niejako pochłanianie polifonicznej propozycji, zachwycać się funkcjonalnością barwnych fotografii, wzajemnym przenikaniem się obrazów i słów. To książki do czytania i albumy zarazem. Wydawniczy majstersztyk.

Nie było osoby bardziej predestynowanej do napisania tej książki niż pani prof. Alina Kowalczykowa, profesor w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie, autorka m.in. książek - i tu Czytelnik *Juliusza Słowackiego* zauważy, że mój wybór spośród kilkunastu poważnych prac Autorki jest nieco inny niż podany w jej biogramie; zapewne ważne w jej dorobku pozostają *Liryki Antoniego Słonimskiego 1914-1939*, *Programy i spory literackie 1918-1939*, *Piłsudski i tradycja* oraz przygotowana do druku edycja korespondencji Aleksandra Wata. Jest jednak dla mnie prof. Kowalczykowa przede wszystkim autorką szeregu książek podejmujących problematykę europejskiego i polskiego romantyzmu: *Romantyczni szaleńcy* (1977), *Pejzaż romantyczny* (1982), *Słowacki* (1994, 1999), *Idee programowe romantyków*



## Słowacki - w cieniu Mickiewicza

*polских. Antologia* (1991, 2000; to w załozonej serii Biblioteki Narodowej, dla której opracowała m.in. również Juliusza Słowackiego *Krąg pism mistycznych*, 1982, *Sen srebrny Salomei*, 1992 oraz *Beniowskiego*, 1996), jest nadto autorką dobrego podręcznika: *Romantyzm. Podręcznik dla szkół ponadpodstawowych* (wyd. Stentor, pierwsze wyd. w roku 1994). Prof. Kowalczykowa suwerennie panuje nad całą twórczością poety, nad programami estetycznymi tego prądu, odróżnia kwestie ważniejsze od mniej istotnych. I gdyby nie te właśnie, wymienione wcześniej książki, śmiem twierdzić, nie otrzymalibyśmy tak wyważonych wypowiedzi o wrażliwości poety na krajobraz ukraiński i wschodni, o roli teatru ówczesnego dla ukształtowania się jego pomysłów dramatycznych, wreszcie o inspiracji malarstwem i rzeźbą barokową - dominujących w pewnym okresie w kształtowaniu się jego wyobraźni poetyckiej. „Autorzy książek o Juliuszu Słowackim, pisząc o jego wczesnej twórczości, najwięcej uwagi poświęcają pokrewieństwu literackim, temu, co czytał, i co od kogo zapożyczył” (s. 45.), prof. Kowalczykowa - i słusznie - szuka również inspiracji w realiach, które młody poeta chłonał z pewną łapczywością, dopiero później miał dokonać pewnej selekcji wrażeń i przetworzyć je w niepowtarzalne wersy.

Tekst główny podzieliła Autorka na 12 rozdziałów, których tytuły stanowią na ogół miasta - miejsca pobytu poety; wiek młodzieńczy zamyka się właściwie w 4 pierwszych: *Krzemieniec* - ze szlachecką genealogią i częścią lat szkolnych, *Wilno* - lata studiów, które odegrały w jego życiu

zupełnie inną rolę, niż w biografii Mickiewicza (Imperatorski Uniwersytet Wileński po procesie filomatów był już zupełnie inną uczelnią!), ważniejsze tu chyba rzeczywiście były „edukacja salonowa” i teatr, *Ukraina* - pierwsza z długich, fascynujących podróży... Nie będę zdradzał ani tytułów dalszych rozdziałów, ani tytułów „żywej paginy”, spośród których większość mogłaby się stać tematem sporu rozprawy.

Właściwie nie spodziewamy się po tomach tej serii szczególnych rewelacji, a jednak mógłbym z łatwością wymienić kilka! Wskażę tu przede wszystkim hipotezę, iż Słowacki mógł poznać o s o b i ś c i e Emira-atamana-Farysa, czyli Wacława Rzewuskiego (w Sawranu podczas swej ukraińskiej eskapady). Zachwycał się Mickiewiczowski *Farysem*, sam uczynił Rzewuskiego bohaterem francuskiej powieści *Le Roi de Ladawa (Król Ladawy)* i *Dumy o Wacławie Rzewuskim* (s. 60-63). Warto również dokładniej przyrzeć się sugestii - dotąd bodaj nie podejmowanej - iż Słowacki był zainteresowany postacią i twórczością Stanisława Trembeckiego. Rewelacją, chociaż o nieco słabszym odcieniu, bo powinienem się być tego spodziewać, jest niezwykle wyważenie sądów w sprawach drażliwych: podejrzenie koneksji wileńskie, „antagonizm wieszczów”, romans z Joanną Bobrową, udział w sekcje Towiańskiego. A ileż warto jest to jedno zdanie: „Jakaż szkoda, że wciąż nie ma dla *Fantazego* miejsca w szkolnych lekturach, że niezmienne okupuje je młodzieńczy *Kordian!*” (s. 216).

Odrębną niejako wartość stanowi skompletowanie ponad trzystu ilustracji (niektóre wydobyto z przepastnych archiwów i wydrukowano po raz pierwszy - znakomicie, jak zwykle, okazali się tu wspomagający Autorkę Ryszard Puchała i Jan Stolarczyk). Zwróćmy tylko uwagę na kartę tytułową: trzeba się dobrze wczuć w tekst, by pojąć intencję tego tryptyku, dlaczego *Portret Juliusza Słowackiego w fezie* Teofila Januszewskiego umieszczono pomiędzy kościołem w Poczajowie i fotografią monumentalnego szczytu Mont Blanc. Poeta, mając za plecami górę Kordiana, patrzy na podnóże zespółu klasztornego.

Oczywiście, zgadzam się, że „Dzieje sławy Juliusza Słowackiego to temat ogromny [...]” i chciałoby się przeczytać o niej nieco więcej; choć i tak świetnie w niej funkcjonują i Piłsudski, i Gombrowicz. Jako historyk literatury muszę jednak zdecydowanie wytknąć, iż *Bibliografia* ograniczona do 8 pozycji, spośród których nie ma ani wydań dzieł poety, ani tomu 11 Nowego Korbuta Haliny Gacowej poświęconego w całości Juliuszowi Słowackiemu (Osso-lineum, 2000) to jednak stanowczo zbyt daleko posunięta powściągliwość.

Recenzję poświęconą *Mickiewiczowi* kończyłem zdaniem, iż „książka Jacka Łukasiewicza powinna się znaleźć w każdym polskim domu, obok *Dziadów* i *Pana Tadeusza*”. U progu naszego powrotu do Europy, gdy poczucie narodowej przemości powinniśmy budować raczej przy nieco większym udziale wykształcenia, mniejszą zaś wagę przykładać do tak cenionego niegdyś romantycznego entuzjazmu, uważam, że *Juliusz Słowacki* Aliny Kowalczykowej powinien znaleźć się w k a ż d y m k u l t u r a l n y m p o l s k i m d o m u, obok (nie *Mickiewicza* - to by już była przesadna ironia) *Beniowskiego* i *Fantazego*.

MAREK PIECHOTA

Godnie, choć akurat nie w podniosłym jubileuszowym tonie Wydawnictwo Literackie uhonorowało 80-lecie urodzin wybitnego krakowianina, profesora Henryka Markiewicza. Ten zaliczany do najznakomitszych humanistów polskich, wielki erudyta o ogromnym autorytecie naukowym i osobistym, badacz piśmiennictwa o imponującym dorobku i mistrz kilku generacji polonistów nie tylko macierzystego Uniwersytetu Jagiellońskiego, znany jest także z dystansu do własnej osoby, poczucia humoru i wielkiej tolerancji. Dowodem również i ta książka pod tytułem „Mój życiorys polonistyczny z historią w tle” z istotnym członem drugim: „Rozmową z autorem uzupełniła Barbara N. Łopieńska”, która poszerza i dopełnia w sposób zasadniczy autobiografię spisana bezpośrednio przez Henryka Markiewicza, o czym świadczy spora objętość książki. Wymowne są dysproporcje pomiędzy jego własnym tekstem obejmującym lata do 1956 roku, liczącym ponad 60 stron, a okresem obejmującym następne ponad 50 lat życia spisane na zaledwie 3 stronach. Gdyby nie doszło do uzupełnienia szczególnie tej partii biografii, poprzez mocno rozbudowaną rozmowę, byłaby to inna książka, pozbawiona wielu ważnych informacji, komentarzy, zwierzeń i dopowiedzi, często o niezwykle ważnych sprawach i to o historycznym znaczeniu. Powstała więc książka spora, licząca 242 strony, z aneksem bibliograficznym (opracowanym przez Beatę Dorosz), bibliografią prac Henryka Markiewicza (w wyborze), indeksem osobowym i blokiem ilustracji (akurat nie najlepszej technicznej jakości).

Dlaczego aż tak osłabł Henryk Markiewicz w tym składniny jubileuszowym wydawnictwie potraktował pół wieku swego życia po roku 1956? Profesor uzasadnia to następująco: *Wcześniejszy okres wydaje mi się bardziej interesujący, skomplikowany, burzliwy, chwilami niezwykle — to raz. Po drugie, do siebie jako dziecka mogę mieć dystans, mogę też mówić bez zastrzeżeń o klęskach czy niepowodzeniach młodości, a o sukcesach bez obawy o to, że będę traktowany jako samochwał. Z życiem późniejszym jest inaczej.*

Zapewne chodziło też o uniknięcie ocen i osądów dotyczących własnego środowiska oraz autokomentarzy podjętych decyzji i wyborów wyrażonych wprost. Nawet indagowany licznymi pytaniami przez dociekliwą rozmówczynię Henryk Markiewicz stara się być powściągliwy i pojedynczy. Z reguły nie moralizuje i jak może pomniejsza swoje zasługi. A przecież stał nie raz przed decyzjami i wyborami zasadniczej wagi. Zapytany dlaczego z nastaniem stanu wojennego, choć sympatyzował z „Solidarnością” nie wystąpił z partii, wyjaśnia, że na pozostanie w niej na pewno wpłynął w pewnym stopniu czynnik oportunistyczny, lecz pozostając w niej miał jako dyrektor Instytutu Filologii Polskiej większe szanse chronienia (...) zagrożonych kolegów. Stanowiąc wówczas w tej roli jednoosobową komisję weryfikacyjną wpłynął na to, że Nikt z pracy nie został zwolniony. Starał się też pomagać ludziom opozycji, choć szerzej nie rozwija tego wątku. To ważne świadectwo, że w trudnych okresach historii nie zawsze sytuacje politycznie jednoznaczne są moralnie niepodważalne, wiele postaw i decyzji ma jednak swoją osobistą cenę.

Pierwotnie Henryk Markiewicz zamierzał ograniczyć swój zapis do „życiorysu naukowego”, choć nawet w tym wypadku miał wątpliwości, jako że nie uważa swoich osiągnięć na tym polu za tak cenne, by dzieje ich powstawania warto było upamiętniać. Uważa nawet, że w jego pracach nie ma wielkich nowych pomysłów; ich mocną stroną jest kry-



## W panoramie życia

tyczna synteza lub faktografia, a takie prace szybko się starzeją i ulegają zapomnieniu. I pomyśleć, że taki sąd o sobie wygłasza — i to już na pierwszej stronie — luminarz uniwersyteckiej polonistyki, uczony bez którego dokonania polskie literaturoznawstwo mogło do dziś nie mieć podstawowych prac teoretycznych, poczynając od fundamentalnych „Głównych problemów wiedzy o literaturze”, a którego bibliografia obejmuje ponad 1400 pozycji.

„Życiorys polonistyczny z historią w tle”, z upływem lat z coraz większym naciskiem historii, ma wiele barwnych i pasjonujących kart. Henryk Markiewicz (wcześniej Herman) urodził się w roku 1922 w Krakowie w rodzinie kupieckiej. Od najwcześniejszych lat żył zamknięty w świecie książek i literatury, która stanie się później zawodem i „sposobem na życie”. Profesor tłumaczy to potrzebą kompensacji, skoro był — jak stwierdza: *dzieckiem nieładnym, chorowitym, niezaradnym i niezgrabnym (do czego przyczyniła się nadopiekuńczość matki, i moja nadmierna tusza), skutek tego — nerwowym i nieśmiałym.* To oczywiście mogło mieć znaczenie, ale nie wyjaśnia zasadniczej motywacji. Była nią wyjątkowa potrzeba wiedzy poparta fenomenalną pamięcią. Z zachowanego spisu lektur wylania się niezwykle czytanie dziecka, potem chłopca, który w wieku 12—14 lat ma za sobą kanon lektur na poziomie uniwersyteckim: zgłębia Ingardena i Kridla, przegryza się przez Kanta, w wieku lat 15. publikuje w cenionym „Kurierze Literacko-Naukowym” (redakcja nie orientuje się, kim jest autor tych erudycyjnych rozpraw historycznoliterackich).

Ostatnie lata przedwojenne są także czasem zwątpień, upokorzeń, poczucia braku perspektyw nie bez przejawów narastającego antysemityzmu. Matury Henryk Markiewicz już nie doczeka. Wybuch wojny: ucieczka z ojcem z Krakowa, pobyt we Lwowie, deportacja w głąb Rosji, praca przy wyrębie w Tajdze... Znajdzie się wówczas na granicy biologicznego wycieńczenia wskutek wyczerpania głodowego. Lecz nawet w tych warunkach nie traci zainteresowania literaturą i ze słownikiem rosyjskim przegryza się przez dostępne książki. To także czas pierwszych kontaktów z marksizmem, który odegra tak wielką rolę w biografii naukowej Henryka Markiewicza. Po latach komentując swe największe „szaleństwo naukowe” stwierdzi: *Jedno było tylko takie szaleństwo — marksizm. Najbardziej ryzykowne hipotezy teoretyczne wysunąłem z pozycji marksistowskich. Kiedy nabrałem do marksizmu dystansu, stałem się rozsądny. Odąd już żadnych szaleństw nie popełniałem.*

Fascynujące są fragmenty biografii gdy z końcem 1946 roku Markiewicz wraca do Krakowa i rozpoczyna życie od podstaw. Z rodziny nie zastał nikogo. Żyje w skrajnym ubóstwie, by móc łączyć studia z pracą zarobkową (przyjęty na studia w oparciu o wykaz imponujących lektur). Powojenna polonistka krakowska skrzy się od najświetniejszych nazwisk: Juliusz Kleiner, Stanisław Pigoń, Zenon Klemensiewicz, Kazimierz Wyka, który jest głównym opiekunem naukowym zapracowanego studenta. A jak wybitnym był studentem dowodzi fakt, że już w tym okresie został asystentem, zaś za egzamin magisterski uznano... zaaranżowaną rozmowę przez Pigionia i Wykę. W roku 1955 obroni doktorat. Omijając stopień docenta zostaje profesorem nadzwyczajnym, w 43 roku życia — członkiem PAN-u.

Książka wprowadza nas w barwny pejzaż życia uniwersyteckiego i literackiego Krakowa tych lat. Są to czasy mocno naznaczone historią nie tylko w tle i to na licznych środowiskowych obszarach: naukowym, literackim, artystycznym, skoro w ówczesnych warunkach końca lat 40. i pierwszej połowy 50. sfery te przenikają się i nakładają, aż po czasy „odwilży” i przełomu październikowego. To lata oficjalnej ideologii marksistowskiej w wersji radzieckiej, socrealizmu w kulturze, aż po kolejne etapy socjalizmu „z ludzką twarzą”. Z relacji i komentarzy Henryka Markiewicza wylania się skondensowany obraz tamtych czasów, pełen dyalematów, trudnych decyzji i uzależnień, ale i wielu otwartych szans oraz podniet i fascynacji naukowych, bo w tych ramach: ambitnego literaturoznawstwa, działalności uniwersyteckiej i naukowej toczyło się przede wszystkim życie Henryka Markiewicza, który może z przekonaniem stwierdzić: *szedłem własną drogą.*

Książka wydana z jubileuszowej okazji, z historią pulsującą w tle, zawiera wiele istotnych wątków i problemów biografii nie tylko naukowej Henryka Markiewicza. Jest przy tym okraszona licznymi zdarzeniami o charakterze anegdotycznym autora „Skrzydlatych słów”, które tropi od dziesięcioleci: człowiek z natury życzliwy, dowcipny, bezpośredni — profesor nieprofesorski, co potwierdzają także zdjęcia w scenarii „Piwnicy pod Baranami”, czy na huśtawce. Z satysfakcją godzi się odnotować i to, że do kręgu stałych lektur profesor Henryk Markiewicz zalicza miesięcznik „Śląsk”, zaś w aneksie biograficznym ujęty jest tytuł honorowego członka Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, którym został w 1993 roku.

TADEUSZ KIJONKA



Józef Franciszek Tkocz  
1901–1969



*Patriota, nauczyciel i artysta malarz*

Jarosław Podworski: *Józef Franciszek Tkocz 1901–1969. Patriota, nauczyciel i artysta malarz*, Katowice 2003.

## Dwie ojczyzny J. Tkocza

**C**hociaż książka Józefa Podworskiego dokumentuje życie jednego człowieka, można w nim niby w lustrze znaleźć odbicie wielu innych biografii nierozdzielnie związanych z historią Górnego Śląska. Zarówno z tą bardziej odległą, jak i sprzed zaledwie lat kilkudziesięciu. A były to doświadczenia i losy niezwykle dramatyczne, podobnie jak historia tej ziemi na przestrzeni ubiegłego wieku. Autor biografii, a zarazem wnuk opisywanej przez siebie postaci, rzadko pozwala sobie na bardziej osobiste dywagacje związane z życiem dziadka i historią rodziny, z której Józef Franciszek Tkocz się wywodził. Bo niewątpliwie tradycje rodzinne i wychowanie jakie otrzymał, w dużej mierze wpłynęło na późniejszą, niezwykle ożywioną działalność bohatera książki, przede wszystkim na polu społeczno-politycznym.

Podziały narodowościowe nie ominęły również rodziny Tkoczów. Część rodzeństwa ojca Józefa, Ernesta, brała aktywny udział w polskim ruchu narodowym, część wyjechała w głąb Niemiec. Ernest Tkocz był z przekonania Polakiem, działaczem PPS-u, na jakiś czas trafił nawet za aktywną działalność na rzecz partii do więzienia. W roku 1918 wstąpił do POW, wziął aktywny udział w powstaniach śląskich. Swego syna Józefa,

od najmłodszych lat interesującego się sztuką wysłał do Krakowa na naukę malarstwa. Józef Tkocz ukończył później seminarium nauczycielskie, zdążył również wziąć udział w powstaniach, by w roku 1922 rozpocząć pracę w zawodzie nauczyciela w Szkole Publicznej w Odrze, a następnie w Jastrzębiu Górnym. W latach trzydziestych aktywnie działał w różnych organizacjach politycznych, społecznych i oświatowych, zdawał więc sobie sprawę, co mu grozi po zajęciu Śląska przez Niemców. Ostrzeżony przez polski kontrwywiad opuścił Jastrzębie. Nie przypuszczał zapewne, że jego wojenna tułaczka potrwa aż do roku 1946, a przez sześć lat jego drugą ojczyzną stanie się Ziemia Święta do której duchowo wracał do końca życia. Tam właśnie z pasją poświęcił się malarstwu, swojej życiowej pasji, zdobywając wiele nagród i wyróżnień. Większość zamieszczonych w książce reprodukcji obrazów Józefa Tkocza pochodzi właśnie z tego okresu, chociaż malował przez całe życie. Autor szczegółowo przedstawia wojenne i powojenne losy bohatera, który do końca prowadził niezwykle ożywioną działalność zawodową i społeczną na rzecz swojej „małej ojczyzny”, na tyle na ile to było możliwe w czasach PRL-u, kiedy Ślązaków, do tego jeszcze wracających zza granicy traktowano podejrzliwie.

Starannie wydana książka Jarosława Podworskiego przedstawia również dzieje najbliższej rodziny Józefa Tkocza, w tym historię znakomicie ilustrującą stosunek ówczesnych władz do Kościoła Katolickiego w Polsce. Po śmierci męża, Wikoria Tkocz - również kombatancka powstań śląskich i AK - przeniosła się do Katowic, by być bliżej dzieci. W roku 1973 władze brutalnie eksmitowały ją z własnego mieszkania na Osiedlu Tysiąclecia. Powód? Obawa, że w tym właśnie mieszkaniu na osiedlu, które miało pozostać laickie i bez Kościoła, rozpocznie działalność duszpasterską książdz, syn Wiktorii, Stanisław Tkocz, redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego”.

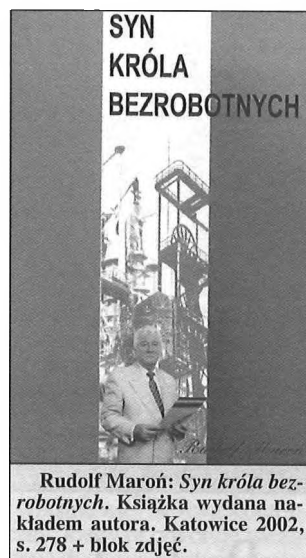
EDWARD KABIESZ

**P**ozycja godna uwagi nie tylko ze względu na osobę autora, a właściwie bohatera książki sportretowanego na okładce. Rudolf Maroń jest na Śląsku postacią w wielu środowiskach znaną. Od lat uchodził za osobę kontrowersyjną ze względu na przekonania, opinie i stanowczość w demonstrowaniu swoich politycznych deklaracji. A zdarzał się z rzeczywistością często, niekiedy wręcz prowokował los skoro potrafił w słusznej sprawie wejść w ostry spór z własną partią, z której był dwukrotnie relegowany ryzykując otwarty konflikt z wszechmocnym Zdzisławem Grudniem. Jak hardym partnerem bywał w sytuacjach trudnych, świadczą okoliczności, które spowodowały odwołanie go z funkcji I sekretarza Komitetu Powiatowego w Ty-chach, gdy na znak protestu Maroń zatrudnił się jako prosty górnik dolowy. Te cechy charakteru przebijają z wielu stron „Syna króla bezrobotnych”, zwracając uwagę polemiczną pasją i ostrością sądów w ocenie wydarzeń i sytuacji z osobistym udziałem.

Ta obszerna, wydana w starannym redakcyjnym opracowaniu, (z indeksem osobowym i blokiem fotografii), solidnie udokumentowana księga, stanowi w swoim podstawowym zrebie rozliczenie z własnym życiem i czasami w jakich przyszło Maronowi żyć. Wiele miejsca zajmują lata ostatnie, gdy jako długoletni dyrektor Centrostalu Gómońskiego w Katowicach, którym kierował nieprzerwanie przez 28 lat, został pod spreparowanym pretekstem odwołany w roku 2000 ze stanowiska w firmie, choć rozwinał ją zwłaszcza w ryzykownych warunkach „wolnego rynku” doprowadzając, jako przedsiębiorstwo państwowe, do pełnego rozkwitu. Maroń miał ambicje dowiedzenia, że można w warunkach kapitalistycznych prowadzić z sukcesem przedsiębiorstwo państwowe z pełnym zakresem świadczeń socjalnych, respektując „socjalistyczne reguły współżycia”. Jednocześnie dzięki sukcesom ekonomicznym podejmować się roli sponsora w zaspokajaniu potrzeb służby zdrowia, instytucji charytatywnych a także mecenasa przedsięwzięć w sferze kultury (również „Śląsk” mógł w tym czasie liczyć kilkakrotnie na wsparcie).

Okolicznościom tego głośnego w swoim czasie odwołania poświęca Maroń wiele uwagi demaskując przy okazji prawdziwe motywy decyzji ówczesnego wojewody Marka Kempskiego. Te partie książki ukazują korupcyjne mechanizmy na styku władza – biznes, są więc także i pod tym względem dokumentem czasu. Fakt, że Maroń wydał tę sporą księgę własnym nakładem, jest dowodem jak bardzo zależało mu na odsunięciu podejrzeń od własnej osoby, gdyby miało dojść do narażenia jego „reputacji zawodowej i społecznej”.

Wymowny tytuł książki ma istotne uzasadnienie w biografii Rudolfa Maronia, rodowitego chorzowianina oraz w motywacji życiowych postaw i wyborów ideowych, w czym zasadniczą rolę odgrywał od początku ojciec – tytułowy król bezrobotnych: Józef



Rudolf Maroń: *Syn króla bezrobotnych*. Książka wydana na nakładem autora. Katowice 2002, s. 278 + blok zdjęć.

## Autoportret z pasją

Maroń. To niebywała postać nieugiętego robotnika, zdeklarowanego komunisty, który nieustannie tracił pracę nawołując do buntu i strajków, skazując rodzinę na upokorzenia i życie w nędzy. Wielokrotnie trafiał do więzień, aresztowany często zapobiegawczo. Został osadzony nawet w Berezie Kartuskiej, a po wybuchu wojny — w hitlerowskim obozie pracy. A jednak Rudolf Maroń wspomina swój „dom” (w istocie lokatorska izba), jako miejsce pełne rodzinnej ciepła, godności i niezłomnych zasad, także trwania przy polskości w czasach okupacji niemieckiej. Przez całe dorosłe życie demonstrował swoją zadziorną śląskość, co znalazło także wyraz w nadaniu Centrostalowi dwuczłonowej nazwy z naciskiem na Górno-śląską.

Książka „Syn króla bezrobotnych” przynosi wiele barwnych i ważnych zapisów z codzienności śląskiej w rodzinnym Chorzowie przed wojną i w latach okupacji. Ujawnia sporo interesujących szczegółów z powojennych etapów, w tym z funkcjonowania aparatu partyjnej władzy. Jest przetkana anegdotami, barwnymi scenkami osnutymi wokół prominentnych postaci, które mają swoje miejsce, dobre czy złe, w historii nie tylko Śląska. Godna uwagi jest sama forma książki. Otóż nie jest utrzymana w tonacji zwartej autobiografii z dominującą narracją autora. Obok zapisów własnych są tu zamieszczone liczne wypowiedzi i wspomnienia innych osób a także rozmowy z samym Rudolfem Maronem oraz dokumenty, listy i publikacje prasowe z prywatnego archiwum. Wiele przedstawionych faktów i wydażeń z komentarzami autora może mieć wartość dla historyków, także ze względu na zaprezentowane stanowisko wobec własnej biografii.

PAWEŁ GRABARCZYK



## Pod rękę z wampirem

*Wampir. Biografia symboliczna* to pierwsze tego rozmiaru kompendium wiedzy wampirologicznej, jakie powstało w przeciągu ostatnich stu lat, podczas których tajniki życia wampira zgłębiać mogliśmy jedynie w, skądinąd nienajgorszych, wstępach, jakimi opatrywano antologię opowiadań grozy (np. wstęp pióra Marcina Bradke w *Pokoju na wieży* oraz René Śliwowskiego w *Opowieściach niesamowitych*). Nazwisko profesor Marii Janion, sygnujące wspomnianą nowość, jest gwarantem nie tylko ożywczych w swej kontrowersji tez, ale i pełnej erudycji opowieści.

Termin *opowieść* nie został użyty przypadkowo. Zastosowane w tytule, nieco przekorne i wyzywające określenie *biografia* znajduje pełne uzasadnienie w tekście: daty i miejsca, portrety i fakty (te rzeczywiste i te - fikcyjne) układają się w fascynującą opowieść, którą określiłabym jako postmodernistyczną powieść grozy: z jednej strony mamy konglomerat wiadomości z historii literatury i filmu, etnografii, religii, filozofii, medycyny, a także wyciąg z kronik sądowych i historii oby-

czajów, z drugiej - kamienną twarz autorki, która bez wahania wskazuje na wszelkie okropieństwa związane z tematem.

Paradoks książki Janion polega na sugestii, iż jedyną różnicą między człowiekiem a wampirem jest różnica znaku: substancją decydującą o istnieniu obojga jest krew. Tym samym upiór przestaje być uosobieniem diabelskich mocy - jego historia zaczyna się i kończy na człowieku (człowiek jako potencjalny wampir), a to, co w nim niepokoi, to ciemne moce natury (tym samym wampir zyskuje rodowód kulturowy - jest wytworem ludzkich lęków). Janion nie byłaby jednak sobą, czyli badaczem romantyzmu, gdyby pod jej piórem portret wampira nie zaczął opalizować, coraz wyraźniej ujawniając podobieństwo do romantycznego wizerunku szatana. I tak szczególnie silnie ekspozowana jest przeraźliwa niepewność ontologicznego statusu wampira (zawieszony między życiem a śmiercią), a wraz z nią przesyciona melancholią samotność, której czarowi zdaje się ulegać sama autorka.

Niedoskonałości są, bo być muszą, np. pisząc o motywie „miłości mimo zarazy”, wspomnieć by można o *Doktorze Faustusie* Tomasza Manna, a skoro osobne strony poświęcono lordowi Byronowi, dziwi nieco brak wzmianki o zjawie mnicha, ukazującej się w rodowej siedzibie poety. Nie to jest jednak najważniejsze. Opowieści wampiryczne tworzą, wg Janion, „alternatywną historię ludzkości”, obejmującą czas od prawieków po współczesność (a nic nie wskazuje, by w przyszłości mit ten miał stracić na popularności); oznacza to, że spacer przez historię odbywamy razem. Pod rękę z wampirem.

AGNIESZKA  
ROZPŁOCHOWSKA

... to co piękne / zazwyczaj jest kruche - pisze w jednym z wierszy nowego tomu *Tlen* Krzysztof Kuczkowski. I kruche są jego wiersze - 69 cienkich stron, spiętych granatową okładką. A w środku dużo piękna - najprawdziwsza poezja. Wiersze Kuczkowskiego, autora związanego z Sopotem, szefa miesięcznika „Topos”, nie gwarantują czytelnikowi spokoju, nie pozwalają odetchnąć po uporządkowaniu świata. Poeta zadaje w nich więcej pytań niż znajduje odpowiedzi. Ostatecznie zdaje się na natchnienie, które prowadzi go w sobie tylko wiadomym kierunku. Jak nieomylny przewodnik, któremu musiał zaufać on - badający w lustrach druku / swój pożalowania godny kontur. On - znajdujący w piśmie punkt swego odniesienia. *Zwiasztun słowa przychodzi kiedy chce / nie można go zatrzymać ani użyć do / rozwikłania ludzkich zagadek* - konstatuje we *Fragmentach o życiu i miłości*. Słowo przybliży tylko do krawędzi, do granicy światów. Czarne i białe nury z tłustymi piórkami, nurkując w głębinę jeziora, zapadają w czeluść czasu („Czas. Ciche dzwonięcie”). Słowo zawisa nad tą niewiadomą, nad niepoznawalnym dla odbiorcy wnętrzem toni. Przebywanie nurów pod wodą przestaje być określone czasem. Przez chwilę, może wieczność, znajdują się w innej przestrzeni.

W swoich wierszach Kuczkowski zwraca uwagę właśnie na tę przestrzeń tajemnicy. Powoli z kolejnych tekstów wyłania się obszar niedostępny rozumowi ani doświadczeniu, przeżywany bardziej niż istniejący wymiennie, a przecież paradoksalnie - bardziej realny niż rzeczywistość. Piękny jest *porcelanowy anioł, pochylający głowę nad gipsową gałązką palmy; bladoróżowe anturium z doręczkami żyłek*. Ale one nie dają żadnej gwarancji na nasze trwanie w tym świecie. Są tylko chwilowym potwierdzeniem naszej



## Przestrzeń tajemnicy

bytności tutaj. Wciąż mamy tylko ręce szukające oparcia / w przedmiotach / i nie znajdujące niczego / poza poręczami powietrza („To co piękne”). Dla stąpającego po tej płynnej płaszczyźnie wody - to często pojawiające się słowo-klucz tej poezji - jedynym oparciem wydaje się wiara. Przekonanie, że można uchwycić czyjeś wyciągnięte dłonie, aby woda zmieniła się w pewną ziemię. Dłonie Chrystusa wołającego do Piotra, aby szedł do niego po wodzie. Dłonie zamiast „poręczy powietrza”. ... i pomyśl takie cuda czy- ni miłość / stworzenia do stworzenia a tamta wiel- sza / czy tęsknisz za nią jak ja - pyta twórca „Prognozy pogody” w wierszu „Do Ewy w Tours nad Loraą”. Nie nachalnie wskazuje na tę jedyną podpowiedź, skąd czerpać siłę, by chodzić po krawędzi. A krawędź - różne jej odmiany, skosy i pochyłości, o których pisze, to przecież życie. Sytuacja graniczna między urodzinami a śmiercią.

Moment albo wieczność.

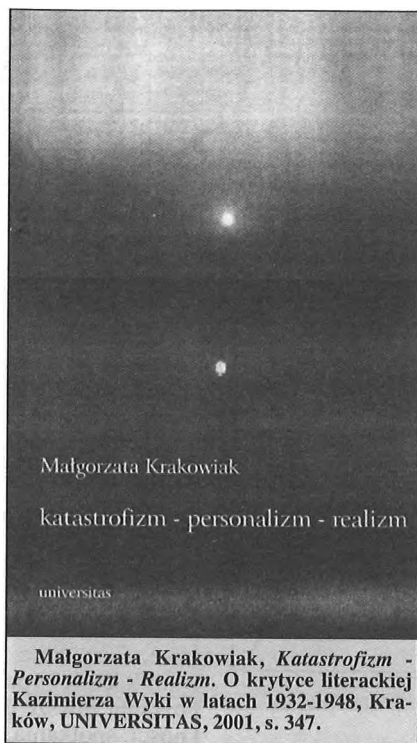
BARBARA  
GRUSZKA-ZYCH

Małgorzata Krakowiak podjęła próbę zmierzenia się z bezdyskusyjnie nieocenionym dorobkiem Kazimierza Wyki, mistrza kolejnych pokoleń krytyków i - co należy od razu zaznaczyć - zwycięsko podjęła wyzwanie pojednania intelektualnego z osobą, która kreśliła modele, tendencje i charakterystyki w literaturze i kulturze przez półwiecze minionej epoki. O tym, że zadanie było nielatte, świadczy poniekąd recepcyjna posucha, albowiem po pamiątkowych szkicach zebranych w tomie *Kazimierz Wyki. Charakterystyki. Wspomnienia. Biografia* pod redakcją Henryka Markiewicza i Aleksandra Fiuta z 1978 roku oraz wydanej trzy lata później książce Krzysztofa Dybciaka pt. *Personalistyczna krytyka literacka. Teoria i opis nurtu z lat trzydziestych, Katastrofizm - Personalizm - Realizm* jest pierwszą monograficzną pracą o krytycznoliterackiej myśli uczonego.

Jak więc Małgorzata Krakowiak zaprezentowała wybrany temat? Przede wszystkim rozsądnie wyznaczyła cezurę w dorobku krytyka i... rozpoznała początki, proces kształtowania się jego poglądów. Stąd zakreślenie granic czasowych: od roku 1932, w którym Wyka zadebiutował, po rok 1948, w którym wydał *Pogranicze powieści*, zbiór uznany za podsumowanie tuż powojennej aktywności autora, zawierający gros publikowanych w tym okresie tekstów krytycznych, omawiających niemal na bieżąco ówczesne nowości literackie.

Monografistka zastosowała podwójny klucz do otworzenia - używając metafory samego autora - szafy z jego tekstami. Pierwszy to Historia - pisana z wielkiej litery, która wykreśliła polityczny, społeczny i kulturowy obraz XX wieku, oraz zależna od Niej mała historia indywidualnych losów, a przede wszystkim intelektualnej drogi krytyka i historia literatury. Drugi klucz to filozoficzne podstawy składające się na - jak dowodzi Małgorzata Krakowiak - oryginalną i spójną myśl krakowskiego humanisty, układającą się w trzy zasadnicze propozycje: katastrofizm, personalizm i realizm.

Rok 1932. To pierwsza data, w której wydarzenia ogólne znacząco zbiegły się z biografią uczonego i krytyka. Zarówno w perspektywie ówczesnych czasów jak i po latach rok ten uznawany jest w historii literatury i - szerzej - kultury za przełomowy. Na taki to okres przypadała inauguracja zawodowej kariery Kazimierza Wyki, który opublikował pierwszą recenzję, poświęconą - jak pokazał upływ czasu - literackiemu arcydziełu: *Nocom i dniom*. Trzy lata później stypendium przeznaczone dla młodych naukowców, spędzone na stażu w Belgii i Francji, zaowocowało pierwszym poważnym artykułem zainspirowanym ideami personalistów (*Prądy duchowe wśród młodzieży francuskiej*) i - pośrednio - następnym, przenoszącym na polski grunt obserwacje poczynione na zachodzie Europy (*Perspektywy młodości*). Dzięki optymistycznej myśli obecnej w personalistycznej filozofii Wyka - zdaniem autorki - przewidywał drugie, stałe obecnie w kręgu jego uwagi, doświadczenie: katastrofizm, dominujący wówczas wśród elit



## O Wykowskim katastrofizmie, personalizmie i realizmie

dwudziestolecia międzywojennego (casus Witkacego). Katastroficzny światopogląd okazał się jednak jednym z wyznaczników świadomości generacji, do której sam należał: do pokolenia 1910. Pokoleniowa diagnoza Wyki nie brzmiała optymistycznie: młodzież wchodząca w dorosłość zdominował brak perspektyw, wynikający z nawastwienia się kilku niesprzyjających okoliczności zewnętrznych (kryzysu ekonomicznego, bezrobocia, wzrostu tendencji faszystyzujących życie społeczne i polityczne). Samemu autorowi jednak owe generacyjne nastroje nie przeszkodziły w aktywności krytycznej, w której - co akcentuje badaczka - stał się propagatorem i interpretatorem twórczości swoich rówieśników.

Rok 1939. Wielka Historia zapisała się w polskiej świadomości druzgocącą przegraną kampanii wrześniowej, czemu wyraz dał także Wyka w pisanym na świeżo *Pamiętniku po klęsce*. Analizując powstałe w czasie okupacji eseje, Małgorzata Krakowiak przekonująco wykazała, że, jakkolwiek krakowski uczyony oparł ponownie swoją wizję świata na koncepcji katastroficznej, to

jednak powtórzył wcześniejszą postawę jej przezwyciężenia. Nawet w obliczu totalnej zagłady nie podważył wartości personalistycznych idei. Podobnie nie zrezygnował z wypracowanego przed wojną modelu personalistycznej krytyki, czego wynikiem jest między innymi (także bliżej omówiony w pracy) słynny, konspiracyjnie wydany *List do Jana Bugaja*, który uczynił autora odkrywcą i promotorem poezji Baczyńskiego.

Rok 1945. To kolejny umowny moment w Historii, wobec którego badaczka odtwarza kształtowanie się następnej krytycznoliterackiej propozycji Wyki. Na podstawie artykułu programowego *Tragiczność, drwina i realizm* prezentuje ewolucję jego poglądów na niestychanie ważną, historycznoliteracką kategorię realizmu. Kontynuując obroną metodę, autorka wpisuje esej w dwa konteksty: zewnętrzny, kiedy przywołuje toczącą się po wojnie dyskusję marksistowsko zorientowanych krytyków z „resztą świata” na temat kształtu współczesnej literatury, oraz wewnętrzny, kiedy porównuje dwie opublikowane w krótkim odstępie czasu wersje artykułu: z roku 1945 i 1948. Jak wynika z przeprowadzonej analizy, tekst zawiera niby tę samą propozycję, a jednak... „W pierwotnym założeniu, *studium Wyki opierało się na kategoriach pokolenia, przeżycia pokoleniowego, sporu pokoleń literackich. Wprowadzając doń w 1948 roku marksistowskie kategorie klasy społecznej i walki klas, którymi posługiwał się Lukács, Wyka mieszał w jednym tekście dwa porządki; dwie metody. Osłabiał, tym samym, wyrazistość i konkretność swej propozycji literackiej. Składał w ten sposób trybut coraz mniej tolerancyjnej epoce.*” (s. 297).

Małgorzata Krakowiak daleka jest jednak od łatwych, populistycznych osądów. Obnażenie w drugiej wersji eseju o realizmie koniunkturalnych zabiegów autora nie ma na celu posłużenia się tanią sensacją, jest natomiast dowodem - respektowanego w całej pracy - uczciwego, rzetelnego pochylenia się nad badanym tekstem. Tak samo i we wcześniejszych rozdziałach brak przesadnie akcentowanych uwag na temat pomyłek Wyki, na przykład w krytycznej ocenie dzieł Schulza czy w zupełnym przemilczeniu utworów Witkacego i Gombrowicza, albo w snuciu w samym środku wojny projektów literatury powojennej, opartych, co zrozumiałe, na ówczesnej tradycji, czyli prądach dwudziestolecia. W zamian czytelnik otrzymuje spójną, konsekwentnie przeprowadzoną rekonstrukcję modelu krytyki literackiej, modelu wpisanego w szeroką perspektywę dwudziestowiecznej literatury i kultury.

Na koniec wypada mi jeszcze złożyć ukłon w stronę czytelnika zainteresowanego wprawdzie osobą i myślą Kazimierza Wyki, jednak czytelnika nie-badacza. Otóż walory „uczoności” wywodu bynajmniej nie muszą przekreślać zalet znakomitego pióra autorki, która na równi z badawczą przenikliwością potrafi pasjonująco i intrygująco snuć opowieść o intelektualnych przygodach z jedną z najwybitniejszych osobowości w kulturze XX wieku.

BEATA GONTARZ



**Jarosław Gibas: *Śląsk pełną gębą - przewodnik po śląskich restauracjach*. Chorzów [b.r.w.], s. 376.**

Na niniejszy przewodnik po śląskich restauracjach składa się zbiór felietonów rubryki *Menu* dodatku *Co Jest Grane* „Gazety Wyborczej” w Katowicach.

Jarosław Gibas opisuje przeszło 150 miejsc, które - jego zdaniem - warto odwiedzić. Píše o wyglądzie restauracji, podawanych tam potrawach i panującej atmosferze. Ale nie ogranicza się jedynie do prezentowania miejsc, w których podobało mu się najbardziej. Są i takie, które nie wywarły na autorze rzeczonych przewodnika zbyt pozytywnego wrażenia. Jednakże „wizyta w restauracji - jak podkreśla Gibas - jej postrzeganie i ocena, jest zawsze czymś głęboko indywidualnym i subiektywnym, kwestią określonego gustu i smaku, preferencji i własnego »widzimisie«”.

*Śląsk pełną gębą* to, według trafnego podsumowania Krzysztofa Łęckiego, „literatura i dobre wino, kultura i smak trufli, ciekawi ludzie i rozmowy. Jednym słowem mapa kulturalna regionu”, która, stanowiąc przyjemną lekturę, może ułatwić wybór restauracji.

A.

**Edmund Odorkiewicz: *Śląsk a powstanie styczniowe*. Katowice 2003, s. 40.**

*Śląsk a powstanie styczniowe* jest reprintem artykułu, który po raz pierwszy ukazał się w śląskim kwartalniku „Zaranie Śląska” w 1960 r. Niniejsza publikacja porusza sprawę udziału Ślązaków w powstaniu styczniowym, przybliża oceny i nastroje władz pruskich przed i po wybuchu największego spośród naszych zrywów narodowowyzwoleńczych.

Rozprawiając o problemie domniemanego braku poczucia więzi narodowej między Ślązakami a Polakami, Odorkiewicz przybliżając i polemizując m.in. z pracami Manfreda Lauberta, Alfreda Lattermanna czy pamiętnikiem Klausmanna, udowadnia, jako świadectwo przywołując konkretne nazwiska biorących czynny udział w walce Ślązaków-powstańców lub przypominając akcje skupu oraz transportu broni i amunicji, iż powyższe stwierdzenie jest niesłuszne.

n.

**Leszek Żuliński: *Potrzeba śmiechu*. Warszawa 2002, s. 126.**

*Potrzeba śmiechu* jest zbiorem szkiców, recenzji, artykułów i felietonów publikowanych na łamach różnych pism w latach 90. dobranych tak, by ogniskowały się wokół śmiechu i kwestii z nim związanych. „Śmiechu - jako przedmiotu refleksji i jako metody opisu. Jako odrutki dla hipokryzji (...) etykiety i symptomu epikurejskiej postawy życiowej”. Książeczkę tę można czytać w dwojaki sposób: jako „tekst dziennikarsko-obyczajowy, niemalże satyryczny i jako (...) refleksję o kulturze”.

Żuliński rozprawiając o Szwejk, Januszu Głowińskim, Wieniedikcie Jerofiejewie, o *Komicznym Odcinku Cyklicznym* - minikabarecie Sławomira Szczęśniaka i Grzegorza Wasowskiego, o poezji czy zinach, zmusza do refleksji nad szeroko rozumianą kulturą, jej statusem i współczesnymi obliczami.

an

**Tadeusz Gadacz: *O umiejętności życia*, „Wydawnictwo Znak”, Kraków 2003 r.**

Tom esejów „O umiejętności życia” Tadeusza Gadacza jest symboliczną splątą naszego zbiorowego długu zaciągniętego u ks. prof. Józefa Tischnera - Pana Cogito z Gór. To dług podwójny: wdzięczności (za naukę obowiązku myślenia) i pamięci (wierności Jego Myśli). Kiedy żył, z góralskim uporem powtarzał: Życie nie jest Ci dane, lecz zadane. Jest zdobywaną nieustannie umiejętnością, a nie raz na zawsze zdobytą wiedzą. Przypomina górski szlak, na którym stajesz zadziwiony, pytając o cel i sens. Mnóż więc pytania, dziw się i wyrzekaj gotowych odpowiedzi. A żeby nie zabrzmiało to jak post - Einsteinska teoria względności - dodawał w duchu „wartości” za Seneką: Nie samo życie jest dobrem, ale życie dobre...

Pan Cogito z Gór odszedł. A my? Mamy być wierni i iść... - tak, by z naszego kręgosłupa moralnego nie wypadły dyski... Tomik Tadeusza Gadacza - poradnik („od” i „dla”) „człowieka myślącego” (ucznia Pana Cogito z Gór) z pewnością pomoże nam w drodze. Nie uczy jak żyć, lecz jakie pytania życiu stawiać, by przeżyć je „umiejętnie” - przyjmując postawę wyprostowaną. Jego pytania zawsze dotyczą sensu: wolności, miłości, samotności, spotkania, nadziei, nudy, a wreszcie - rzeczy ostatecznych: cierpienia i śmierci (bo dopiero wobec nich „umiejętność” staje się wiedzą).

**Jan Pyszko: *Kawiarenka „Pod Pegazem” 1989-2002*. Jabłonków 2003, s. 244.**

*Kawiarenka „Pod Pegazem”* jest dokumentem literackim pokazującym pisarzy, poetów, artystów, ludzi nauki, krytyków literackich związanych z ziemią cieszyńską.

Publikacja złożona jest z kilku części, które opisują historię powstania tytułowej *Kawiarenki „Pod Pegazem”*, miejsca „nieformalnych spotkań twórcy z odbiorcą, spotkań refleksyjno-dyskursyjnych, obustronnie twórczych i wzajemnie edukacyjnych”, prezentują krótkie notki biograficzne twórców działających na Opolszczyźnie oraz przykłady ich tekstów poetyckich. Zbiór zawiera także kilka referatów wygłoszonych na sympozjum literackim oraz zdjęcia z odbywających się tam imprez. Całość zamyka kalendarium *Kawiarenki* wraz z wpisami gości miejsce to odwiedzających.

N.

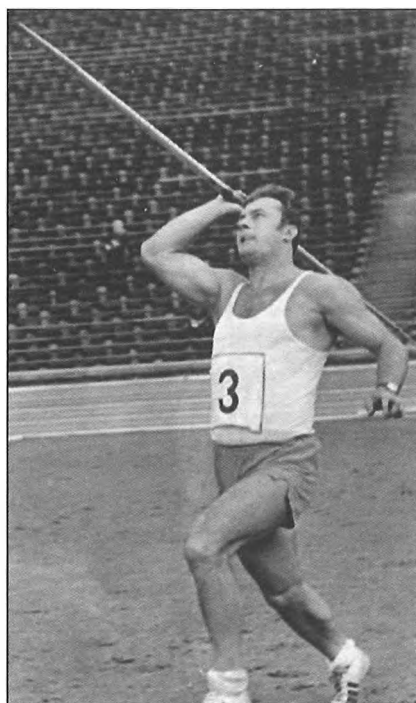
**Rafał Brasse, *Księga Troski*, Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury, Wrocław 2003, s. 104.**

Po *Rwanych liniach* i *Baśni z przytulku* przyszedł czas na wybór wierszy o znamiennym dla tego tomiku tytule: *Księga troski*. Brasse w poetyckim geście próby uchwycenia paradoksów przestrzeni wiary w ostatnim tomiku „troszczy się” o zachowanie proporcji między tym, co niewidzialne i konkretne zarazem. W poetykę utworów *Księgi troski* wpisane są zagadnienia eschatologiczne, ale nie tylko. Wiele w niej pragnień o przyszłość, tęsknoty i zadumy. Ten tomik to także swego rodzaju świadectwo nieustannego zadziwienia „blaskiem Króla”. Prosta języka poszczególnych utworów koncentruje uwagę czytelnika na treści. Dlatego właśnie Rafał Brasse „zdumiewa oczywistością”...

M

Sidło - jeśli pamięta się to nazwisko, to chyba przede wszystkim z racji dramatycznego, by nie powiedzieć: kuriozalnego, epizodu z olimpiady w Melbourne, o którym kiedyś przeczytać można było nawet w szkolnej czytance. Wtedy chciało, na tym przykładzie, zaprezentować szkolnej dziatwie szlachetne wzorce sportowe, dziś - przy obecnej panującej hierarchii wartości, pewnie by tego nie uczyniono, nazywając opisywany niżej przypadek naiwnością. 26 listopada 1956 r. Sidło był głównym kandydatem do olimpijskiego złota, jako rekordzista świata (83,66 m). Toteż gdy w trzeciej kolejce Polak objął prowadzenie, posyłając oszczep na odległość 79,98 m i tym samym ustanawiając rekord olimpijski, publiczność mogła myśleć, że już „po zawodach”. Że nikt Polakowi już nie wydrze głównego trofeum, tym bardziej, że inni rzucali słabo. I wtedy właśnie nastąpiło coś, co do dziś nie wszystkim mieści się w głowach: Sidło, który jako jedyny spośród całej stawki konkurentów rzucił metalowym oszczepem, pożyczyl go Norwegowi Danielsenowi. W czwartej serii konkursu Norweg rzucił... 85,71 m, właśnie oszczepem Polaka, zdobywając złoto. Sidło ostało się srebro - wynik znakomity, jakiego nigdy ani wcześniej, ani później żaden polski miotacz oszczepu nie uzyskał. A jednak pozostał żal, choć piękny przykład fair play w sportowej walce. Czy dziś, w skomercjalizowanym do granic nieprzyzwoitości sporcie, ktoś by zdobył się na taki gest? Janusz Sidło urodził się 19 czerwca 1933 r. w Szopienicach. Sportową karierę zaczynał w klubie Stal Katowice. Ze Śląska wywędrował, szukając lepszych warunków do uprawiania wyczynowego sportu - najpierw do Trójmiasta, a potem do stolicy. Startował w Spójni Gdańsk oraz Spójni Warszawa i w tych klubowych barwach był 14-krotnym mistrzem kraju oraz pięć razy poprawiał rekord Polski. Jeszcze większe laury zebrał na arenie międzynarodowej, jako najbardziej zdolny uczeń polskiej szkoły oszczepu, prowadzonej przez trenera Zygmunta Szelesta. Był dwukrotnym mistrzem Europy, wspomnianym już wicemistrzem olimpijskim oraz rekordzistą świata. Te sukcesy sprawiły, że czytelnicy „Przeglądu Sportowego” dwa razy (1954, 1955) wybrali go najlepszym polskim sportowcem roku.

To właśnie Sidło został pierwszym po II wojnie światowej polskim mistrzem Europy w lekkiej atletyce - w Bernie, w 1954 r. Sukces ten powtórzył podczas największej victorii polskiej „królo-



## „Łokietek” z Szopienic

**W tym roku minęła  
70. rocznica urodzin  
i dziesiąta śmierci  
znakomitego  
polskiego oszczepnika  
Janusza Sidły.**

**Wydawać by się więc mogło,  
że dużo będzie się pisało  
i mówiło o tym sportowcu.  
Jakoś jednak przez cały rok  
było cicho,  
także w śląskich mediach,  
a przecież popularny „Łokietek”  
wywodził się stąd,  
konkretnie z Szopienic.**

wej sportu”, w Sztokholmie (1958 r.), kiedy to zdobyliśmy ogółem 8 złotych medali, objawiając się światu jako lekkoatletyczna potęga pod wymyśloną przez Niemców nazwą „Wunderteam”. Kapitanem tego „cudownego zespołu” był właśnie Janusz Sidło. Ponoć największym dla wielkiego sportowca bólem jest być pierwszym w świecie i nie dostąpić zaszczytu chodzenia w glorii mistrza olimpijskiego. I z Sidłą tak właśnie los postąpił, choć startował aż w pięciu olimpiadach, a w czterech klasyfikowany był w czołówce (2, 8, 4, 7). Oddał najwięcej spośród oszczepników świata rzutów po-

wyżej 80 m (ponad sto), a na igrzyskach jakoś nie szło. Np. w Rzymie (1960) w eliminacjach rzucił aż 85,14 m, by w finale zakończyć za ledwie na 76,46... Były jednak i miłe niespodzianki, np. w Atenach (1969), w ostatnich swych mistrzostwach Europy, gdy wydawałoby się, że u schyłku kariery na niewiele będzie go stać, a on niespodziewanie zdobył brązowy krążek, znakomitą rezultatem 81,14. Ba, w maju 1970 r. startując w Paryżu, nie najmłodszy już, bo 37-letni Polak pokonał duet świetnych Finów - Nikkunen i Nevalę, a wynikiem 86,22 m poprawił rekord Polski, który należał do Władysława Nikiciuka. To przecież był życiowy rekord Sidły!

Tyle fakty i wyniki. A przecież z Sidłą, o którym mówiono jako o „człowieku ze złotym ramieniem”, wiązały się różne kolorowe zdarzenia, nie tylko sportowe. Rekord Europy w Jenie (1953 r.) obrósł w legendy. Ponoć rzucił aż tyle pod presją... kamerzystów, którzy chcieli go uwiecznić na taśmie. No i uwiecznili rezultat 80,15, który to wynik stanowił drugi w historii przypadek przekroczenia granicy 80 m (pierwszym był Amerykanin Franklin „Bud” Held). Ten rzut przeszedł do historii z jeszcze jednego względu, oszczep wbił się nie w murawę, której w tym miejscu już zabrakło, ale w skocznię w dal - tak niespodziewanie daleki, jak na owe czasy, był ten rzut. Inne zdarzenie wiąże się z uroczystością otwarcia Światowego Festiwalu Młodzieży. Otóż jeśli wierzyć kronikarzom z „Przeglądu Sportowego”, podczas defilady Sidło, jako chorąży polskiej ekipy, niósł flagę z... gwiazdą Syjonu, którą ktoś nieznaną namalował na biało-czerwonych barwach. Miał też ponoć Sidło „żyłkę handlową” i w kręgach lekkoatletycznych uchodził za eksperta od bazarów w odwiedzanych krajach.

Janusz Sidło zmarł 2 sierpnia 1993 r. mając 60 lat - po ciężkiej chorobie, po długim leżeniu w szpitalu. Podczas mszy żałobnej na warszawskich Powązkach sportowca pożegnał prymas Józef Glemp, kolega Sidły z areny, też oszczepnik w młodości.

W 1997 r. w Trójmieście zorganizowano po raz pierwszy zawody pod nazwą „Grand Prix Sopotu” im. Janusza Sidły, w obsadzie międzynarodowej. Zawody te długo nie przetrwały w lekkoatletycznym kalendarzu. Może teraz na Śląsku, w rodzinnych stronach Sidły, ktoś pomyśli o takim właśnie uhonorowaniu pamięci znakomitego oszczepnika?

JERZY MACHURA

Na korytarzu, u progu muzealnych sal, solidne, nieco staroświeckie szafy z porcelaną i komentarzem do niej: „*Rosenthal*”, tworząc odrębną linię szklanych i porcelanowych portretów, spośród wszystkich ikon pop-artu wybrał autoportret Warhola. Idea niezliczonej ilości powtórzeń obrazu znalazła doskonałe odbicie w prezentowanej serii kubków i pater.

Komercyjny aneks do wystawy. A może jej dopełnienie. Wystarczy przecież skorzystać z zaproszenia, pójść do sklepu i kupić stosowny gadżet. Później, każdego ranka, pić kawę nie z kubka, a z ikony albo emblematu. Może wtedy będzie łatwiej pogodzić się z symbolicznym sensem jazdy własnym samochodem, pracy przy osobistym komputerze oraz przerwy na myślenie, spędzonej nad własnoręcznie zakupioną w marketcie coca-colą.

Dwadzieścia lat temu ekspozycję Warhola przyjęlibyśmy jako zbiór artystycznych nowinek ze świata, za którym nasz świat nie nadążył, bo żył za mało kolorowo i nazbyt politycznie. Dzisiaj odnajdujemy kartki pocztowe, które piszemy do siebie. I naklejamy duże znaczki - z puszką zupy, butelką wódki lub portretem gwiazdy filmu. Na przygotowanej w Muzeum w Sosnowcu wystawie pokazano 91 artefaktów ze zbiorów Muzeum Sztuki Nowoczesnej Andy'ego Warhola oraz noszącej jego imię fundacji w Medzilaborcach na Słowacji. Kolekcja powstała z inspiracji najbliższych krewnych artysty, który pochodził z osiadłej na Słowacji łemkowskiej rodziny. Towarzyszący wystawie katalog dogłębnie udokumentował kulturowe korzenie zmarłego w 1987 roku Warhola i ciekawie opisał jego strategię twórczą. Przyniósł także - jak zawsze przy tego rodzaju okazjach - wiązkę cytatów.

Nie wiadomo, którą z wypowiedzi samego Warhola można uznać za rzeczywistość programową. Co prawda jego tworzenie było nierozdzielnie związane z deklaracjami i autokomentarzem, ale jednocześnie autorskie deklaracje zazwyczaj - i z premedytacją - przeczyły sobie nawzajem. Bardziej były próbą kreowania jeszcze jednej etykiety, dodatku do tworzonego lub raczej wytworzonego przedmiotu, aniżeli ofertą klucza. *Moje dzieła* - pisał Warhol - *są jakimś komentarzem. Moje obrazy są wypowiedzią o okrutnych symbolach nieosobistych przesądów i materialnych dążeń, na których zasadza się dzisiejsza Ameryka. Są projekcją wszystkiego, co można kupić i sprzedać, praktycznych, ale i pominiętych symboli, które utrzymują nas przy życiu*. Równie dobrze można odnaleźć inne cytaty, inne słowa. Każde będzie jednorazowe - do jednorazowego powtórzenia i zastosowania.

Pop-art oddział się tyleż od tradycji artystycznej, co od sztuki jako afirmacji wartości wysokich. Zszedł do poziomu znaku, nawiązał bezpośrednią komunikację ze wszystkim, co za sztukę wcześniej nie było uważane. W ikonografii pop mieszały się bilety do metra, opakowania, fotografie z magazynów ilustrowanych, z butelkami coca-coli, kapsułami i niedopałkami. Wyciągnięto niejako krańcowe wnioski z definicji, w zgodzie z którą stereotypy są obrazami - a niekiedy papką - w ludzkich głowach. Kultura masowa okazała się machiną, która tyleż fabrykowała znaki, co i mnożyła ich kopie, obsługuwała nie wyobraźnię, a mobilizację wyobraźni. Sztuka pop powtórzyła okreśło-



Muzeum w Sosnowcu: Andy Warhol. *Percepcja życia i twórczości*. Październik - grudzień 2003 roku.

## Napić się z Warhola

na symbolikę rzeczywistości estetycznej, powieliła określony stan rzeczy. Równocześnie jednak - po raz pierwszy w dziejach sztuki - powielono także ilościowy, masowy status kultury. Wiadomo jednak, że w symbiozie artysty z butelką coca-coli albo puszką konserw musiał ukrywać się jakiś konflikt, że potrzebna była próba buntu, która naśladowanie wytwórczości była zdolna zamienić w polemikę z regulami i celami wytwarzania.

W sztuce Warhola najważniejsza była bolesna jedność. Wszystko, co tworzył, wszystko wytworzone - użytkowe, zewnętrzne, wielokrotne - było przez artystę akceptowane i zarazem od razu przezeń odrzucane, traktowane jako produkt nie sztuki, ale jej rynku. Warhol był malarzem, grafikiem, wydawcą periodyku artystycznego, nawet reżyserem filmowym i producentem. Był także (mimo wielu depresji i zapaści) sprawnym organizatorem własnego życia. Jednocześnie pozostał zagubionym chłopcem z prowincji, który chciał utożsamiać się nie ze sztuką, ale ze sobą. Ale własne ja pęczyło mu, rozpadało na kopie, zatracało się w kolejnych wersjach. Jak sztuka. Dzisiaj w galeriach, muzeach, nie oglądamy dzieł Warhola, ale jego niemożliwy kompromis ze sztuką.

Kompromis już niemal akademicki, ale ciągle fascynujący. W pierwszej muzealnej sali jedną ze ścian wyłożono tapetą powtarzających się - w różnych wersjach kolorystycznych - autoportretów Warhola. Jak gdyby wszystko miała zdominować maniera, pośmiertna gra o obecność miewa prawdziwy sens. Serigrafie i powtarzane technika sitodruku prace Warhola odsłoniły nie tylko jakiś artystyczny program, jakąś tendencję pop, ale przede wszystkim wrażliwość na kolor i plamę. W centrum *Krowy* nie krowi, ale niemal byczy łeb rozsadał kompozycję - jak mi-

mowlone, liryczne mięso. Pozytywy i negatywy na dwóch sitodrukach *Hans Christian Andersen* przypominały rozprawę o krawędziach nie żadnej masowości, ale intymnych snów. W jednym z tych snów wizja wykonała szpagat na tle Kopenhagi, która była światem - albo świata, który mógł być Kopenhagą. Przypomniano dużo *Kwiatów Warhola* - naiwnych, dużych, ciepłych, właściwie lekkich, opowiadanych nie grafiką, ale strzępami kolorowej bibuły i plamami wody. *Św. Apollonia* z 1984 roku nosiła złoto i nieudaną purpurę - i wdziała trochę pękniętych marzeń. Jak gdyby tak naprawdę rozpadła się i nie chciała powrócić pamięć ikony z greckokatolickiej cerkwi. Gdzieś obok przypisy do malarstwa renesansowego - powtórzona *Mona Lisa* i podwójna *Ostatnia wieczerza*, o kolorze uciekającego zmierzchu.

Sławna serigrafia *Cambell's soup...* była jeszcze piękniejsza niż na reprodukcjach. I taka dostojna pokorą przedmiotu, który - już wiemy - był cierpliwym, doskonałym modelem nie siebie samego, ale świata, który go zrodził. Ten sam świat ofiarował *Noże* w bieli albo czerwieni oraz duże kartony z cyklu *Ladies and gentlemen*, trochę portrety, a bardziej plakaty - odważne, pozbawione litermiczności, a zdolne opowiadać osobne fabuły lub przypowieści. W trzech jasnych ramach i jednej czarnej - *Jackie*, smutna i piękna żona zamordowanego prezydenta. Próbowała wymknąć się z konturu czerni i na zawsze w nim pozostała. Śmierci było więcej. Wystawiono sekwencje *Czaszek* i dwie martwe natury w ramach i pod szkłem - *Elektryczne krzesła*. Kiedy stawali przed nimi zwiędzający, szkło bywało mimowolnym lustrem.

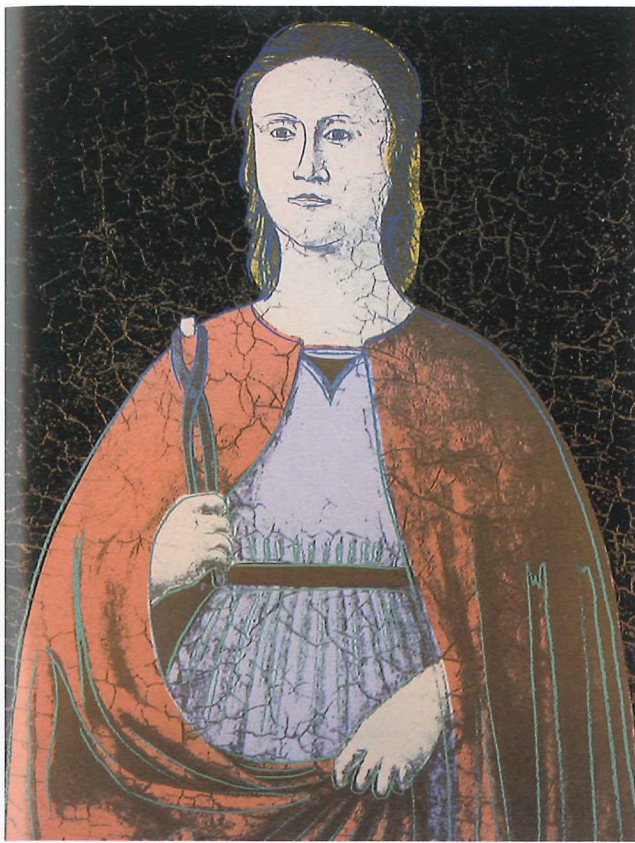
W swojej pracowni Andy Warhol był podobno mniej artystą, a bardziej gwiazdą przyjmującą wyrazy hołdu. I często pozwalał się fotografować. Kilkanaście zdjęć z atelier *Factory* dokumentowało trochę pracę twórczą, a bardziej pozowanie do pracy. Andy wśród wizerunków Jackie Kennedy - za chwilę zamieni zdjęcia w grafiki. Andy z serią autoportretów - kto komu pozuje? Czyje palce dotykają wystudiowanym gestem podbródką? Andy na dachu atelier i na stole w pracowni. Położył się na brzuchu, przytulił do stołu. Jego sąsiadami były popielniczka i pudełko papierosów, i zapalniczka. Wszystko przedmiot.

Namnożył światów, ale przecież ciągle tkwił tylko w jednym. Otoczony przedmiotami. Puszka zupy - dystygnowana, z wizerunkami żołnierzy, sama jak oficer wysokiej, użytkowej szarży. Koszulka, w której trzymano Andy'ego do chrztu - też przedmiot. I skórzana kurtka artysty, jego marynarka, chusteczka z monogramem, okulary, dyktafon, aparat canon, skrawek rękopisu. Spoczęły w szklanej, muzealnej gablocie. Może Andy chciał tego, a może chciał czegoś innego. Na ścianie modlitwa za zmarłego. Może dobry Bóg utulił duszę artysty. Może wybażył mu trochę łubieżne i na pewno za tłuste anioły, które malował.

Duże zdjęcie - nagrobek Warhola na cmentarzu w Pittsburghu. Czerwone tulipany, greckokatolicki krzyż. Wokół podobne krzyże i kamienie, i trudne nazwiska na kamieniach: Słota, Mascenik, Dohmlo... Tyle nazwisk, tyle znaków, tyle ikon na świecie.

RYSZARD JASNORZEWSKI





Saint Apollonia



Lilian Carter



San Francisco Silversport



Flowers I



Electric Chair

**ANDY  
WARHOL**



## Poświęcenie nowych organów

**Pod** patronatem metropolity górnośląskiego abpa Damiana Zimonia i prezydenta Katowic Piotra Ushoka w parafii św. Rodziny w Katowicach 13 listopada 2003 r. odbyła się uroczystość poświęcenia nowych organów. Było to wielkie wydarzenie w życiu tej parafii, złożone w hołdzie Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II w XXV rocznicę pontyfikatu. W tym czasie przypadła również 10 rocznica poświęcenia kościoła. Aktu poświęcenia organów dokonał abp Damian Zimonia podczas uroczystej mszy św., w trakcie której Orkiestra i Chór Filharmonii Śląskiej pod batutą Mirosława J. Błaszczyka wykonali *Missa pro Pace* Wojciecha Kilara. Solistami koncertu byli Izabela Kłosińska (sopran), Jadwiga Rappé (alt), Adam Zdunikowski (tenor), Romuald Tesarowicz (bas), Julian Gembalski (organy).

W programie uroczystości znalazły się również koncerty: inauguracyjny w dniu 12 listopada - recital organowy prof. Juliana Gembalskiego, a w kolejnych dniach recital organowy prof. Marka Toporowskiego i prof. Ludger Lohmann (Niemcy). 16 listopada odprawiona została uroczysta msza św. w rocznicę wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża.

Twórcą organów w kościele św. Rodziny jest prof. Julian Gembalski, który opracował koncepcję, założenia brzmieniowe i architektoniczne. Jak mówi profesor Gembalski, inspiracją do stworzenia projektu nowych organów w tym kościele były barokowe or-



Organy w kościele św. Rodziny wzorowane są na najlepszych europejskich, barokowych wzorcach.

gany północno-niemieckie - prawdziwe arcydzieło techniki i estetyki. W oparciu o takie instrumenty tworzyli sławni mistrzowie, poprzednicy J.S. Bacha: Buxtehude, Tunder, Böhm, także twórcy związani z organami w Kamieniu Pomorskim, Szczecinie, Gdańsku, Królewcu, świątyniami środkowej Europy.

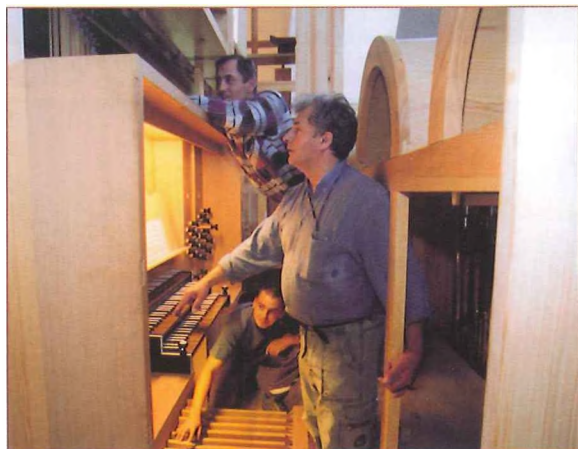
Organy zostały podzielone na cztery zespoły brzmieniowe. W największej, środkowej szafie, umiesz-



Po wykonaniu *Missy pro Pace*: w serdecznym uścisku Wojciech Kilar i Mirosław J. Błaszczyk.



Recital prof. Juliana Gembalskiego.



W trakcie budowy organów: taki instrument zbudują tylko ręce najlepszych mistrzów.

czoną na osi empy organowej, znajduje się zespół główny (tzw. Hauptwerk), obsługiwany przez manual II. Ogólna liczba 37 głosów pozwala na tworzenie olbrzymiej ilości zestawów kolorystycznych i dynamicznych, odpowiednich nie tylko do liturgii, ale także do kreowania muzyki organowej dawnych i współczesnych mistrzów.

Architektura organów, mimo swego współczesnego wyglądu, dostosowanego do wnętrza kościoła, nawiązuje do historycznych rozwiązań w stole gry, stosując stylizowane klawiatury i wyciągi rejestrowe. Do budowy piszczałek zastosowano najlepsze materiały: cynę dla głosów metalowych i drewno (dębina, świerk, sosna) do wykonania piszczałek drewnianych i szafy instrumentu.

Instrument ten to dzieło organmistrzowskie o najwyższym standardzie, porównywalne z najlepszymi

dzielami światowymi, są znaczącym elementem polskiego budownictwa organowego. Tym samym wzbogacają instrumentarium Katowic, które już dysponuje kilkoma wysokiej klasy organami. Z pewnością spełnią najwyższe wymagania artystów, którzy będą na nich koncertować, bo jak powiedział ks. Józef Nowaczyk, proboszcz parafii św. Rodziny: Organy jako doskonały instrument niech też służą działalności pozaliturgicznej Kościoła, czyli kulturalnej. „Obserwujemy zainteresowanie ludzi koncertami muzyki organowej, która zawsze nawiązuje do treści religijnych, bo wyrosła na tym podłożu i najczęściej z niego korzysta.”

Autorem projektu technicznego i konstrukcyjnego a także wykonawcą organów w kościele św. Rodziny był Zakład Budowy Organów Zygmunta Kamińskiego z Warszawy.

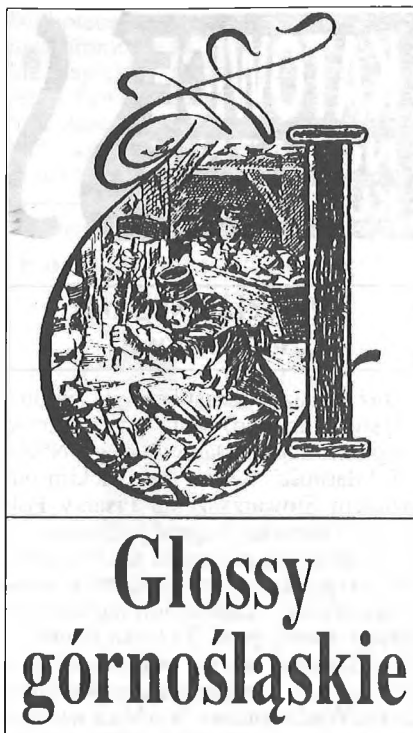
(wk)

Nosił imiona swoich dwóch wielkich stryjów. Starszym bratem jego ojca był Walery (1837-1861) - dziennikarz i literat lwowski, zmarły przedwcześnie w wyniku zakażenia rany odniesionej w pojedynku o kobietę. W tym krótkim czasie, jaki wyznaczyła mu Opatrzność na istnienie, stworzył pięć powieści, z których dwie pierwsze: „Szlachcic chodzący” i „Szaraczek i karmazyn” nawiązywały do typu gawędy szlacheckiej - najbardziej nadającej się do odmalowania świata kresowych zaścianków. Najśłynniejszym dziełem Walerego pozostaje „Zaklęty dwór” (1860) - rzecz nazywana niekiedy pierwszą polską powieścią sensacyjno-detektywistyczną, przeniesiona na ekran ćwierć wieku temu. Drugi brat ojca - Władysław (1843-1913) był dziennikarzem, redaktorem „Dziennika Literackiego” i „Gazety Lwowskiej” (1873-1883), powieściopisarzem i historykiem kultury.

Walery Władysław urodził się we Lwowie 30 stycznia 1880 roku. Nie przejął po swoich imiennikach zainteresowań humanistycznych. Pasją jego życia stała się geografia i geologia, w której to dyscyplinie odnieść miał w przyszłości znaczące sukcesy. Studiował przez dwa lata na Uniwersytecie Lwowskim pod kierunkiem sławnych badaczy Eugeniusza Romera i Ryszarda Zuberka. Dalsze studia geologiczne odbywał we Wiedniu. W roku 1902, czyli w cztery lata od rozpoczęcia studiów, uzyskał we Lwowie stopień doktora. Tym, których obecnie wprawia w osłupienie szybkość uzyskiwania doktoratów w tamtych czasach, spieszymy wyjaśnić, że był to tak zwany doktorat galicyjski - odpowiednik dzisiejszego magisterium, uzyskiwany po napisaniu i obronieniu pracy kończącej studia. Inna rzecz, że poziom tych prac mógł być relatywnie wyższy niż dzisiaj.

Od roku 1903 Łoziński pracował przez 17 lat jako bibliotekarz, zrazu w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie, a potem Jagiellońskiej w Krakowie, osiągając wysokie zawodowe stanowiska w tym fachu, o wiele bardziej szanowanym niż obecnie. Prywatnie niejako zajmował się w tym czasie badaniami geologicznymi. Do nauki tej wniósł własny wkład zapoczątkowując badania obszarów położonych przed lodowcami. Do światowego piśmiennictwa wprowadził termin „peryglacja” (1909). Z pracy „Karkonosze a Tatry” (1910) wynika, że musiał przeprowadzać studia terenowe na Dolnym Śląsku.

W następnych latach zajmował się między innymi obszarami węglonośnymi w Sudetach - o czym pisał w wydawanym w Katowicach czasopiśmie fachowym „Zeitschrift des Oberschlesischen Berg- und Hüttenwesens” (1925). Autor biogramu Walerego Władysława w „Polskim słowniku biograficznym” podaje, że od około roku 1923 był on „konsultentem geologicznym” i pracował dla władz samorządowych województwa śląskiego, a dla Związku Górniczo-Hutniczego wykonywał prace w Katowicach i Królewskiej Hucie. Po uzyskaniu habilitacji na Uniwersytecie Jagiellońskim, był od roku 1928 zastępcą profesora i wykładał m. in. geologię i gleboznawstwo. W roku 1938 Instytut



Śląski w Katowicach opublikował jego pracę „Gleby Górnego Śląska”.

W lutym roku 1926 w Towarzystwie Politechnicznym we Lwowie Walery Łoziński wygłosił referat zatytułowany „Prawda o górnośląskim przemyśle górniczo-hutniczym”, którego tekst opublikowany został niedługo potem w „Czasopiśmie Technicznym”. Treść wystąpienia mogła zaskoczyć słuchaczy i czytelników oczekujących być może czegoś innego od geologa-praktyka. Jest to bowiem rzetelna i pogłębiona analiza uwarunkowań historyczno-społecznych i ekonomicznych kryzysu, jaki wystąpił w przemyśle ciężkim formalnie inkorporowanym do Polski w roku 1922, ale w praktyce kontrolowanym niemal całkowicie przez dotychczasowych właścicieli.

Diagnostując sytuację bieżącą Łoziński stwierdził na wstępie, że „kapitał niemiecki idzie przede wszystkim po tradycyjnej linii swego posłannictwa politycznego, nawet kosztem względów ekonomicznych, które dla każdego innego kapitału zagranicznego są jedynym imperatywem. Przy tym nie trzeba zapominać o względach zwykłego oportunizmu. Jednostki, które w Niemczech byłyby dziś przeciętnymi urzędnikami, np. radcami górniczymi, po wcieleniu Górnego Śląska do Polski przybrały tytuły »generalnych dyrektorów« i roszczą sobie stanowisko augurów przemysłu.” Zaraz potem autor zwrócił uwagę na znamienne i nawet humorystyczny fakt, że na istniejących tu kilkunastu generalnych dyrektorów aż czterech otrzymało tytuły doktorów honoris causa Politechniki wrocławskiej. Najwięcej uderza fakt, że generalny dyrektor kopalni Księcia Pszczyńskiego otrzymał taki doktorat w roku 1924, a więc już za polskich rządów, jak gdyby w uznaniu, że właśnie kopalnie Ks. Pszczyńskiego uchodzą na Górnym Śląsku całkiem słusznie za najsilniejszą i najbardziej nam wrogą placówkę germanizatorską. Zresztą Technika wrocławska ma pewne zobowiązania finansowe wobec górnośląskiego przemysłu.”

Dla uzasadnienia swej tezy Łoziński przedkłada następujące argumenty: „Aże-

by zrozumieć, dlaczego powszechne przesilenie przemysłowe tutaj wystąpiło z szczególną gwałtownością, trzeba cofnąć się pamięcią wstecz do czasów przedwojennych, gdy Górny Śląsk był prowincją niemiecką. Wówczas to Górny Śląsk uchodził wobec innych okręgów przemysłowych w Niemczech za Kopciuszką, na którego przemysłowca znad Renu patrzył z pogardą, ale też zawistnym okiem. Ten sam bowiem Górny Śląsk był u rządu pruskiego beniaminkiem, jako twierdza niemieczyzny na wschodnich kresach, którą Berlin hojnie obsypywał ulgami, przywilejami i niemal daremszczyznami. Ogromny rozrost przemysłu górnośląskiego w dobie przedwojennej do pewnego stopnia raczej był sztuczną hodowlą rządu niemieckiego, aniżeli wynikał z samych warunków naturalnych. Niekorzystne położenie geograficzne, na które sami Niemcy przy każdej sposobności powołują się aż do znudzenia, szczupłe zasoby rudy żelaza na miejscu i to pośledniej jakości oraz brak własnego koksu hutniczego - wszystko to nie dawało górnemu Śląskowi naturalnych podstaw przemysłu w takich rozmiarach, do jakich rozrósł się ponad miarę dzięki uprzywilejowanemu traktowaniu przez rząd niemiecki. Jest zatem rzeczą zupełnie jasną, że powszechne i w konsekwencji wojny nieuniknione przesilenie musiało na Górnym Śląsku wystąpić w daleko większych rozmiarach, aniżeli w innych okręgach, gdzie przemysł w swym stopniowym rozwoju dostosował się do miary warunków naturalnych i nie był ponad tę miarę rozdmuchany w sposób protekcyjny.”

W części szczegółowej nasz uczony postuluje: ograniczenie wydobywa wobec wielkiej światowej nadprodukcji, zaprzestanie nieopłacalnego eksportu i zmniejszenie kosztów produkcji. W dalszej części referatu Łoziński poddał krytyce nieracjonalną geografii hut żelaza, bo „tylko dzięki protekcji rządu niemieckiego mogło wybujać takie dziwne natury, jak hutnictwo bez naturalnej i nieodzownej podstawy dostatecznego zasobu i to dobrych rud żelaza na miejscu, a ponadto bez koksu hutniczego na miejscu.” Doszedł do wniosku, że „warunki geologiczne dyktują naszemu hutnictwu przetrwanie tylko w okręgu częstochowskim i kielecko-radomskim”.

Za problem najbardziej istotny uznał Łoziński politykę prowadzoną przez Oberschlesischer Berg- und Hüttenmännischer Verein, który za polskich czasów zmienił tylko nazwę na Górnośląski Związek Przemysłowców Górniczo-Hutniczych. Podał przykłady jego działań szkodzących interesom polskim. Podpisywał, co uczynić powinien rząd polski, by sposobami prawnymi, narzędziami ekonomicznymi i posunięciami administracyjnymi ograniczyć jego wszechwładzę.

To wszystko należy już do historii dwudziestolecia międzywojennego. Dziś patrzymy na wypowiedź Walerego Władysława Łozińskiego, którego nazwisko kojarzy się raczej z dziejami kresów południowo-wschodnich, jako na jeden z wielu przejawów przejęcia się znacznych obywateli Odrodzonej Rzeczypospolitej sprawami Górnego Śląska i przyczynek do historii kontaktów lwowsko-śląskich.



## Ślązak Honorowy i Ślązak Roku 2003

W zabrzańskim Domu Muzyki i Tańca odbył się już po raz jedenasty konkurs „Po naszymu, czyli po śląsku”, który wymyśliła red. Maria Pańczyk z Radia Katowice i jest jego corocznym organizatorem i ... dobrym duchem.

Każda edycja konkursu cieszy się ogromnym zainteresowaniem osób w różnym wieku i różnych profesji. Ponieważ spotkania te mają charakter rywalizacji - o główną nagrodę „Ślązaka Roku”, dlatego występy uczestników ocenia jury. W tym roku o ten tytuł ubiegało się około stu osób, w tym również liczna grupa dzieci i młodzieży. Jak pokazuje konkurs, zainteresowanie tym co śląskie, a więc gwarą, strojem, przekazem opowieści rodzinnych, legend nie słabnie. Młodzi ludzie potrafią pięknie godać po śląsku, potrafią włożyć stosowny do wieku strój i przy tym wszystkim wykazać wielką pasję w poznawaniu Śląska.

Tradycją konkursu „Po naszymu...” jest przyznawanie tytułu Honorowego Ślązaka Roku wraz ze statuetką wykonaną przez wybitnego rzeźbiarza Zygmunta Brachmańskiego, wybitnej osobistości ze Śląska. W tegorocznej edycji uhonorowany został metropolita katowicki abp Damian Zimoń.

Natomiast Ślązakiem Roku 2003 (a także posiadaczem kwoty 15 tysięcy złotych - nagrody ufundowanej przez samorząd województwa śląskiego) został 59. letni Tadeusz Filipczyk z Nawsia na Zaolziu - byłby górnik w Stonawie, z wykształcenia inżynier leśnik, obecnie prowadzący swoje gospodarstwo rodzinne.

Wielu spośród uczestników konkursu nie opuściło ani jednej edycji, wielu próbuje swoich sił po kilka razy. Tak jak 17-letnia dziś Klaudia Drzyzga, która startuje w „Po naszymu...” już od pięciu lat. W tym roku udało się - została Młodzieżową Ślązaczką Roku. Klaudia Drzyzga mieszka w Pszczynie i jest uczennicą I Liceum Ogólnokształcącego im. B. Chrobrego. Posługuje się piękną gwarą a to i z tego względu, że występuje w zespole „Bojszowanie”.

Tym, który nie opuścił ani jednego konkursu jest Zygmunt Bednarek z Rybnika - wreszcie również osiągnął sukces, zdobywając II nagrodę.

Uczestnicy „Po naszymu...” to ogromna grupa ludzi, w jakimś sensie już się znająca, a jeśli pojawiają się nowi, to szybko znajdują wspólny język, bo łączy ich jedno - miłowanie Śląska, jego języka, stroju, i wszystkiego co tylko łączy się z tym pojęciem.

WIESŁAWA KONOPELSKA

## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

### Literackie Nagrody „Solidarności”

Już po raz jedenasty odbyła się uroczystość uhonorowania przez Zarząd Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność” wraz z katowickim oddziałem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Literacką Nagrodą „Solidarności” autorów „za książki trudne, piękne, oryginalne i ambitne, które wesprzeć trzeba”. Laureatami tegorocznej edycji zostali prof. Tadeusz Ślawek - za całokształt swojej twórczości oraz najstarsze w Polsce, krakowskie katolickie Wydawnictwo WAM za wydany w 2002 roku „Pamiętnik górnika. Pisaniny w 75. roku życia od 1 października 1930 r.” autorstwa Edwarda Jelenia.



Prof. Tadeuszowi Ślawkowi nagrodę wręcza Piotr Duda - przewodniczący Zarządu Regionu NZSS „Solidarność”.

Foto. Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność”

### „Mariacka” na teatralnych deskach

Spotkania Teatralne w Pałacu Kultury Zagłębia Dąbrowskiego to coroczne spotkania teatrów alternatywnych, poszukujących, podczas których jury przyznaje tylko jedną nagrodę dla teatru. W tym roku XXX-lecie Spotkań teatralnych uświetniło znakomite jury; profesorowie Akademii Sztuk Teatralnych z Warszawy z przewodniczącym - rektorem Lechem Śliwonikiem. I nagrodę otrzymał „Teatr Prób” z Wą-

growca za spektakl oparty na fragmentach powieści „Mariacka” Jacka Durskiego. Reżyser „Teatru Prób” Jan Kasper otrzymał dodatkową nagrodę za adaptację i reżyserię. Aktorzy spektaklu to: Anna Kurc (matka Jacusia), Agata Strzelecka (młoda ciotka Lucy-na), Piotr Drązkiewicz (wuj Horacy), Piotr Kaniewski (kochanek matki) i Mirosław Warzybok (Jacuś).

Podczas Spotkań odbyło się Forum Dyskusyjne, w którym wzięli udział m.in. autor „Mariackiej” Jacek Durski, Lech Śliwonik, Jan Skotnicki, Jan Zdziarski.

Teatr Prób wystąpił również podczas Łódzkich Spotkań Teatralnych.

### Reynek w Muzeum Archidiecejalnym

W ramach XII edycji Górnośląskiego Festiwalu Sztuki Kameralnej Ars Cameralis w Muzeum Archidiecejalnym gościła „Pieta w łodzi” Bohuslava Reynka (1892-1971) - poety, tłumacza, grafika o chrześcijańskiej orientacji, bez wykształcenia akademickiego. W pierwszej połowie lat 20. należał do najbardziej znaczących reprezentantów ekspresjonizmu w literaturze czeskiej. Jego wcześniejsza twórczość malarska, jak też późniejszy cykl linorytów mają wspólne cechy ze współczesną sztuką czeską. Przyjaźnił się z Wlastimilem Hofmannem i Josefem Čapkem. Szkice węglem oraz pastele, którym poświęcone były lata 1926-1936, spędzone przez artystę w Böhmen i we Francji, są dowodem głębokiego wdzierania się Reynka w proste, pozbawione ekstrawagancji tematy, jak również jego niezwykłej umiejętności syntetycznego postrzegania rzeczywistości.

Duża część jego arcydzieł odzwierciedla niewyczerpane wizje poety przywołującego Nowy i Stary Testament.

W latach komunizmu Reynek był wykluczony z grona oficjalnych twórców i życia kulturalnego Czech. Z czasem właściwe miejsce zostało mu jednak przywrócone.

### Polskie kompozytorki 1816-1939

W Górnośląskim Centrum Kultury odbywała się wystawa zatytułowana „Oto artyści pełnowartościowi, którzy

Jednym zdaniem

■ 21 listopada w Klubie Filmowym „Silesia” w Katowicach odbyła się promocja książki Andrzeja Gwoźdźdza, profesora Uniwersytetu Śląskiego, kierującego Zakładem Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach, „Obrazy i rzeczy. Film między mediami” oraz „Medieryzacja. Sport w czasach popkultury”, którą uświetnił pokaz fragmentów filmu „Olimpiada” L. Riefenstahla z 1938 r. oraz sportowych materiałów archiwalnych TVP Katowice, komentowanych przez realizatora telewizyjnego Ryszarda Barnerta.

■ Od października do grudnia w Muzeum Śląskim można było oglądać specyficzną wystawę pt. „Archeolog na budowie”, prezentującą odkrycia, jakie dokonano przy okazji budowy autostrad bądź innych obiektów w województwie śląskim, m.in. w Raciborzu,

Imielinie, Łanach Matych, Pszczynie i Świerklanach.

■ Wystawa pt. „Człowiek z papieru” w Teatrze Korez, połączona z happeningiem historyczno-literackim uświetniona w dniu 7 listopada 2003 roku jubileusz 35-lecia pracy twórczej Bogdana Widery - dziennikarza i publicysty Radia Katowice, prasy śląskiej a także naszego miesięcznika.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach odbywały się IV Międzynarodowe Spotkania Sztuki - ich pierwsza część zatytułowana „Anamnezja czasoprzestrzeni - archiwum”, podczas której prezentowano materiały Fortu Sztuki w Krakowie, Galerii Wymiany w Łodzi, WRO Centrum Sztuki Mediów z Wrocławia a także materiały ze spotkań w Paryżu i Berlinie.

są kobietami” (cytat z K. Stromenge-  
ra z 1931 roku). Przygotowana zosta-  
ła przez Związek Kompozytorów Pol-  
skich Oddział w Katowicach, Biblio-  
tekę Główną Akademii Muzycznej  
w Katowicach i Instytucję Promocji  
i Upowszechniania Muzyki „Silesia”  
w Katowicach.

To niezwykle przedsięwzięcie (o ko-  
bietach kompozytorkach niewiele się  
mówi, rzadko wykonuje się ich utwo-  
ry) w pewnym sensie zostało zilustro-  
wane muzyką kobiet kompozytorek,  
o których mówiła wystawa. I tak pod-  
czas wernisazu odbył się recital forte-  
pianowy znakomitych pianistek Ma-  
gdaleny Lisak i Gabrieli Szendzielorz,  
które wykonały utwory skomponowa-  
ne z początku XX wieku jak i współ-  
cześnie. Można więc było usłyszeć  
utwory Marii Szymanowskiej, Graży-  
ny Bacewicz, Władysława Markiewi-  
czówny, Jolanty Zdechlikiewicz, Ja-  
dwigi Sarneckiej. W ramach wystawy  
odbyły jeszcze dwa koncerty: recital  
pieśniowy w wykonaniu Henryki Ja-  
nuszewskiej i Czesława Stańczyka  
oraz recital pieśniowo-fortepianowy  
w wykonaniu Michaliny Growiec  
i Agnieszki Świątały.

## II Sesja Zagłębiowska

Instytut Nauk o Literaturze Polskiej  
Uniwersytetu Śląskiego oraz Między-  
instytutowa Pracownia Życia Literac-  
kiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu  
Dąbrowskim zorganizowali II Sesję  
Zagłębiowską pt. „Sylwetki z Zagłębia.  
Ludzie-Zdarzenia-Symbole”. Tematy-  
ka wystąpień uczestników sesji była  
różnorodna. I tak doc. dr Adam Jarosz  
omawiał „Zagłębiowskie biografie -  
doświadczenia i perspektywy badaw-  
czo-wydawnicze”, prof. UŚ dr hab.  
Marian Kisiel przedstawił „Sosnowiec-  
ki dramat Emila Zegadłowicza”, Jan  
Pierzchała za temat wystąpienia wzięł  
„Czas skadenizowany”. Ponadto  
o Edwardzie Kudelskim mówił dr Pa-  
weł Majerski, o Konstantym Cwierku -  
twórcy zagłębiowskiego dziennikar-  
stwa radiowego - Michał Kaczmarzyk,  
dr Jan F. Lewandowski o śladach poby-  
tu Poli Ngeri w Sosnowcu, dr Dorota  
Fox o teatrze autorskim Jana Dormana,  
dr hab. Dariusz Rott o Stefanie Ślaza-  
ku, a Urszula Rzewiczok o Marianie  
Kantorze Mińskim - badaczu Zagłębia  
Dąbrowskiego.

Podczas sesji, która odbywała się  
w gościnnej sosnowieckiej Miejskiej

Bibliotece Publicznej odbyła się rów-  
nież promocja publikacji pt. „Literac-  
kie Zagłębie” (redakcja. Marian Ki-  
siel i Paweł Majerski), której zawar-  
tość stanowią materiały I Sesji Zagłę-  
biowskiej oraz Instytutu Nauk o Lite-  
raturze Polskiej UŚ.

## Powstała Ogólnopolska Konfraternia Najstarszych Chórów i Orkiestr



15 listopada 2003 r.  
w Bibliotece Śląskiej  
odbyło się zebranie  
założycielskie Ogól-  
nopolskiej Konfrater-  
ni Najstarszych Chó-  
rów i Orkiestr. Jego  
uczestnikami byli  
przedstawiciele Pol-  
skiego Związku Chó-  
rów i Orkiestr z Zarządu Głównego  
w Warszawie, Zarządu Oddziałów  
Wielkopolskiego, Pomorskiego, Ślą-  
skiego i Zaolziańskiego.

Konfraternia powstała z inicjatywy  
Rajmunda Hanke - prezesa Oddziału  
Śląskiego PZChO. Powołanie do ży-  
cia tej organizacji ma - jak to określi-  
ło zostało w Apelu Założycielskim -  
„podkreślić niekwestionowane korzy-  
ści płynące z upowszechniania śpie-  
wactwa i muzykowania”.

Z tej okazji została wydana publika-  
cja pt. „Księga najstarszych chórów  
i orkiestr województwa śląskiego”.  
Znaleźć w niej można materiały doty-  
czące wszystkich najstarszych zespó-  
łów - a listę tę otwiera chór parafii św.  
Marcina w Kłobucku, który również  
uświetnił założycielskie spotkanie.  
Chór ten istniał już w połowie XVIII  
wieku. Natomiast najstarszą orkiestrą  
okazała się orkiestra dęta Ochotniczej  
Straży Pożarnej w Ropczycach.

W dniu Zjazdu odbyły się również  
koncerty chórów Konfraterni: w ko-  
ściołach katowickich: ewangelicko-  
augsburskim Zmartwychwstania Pań-  
skiego i rzymsko-katolickim Naj-  
świętszego Ciała (Piotrowice).

Specjalnym koncertem w Filharmo-  
nii Śląskiej uczczono jubileusz 90-lecia  
istnienia chóru „Ogniwo” z Katowic.

Ukazał się również kolejny numer  
„Śpiewaka Śląskiego”, w którym zo-  
stały obszernie omówione II Ogólno-  
polskie Prezentacje Psalmodyczne,  
jakie miały miejsce w Chorzowie.

Ponadto w numerze interesujące ma-  
teriały m.in. Floriana Lesika „Od  
Grobu Bożego do Chorzowa” czyli  
o historii zakonu bożogrobców  
w Chorzowie, Magdaleny Dziadek  
„Psalmy w twórczości współcze-  
snych kompozytorów śląskich”  
(m.in. Henryka Mikołaja Góreckiego,  
Eugeniusza Knapika, Jana Wincen-  
tego Hawela, Piotra Radki, Edwarda  
Bogusławskiego, Witolda Szalonka).  
O „psalmach Dawida” Edwarda Bo-  
gusławskiego pisze Anna Stachura  
a Andrzej Wójcik o psalmodiach  
w kulturze ludowej. Warto sięgnąć  
po ten numer „Śpiewaka Śląskiego”  
również dla zamieszczonych w nim  
psalmów autorstwa Harrego Dudy,  
Stanisława Goli, Tadeusza Kijonki,  
Juliusza Wątroby. Jak zwykle,  
i w tym wydaniu garść informacji  
z życia ruchu śpiewaczego na Śląsku.

## Nowy tomik poetycki Śliwonia



W Miejskiej i Po-  
wiatowej Bibliotece  
Publicznej w Będzi-  
nie odbyła się promo-  
cja najnowszego to-  
miku poetyckiego  
Władysława Śliwonia  
zatytułowanego „Po-  
ciąg miłosny”. Autor  
jest uznanym będziń-  
skim poetą, który  
wprawdzie pisanem wierszy zajmo-  
wał się przez wiele lat, jednak na ich  
publikację zdecydował się będąc już  
na emeryturze. Jest to już kolejny tom  
poezji, jednak zdecydowanie odmienn-  
y od poprzednich - to zbiór erotyków  
opowiadających o miłości i zwyczaj-  
nej bliskości dwojga osób. Wcześniej-  
sze tomiki zawierały wiersze będące  
wyrazem fascynacji autora wszystkim  
co związane z marynistyką, przyrodą,  
osobistymi miejscami szczególnymi.  
„Pociąg miłosny” jest ilustrowany ry-  
sunkami Piotra Zatorskiego, z którym  
Władysław Śliwonia współpracuje przy  
edycji nie tylko tomików poetyckich  
ale również swego autorstwa będziń-  
skich bajek - legend dla dzieci, w któ-  
rych opisuje przeszłość miasta w spo-  
sób niezwykle przystępny i obrazo-  
wy. Jest również - z racji zaintereso-  
wania historią miasta - członkiem  
Stowarzyszenia Miłośników Ziemi  
Będzińskiej.

■ Z okazji dziesięciolecia „Opcei” odbyły się III  
Katowickie Spotkania Artystów i Krytyków, których  
gośćmi byli m.in. Anna Augustynowicz, Andrzej So-  
snowski, Ludwik Stomma, Piotr Szulkin, a także od-  
były się imprezy artystyczne z udziałem Tadeusza  
Ślaska i Bogdana Miżerskiego oraz koncert mono-  
graficzny Bolesława Woytyłowskiego.

■ Grafiki bułgarskiego artysty Sławomira Chry-  
stowa pokazało Muzeum Historii Katowic.

■ W Muzeum w Chorzowie odbyło się spotkanie po-  
etycko muzyczne z cyklu „Wiersza na każdą pogodę”  
z udziałem Barbary Dziekańskiej, Marcina Hałasia,  
Barbary Marek i debiutującej poetki Antoniny Magiery.

■ Z okazji stulecia urodzin prof. Mieczysława Gład-  
ysza Muzeum Śląskie wydało książkę „Z etnogra-  
ficznych wędrówek po Śląsku. Kolekcje Mieczysława  
Gładysza w Muzeum Śląskim” autorstwa Marli Li-  
pok-Bierwiaczonek.

■ Wieczór poezji Katarzyny Woźniak i Szymona  
Babuchowskiego odbył się w Muzeum Miejskim  
w Siemianowicach Śląskich.

■ Pokaz „teatru mody” Małgorzaty i Marka Sta-  
nielewiczów można było oglądać w Centrum Sceno-  
grafii Polskiej w Katowicach.

■ Galeria „Po schodach” Muzeum Miejskiego  
w Siemianowicach Śląskich gościła wystawę grafiki  
Małgorzaty Seweryn.

■ Muzeum w Sosnowcu było organizatorem III So-  
snowskiej Konferencji Naukowej pt. „Zagłębie Dą-  
browskie w czasach zaborów i walk o niepodległość”,  
której uczestnikami byli m.in. dr Dariusz Nawrot,  
prof. Ryszard Kaczmarek, prof. Jan Walczak, prof.  
Ewa Kosowska.

■ Dużym zainteresowaniem cieszyła się pokazana  
w Muzeum Śląskim wystawa „Dzieciństwo” przygo-  
towana przez Dział Etnografii.

■ Przegląd filmów Stanisława Janickiego, z okazji  
70. rocznicy jego urodzin, odbył się w kinie „Świate-  
wid” w Katowicach

■ „Fotoinstalacje” Krzysztofa Cichosza były prezen-  
towane w Galerii Pustej Górnośląskiego Centrum Kultury.

■ Prelekcję historyczną nt. „Jak Polacy wykorzysty-  
wali i wykorzystują niepodległość?” wygłosił  
w Muzeum Historii Katowic prof. Jerzy Holzer.

■ Promocja książki Jana Strzdały „Tajemnica”  
odbyła się w Jamie Michałika w Krakowie.

■ Na „Wieczór z Kossakami”, którego gośćmi by-  
ły Janina Zagan - prezes Fundacji im. Zofii Kossak  
w Górkach Wielkich a także Anna M. Fenby Taylor -  
wnuczka Zofii Kossak-Szatowskiej, zapraszało Mu-  
zeum w Sosnowcu.

■ W Galerii ASP GCK w Katowicach prezentowa-  
ne było 3 Biennale Grafiki Studenckiej Wydziału  
Grafiki ASP w Poznaniu.

## Dziecięca dojrzałość

Niemal 700 młodych autorów wierszy, opowiadań czy prób dramatycznych nadesłało ponad 2200 tekstów na XXI Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa 2003”, który organizuje już od dwudziestu lat Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany” w Bielsku-Białej. Tegoroczny przegląd po raz siódmy miał charakter ogólnopolski. Pod względem ilości tekstów dorobek „lipowiczów” był w tym roku rekordowy.

Stu laureatów nagrodzono jak co roku drukiem w „lipowej” antologii, której objętość – dzięki sponsorom z Ministerstwa Kultury i SM „Złote Łany” oraz prezydentowi Bielska-Białej – przekroczyła tym razem 250 stron formatu zeszytowego. Sponsorem w imieniu młodych artystów pióra podziękował stosownymi fraszkami juror Juliusz Wątroba.

„Lipa” mogła rozkwitnąć w listopadzie także dzięki życzliwej pomocy liczego grona nauczycieli i opiekunów literackiej młodzieży z całego kraju – poczynając od Szczecina i Międzyrzecza po Międzyrzec Podlaski, Ładek Zdrój i Bukowinę Tatrzańską.

W czasie finałowego święta każdy z laureatów otrzymał indywidualną dedykację, stosowną do charakteru jego twórczości. Najlepsza ostatnio nie tylko w Beskidach śpiewaczka Iwona Loranc (wraz z towarzyszącymi jej multiinstrumentalistą Krzysztofem Maciejowskim i gitarzystą Janem Stachurą) zauroczyła swym występem literacką młodzież i dorosłych. Zebranych podczas warsztatów młodych ludzi interpretacjami zaskakiwał przewodniczący jury Tomasz Jastrun.

Poziom prac był też w wielu przypadkach zaskakująco dojrzały. Zauważając dzieje się tak, iż dzieci do czasu rozwoju myślenia abstrakcyjnego w wieku około 12 lat pisują wiersze pod wpływem zachwytu nad przyrodą. Wraz z postępem abstrakcyjnego myślenia i rozwojem młodzieńczego negatywizmu zaczynają dostrzegać w otaczającym świecie zło, z którym starają się uporać przy pomocy demaskatorskiej literatury – głównie prozy. W tegorocznym wydaniu „Lipy” wiek twórców literatury demaskatorskiej obniżył się. Dzieci jedenasto-, a nawet dziesięcioletnie ujawniały już predykcje do opisywania świata społecznego. Wiersze nosiły aurę dekadencji, a proza rozmiar katastrofy. Tymczasem trzynastoletnie panny i czternastoletni młodzieńcy uciekali już w miłość. Starsza młodzież najwyraźniej także uznała – po okresie buntu, że na zmiany społeczne nie można już liczyć, w życiu liczy się więc tylko miłość. Stąd obecność w „lipowej” literaturze – notabene dojrzałych i nawet bardzo intymnych – erotyków. Czarnemu scenariuszowi sporządzonemu przez społeczne otoczenie można się przeciwstawić jedynie przy pomocy prywatności. Wielu młodych ludzi uznało, że jest to bardzo dobry azyl. Także literacki.

JAN PICHETA

## BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

### Londzin dla Klimy

14 listopada w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej księdza Jana Lecha Klimę uhonorowano nagrodą starosty bielskiego im. ks. Józefa Londzina. Wyóżnienie przyznano już po raz piąty, a swoich kandydatów nominowało dziesięć gmin powiatu bielskiego. Oprócz nominacji indywidualnych były w tym roku dwie zbiorowe. Władze gmin nominowały bowiem członkinie Koła Gospodyń Wiejskich z Porąbki oraz pracownice Miejskiej Biblioteki Publicznej w Czechowicach-Dziedzicach.

Tegoroczny laureat nagrody to kandydat gminy Jasienica. Pastor Jan Lech Klima przez 20 lat pracował w parafii ewangelicko-augsburskiej w Międzyrzeczu. Kiedy spalił się zabytkowy drewniany kościół parafii rzymsko-katolickiej, ksiądz udzielił sąsiadom pomocy. Wyznawcy katolicyzmu mogli w każdą niedzielę modlić się w ewangelickim kościele. Tam także pobierali się, chrzcili potomstwo i wykonywali inne obowiązki religijne. Pastor Jan Lech Klima gościł katolickich braci w ewangelickiej świątyni przez siedem lat.

### Skończona wędrówka

W minionym miesiącu w ostatnią drogę odprowadzono znanego aktora teatralnego, filmowego i telewizyjnego Henryka Machalicę, który zmarł w Warszawie po półrocznych cierpieniach spowodowanych upadkiem z konia. Artysta uszkodził podówcześnie kręgowy i został sparaliżowany. Henryk Machalica miał 73 lata i w tym roku obchodził jubileusz 50-lecia pracy artystycznej.

Urodził się w 1930 roku w Chybiu w rodzinie urzędnika kolejowego. Po zdaniu matury w Liceum Pedagogicznym w Cieszynie pracę zawodową rozpoczął w Szkole Podstawowej w Zabłociu koło Strumienia. Naukę kontynuował krótko w szkołach muzycznych Katowic i Bielska-Białej. 1 stycznia 1953 r. Jerzy Zitzman przyjął go do pracy w Teatrze Lalek „Banaluka” w Bielsku-Białej. Debiutował rolą chińskiego rewolucjonisty w sztuce Zofii

Zelcer i Semena Dimanta „Dzielną Din”. Niebawem jednak rozpoczął wędrówkę po krajowych scenach dramatycznych. Pracował w teatrach Jeleniej Góry, Bielska-Białej (Teatr Polski), Zielonej Góry, Białegostoku i Poznania, by w wieku niemal 40 lat osiąść w stolicy.

Występował głównie na deskach Teatru Narodowego, Powszechnego i innych scen stołecznych. Ostatnio związany był z Teatrem Ochoty w Warszawie. Rozgłos przyniosły mu m. in. kreacje Andrzeja Prozorowa w „Trzech siostrach” A. Czechowa (1974) czy Księdza Piotra w „Dziadach” (1978) w Narodowym, a także postać Narratora w „Panu Tadeuszu” A. Mickiewicza w reż. Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Telewizji (1969-71). Niezwykłym przeżyciem była dla niego rola Gospodarza w „Weselu” Wyspiańskiego w inscenizacji A. Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym, w której wystąpił około 500 razy! Ma w dorobku około stu ról w Teatrze TV. Ostatnio był uwielbiany przez widzów za kreację nestora rodu Dionizego w telewizyjnym serialu „Złotopolscy”.

W 1998 r. powiedział w wywiadzie z Danutą Gibas: – Z perspektywy upływającego czasu sądzę, że to nie my kształtujemy życie, ale to ono nas kształtuje i rządzi nami. Teraz myślę, że należało osiąść w Bielsku-Białej i mieszkać do końca życia w takim miłym miasteczku, aby – tak jak kamień obstrata w mech – obrosnąć w doświadczenie i ludzi. Gdy się jest bowiem gdzieś tylko na chwilę, to potem nie pamięta się ludzi.

### Malaga w Bielsku-Białej

Nowym dyrektorem Teatru Lalek Banialuka w Bielsku-Białej został Mirosław Malaga. Dyrektorem artystycznym pozostała dotychczasowa kierowniczka literacka Lucyna Kozień – pełniąca obowiązki szefowej bielskiej sceny lalkowej po odejściu w atmosferze skandalu Piotra Tomaszuka w lipcu br.

Nowe kierownictwo otrzymało nominacje z rąk prezydenta Bielska-Białej w bardzo trudnym okresie, gdyż Tomaszuk nie zezwolił na wykonywanie przez bielski teatr sztuk, które były przez niego realizowane w Banialuce. Cierpi na tym nie teatr, lecz także dzieci. Lucyna Kozień ratuje się m.in. wznowieniami. Dlatego w październiku Banialuka wystawiła po wieloletniej przerwie spektakl „Samotności” wg tekstów Brunona Schulza i w reż. Francoisa Lazaro, który przyniósł jej przed 10 laty renomę na Zachodzie.

### Jednym zdaniem

■ Do połowy listopada była prezentowana w „Galerii jednego obrazu” Muzeum w Bielsku-Białej praca Karola Sliwki, wybitnego plakacisty urodzonego w 1932 r. w Harbutowicach koło Skoczowa.

■ Podczas jubileuszu piętnastolecia Stowarzyszenia Ekologiczno-Kulturalnego „Klub Gaja” w bielskim Kinopleksie prezentowano twórczość plastyczną Beaty Tarnawy oraz film „Sztuka dla Ziemi” Roberta Balińskiego.

■ Do 16 listopada trwał w Galerii Bielskiej BWA oraz innych świątyniach sztuki Bielska-Białej „Festiwal sztuki czeskiej”.

■ „Ars erotyka” to tytuł ekspozycji grafik i ekslibrisów III Triennale Małej Grafiki Erotycznej Hawierów 2002, której vernisaż odbył się 15 listopada w Galerii „Wzgórze” w Bielsku-Białej.

■ Dziesięciolecie istnienia obchodził w listopadzie Bielski Chór Kameralny pod kierunkiem Beaty Borowskiej.

■ 16 listopada w Domu Kultury w Lipniku otwarto wystawę fotografii Mariana Koima „Kaplizki i krzyże”.

■ 40-lecie istnienia obchodził w październiku oświęcimski AKF Chemik, który założyli Marian Koim, Marian Żmuda i Henryk Lehnert.



## Antyгона

W Częstochowie w Teatrze im. Adama Mickiewicza odbyła się premiera sztuki Jeana Anouilha „Antyгона”. Dramatopisarz francuski tuż po drugiej wojnie światowej podjął się nie tyle nowej interpretacji antycznej tragedii Sofoklesa, co ukazania własnej wersji wydarzeń w Tebach po zakończeniu bratobójczej walki o władzę nad miastem, po śmierci Edypa. Anouilh, opierając się dość wiernie jedynie na schemacie fabularnym wielkiego literackiego pierwowzoru, opowiedział zupełnie inną historię. Jego bohaterowie obarczeni zostali ludzkimi ułomnościami i słabościami, nie są już tylko wielcy, jak nakazywało poetyka antyczna. Fatum ciężące nad rodem Labdakidów w wersji Anouilha nie zdoła już wytłumaczyć do końca postępowania żadnego z bohaterów, ich tragizm wypływa przede wszystkim z faktu, że są ludźmi.

Spektakl częstochowski powstał w reżyserii Bogdana Toszy, do niedawna dyrektora Teatru Śląskiego w Katowicach. Autorem scenografii jest Marek Braun. Bohaterowie ubrani zostali we współczesne stroje. Kreon sprawia wrażenie eleganckiego biznesmena, a jego strażnicy przypominają gangsterów filmowych, nadworny paź bawi się komputerowymi grami wojennymi. Ismena i Antyгона niczym nie różnią się od współczesnych dziewcząt.

Aktorsko spektakl został sprawnie i dobrze zagrany bez niepotrzebnych emocjonalnych popisów. W rolę Antygonę wcieliła się Marta Ojrzyńska, studentka IV roku krakowskiej PWST, tworząc przekonującą kreację aktorską. Jej Antyгона to dziewczyna krucha, chwilami sprawiająca wrażenie małej dziewczynki (grzebie Eteoklesa dziecinną łopatką), zagubionej na dworze Kreona, a jednocześnie jest bardzo odważna i konsekwentna. Bojaźliwą Ismenę gra Teresa Dzielska, która także potrafi przekonać do racji, które reprezentuje siostra Antygony. W roli Kreona — Marek Ślosarski, Hajmona gra Jacek Wyrzmyślony. Intrygującą postać stworzył Michał Kula, który na scenie pełni funkcję narratora i komentatora wydarzeń. Reżyserowi udało się stworzyć bardzo spójne przedstawienie z własnym ascetycznym klimatem.

To pierwsza premiera przygotowana po zmianie dyrektora teatru. Od niedawna częstochowskiej scenie dyktuje Katarzyna Deszcz, która zastąpiła w tej funkcji Marka Perepeczko.

ELŻBIETA KOT

## CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

### Wpisane w pejzaż

W Muzeum Częstochowskim w Ratuszu została otwarta wystawa fotografii Aleksandra Jaśkiewicza „Kapliczki i krzyże przydrożne Częstochowy i okolic”. Już tylko na fotografii można zobaczyć przepiękny, drewniany krzyż przydrożny z Rędzin (autor - Piotr Kwasek) czy kapliczkę ze świętym Florianem z Nowej Wsi k. Kłobucka. Okazuje się, iż w okolicach Częstochowy bardzo rozpowszechniony był kult świętego Jana Nepomucena. To właśnie jemu poświęcone są kapliczki w Częstochowie (ul. Wręczycka), Janikach, Mstowie, Mykanowie, Zawadach i Złotym Potoku.

Często w kapliczkach umieszczano świętego Floriana, który miał chronić mieszkańców od ognia. Prezentowana wystawa to również spotkanie z 55 bardzo dobrymi warsztatowo fotografiami Jaśkiewicza.

### Dni Kultury Chrześcijańskiej

W Częstochowie 25-lecie pontyfikatu Jana Pawła II uczczono szeregiem imprez w ramach Dni Kultury Chrześcijańskiej. Organizatorzy — Duszpasterstwo Środowisk Twórczych oraz Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” — wspierani przez wiele instytucji częstochowskich, m.in. przez filharmonię, Muzeum Miejskie, Teatr im. A. Mickiewicza, Instytut Muzyki WSP oraz wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta, zapropowowali częstochowianom imprezę artystyczną o bardzo szerokiej formule.

Program Dni obejmował wiele dziedzin sztuki współczesnej. Można było obejrzeć wiele ambitnych produkcji filmowych, m.in.: reportaż „Europa” P. Woldana, „Niebo nad Berlinem” W. Wendersa, „Człowieka bez przeszłości” A. Kaurismakiego, „Kroniki portowe” L. Hallstroma czy film animowany „Spotkanie z Jezusem” w reżyserii D. Hayesa i S. Sokółowa. W galerii „Gaude Mater” odbył się wernisaż malarstwa Tomasza Budzyńskiego, w teatrze częstochowskim gościnnie wystąpił łódzki Teatr „Logos” ze swoją wersją powieści Antoine’a de Saint-Exupéry’ego „Mały Książę”. Jednak najwięcej było muzyki, i to bardzo różnorodnej stylistycznie. W Bazylice Jasnogórskiej w trakcie uroczystej mszy odprawianej w intencji Ojca Świętego rozbrzmiewa-

ła muzyka G. Pucciniego — „Messa di Gloria”, a w Filharmonii Częstochowskiej odbył się m. in. koncert „Od Bacha do Piazzolli” w wykonaniu Tria Akordeonowego „Ars Harmonica” (Piotr Chołowiec, Jakub Mietła, Piotr Biazik), w redakcji „Niedzieli” miał miejsce koncert oratoryjny, w którym wystąpiła Halina Kwiatkowska — sopran, Angelika Roch — alt, Kacper Nowak — fortepian oraz Orkiestra i Chór Zespołu Szkół Muzycznych z Częstochowy pod dyktando Krzysztofa Pośpiecha. Nie zabrakło nawet rytmów jazzowych i rockowych — koncert zespołu „Armia” oraz występ jazzowego trio „jmTrio”. Dużym powodzeniem wśród częstochowskiej publiczności cieszył się koncert premierowy Lidii Pospieszalskiej, której towarzyszyli zaprzyjaźnieni muzycy, m.in. Joachim Mencil, Piotr Cuchich, Łukasz Moskal, Janusz Yanina Iwański, no i oczywiście Marcin Pospieszalski oraz młodzi muzycy z Liceum Muzycznego.

Dni Kultury Chrześcijańskiej to nie tylko hołd złożony najznakomitszemu Polakowi, ale przede wszystkim interesująca i ambitna artystycznie propozycja kulturalna.

### Okiem kamery

Ośrodek Kultury Filmowej „Kino Studyjne” w Częstochowie przygotował już po raz czwarty konkurs na amatorski film video „Częstochowa w kadrze”. Warto wspomnieć, iż impreza cieszy się coraz większym powodzeniem i z roku na rok liczba zgłoszonych filmów wzrasta. Do tegorocznej edycji zgłoszono 23 produkcje video. Jednak to nie statystyka cieszy najbardziej organizatorów, ale fakt, iż wzrasta poziom artystyczny, techniczny i warsztatowy nadsyłanych prac, co mocno podkreśliło tegoroczne jury w składzie: Janusz Mielczarek, Tadeusz Piersiak, Paweł Popko i przewodniczący Marek Piwowski.

Zdobywcą Grad Prix „Kadr 2003” — nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy (cyfrowa kamera video) — został Paweł Bartosiak, autor dwóch filmów: „Idi Amin Dada” oraz „Sam nie wiem” — za najlepsze i najbardziej kreatywne wyjście naprzeciw założeniom konkursu. I nagroda powędrowała w ręce: Michała Adamusa, Macieja Dyji i Tomasza Nawrota, autorów filmu „Jestem super”, którzy sportretowali młodych mieszkańców miasta, tworząc uniwersalny obraz filmowy. Również młodzież stała się bohaterem filmu „Juvenalia 2002” autorstwa Rafała Kulińskiego, zdobywcy II nagrody. W wypadku Kulińskiego jury podkreśliło jego talent operatorski i umiejętność łącznia myślenia filmowego z muzyką. Sprawność posłużenia się metodą sądny w portretowaniu miasta została doceniona w filmie „Mniej więcej” Michała Bajtały, laureata III nagrody. Nagrodę dziennikarzy — „Reżyserkie krzesło” — otrzymał Sławomir Krajs, autor filmu „Marzenia do spełnienia”.

### Jednym zdaniem

■ Wiesław Ochman i jego goście, młodzi śpiewacy: Aneta Góral, Dagmara Miller Aleksandra Stokłosa, Rafał Żulawski wraz z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Zabrzeńskiej wystąpili w częstochowskim Teatrze im. A. Mickiewicza.

■ W Filharmonii Częstochowskiej wystąpili hiszpańscy artyści: Jose Angel Carmona — śpiew, Augustin de la Fuente — gitara, Ricardo Espinosa — instrumenty perkusyjne, Amir Haddad — ud, bazuki, Carmen Fernandez — śpiew, prezentując muzykę i taniec andaluzyjski.

■ Rzeźby Szymona Wypycha można było obejrzeć w galerii „Wejściówka” mieszczącej się w redakcji „Gazety Wyborczej”.

■ Zespół 50 harmonistów z Estonii i Łotwy pod dyktando Wiktora Nikandrovusa wystąpił w częstochowskim Młodzieżowym Domu Kultury.

■ W galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” odbyła się wystawa „Dyplom 2003”, ukazująca osiągnięcia artystyczne absolwentów częstochowskiego Zespołu Szkół Plastycznych.

## Liryczna ekspansja

Tylko przez trzy pierwsze dni uczestnicy tegorocznego XIV Międzynarodowego Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu bawili na Opolszczyźnie. Potem pojechali do Krakowa, a zlot zakończyli w Warszawie, w ambasadzie Tunezji. Ekspansja to imponująca, choć nieco wymuszona, o czym za chwilę.

Najazd, wymyślony przez środowisko brzeskich poetów, to chyba najbardziej prestiżowa impreza literacka na Śląsku Opolskim. Co roku ściągają kilkadziesiąt poetów z Polski i krajów ościennych. W tym roku przyjechali nie tylko uzdolnieni literacko przedstawiciele Polonii z Zaozla i Litwy, ale także poeci z Moskwy oraz Beno Budar, reprezentujący żyjących w Niemczech Serbolużyczan. Gościem specjalnym był Tunezyjczyk Abd al-Karim al-Khaliqi, który promował w Brzegu i Warszawie polsko-arabski tomik wierszy „Przestrzenie poezji”.

Najazd zaczął się zaduszkowo, od odwiedzenia Łambinowic, największej jenieckiej nekropolii w Europie. Poeci, którym towarzyszyli katolicki ksiądz, pastor i prawosławny pop, szli od jednego cmentarza do drugiego, modląc się i recytując wiersze. Światła pamięci – tak nazwano ten marsz.

To nie jedyny taki akcent. Uczestnicy Najazdu wybrali się także do Puszczy Niepołomickiej, by posadzić drzewa upamiętniające tych kolegów, którzy odeszli w minionym roku. Janusz Wójcik, poeta a także urzędnik odpowiedzialny za kulturę w opolskim Urzędzie Marszałkowskim, posadził drzewo ku pamięci Marianny Bocian.

Wypad do Krakowa i Niepołomic to efekt kooperacji uczestników Najazdu z krakowską Konfraternią Poetów, która organizowała w tym roku 18. już z kolei Zaduszki Poetyckie. Oba poetyckie środowiska przejechały się po Krakowie Tramwajem Poezji, a potem spotkały w krakowskim Urzędzie Miasta, by wziąć udział w promocji tomiku „Słony smak piękna”.

Ta swoista ucieczka z Opolszczyzny nie jest przypadkowa. Choć idea Najazdu zrodziła się w Brzegu i rozgrywała się dotąd wokół Zamku Piastów Śląskich, w tym roku musiały poszukać nowej formuły, bo wybrane rok temu nowe władze miasta przestały przychylnie patrzeć na zlot poetów.

MAREK ŚWIERCZ

## OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

### Festiwal zmodyfikowany

Oratorium beskidzkie „Gość oczekiwany” autorstwa Janusza Kohuta otworzyło tegoroczne wydanie Festiwalu Kompozytorów Śląskich. Koncert miał miejsce w polskiej Katedrze i był niecodzienny: filharmonikom towarzyszyli jazzmani i muzycy ludowi. Festiwal najwyraźniej szuka nowej tożsamości.

Imprezę wymyślił przed laty Piotr Baron, z wykształcenia chórmistrz i dyrygent, kandydat mniejszości niemieckiej na dyrektora naczelnego Filharmonii Opolskiej. Baron ma na koncie szereg kulturalnych inicjatyw, Festiwal Kompozytorów Śląskich jest chyba najpoważniejszą z nich.

W minionych latach Baron starał się organizować koncerty monograficzne, prezentując opolskim melomanom kolejnych śląskich kompozytorów, w tym wielu zapoznanych. Program tegorocznej imprezy uzupełnił organowy recital Waldemar Krawca.

### Fotośmietanka

Już po raz trzeci Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu zaprezentowała wystawę World Press Photo, na którą składają się najciekawsze prasowe zdjęcia świata. Wystawa objęła 200 zdjęć nagrodzonych w tak różnych kategoriach, jak „życie codzienne”, „sport” czy „nauka i technika”.

Jury 46. edycji WPP miało trudny wybór: 3.913 fotografii z 118 krajów przysłało w sumie 53.597 zdjęć (aż 66 proc. z nich to zdjęcia wykonane w technice cyfrowej).

### Lalki bez grand prix

Jury XXII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek zdecydowało się nie przyznawać grand prix im. Alojzego Smolki. To już niemal tradycja opolskiego przeglądu, w jego historii nagrodę główną przyznano tylko cztery razy.

Nie było grand prix, ale były inne laury. Dwie pierwsze nagrody reżyserskie przypadły Białorusinowi Leliawskiemu oraz Marcinowi Jarnuszkiewiczowi.

Jednym zdaniem

■ W sobotę 1 listopada nieoczekiwanie zmarł na serce prof. Wiesław Lesiuk, polski historyk, długoletni pracownik i dyrektor Państwowego Instytutu Naukowego - Instytutu Śląskiego w Opolu.

■ Krakowska policja odkryła dwie figurki pochodzące z zabytkowego ołtarza, który w połowie lat 90-tych został skradziony z kościoła pod wezwaniem św. Anny w Oleśnie – niestety, ołtarz został przez złodzieja pocięty na części.

■ W Opolskiej Galerii Pierwsze Piętro oglądać można było wystawę rzeźb Jana Wajracha.

czowi, który na deskach Olsztyńskiego Teatru Lalek wyreżyserował „Dzikie łabędzie” według Andersena.

Oprócz tego jurorzy przyznali dziesięć równorzędnych nagród. Najwięcej, bo aż sześć, dostał opolski spektakl „Jak Matołusz poszedł szukać olbrzyma” – Krystiana Kobyłkę nagrodzono za reżyserię, Evę Farkasową i Jana Zavorsky’ego za scenografię, Marcina Mirowskiego za muzykę, Jacka Gębure za choreografię, Jana Kaletę za rolę Chimeryka oraz Tomasa Szczygileckiego za rolę Edwarda (ta sama nagroda była wyrazem uznania dla jego kreacji Chłopca w „Białym statku”). Dwie nagrody dostały wspomniane „Dzikie łabędzie” – jurorom podobały się kreacje Lecha Gwita (Najmłodszy) oraz Anny Kukułowicz (Eliza). Jurorzy przyznali też dwie nagrody „Jaskółeczce” w reżyserii Tadeusza Słobodzianka z Teatru Lalek „Guliwer” w Warszawie – otrzymali je Piotr Nazaruk za muzykę oraz Magdalena Kiszko za rolę Jaskółeczki i Jutrzenki.

Dodatkowe wyróżnienia przyznano Wojciechowi Kобрzyńskiemu za scenariusz „Lisa przechery” według Goethego z Białostockiego Teatru Lalek oraz Zbigniewowi Lisowskiemu za reżyserię „Jaskółeczki”. Była też nagroda honorowa „za koncepcję i zbiorową kreację Krasnali” w „Śnieżce” z Teatru Animacji w Poznaniu.

### Świątynia ocalona

Metropolia wrocławska przejęła od skarbu państwa zrujnowany Kościół Minorytów w Brzegu, jedną z najpiękniejszych gotyckich świątyń na Śląsku.

Budowla od wieków nie pełni już funkcji sakralnych – w 1537 roku, gdy w księstwie brzeskim wprowadzono luteranizm, franciszkanie opuścili kościół, a władze miasta urządziły w nim arsenał. Potem mieściła się w nim siedziba straży pożarnej, a w końcu zwykłe magazyny. We wrześniu 1997 roku, w dwa miesiące po wielkiej powodzi, runęła wieża świątyni. Zniszczeniu uległo prezbiterium, ocalał tylko korpus nawowy ze sklepieniami sieciowymi, uważany zresztą za najcenniejszą część zabytku.

Jeśli projekt renowacji wypali, świątynia stanie się kościołem garnizonowym dla ponad 3 tys. parafian (żołnierzy i członków ich rodzin), którzy korzystają w tej chwili z kaplicy.

Foto: Marek Świercz



Kościół Minorytów w Brzegu. cy cmentarnej.

■ „Emilia Galotti” Gottholda Ephraima Lessinga w reżyserii Bartosza Zaczekiewicza to pierwsza w tym sezonie premiera na deskach Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

■ Represje wobec Kościoła Katolickiego czasach PRL były tematem wystawy, jaką w jęzickim ośrodku Xawerianum w Opolu zaprezentował wrocławski oddział Instytutu Pamięi Narodowej.

■ Opolski historyk prof. Adam Suchoński obchodził 70-lecie urodzin i 40-ty rocznicę swojej pierwszej naukowej publikacji.

## Roztańczone abrahamowiny

W styczniu 2004, a konkretnie 19. dnia tego miesiąca minie dokładnie 50 lat od chwili, gdy na pierwszej próbie spotkała się dziewiątka młodych miłośników tańca. Wkrótce dołączyli do nich kolejni zapaleńcy i tak zrodził się zespół, który w 1957 r. przyjął nazwę „Olza”. Obecni członkowie zespołu postanowili jednak nie czekać do stycznia. Na uroczyste, a głównie roztańczone abrahamowiny „olzianie” zaprosili urodzinowych gości w sobotę 25 października do trzynieckiego Domu Kultury „Trisla”.

Koncert jubileuszowy przyciągnął do Trzyna rzesze gratulantów z Zaolzia, Polski, Czech, z kwiatami stawili się koledzy z zaprzyjaźnionych zespołów, przedstawiciele polskich organizacji... Salę wypełnili jednak przede wszystkim byli „olzianie”. Ci, którzy pożegnali się z zespołem przed 10, 20, 30... laty często z tezką w oku słuchali fragmentów dawnych „olziańskich” kronik lub artykułów z prasy, które czytali konferansjerzy: Dorota Przywara i Jacek Rybicki. No i uważnie śledzili popisy swoich następców.

Co tu dużo mówić - „Olza” jak zwykle nie zawiodła, pokazała, że chociaż wkrótce stuknie jej piąty krzyżyk, nadal jest zespołem młodym i pełnym wigoru.

Pierwszą część koncertu otworzyły tańce cieszyńskie, zaśpiewali i zagrali chłopcy z jabłonkowskiej „Nowiny”. Przed przerwą „olzianie” zaprezentowali jeszcze tańce czeskie i morawskie wspólnie z ostrawską kapelą „Jupica”. „Brzydszą” część widowni na pewno zachwycił dziewczęcy taniec „Prani”, piękniejszą popisowy „Zbojnik”. Jak zwykle podobał się śpiew Urszuli Niedobyszczeniaka, kierowniczk organizacyjnej zespołu.

Po przerwie przysła kolej na tańce polskie - narodowe i regionalne. Zachwycił polonez i mazur w strojach ułańskich oraz sprawdzony solowy kujawiak z oberkiem, gorąco oklaskiwano dynamiczne tańce opoczyńskie, bawiono się doskonale przy występie Kapeli „Olza”. Kolejne piękne akcenty to: zadedykowany zespołowi wiersz bylej „olziarki”, Renaty Putzlacher, „Tańczyłam w bóżnicy”, który recytowała Ewa Katruśák, oraz tańce rzeszowskie w wykonaniu dawnych członków „Olzy”. Kiedy zaś obecni „olzianie” ruszyli w finale w tan w strojach góralskich, oklaski nie miały końca...

Swoje 50. urodziny obesła zatem „Olza” godnie. Ci zaś, którym nie udało się dotrzeć do Trzyna, mogli obejrzeć repryzę koncertu jubileuszowego 15 listopada w Domu Kultury im. Petra Bezruča w Hawierzowie.

JACEK SIKORA

## ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

### Święto Melpomeny

W dniach 11-15 listopada odbył się w Cz. Cieszyń III Festiwal Teatrów Moraw i Śląska. Patronat nad imprezą objął hetman okręgu morawsko-śląskiego Evžen Tošenovský, a nad Olzą zaprezentowały się nie tylko zespoły z całego regionu, ale również teatry z Bielska-Białej, Uherskiego Hradiszcz i Martina (Słowacja).

Uroczyste podsumowanie imprezy nastąpiło w sobotę 15 listopada w Białej Galerii Teatru Cieszyńskiego. Tam również wręczono 3 nagrody, które przyznawało jury w składzie: Marie Bokowa, Jan Hyvňar, Zuzana Jindrowa, Kazimierz Kaszper, Jiří P. Křiž i Emil Orzechowski.

Nagrodę za najlepszy spektakl otrzymał ostrawski Teatr Arena za sztukę „Pse serce” wg opowiadania Michała Bulhakowa. Nagrodą za najlepszą kreację autorską oceniono Markétę Viktorową z Teatru im. P. Bezruča za rolę w monodramie „Jordan” autorstwa Ann Reynolds i Moiry Buffini. Trzecia nagroda pozostała w Teatrze Cieszyńskim. Otrzymał ją aktor Sceny Polskiej Ryszard Malinowski za „pielęgnowanie języka i za wspaniałe podawanie wiersza Moliera w przekładzie Boya-Zeleńskiego” (sztuka „Świętoszek”).

Za najważniejsze wydarzenie artystyczne tegorocznego festiwalu jury uznało jednak spektakl pozakonkursowy - sztukę „Rychlé šípy” na podstawie książki Jaroslava Foglara w wykonaniu „Slováckého divadla” z Uherskiego Hradiszcz. To było najlepsze przedstawienie tygodnia, po prostu - sama teatralna radość - powiedziała Z. Jindrowa.

### Książka na Święto Niepodległości

Przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, który wspólnie z Polską Izłą Książki objął patronat honorowy nad tegoroczną Wystawą Polskiej Książki, konsulowie Piotr Czarkowski i Grażyna Kostrusiak, wzięli 11 listopada udział w uroczystym wernisażu czeskoszyńskiej części wystawy w gale-

rii Teatru Cieszyńskiego. Gościem wernisażu była także pisarka Joanna Papużńska. To jej wiersze w wykonaniu młodych Zaolziaków otworzyły imprezę.

Konsul Piotr Czarkowski przypomniał, że wernisaż wystawy, organizowany przez zaolziańskie Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki, zawsze odbywa się w Święto Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej. „Jedni walczyli o niepodległość z bronią w ręku, inni walczyli o to, by rozwijała się polska kultura, by ta kultura trafiła pod strzechy. To właśnie im, księgarzom, bibliotekarzom, winniśmy wdzięczność” - stwierdził.

Konsul Czarkowski wręczył też - w imieniu prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego - pięć Zaolziaków Krzyże Zasługi za wybitne zasługi w działalności na rzecz krzewienia kultury polskiej. Złotymi krzyżami prezydent odznaczył Helenę Legowicz i Zenona Wirtha, srebrne natomiast otrzymały Wanda Kozdra, Irena Mierzwa i Halina Molin.

Wystawę mogli obejrzeć nie tylko mieszkańcy Cz. Cieszyńska. W następnych dniach zawitała ona do Trzyna, Jabłonkowa i Karwiny Frysztatu.

### Gitarą i piórem

Na wieczór z poezją i muzyką zaprosił 27 października do nieborowskiego Domu PZKO wszystkich wrażliwych miejscowy Klub Młodych. Jak powiedziała szefowa Klubu i główny organizator spotkania, Halina Sikora, była to pierwsza po długiej, bo aż siedmioletniej przerwie poetycka impreza w Nieborach. „Miejmy nadzieję, że na kolejną nie będziemy musieli czekać dalsze siedem lat” - dodała.

Z zaproszenia skorzystała piątka poetów. Oprócz wierszy Haliny Sikory zabrzmiały utwory młodzieńkiej Ani Siwek oraz przedstawiciele starszej już nieco generacji, Kazimierza Kaszpera i Jacka Sikory. Swoją poezją podzielił się też z publicznością aktor Sceny Czeskiej Teatru Cieszyńskiego, Petr Pěnkava. Wiersze pozostałych autorów czytali aktorzy: Jola Molenda (olbrachcizanka, obecnie w Teatrze Ateneum w Katowicach) oraz Dariusz Waraksa i Mariusz Osmelak (Scena Polska).

Gromkimi oklaskami nagrodzono też folkowy duet „Večirek” z Trzyna, który urozmaicił wieczór czeskimi i gwarowymi piosenkami. Spotkanie zakończył recital pieśniarki Beaty Bocek z Żukowa Dolnego, która ostatnio - a można to stwierdzić buszując po internecie - ze swoimi czeskimi i polskimi utworami odnosi sukcesy na folkowych festiwalach w RC.

### Jednym zdaniem

■ Scena Polska zaprosiła 22 listopada na premierę sztuki „Mayday” Raya Cooneya w reż. Rudolfa Moliniego.

■ Po kilkuletniej przerwie przy jabłonkowskim Kole PZKO wznowił działalność Klub Młodych.

■ Jury konkursu „Po naszymu, czyli po Śląsku” przyznało główną nagrodę i tytuł Ślązaka Roku 2003 Tadeuszowi Filipczykowi z Nawsia, znanemu zaolziańskiemu gwiazdowi związanemu z chórem „Gorol”.

■ Pod koniec października pojawił się „Tryptyk Rzymski” Jana Pawła II w przekładzie na język czeski, przetłumaczony przez Joannę i Krzysztofa Bronków.

■ Poeci Jan Pyszko i Marek Słowiaczek reprezentowali Zaolzie na 14. „Najładzie poetów na zamek Piastów Śląskich w Brzegu”.

■ Koordynacji terminów przedstawię i imprez pezetkaowskich było poświęcone spo-

tkanie kierownictwa Sceny Polskiej z prezesa-mi Miejscowych Kół PZKO, które odbyło się 31 października w Teatrze Cieszyńskim.

■ W gnojnickiej PSP obchodzono 7 listopada jubileusz 150-lecia szkolnictwa polskiego w tej wsi.

■ Przygotowanie planu działalności na rok 2004 było głównym celem dorocznego zebrania członkowskiego Sekcji Ludoznawczej przy ZG PZKO. Sekcja zamierza m.in. wydać dwie publikacje i urządzić seminarium o stroju górali beskidzkich.

■ Gościem listopadowego spotkania w jabłonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem” był František Všecký, wykładowca Uniwersytetu Palackiego, literaturoznawca, autor szeregu książek historyczno- i krytycznoliterackich, a także poetyckich, prozatorskich i eseistycznych.



**W**brew natrętnie powtarzanej opinii, że eksploatacja bogactw naturalnych (co w Polsce odnosi się głównie do węgla) jest przejawem gospodarczego opóźnienia i hamuje rozwój nowoczesnych gałęzi przemysłu, węgiel koksowy wydobywany w kopalniach Jastrzębskiej Spółki Węglowej SA jest źródłem bogactwa całego regionu i nośnikiem postępu technicznego i technologicznego, a także społecznego.

Za prawdziwością tego twierdzenia przemawia cała historia gospodarcza Śląska, a potwierdza ją obecna pozycja JSW SA, która po 10 latach przekształceń i dostosowywania się do wymogów gospodarki rynkowej osiągnęła pozycję największego producenta węgla koksowego w Europie, a co ważniejsze - uzyskującego za sprzedawany węgiel cenę gwarantującą zysk. W tym roku, po 11 miesiącach jest to 10 mln zł netto, a rosnąca koniunktura na koks gwarantuje nie tylko sprzedaż całego produkowanego węgla, ale według najnowszych prognoz - sprzedaż coraz bardziej zyskową.

### Nic za darmo

**S**półka powstała w 1993 roku skupiając wówczas 7 kopalń, z których obecnie funkcjonuje 5: Borynia, Pniówek, Zofiówka, Jas-Mos i Krupniński.

Porównanie sytuacji tych kopalń z roku 1993 i 2003 daje wiedzę o drodze do obecnego sukcesu spółki i kosztach społecznych przeprowadzonej restrukturyzacji.

Uzyskanie jej obecnego kształtu organizacyjnego, poziomu koncentracji produkcji i wielkości zatrudnienia ma przecież swoją cenę, a jest nim ograniczenie zatrudnienia w kopalniach o 21 tysięcy osób. Proces ten przebiegał jednak sukcesywnie i praktycznie bez konfliktów społecznych, ale likwidacja tylu miejsc pracy nie mogła być i nie jest obojętna dla rynku pracy całego regionu.

W ostatecznym rachunku liczy się jednak stabilizacja obecnego poziomu zatrudnienia i pewność bytu JSW SA w dobrej kondycji, bo jest ona gwarancją bytu 20 tysięcznej załogi i jej rodzin, a także całego otoczenia gospodarczego spółki.

10 lat istnienia JSW SA to proces konsekwentnej restrukturyzacji technicznej, majątkowej, finansowej i organizacyjnej, który przygotował spółkę do kolejnych etapów umacniania jej pozycji poprzez połączenia kapitałowe i prywatyzację. Wzmocnienie koncentracji grupy producentów węgla koksowego i koksu poprzez utworzenie koncernu węglowo-koksowego to wariant przyszłości górnictwa koksowego z gwarancją udziału w zyskach ze sprzedaży su-

## 10 lat Jastrzębskiej Spółki Węglowej SA Węgiel z dobrą przyszłością



rowca przetworzonego jakim jest koks hutniczy.

Rok 2003 kopalnie jastrzębskiej spółki zakończą wydobywaniem ponad 13 mln ton węgla koksowego. Korzystne tendencje obserwowane na rynkach światowych oraz realne zasoby węgla koksowego JSW SA, oceniane na ponad 260 mln ton, umacniają pozycję rynkową spółki i pozwalają z nadzieją patrzeć w przyszłość.

### Każda tona ma kupca

**W**ęgiel produkowany w kopalniach JSW jest atrakcyjnym towarem na rynku krajowym i zagranicznym, a wynika to z jego wysokiej i stabilnej jakości - parametrów niezwykle ważnych dla odbiorców. Bardzo dobre właściwości koksotwórcze jastrzębskiego węgla, dbałość o jego czystość i dostosowanie składu sprze-

dawanego produktu do wymagań kontrahentów decydują o sukcesie rynkowym spółki.

Nakłady inwestycyjne w latach 1993-2002 wyniosły ponad 1.500 mln zł. Przeznaczono je głównie na utrzymanie mocy produkcyjnych, a więc budowę nowych poziomów wydobywczych, modernizację szybów i zakładów przerobczych. Celem wielu inwestycji - w tym nowatorskiego i proekologicznego skojarzonego układu energetyczno-chłodniczego w kopalni „Pniówek” - było poprawienie bezpieczeństwa i higieny pracy. Instalacja w „Pniówku” zagospodarowuje energię metanu do zasilania centralnej klimatyzacji a zarazem zmniejsza o 15 milionów metrów sześć. rocznie emisję tego gazu do atmosfery.

Jest to tylko jeden z wielu przykładów ograniczenia negatywnego wpływu zakładów górniczych spółki na środowisko naturalne.

### Przyszłość

**J**astrzębska Spółka Węglowa posiada poważne zasoby rezerwowe węgla koksowego w złożach „Pawłowice” i „Bzie-Dębina”, położone na obrzeżu obszarów górniczych czynnych zakładów. Czekają one na zagospodarowanie i są gwarancją przyszłego bytu spółki.

Wcześniej, bo już za kilka lat, podjęta zostanie eksploatacja niewykorzystywanych do tej pory zasobów przygranicznych i filarowych. Umożliwi to kolejny etap restrukturyzacji, którym będzie integracja kopalń Borynia, Jas-Mos i Zofiówka w ramach Kopalni Zespolonej. Nowa struktura organizacyjna pozwoli zoptymalizować eksploatację udostępnionych zasobów i ograniczyć koszty produkcji.

Niekwestionowanym kapitałem spółki są jej pracownicy - załogi 5 kopalń i Zakładu Logistyki Materiałowej, a także kompetencje i doświadczenie pracowników firm związanych kapitałowo z JSW SA - ludzi w większości wywodzących się z jastrzębskich kopalń.

Pozycja największego pracodawcy w regionie, dającego zatrudnienie prawie 20 tysiącom mieszkańców miasta i okolic jest wielkim zobowiązaniem dla ludzi zarządzających spółką i poszczególnymi kopalniami oraz zakładami, które powstały na bazie majątku górniczego.

Przez 10 minionych lat nikt z kolejnych ekip kierujących JSW SA nie podjął decyzji ograniczających przyszłe możliwości spółki. Ma to tym bardziej istotne znaczenie, że jej kondycja i perspektywy na przyszłość przekładają się bezpośrednio na sytuację społeczno-gospodarczą całego obszaru Rybnickiego Okręgu Przemysłowego.

EUGENIA PLUCIK



# Jastrzębska Spółka Węglowa SA

**jedyny w Polsce producent węgla ortokoksowych  
typu 35**

*Nasz podstawowy produkt, charakteryzujący się dużą czystością,  
wysoką spiekalnością i plastycznością, znajduje zastosowanie jako niezbędny składnik  
mieszanki wsadowej węgla do produkcji wielkopiecowego,  
stabilizowanego koksu najwyższej jakości.*

## **KWK Borynia**

ul. Węglowa 4  
44-268 Jastrzębie Zdrój  
tel. 756 11 13  
fax 471 86 30

## **KWK Jas-Mos**

ul. Górnicza 1  
44-330 Jastrzębie Zdrój  
tel. 756 31 13  
fax 473 44 22

## **KWK Krupiński**

ul. Piaskowa 35  
43-267 Suszec  
tel. 756 61 13  
fax 434 17 71

## **Zakład Logistyki Materiałowej**

ul. Armii Krajowej 1  
44-330 Jastrzębie Zdrój  
tel. 756 40 00  
fax 476 31 25

## **KWK Pniówek**

ul. Krucza 18  
43-250 Pawłowice  
tel. 756 21 13  
fax 472 19 78

## **KWK Zofiówka**

ul. Rybnicka 1  
44-335 Jastrzębie Zdrój  
tel. 756 51 13  
fax 471 33 06







Naszym Drogim Klientom i Sympatykom  
radosnych Świąt Bożego Narodzenia  
oraz Pomyślności w Nowym Roku 2004  
życzy

**Bank Twojego Regionu**



GÓRNOŚLĄSKI BANK GOSPODARCZY SA  
GRUPA BPiP PBK